

CO CZEKA ŚLĄSK?

Egz. archiwalny

INDEKS 33328X ISSN - 1425-3917

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# ŚLĄSK



Nr 2/52/ ROK VI • LUTY 2000

CENA 4 zł

\_\_\_\_\_ MAREK BASTER – Przesłuchanie

\_\_\_\_\_ Józef Korol – Śląski Grot-Rowecki

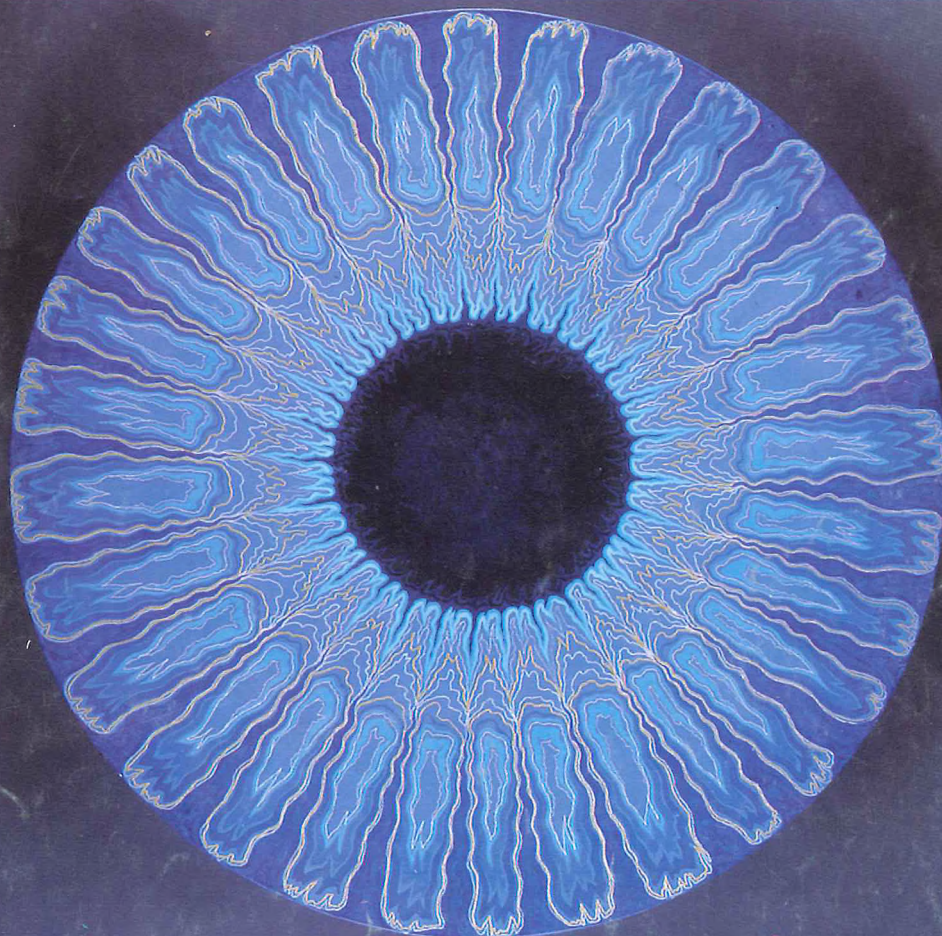
\_\_\_\_\_ KAZIMIERZ KASZPER – Pasja

\_\_\_\_\_ MAGDALENA DZIADEK – Dyrygenci na arenie

\_\_\_\_\_ „Splendor Solis” ANDRZEJA URBANOWICZA

\_\_\_\_\_ TADEUSZ KIJONKA – Na ratunek

\_\_\_\_\_ Szymutko o MARIANIE KISIELU





20 grudnia 1999 r. w siedzibie naszego miesięcznika odbyła się uroczystość wręczenia tytułów „Przyjaciel Śląska”.

Wśród wyróżnionych znaleźli się: (stoją od lewej) Sebastian Czapionka, Lucja Ginko, Henryk Dzewior, Henryk Berberok, Tadeusz Wnuk, Barbara Blida, Janusz Frąckowiak, Rudolf Maroń, Tadeusz Donocik i Kazimierz Kutz. Z ważnych powodów osobiście „Przyjaciela Śląska” odebrać nie mogli: abp Damian Zimoń, Piotr Uszok, Leopold Kurek i Jerzy Śmiałek. W dyskretnym przykrytku redaktor „Śląska” Tadeusz Kijonka.



Foto: Józef Wróbel



RESTAURACJA  
**Stary Wiedeń**

SĄ MIEJSCA, KTÓRE WARTO ODWIEDZIĆ

---

PRZYJĘCIA    BANKIETY    CATERING

<p>RESTAURACJA CELT 40-085 KATOWICE UL. MICKIEWICZA 32 TEL./FAX 032/599086</p>	<p>RESTAURACJA STARY WIEDEŃ 40-026 KATOWICE UL. WOJEWÓDZKA 15 TEL. 032/2511911, FAX 032/2511738</p>
--	---



1629

TYSKIE

BROWARY KSIĄŻĘCE

SPONSOR „ŚLĄSKA”

# ŚLĄSK

## MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

Nr 2 (52), Rok VI, LUTY 2000

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE  
TOWARZYSTWO LITERACKIE  
W KATOWICACH

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
Tel. 586-694

Redaguje zespół:

**TADEUSZ KIJONKA**  
redaktor naczelny

**FELIKS NETZ**  
zastępca redaktora naczelnego

**WIEŚLAWA KONOPELSKA**  
sekretarz redakcji

**KRZYSZTOF KARWAT**  
dział kulturalny

**MARIAN KISIEL**  
dział krytyki i eseju

**STEFAN SZYMUTKO**  
dział nauki

**ANDRZEJ KUŚNIERCZYK**  
dział społeczno-historyczny

**WOJCIECH ŁUKA**  
dział graficzny

**MIROŚLAW KORBEL**  
nadzór techniczny i poligraficzny

**ANNA STRUMIŁOWSKA**  
**ANDRZEJ ROGIER**  
korekta

**ADRES REDAKCJI:**  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,  
tel./fax 206-82-71

Czasopismo wspierane finansowo przez:  
**MINISTERSTWO KULTURY  
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO,  
ZARZĄD WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO  
i URZĄD MIASTA KATOWICE**

Skład i montaż elektroniczny: Studio Typografii  
Profesjonalnej „KorGraf” s.c., 40-084 Katowice,  
ul. Opolska 22, tel. 597-271 w. 107

Druk: MARQUARD PRESS S.A.  
40-084 Katowice, ul. Opolska 22.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjeżdżających do druku oraz skracania korespondencji.

**Warunki prenumeraty:** - poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bezpośrednio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO II Oddz. Katowice 1020326-746272-270-1-111. Prenumerata roczna - 48 zł., półroczna - 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza — 4 zł

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Numer zamknięto 6.01.2000 r.

## W NUMERZE:

<i>Wiesława Konopelska</i> MIEDZY „1” A „50” .....	6
<b>CO CZEKA ŚLĄSK. CZAS PRZEŁOMU.</b> Dyskusja redakcyjna z udziałem Tadeusza Kijonki, prof. Marka S. Szczepańskiego, prof. Tadeusza Ślawka, prof. Jana Wojtyły, prof. Andrzeja Klasika, Krzysztofa Karwata .....	10
<i>Jan Cofalka</i> <b>JÓZEF KOROL - ŚLĄSKI GROT-ROWECKI</b> .....	14
<i>Genowefa Jakubowska-Fijałkowska</i> <b>WIERSZE</b> .....	18
<i>Kazimierz Kaszper</i> <b>PASJA</b> .....	20
<i>Rafał Kierzynka</i> <b>WIERSZE</b> .....	23
<i>Bogdan Dworak</i> <b>PANI EMILIA</b> .....	24
<i>Magdalena Dziadek</i> <b>DYRYGENCI NA ARENIE</b> .....	28
<i>Stefan Szymutko</i> <b>MANIEK. O Marianie Kisielu - literaturoznawcy i krytyku</b> .....	30
<i>Rozmowa z Piotrem Guzym</i> <b>MUSIAŁEM WYJĄC Z SZAFY TRUPA I GO POGRZEBĄC</b> .....	32
<i>Marek Baster</i> <b>PRZESŁUCHANIE</b> .....	36
<i>Marek Brzeźniak</i> <b>TAM, GDZIE ŚPIEWAŁA KICZMANKA</b> .....	42
<i>Zbigniew Kadłubek</i> <b>TRADYCJE KULTURY ANTYCZNEJ NA ŚLĄSKU</b> .....	45
<i>Andrzej Kuśnierczyk</i> <b>BODAJBYŚ DIABŁA ZJADŁ</b> .....	46
<i>Ewa Świąc</i> <b>WIERSZE</b> .....	47
<i>Stefan Zabierowski</i> <b>CZYTAĆ PO WOJNIE.</b> Zbigniew Jerzy Nowak o Jerzym Szaniawskim .....	48
<i>Grzegorz Sztoler</i> <b>PAMIĘĆ MIARKI</b> .....	52
<i>Jacek Wojciechowski</i> <b>ZMIANA RÓL</b> .....	54
<i>Jerzy Paszek</i> <b>POLSKIE KALAMBURY</b> .....	58
<i>Rozmowa z Andrzejem Urbanowiczem</i> <b>OPIS EMOCJI</b> .....	64
<i>Marek Soltysik</i> <b>ORMIANIE POLSCY</b> .....	65
<i>Katarzyna Młynarczyk</i> <b>DOJRZAŁE LETNIE POPOŁUDNIE</b> .....	65
<i>Katarzyna Młynarczyk</i> <b>CIEMNEGO POKOJU NIE TRZEBA SIĘ BĄC</b> .....	80
<b>LISTY</b> .....	2
<b>REPLIKI I KOMENTARZE</b>	
<i>Tadeusz Kijonka</i> <b>NIM STANIE POMNIK</b> .....	3
<b>ŚLĄSKI MIESIĄC</b> .....	4
<b>PEJZAŻ MITOLOGICZNY</b>	
<i>Antoni Halor</i> <b>W MILLENIJNYM CIENIU</b> .....	34
<b>SPOZA KADRU</b>	
<i>Feliks Netz</i> <b>PROSTO Z ŻYCIA</b>	
<b>ALE NIE WPROST</b> .....	35
<b>EKOLOGIA</b>	
<i>Jan Rzymelka</i> <b>ŚLĄSKIE MARKOWE</b>	
<b>PRODUKTY TURYSTYCZNE</b> .....	41
<b>POWROTY</b>	
<i>Marian Kisiel</i> <b>DWIE ROCZNICE</b>	
<b>KAZIMIERZA WYKI</b> .....	51
<i>Ks. prof. Józef Tischner</i> <b>OBJAŚNIANIE BIBLI</b> .....	56
<b>PODKOPKI</b> .....	62
<b>EDUKACJA REGIONALNA</b> .....	66
<b>TEATR</b>	
<i>Tadeusz Kijonka</i> <b>„REWIZOR” CZYLI ŚMIECH</b> ..	68
<i>Krzysztof Karwat</i> <b>SZEKSPIR BEZ COKOŁU</b> .....	69
<i>Grzyzna Ogrodowska</i> <b>CIĄGLE W OPOZYCJI</b> .....	70
<b>MUZYKA</b>	
<i>Bożena Gieburowska, Ryszard Gabryś</i> <b>POLSKA MUZYKA XX W.</b> .....	70
<i>Magdalena Dziadek</i>	
<b>WOYTOWICZ IN MEMORIAM</b> .....	71
<b>KSIAŻKI</b>	
<i>Paweł Lekszycki</i> <b>WRAŻLIWOŚĆ</b> .....	72
<i>Ewa Świąc</i> <b>KATARAKTA</b> .....	73
<i>Wojciech Brzoska</i> <b>MIŁOŚĆ DO ŚMIERCI</b> .....	74
<i>Bożena Szalasta-Rogowska</i>	
<b>MIŁOŚĆ DO ŚMIERCI</b> .....	75
<i>Krzysztof Unilowski</i> <b>OPOWIEŚCI KUCZOKA</b> .....	76
<i>Wojciech Janota</i> <b>HRABINA VALESKA</b> .....	77
<i>Krzysztof Tracki</i> <b>OBRAZ POKOLENIA</b> .....	78
<i>Marek Baster</i> <b>BLOC-NOTES</b> .....	79
<i>Marta Fox</i> <b>LISTY SPOD KAPELUSZA</b> .....	80
<i>Wojciech Janota</i> <b>GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE</b> .....	81
<b>NOTATNIKI KULTURALNE</b>	
<i>Wiesława Konopelska</i> <b>KATOWICE</b> .....	82
<i>Jan Picheta</i> <b>BIELSKO</b> .....	84
<i>Janusz Polakowski</i> <b>CZĘSTOCHOWA</b> .....	85
<i>Marek Świercz</i> <b>OPOLE</b> .....	86
<i>Jacek Sikora</i> <b>ZAOLZIE</b> .....	87

Adres internetowy: [www.miesiecznik.silesia.top.pl](http://www.miesiecznik.silesia.top.pl) E-Mail [alfa@alfa.com.pl](mailto:alfa@alfa.com.pl)

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH” S.A. Tel. +48/022/620-12-71, fax +48/022/620-70-39, 624-14-88.

E-mail: [zagran@pol.pl](mailto:zagran@pol.pl)



Już dawno nie tak nie wzburzyło śląskiej opinii publicznej jak bulwersująca wieść, iż zagrożony jest byt największego w kraju państwowego przedsiębiorstwa użyteczności publicznej: Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku, a już mieszczącego się w jego granicach ZOO w pierwszej kolejności. Okazało się, że w budżecie państwa na rok 2000 nie przewidziano w ogóle dotacji na ten cel. Przez prasę śląską przegalopowały interwencyjne publikacje opatrzone dramatycznymi tytułami: „Ratujmy park!”... „Alarm dla parku!”... „Park wola o pomoc”... „Park w rękach opatrznosci”... Akcję ratunkową podjął telewizja, nie ustawało w działaniach interwencyjnych Radio Katowice. Jak zawsze w stanie beznadziejnego zagrożenia pojawiły się apele o pomoc do społeczeństwa, jakby z ulicznych zbiórki można wyżebrać konieczne fundusze.

Tuż przed wigilią zdarzył się jednak cud i sytuacja jest na ten rok opanowana. To co wydawało się niemożliwe — stało się! W ważnym interesie społecznym doszło wreszcie do zespolenia sił śląskich posłów — lewica i prawica w zwartym zysku! Ba, udało się nawet pozyskać dla tej sprawy sojuszników spośród posłów z innych regionów, toteż dzięki w ten sposób zespolonemu głosom interwencji okazała się skuteczna. Z budżetu centralnego została niemal w ostatniej chwili wydarta na ten cel kwota 10 mln złotych, co pozwoli przebiec parkowi rok najbliższy, zaś odpowiedzialnym osobom, instytucjom i środowiskom zmobilizowanym na rzecz zapewnienia środków dla WPKiW znaleźć skuteczne źródła dodatkowego finansowania.

Katastrofalna sytuacja tego potężnego kompleksu rekreacyjnego usytuowanego w centrum GOP-u nie była dotąd szerzej znana — do czasu gdy jesienią wyszło na jaw, że w projekcie budżetu centralnego opracowanego przez resort finansów, nie przewidziano na ten cel nawet symbolicznej złotówki. To kolejny drastyczny przykład jak postrzegane są potrzeby tego regionu ze stołecznej, rządowej perspektywy, choć mamy tam „swojego premiera”, mamy śląskiego posła a zarazem „twardego wicepremiera” na czele ministerstwa finansów; także wszechmocny, jak dotąd, lider AWS, Marian Krzaklewski, zasiada w Sejmie jako poseł stąd. Już ten układ sił winien zabezpieczać elementarne potrzeby tego regionu respektowane na tych samych warunkach co w każdym innym przypadku. Nie chodzi przecież o żadne przywileje i specjalne względy, lecz respektowanie obowiązującego prawa.

Ten park — jak dotąd — jest wciąż jeszcze państwowym przedsiębiorstwem użyteczności publicznej. Zgodnie z ustawą środki na jego utrzymanie zapewnia organ założycielski, czyli wojewoda śląski. Okazało się jednak, że jego wniosek o dotację dla WPKiW w roku 2000 został rozpatrzone negatywnie. Zresztą już w roku poprzednim przyznana kwota 7,5 mln złotych była o blisko połowę niższa od przewidywanej (ponoć przejściowo, ze względu na koszty reformy administracyjnej) co nie pokrywało najważniejszych potrzeb, skoro roczne utrzymanie parku i jego urządzeń kosztuje 23 mln złotych.

Na wniosek Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich — Zarządu Okręgu w Katowicach, przedstawiam moją opinię w sprawie projektu włączenia Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej do Biblioteki Śląskiej na podstawie art. 18 ustawy z 25 X 1999 r.

Nie widzę podstaw w powołaniu się na wyżej wspomniany akt prawny, gdyż w polskim ustawodawstwie jedynie właściwa we wszelkich podobnych przypadkach może być ustawa o bibliotekach z 27 VI 1997 r. Poza tym nie jest uzasadniona likwidacja biblioteki publicznej stopnia wojewódzkiego, a tym bardziej włączenia jej zbiorów i pracowników do biblioteki naukowej po to, aby zwiększyć personel i ułatwić pracę drugiej bibliotece, kosztem środowiska czytelników i użytkowników pierwszej z nich. Uważam, że wzmocnienia kadrowego Biblioteki Śląskiej powinno się dokonać przez połączenie jej z Biblioteką Główną Uniwersytetu Śląskiego. Takie właśnie rozwiązanie jest jedynie racjonalne i stosuje się je powszechnie we współczesnym bibliotekarstwie krajów zachodnich.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Katowicach pełni nie tylko rolę placówki udostępniającej zbiory, ale realizuje — po reformie administracyjnej w znacznym rozszerzonym zakresie — funkcje instrumentacyjno-metodyczne w stosunku do całej sieci bibliotek publicznych województwa śląskiego. Jest także ośrodkiem naukowo-dydaktycznym i bibliograficzno-informacyjnym dla studentów kierunku „Bibliotekoznawstwo i informacja naukowo-techniczna” Uniwersytetu Śląskiego oraz osób kształcących się w ramach Centrum Ustawicznego Kształcenia Bibliotekarzy i słuchaczy bibliotekarskich studiów policealnych. Ani Biblioteka Uniwersytecka, ani Śląska nie dysponują odpowiednim warszatem bibliograficznym czy w miarę kompletnymi zbiorami w zakresie nauki o książce, bibliotece i informacji naukowej. Ponadto WBP dostępna jest dla studentów i nauczycieli akademickich bez przerwy letniej i ograniczeń udostępniania, podczas gdy obie biblioteki naukowe zamykają okresowo czytelnice i wypożyczalnie, skracając czas ich otwarcia, nie tylko w okresie letnim. W miesiącach od czerwca do września, kiedy studenci i pracownicy nauki muszą korzystać z bibliotek, aby przygotować się do egzaminów czy prac dyplomowych bądź gromadzić materiały do badań, jedynie Biblioteka Wojewódzka może im w pełni służyć. Pragnę nadmienić, że — jak wynika z informacji uczestników moich seminariów magisterskich, WBP stanowi w dużej części warsztat ich pracy.

Jeszcze jeden wzgląd uważam za bardzo istotny. Pracownicy Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej odznaczają się szczególnie wysokimi kwalifikacjami bibliotekarskimi oraz aktywną życzliwością dla czytelników i użytkowników — Biblioteka Śląska jest raczej krytycznie oceniana w tym aspekcie przez środowisko. Połączenie przekreśliłoby zapewne w dużym stopniu te istotne wartości.

W konkluzji sądzę, że projekt „włączenia WBP do Biblioteki Śląskiej” jest wyjątkowo niefortunny i wynika chyba z niezrozumienia odrębnych celów obydwóch bibliotek. Oznaczałoby całkowite przekreślenie zadań społecznych Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, a całemu środowisku województwa śląskiego przyniosłoby niewymierne szkody.

Pragnę nadmienić, że powyższą moją opinię formułuję w porozumieniu z Radą Naukową Instytutu Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego oraz przy całkowitej akceptacji ze strony Dyrektora Instytutu, prof. dr hab. Ireny Sochy.

prof. dr hab. ZBIGNIEW  
ZMIGRODZKI

## UCHWAŁA

Zarządu Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Katowicach w sprawie zamiaru włączenia Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Katowicach do struktury organizacyjnej Biblioteki Śląskiej w Katowicach.

27 października 1999 r. Zarząd Województwa Śląskiego opublikował podjętą 7 X 99 r. uchwałę o wszczęciu postępowania zmierzającego do połączenia w jedną instytucję Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Katowicach i Biblioteki Śląskiej w Katowicach.

Z końcem stycznia minie więc 3-miesięczny okres społecznych konsultacji na ten temat i zostanie podjęta przez Sejmik Województwa Śląskiego uchwała:

- albo połączenia obu bibliotek,
- albo utrzymania ich dotychczasowego statusu.

Stanowczo stwierdzamy, że likwidacja Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej nie przyniesie żadnych pozytywnych skutków, ani społecznych, ani

kulturalnych, ani organizacyjnych, jak również ekonomicznych.

Stanowisko nasze nie jest głołosłowne. Jest bowiem poparte argumentacją krajowych autorytetów bibliotekarskich i dyrektorów samorządowych bibliotek publicznych byłego województwa katowickiego. Wszyscy oni jednogłośnie stwierdzają, że w warunkach konieczności redukcji wydatków budżetowych, przy braku etatów w Bibliotece Śląskiej fuja jest de facto likwidacją Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Katowicach. Tymczasem, z ustawy o obiektach wynika obowiązek organizacji i prowadzenia co najmniej jednego tego typu biblioteki w województwie. Ma ona bowiem do wykonania ważne, wynikające również z tej ustawy, zadania.

Biblioteka Śląska jest od 1952 r. samoistnym organizmem. Figuruje w wykazie bibliotek zaliczonych do naukowych.

Przejęcie więc przez Bibliotekę Śląską zadań WBP oznacza przeniesienie jej do działu sieci bibliotek publicznych.

Nie powinno tak być! Nie będzie to z korzyścią ani dla czytelnictwa powszechnego ani dla środowiska naukowego.

Biblioteka Śląska nie powinna być tylko wojewódzką biblioteką publiczną z przypisanymi jej zadaniami naukowymi i regionalnymi! Biblioteka Śląska winna być biblioteką naukową i jako taka winna spełnić w odniesieniu do Śląska, zadania biblioteki narodowej. Tym bardziej, że zlikwidowano w Katowicach — zbyt pochopnie — Śląski Instytut Naukowy i nikt nie prowadzi badań śląskoznawczych, nie przejął jego zadań i nie zajmuje się na bieżąco bibliografią regionalną.

W drugim co do wielkości województwie w kraju, województwie w którym pilną jest restrukturyzacja przemysłu ciężkiego, co połącznie z sobą konieczność przeorientowania się do innych zadań znacznej liczby mieszkańców, w którym wzrasta bezrobocie, a społeczność ubożeje, likwidacja choćby jednej biblioteki — symbolu społeczeństwa otwartego — na wydzikę polityczny! (pozabawia się podatników dostępu do wiedzy i informacji, do godziwej rozrywki).

Uważamy, że jeśli już łączyc to: — Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Katowicach z Miejską Biblioteką Publiczną w Katowicach, jej naturalnym zapleczem.

Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich  
Zarząd Okręgu w Katowicach

## W OBRONIE MUZEUM CZYNU POWSTAŃCZEGO

My, pracownicy Muzeum Okręgowego w Bielsku-Białej stanowczo protestujemy przeciwko działaniom samorządowych władz województwa opolskiego odnośnie Muzeum Czynu Powstańczego w Lesnicy. Próba zatarcia jego charakteru, dziwnego wymieszania koncepcji ekspozycyjnych czy wręcz likwidacji tej ważnej dla narodu polskiego instytucji kulturalnej jest skandalem świadczącym o ztrąceniu przez Sejmik Samorządowy Opolski poczucia związków z narodem polskim i polskim Śląskiem. Dwuznaczna rola opolskiej mniejszości niemieckiej w całej tej sprawie powinna stać się natomiast obiektem zainteresowania organów państwa polskiego jako godząca w jego żywotne interesy historyczne i polityczne.

Równocześnie poddajemy pod rozważenie pomysł przejęcia Muzeum Czynu Powstańczego pod opiekę Sejmiku Samorządowego Śląskiego w Katowicach jako organu zapewniającego właściwą opiekę placówce symbolizującej wysiłek narodu polskiego na Śląsku w przyłączeniu tej ziemi do Macierzy na początku XX w. Dla nas „potomków” powstańców śląskich ze Śląska Cieszyńskiego (a było ich немало), nie jest obojętne czyje racje historyczne i kulturowe mają być promowane w Lesnicy.

Pracownicy Muzeum Okręgowego  
w Bielsku-Białej

Z okazji małego jubileuszu „Śląska”, związanego z wydaniem 50. Numeru, otrzymaliśmy wiele gratulacji i dowodów pamięci, zarówno od wybitnych osobistości świata polityki i kultury oraz naszych przyjaciół i wielu środowisk w całym kraju.

Wszystkim, którzy byli z nami myślą i sercem w tym dniu, składamy wyrazy głębokiej wdzięczności.

Zespół redakcji „Śląska”

*z listów do redakcji*

### Sprostowanie

W numerze „Śląska” nr 11 z 1999 r. jako ilustrację do tekstu Seweryna A. Wisłockiego o Ludwiku Holeszu wykorzystane zostały zdjęcia prac malarza, których autorem był Zbigniew Golaś. Niestety, autor publikacji nie podał wczesniej nazwiska autora tychże zdjęć ani że pochodzą one ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Zabru.

Za niedopatrzzenie przepraszamy Autora zdjęć, jak i właściciela zbiorów prac Ludwika Holesza.

Wyrażamy nadzieję, że pan Zbigniew Golaś pozostanie nadal Czytelnikiem naszego pisma.

Redakcja



## Nim stanie pomnik

W tym roku WPKiW został już pozostawiony sobie, zaś brak dotacji miał wymusić na warunkach faktów dokonanych współfinansowanie tego kosztownego niewątpliwie obiektu przez samorządy lokalne, choć środki na jego utrzymanie, zgodnie z przepisami, nadal zapewnia budżet. Na tych samych warunkach otrzymują je stołeczne Łazienki, czego nikt oczywiście nie kwestionuje chociażby ze względu na ich miejsce w historii i polskiej kulturze. Czy jednak inne względy, w tym przypadku społeczne, wynikające z usytuowania parku w centrum GOP-u, na obszarach największej degradacji ekologicznej, nie zasługują na odpowiednią uwagę i zrozumienie. A jest to bez wątpienia także obiekt unikalny — najatrakcyjniejszy jakim dysponuje przemysłowy Śląsk, parki zaliczane do największych i najwspanialszych nie tylko w Europie.

Realne zagrożenie braku dotacji a w konsekwencji katastrofalnych następstw tego faktu doprowadziło do tego, że zdesperowany dyrektor Paweł Szafraniec, zanim podał się do dymisji ujawnił istniejący stan i postępujący regres „dumy i chluby Śląska”. Szczególnie jednak groźba likwidacji ZOO wywołała wielkie wrażenie. Zwierzęta (a jest ich tu ponad 2800) karmione muszą być i doglądane co dnia — tych wydatków nie można z braku środków zawiesić! A inne płatności, w tym za prąd?... Park tej skali to nie tylko obszary zielone, ale skomplikowany organizm wymagający stałej pieczy. Gdyby z powodu zaległości płatniczych doszło do wyłączenia prądu, to po zatrzymaniu pomp setki tysięcy ton ścieków wystąpiłoby na

powierzchnię powodując nieodwracalne straty. To, iż park z każdym rokiem podupada, tajemnicą nie jest. Jeszcze w roku 1980 WPKiW zatrudniał ponad 1000 pracowników — dziś niewiele więcej niż połowę, taka zaś drastyczna redukcja musiała spowodować nieuniknione a coraz bardziej widoczne następstwa. Nie ma co nawet wypominać w jakiej sytuacji znajduje się legendarny „stutysięcznik”, którego remont trwa już 7 rok (dwukrotnie dłużej niż budowa).

W rozgorączkowanej dyskusji o temacie sytuacji i problemów związanych z utrzymaniem parku pojawiły się nawet komentarze polityczne dyżurnych obsesjonistów uznających ów wielki kompleks rekreacyjny za spadek epoki z okresu propagandowej gigantomanii. Ponoć władza panująca nie licząc się z kosztami park ten zbudowała a potem hojnie łożyła na jego utrzymanie. Ten absurdalny osąd jest o tyle prawdziwy, że pół wieku temu podjęto istotne budowę tego gigantycznego obiektu wytyczonego na powierzchni 600 hektarów pomiędzy Chorzowem, Katowicami i Siemianowicami. Obszar ten (nie licząc okoloności drzewami rozlewiska zwanego podniośle „Doliną szwajcarską” -rejon stacji wodnej), pełen wysypisk śmieci, dołów, pogórnich zapadlisk i rozlewisk, biologicznie zdewastowany i zdegradowany, miał jednak wielki, niewątpliwie walor: rzeźbę terenu... z dominującym nad całością rozległym wzgórzem, gdzie stało potem Planetarium. Można było więc zaprojektować park z uwzględnieniem wielorakich funkcji, od partii leśnych, gęsto zadrzewionych, po obszary służące aktywnej rekreacji z udziałem masowej publiczności.

Ten największy i najwspanialszy polski park, który rozdził się i rozrastał w imponującym tempie, stan syczącej światłości osiągnął na przełomie lat 60. i 70., za czasów rządów wojewody Jerzego Ziętka, którego imię dziś nosi. To właśnie Wielki Jorg był kreatorem imponującego przedsięwzięcia od fascynującej, wizjonerskiej idei „Zielonych płuc Śląska”. Niewiarygodne, lecz ten gigantyczny kompleks rekreacyjny rozrastał się i został uformowany pod czujnym, gospodarskim okiem 1 człowieka, który zresztą nigdy nie uważał, iż taka budowa, dla której głównym tworzywem jest materia przyrody, może zostać kiedykolwiek ukończona. To organizm żywy, który wymaga stałego modelowania oraz doposażania w nowe urządzenia, by oferta odpowiadała oczekiwaniom i możliwościom.

Jedno wszakże wymaga sprostowania: nie jest prawdą, iż WPKiW powstał wyłącznie z woli władzy i środków państwa, bo finansowany był jednak głównie z dochodów pozabudżetowych. Co jak co, ale pieniądze Jerzy Ziętek zdobywał i organizować potrafił (ile wniosła tu chociażby jakże wówczas popularna „Karolinka”). Udało się także, co by o tym po latach nie sądzić, pozyskać dla idei „Zielonych płuc Śląska” masowe poparcie społeczeństwa, o czym się już nie pamięta. I ja także miałem w tym swój skromny udział, gdy jako absolwent rybnickiego Technikum Budowy Maszyn Górniczych znalazłem się z nakazem pracy w Katowicach (Fabryka

„Moj” przy ulicy Tokarskiej w Załężu). Kilkakrotnie uczestniczyłem wówczas obojętnie w akcji sadzenia drzewek — a jest to akurat zajęcie, które lubiłem i lubię. Budowa tego wielkiego kompleksu fascynowała od początku. Pamiętam codzienny widok z okna biura konstrukcyjnego na wznoszącą się ponad okoliczną zabudowę kopułę przyszłego Planetarium, która rosła dosłownie w oczach. Z tym parkiem byłem potem zawsze emocjonalnie związany — tamte wielkie, niezapomniane mecze na „Śląskim” i lata niemal codziennych kontaktów gdy mieszkałem na osiedlu Tysiąclecia. Ile przeżyć i wzmuszeń, zachwyty i godzin sam na sam z myślami. A teraz...

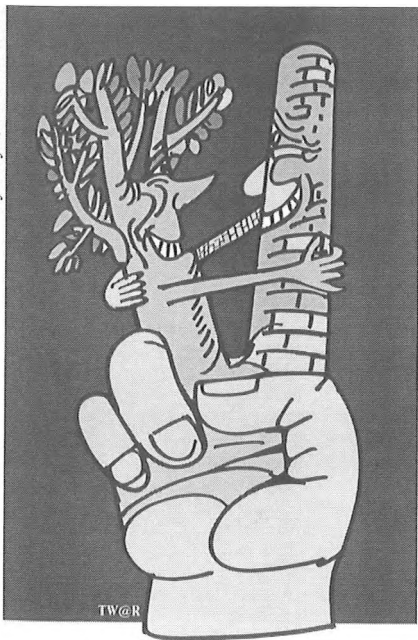
Nic jednak nie mobilizuje i nie integruje bardziej opinii niż stan zagrożenia. Okazało się, że ogłoszony alarm, owo dramatyczne SOS dla parku wywołał szeroki społeczny odzew, z udziałem posłów, władz samorządowych i przedstawicieli wpływowych środowisk. W krótkim czasie uformowało się i skonsolidowało wpływowe lobby. Ocknęła się wreszcie utworzona już 9 lat temu Fundacja dla WPKiW im. Jerzego Ziętka, powołana w celu pozyskiwania środków na rzecz wspierania i dalszej rozbudowy parku. Tego rodzaju pomoc i działania organizacyjne są niezbędne by nie tylko utrzymać stan posiadania, ale stworzyć nowe miejsca atrakcyjne dla publiczności, obiekty i urządzenia, choć nieralne są pomysły zbudowania Śląskiego Disneylandu czy Legolandu.

Od czasu gdy rozstał się z urzędem wojewody Jerzy Ziętek niewiele już wniesiono w rozwój parku, choć zasadniczo zmieniły się warunki i całe otoczenie społeczne w dobie masowej motoryzacji i weekendów, z coraz większym udziałem rodzinnych wypraw do supermarketów. Park jest dziś odwiedzany rzadziej i mniej tłumnie, potrzebne są więc nowe inicjatywy programowe związane z promocją tego potężnego, uniwersalnego kompleksu. Choć nadal najważniejszą jest funkcja „Zielonych płuc Śląska”, które wytwarzają co roku tysiące ton życiodajnego tlenu i filtrują nadal ogromne ilości zanieczyszczeń i pyłów, Już ten zysk społeczny wystarczająco uzasadnia znaczenie tego obiektu, który wymaga szczególnej opieki i ochrony.

Niemal w tym samym czasie gdy ogłoszono dla WPKiW powszechne SOS — z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Katowic, w imieniu którego wypowiedział się publicznie dr Bernard Pietrzok — przedstawiona została idea budowy pomnika Jerzego Ziętka. To kolejne świadectwo jak wielkim autorytetem społecznym cieszy się nasz „chop z krykom”. Niedawno w plebiscycie „Gazety Wyborczej” na najwybitniejszego Ślązaka i Zagłębiaka XX wieku zajął 2 miejsce, za Wojciechem Korfantym z liczbą 25.714 głosów. Teraz już nawet najbardziej zaciekli lustratorzy zamilknąć muszą, bo nikt nie może podważyć społecznego autorytetu jaki zdobył i zachował Jerzy Ziętek swoją wytrwałą pracą na rzecz Śląska i jego mieszkańców.

Jeśli pomnik ten zostanie wzniesiony zbiorowym, społecznym trudem, winien stać się właśnie tam — przy centralnym wejściu do Parku jego imienia. By każdy mógł się pokłonić temu, który zastał Śląsk czarny — a pozostawił zielony!

TADEUSZ KIJONKA



■ **ODNALEZIONY** w kościele pw. św. Stanisława w Bielsku-Białej, średniowieczny witraż ma — według konserwatorów — ok. 500 lat! Znalezione na skalę krajową, unikatowe. Do tej pory odkryto tylko jeden witraż tego typu, w Olskuszu.

■ **DZIAŁACZE** koszykówki z Bytomią i Sosnowca zastanawiają się nad połączeniem obu zespołów. Byłaby to pierwsza w historii fuzja klubów ze Śląska i Zagłębia, widomy znak europeizacji. „Bo to jak ogień z wodą!” — powiedzieliby bardzo starzy kibice.

■ **NAJWIĘKSZY** na Śląsku dzwon — trzy i półtonowy „Milenium” zawisł 1 grudnia na dzwonnicy archikatedry pw. Chrystusa Króla w Katowicach.

■ **WŁAMANIE** u nas, w domu. Do redakcji „Śląska” włamali się złodzieje i skradli telefaks, maszynę do pisania, moderm, trochę drobiazgów i... dwie butelki szampana, nieubezpieczone, niestety. Policja nie ujęła włamywaczy.

■ **MODELKĄ** Roku 1999 została 17-letnia bielszczanka Sylwia Dyjas z Beskidzkiej Akademii Piękności.

■ **BUDŻET** Śląskiej Kasy Chorych w 2000 roku wyniesie niecałe 3 miliardy zł. To kilkadziesiąt milionów mniej niż w 1999 roku. Największe zmiany w budżecie: więcej na stomatologów, mniej na leczenie w szpitalach.

■ **PONAD** 100 tys. świec wigilijnych przygotowała archidiecezja katowicka. Pieniądze z ich sprzedaży zostaną przeznaczane na Wigilijne Dzieło Pomocy Dzieciom. Akcja odbywa się już po raz piąty.

■ **STOWARZYSZENIE** Absolwentów Gimnazjum, Liceum, Niższego Seminarium Duchownego im. św. Jacka powstało w Katowicach. „Jackovianum” — to gmach dzisiejszego Wyższego Seminarium Duchownego — powstało w 1935 r. Obecnie byli uczniowie „skrzykują się”.

■ **BISKUP** Gerard Bernacki poświęcił 3 bm. w Łaziskach Dolnych nowy cmentarz. Dotychczas zmarłych z tej miejscowości grzebano w Mikołowie.

■ **ABSOLWENTKA** Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śl. Magdalena Piekorz znowu sięgnęła po laury: za swój najnowszy film „Przybysze” otrzymała Grand Prix na I Festiwalu Filmów Krótkich „Euroshorts '99”.

■ **BEZ** dawnej pompy, ale bardziej rodzinnie i kameralnie przebiegały uroczystości tegorocznej Barbórki. Ogólnopolskim akcentem święta górników była tradycyjna już radiowa msza święta transmitowana na całą Polskę, którą odprawił w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Katowicach-Brynowie metropolita górnośląski abp Damian Zimoń, apelując w homilii o wytrwałność w reformowaniu państwa.

■ **PREMIER** Jerzy Buzek, z żoną Ludgardą, odwiedził górniczą rodzinę Nawrotków w Rudzie Śląskiej-Halembie.

■ **BURMISTRZ** chińskiego miasta Shanyang, p. Mu Sui-Xin był gościem władz samorządowych Katowic. Natomiast w Rybniku przebywał z wizytą partnerską burmistrz Dorsten (Nadrenia Północna-Westfalia) p. Lambert Lütkenhorst.

■ **PREZYDENT** RP wręczył 7 bm. nominacje profesorskie pracownikom nauki. Wśród nich tytuły profesorskie otrzymali m.in.: dr hab. Andrzej Gwóźdź i Krystyna Kleszcz z Uniwersytetu Śl. w Katowicach, Lech Cierpka ze Śląskiej Akademii Medycznej i Krzysztof Andrzej War-

# ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń  
z miesiąca poprzedzającego  
zamknięcie numeru

muznika z Instytutu Inżynierii Chemicznej PAN w Gliwicach.

■ **ZMARE** długoletni dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Śląskiego i badacz dziejów prasy śląskiej profesor Jerzy Ratajewski.

■ **DEKRET** o podniesieniu do godności bazylii mniejszej dotychczasowej katedry pw. Wniebowzięcia NMP w Sosnowcu, podpisano w Watykanie. To wielkie wyróżnienie dla młodej diecezji (ustanowiona 25 marca 1992 r.).

■ **ZBIÓRKA** pieniężna na rzecz Kościoła na Syberii, głównie na dokończenie budowy katedry w Irkucku, podobnie jak w całej Polsce, przeprowadzona została 12 bm. w śląskiej archidiecezji.

■ **PONAD** stu młodych ludzi z Zespołu Szkół Technicznych w Mikołowie oddało bezpłatnie krew podczas II akcji honorowego krwiodawstwa.

■ **ŚLYNNE** niegdyś Szybowcowe Zakłady Doświadczalne w Bielsku-Białej od wiosny ubr. będące w stanie upadłości, nadal nie mają właściciela. Dla potencjalnych nabywców kwoty 1 4 a później 11 milionów zł okazały się za wysokie. Tak to ginie jeszcze jedna legenda polskiego szybownictwa, chlubiąca się kiedyś takimi konstrukcjami, jak „Jaskółka”, „Mucha”, „Bocian” i wieloma innymi.

■ **ODSKODOWANIA** w wysokości 326 milionów zł żąda w imieniu spadkobierców dominikanin o. Joachim Badeni, potomek żywieckich Habsburgów, za przejęcie i sprzedaż słynnych browarów.

■ **POD** koniec roku 2000 województwo śląskie ma otrzymać 30 milionów euro z funduszy Unii Europejskiej.

■ **KRZYSZTOF** Gardaś, niepełnosprawny alpinista z Żywca, zdobył najwyższy szczyt Afryki — 5895 metrów wysokości liczący wierzchołek Kibo w masywie Kilimandżaro, wchodząc nań o kulach.

■ **PIERWSZY** przeszczep szpiku kostnego od polskiego dawcy niespokrewnionego przeprowadzono 14 bm. w Klinice Hematologii i Transplantacji Szpiku Śl. AM w Katowicach kierowanej przez prof. Jerzego Hołowieckiego.

■ **ZAKOŃCZYŁ** się remont Sali Peterswaldzkiej na zamku w Toszku. Przywrócona do niedzysiejszej świetności będzie służyła imprezom reprezentacyjnym oraz ślubom i balom.

■ **UNIA** Europejska zamierza wyłożyć 3,5 miliona euro na rekultywację i zagospodarowanie kopalnianej haldy w Łaziskach Górnych.

■ **METROPOLITA** górnośląski abp Damian Zimoń uczestniczył 14 bm. w adwentowym spotkaniu z nauczycielami katowickich szkół podstawowych, średnich i gimnazjów.

■ **KANDYDATURĘ** 40-letniego Marka Potopowicza, absolwenta katowickiej AWF, zatwierdzono na stanowisko dyrektora Stadionu Śląskiego.

■ **OKOŁO** 140 milionów zł stracił budżet państwa w wyniku nadużyć i przestępstw finansowych w województwie śląskim, co równa się ponadmiesięcznym wydatkom województwa —

powiedział wojewoda Marek Kempski, podsumowując pierwsze efekty swej antykorupcyjnej akcji.

■ **JEDEN** z najwybitniejszych biegaczy narciarskich w historii, działacz Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego Władimir Smirnow odwiedził młodzież Szkoły Podstawowej nr 15 w Rudzie Śl. Tu bowiem mieszkają jego teściowie, którzy dzięki polskiem korzeniom mogli wyjechać do Kazachstanu.

■ **MILIARD** dolarów trzeba zainwestować w Hutę Katowice, aby była konkurencyjna; połowę w budowę linii produkującej blachy, a połowę na unowocześnienie linii produkującej wyroby długie (szyny, pręty).

■ **JEDYNE** w regionie zajęcia public relations z młodzieżą licealną, dotyczącą savoir-vivre'u odbywają się w częstochowskiej Państwowej Ogólnokształcącej Szkole Szuk Pięknych.

■ **PIECYKI** elektryczne, środki czystości, słodycze, bućki dla dzieci i wiele innych darów wyjechało z Bielska do Mściławia na Białorusi. Dzięki nim może Boże Narodzenie było tam trochę radośniejsze.

■ **PO** mszy w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego jej uczestnicy udali się pod pomnik poległych tu 18 lat temu górników, by złożyć kwiaty. Uroczystość (16 bm.) „tradycyjnie” już zakłócili członkowie „Sierpnia '80”.

■ **NADWIŚLAŃSKA** Spółka Węglowa zamierza sprzedać piękny, historyczny pałac myśliwski w Promnicach, by spłacić chociaż część zaległego długu wobec ZUS-u. Trwa wyliczenia — kształtuje się w granicach kilkunastu milionów zł.

■ **NAJSŁAWNIEJSZY** piłkarz chorowskiego Ruchu Gerard Cieślak uhonorowany został przez prezydenta RP Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

■ **ODNOWIONE** i zrekonstruowane apartamenty cesarskie w pszczyńskim zamku oddano 18 bm. zwiedzającym. Mieszkał w nich cesarz Wilhelm II. Jest co oglądać!

■ **TRADYCYJNE** spotkanie opłatkowe pracowników naukowych śląskich uczelni z metropolitą katowickim abp. Damianem Zimoniem odbyło się tuż przed świętami w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym.

■ **DO** Księgi Zasłużonych dla Bielska wpisani zostali znani niegdyś sportowcy: gimnastyczka Natalia Kot-Wala i pięściarz Zbigniew Pietrzykowski i Marian Kasprzyk.

■ **RADA** Ministrów przyjęła korektę do rządowego programu restrukturyzacji górnictwa. Przewiduje się, że w 2002 r. w kopalniach będzie pracowało 128 tys. osób (obecnie 180 tys.). Wydobycie węgla nie przekroczy 100 mln ton (w tym roku wyniesie 113 mln ton). Pensje zarządów spółek węglowych szczególnie uzależniono od tego, czy i w jakiej wysokości kopalnie będą płacić składki ZUS.

■ **PIERWSZY** dzień świąt Bożego Narodzenia. Z pierwszej prokatedry katowickiej, kościoła pw. św. św. Piotra i Pawła, wyruszyła przed południem procesja do archikatedry pw. Chrystusa Króla. W samo południe odezwał się dzwon Jubileuszowy Milenium, wkrótce dołączyły do niego pozostałe. W otwartych drzwiach archikatedry metropolita górnośląski abp. Damian Zimoń ogłosił rozpoczęcie Wielkiego Jubileuszu wejścia w trzecie tysiąclecie. Podobne uroczystości odbyły się w katedrach w Gliwicach i w Sosnowcu.

■ **OSIEMNAŚCIE** nowoczesnych aparatów do dializy otrzymał tuż przed końcem roku Szpital Wojewódzki (Pod Szyndzielnią) w Bielsku.

■ **EUROREGION** Śląsk Cieszyński otrzymał z Unii Europejskiej ponad 200 tys. zł bezwrotnej dotacji.

■ **OSTATNIE** godziny starego 1999 roku. Gorączka przedsylwestrowa i przed... pluskwą mileniową. Niemal w każdym mieście śląskim, na rynkach wzgl. dużych placach odbyło się powitanie Nowego Roku pod gołym niebem. Na szczęście pogoda sprzyjała; lekki mróz, bezwietrznie. W wielu świątyniach o północy odbyły się okolicznościowe jubileuszowe nabożeństwa. Wszyscy wszystkim życzą Do Siego Roku. Do życzeń przylączyła się

KRONIKARZ

prof. drowi hab.  
**MARKOWI  
PIECHOCIE**  
wyrazy serdecznego  
współczucia z powodu śmierci

**OJCA**

składają:  
Zarząd Górnośląskiego  
Towarzystwa Literackiego  
i przyjaciele z miesięcznika  
„ŚLĄSK”





Andrzej Urbanowicz, z cyklu „Homage to John Willie” - technika mieszana, 37 x 23, 1989.



Senator Kazimierz Kutz podchwycił jubileuszowy ton.

## Po raz pierwszy w historii pisma przyznaliśmy tytuły Przyjaciel „Śląska”

# Między „1” a „50”

Kiedy 7 września 1995 roku zasiedliśmy po raz pierwszy przy redakcyjnym stole nikomu chyba nie przyszło do głowy, że przetrwamy przez tyle lat. Nie tylko jako pismo, ale i jako redakcja w niezmiennym składzie: Tadeusz Kijonka jako redaktor naczelny i człowiek od zjednywania przyjaciół dla pisma, Feliks Netz, Krzysztof Karwat, Marian Kisiel, Jan F. Lewandowski, Wojtek Łuka i moja skromna osoba. Po wielu miesiącach współpracy możemy powiedzieć, że siłą „Śląska” są właśnie ludzie - ci redagujący pismo, ale przede wszystkim współpracujący z nami, którzy jeszcze zanim „Śląsk” powstał, uwierzyli w potrzebę istnienia takiego tytułu na Śląsku. Wielu pozostało z nami po dziś dzień; po drodze „zabrali się” z nami i inni.

Dzisiaj możemy powiedzieć, że na łamach „Śląska” publikują autorzy będący wielkimi autorytetami dla świata polskiej humanistyki rozumianej niezwykle szeroko - poruszający problematykę stricte filologiczną bo literacką i filozoficzną, także z kręgu sztuki widzianej poprzez teatr, film, plastykę, muzykę. Humanistyka „Śląska” to również niezwykle szeroki wachlarz spraw historycznych i społecznych, poruszających przeszłość (nierazko niewygodną), teraźniejszość i przyszłość tego regionu. To stawianie pytań ludziom odpowiadającym za rozwój Śląska, za ludzi tu mieszkających i za los, jaki już w chwili obecnej spotyka to szczególne miejsce na mapie kraju, na mapie Europy.

Od tamtego, pamiętnego dnia pierwszego kolegium redakcyjnego, minęło ponad pięćdziesiąt miesięcy. Nie bardzo oglądamy się za siebie, bo najważniejsze to być, to wydać kolejny numer, zaplanować jeszcze ileś następnych. Kłopoty (jak są one wielkie, wie najlepiej sam Naczelny) zamieniamy na atuty, wierząc, że nie ma tego złego....

### Wśród przyjaciół

Są jednak chwile, kiedy trzeba przystanąć na moment. Staraliśmy się więc podkreślać kolejne rocznice obecności na rynku wydawniczym, poprzez spotkania w przyjaznym nam „Marcholcie”, gdzie spotykaliśmy się z wielką życzliwością nieodżałowanej Ewy Budzińskiej. Tradycją stało się organizowanie przy takich okazjach sesji poświęconych czy to

„Śląskowi”, czy Śląskowi. 50 numer „Śląska” stał się ku temu okazją szczególną. Tym bardziej, że tę sesję mogliśmy zorganizować „u siebie”, w nowych pomieszczeniach przy ulicy Dworcowej 13. Chociaż obawialiśmy się, że trudno będzie pomieścić wszystkich, na których obecności nam zależało, to jednak udało się. Tłok co prawda był wielki, ale wynikał z jakże licznej obecności przyjaciół i ludzi nam życzliwych.

Od jakiegoś już czasu zastanawialiśmy się w redakcyjnym gronie, w jaki sposób wyrazić podziękowanie właśnie tym, na których mogliśmy polegać od pierwszego numeru a nawet zanim jeszcze „Śląsk” pojawił się w witrach kiosków i na księgarskich półkach; nadto chodziło nam także nie tylko o odpowiednią treść, ale i formę, aby przyznawanie tych wyróżnień (nazwanym „tytułami serdecznymi”) stało się dobrą „Śląską” tradycją. W ten właśnie sposób narodził się „Przyjaciel Śląska”. Nie mieliśmy żadnej wątpliwości, że w gronie pierwszych laureatów powinni znaleźć się: pani poseł Barbara Blida, pan Henryk Dziewior - ówczesny prezydent Katowic, pan Piotr Uszok - obecny prezydent Katowic, pan Janusz Frąckowiak - marszałek Sejmiku Sa-

morządowego drugiej kadencji, pani Lucja Ginko - dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego (wtedy Urzędu Wojewódzkiego), abp Damian Zimoń, pan senator Kazimierz Kutz, a także panowie: wiceminister przemysłu Tadeusz Donocik, szef katowickiego radia Leopold Kurek oraz reprezentujący sfery biznesu prezesi i dyrektorzy: Henryk Beberok, Sebastian Czyżonka, Rudolf Maroń, Jerzy Swatoń, Jerzy Śmiałek, Tadeusz Wnuk.

Tytuł otrzymał także wielki poeta, związany z nami od pierwszych dni, Tadeusz Różewicz, który odwiedzi nas przy najbliższej okazji.

Nietrudno domyślić się, że w znacznym stopniu dzięki tym osobom oraz instytucjom, którymi kierują, „Śląsk” przetrwał już pięćdziesiąt miesięcy. Lecz jeszcze zanim ukazał się pierwszy numer otrzymaliśmy od nich, a także wielu innych osób o uznanym autorytecie - społeczny kredyt zaufania, potwierdzający nadzieje, że nasze starania nie pójdą na marne. W sytuacji, kiedy co chwilę słyszało się o zamknięciu w przeszłości niejednego pisma kulturalnego, ukazującego się w regionie śląskim, postawiliśmy przed sobą arcytrudne zadanie. Otwierając numer „Śląska” sygnowany numerem 1/1/1995 czytelnik mógł dowiedzieć się, że pismo powstało dzięki wsparciu udzielonemu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Urząd Wojewódzki i Urząd Miasta Katowice. Pojawiły się pierwsze reklamy naszych pierwszych (jak się później okazało stałych) sponsorów: Centrostalu Górnośląskiego, Węglózbytu i Węglokoksu. Osobne podziękowania pozwoliliśmy sobie złożyć pani poseł Barbarze Blidzie, ówczesnemu wojewodzie Eugeniuszowi Ciszakowi, Januszowi Frąckowiakowi - przewodniczącemu Sejmiku i władzom miasta: Henrykowi Dziewiorowi, Michałowi Sablikowi, Franciszkowi Kotulskiemu. Przy tej okazji wyraziliśmy nadzieję, iż w przyszłości będziemy mogli liczyć na zrozumienie i pomoc. Dziś wiemy, że nie zawiedliśmy się...

Od tamtego czasu grono naszych przyjaciół znacznie powiększyło się, aż trudno wymienić wszystkich. Są widoczni w każdym kolejnym numerze.

W tym miejscu nie możemy nie wspomnieć o przychylniej nam od samego początku katowickiej drukarni Marquard Press S.A. i zaprzyjaźnionym studiu komputerowym „KorGra”. Zdajemy sobie sprawę, jak nieraz jesteśmy trudnym klientem, a wszystko udaje się dzięki ich życzliwości i niezwykłej cierpliwości.

Postanowienia uhonorowania tytułem serdecznym „Przyjaciel Śląska” dotrzyaliśmy. Tę przyjemność zachowaliśmy właśnie na okazję wydania 50. numeru.



Goście stawili się tłumnie.



## Gala i smak pieprzówki

20 grudnia 1999 roku w nowej siedzibie „Śląska“ odbyła się wielka - jak na nasze możliwości - redakcyjna gala. Nasi przyjaciele zostali obdarowani specjalnie przygotowanymi grafikami autorstwa znakomitego artysty, także z nami zaprzyjaźnionego - Tadeusza Siary. Tu - jak twierdził przekornie podczas uroczystości Naczelny - wykazaliśmy wielką nieskromność: oprawioną w ramki grafikę trudno schować do szuflady, będzie musiała zawiśnąć na widoku publicznym. Bo też - naszym zdaniem - przyjaciel „Śląska“ automatycznie, a może przede wszystkim, jest przyjacielem Śląska, co winno być dobitnie, acz poprzez subtelną graficzną formę, wyrażone.

Gala w „Śląsku“ musiała otrzymać odpowiednią oprawę kulinarną: bez śląskiej biesiady ani rusz! Przyznać musimy, że w tym względzie zaufaliśmy wyrafinowanemu gustowi pani Grażynie Dyląg - właścicielce świątecznych katowickich restauracji „Stary Wiedeń“ i „Celt“. W ciągu kilku zaledwie godzin „Sala Portretowa“ Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach (ze słynnym „Parnasem śląskim“ Dudy Gracza w tle) zamieniła się w salę bankietową, po której bezszelbestnie przemycali kelnerzy układający na stołach rozmaite śląskie przysmaki: kaszanki, salcesony, pasztety, kiełbasy, sałatki, a także tradycyjne kołaczki i makowe strucle, zrobione według najlepszych śląskich przepisów. Nie zabrakło też pachnącego smalcu, kiszonych ogórków i wszelakiego pachnącego pieczywa. O to, by wszyscy goście mogli spróbować jak najwięcej serwowanego jadła zadbały - też zaprzyjaźnione - Browary Tyskie. Nie zabrakło oczywiście toastu za pomyslnością: i naszych laureatów, i naszych serdecznych gości, no i jubilatą „Śląska“ z „50“. A toast był niezwykły: szmapan okazał się zbyt banalny, więc spełniony został palącą (iście diabelskim przysmakiem), schłodzoną „pieprzówką“.

W tej iście przedświątecznej atmosferze smakowaniu potraw i rozmowom (nie tylko o „Śląsku“ i Śląsku) nie było końca...Aż błysk zazdrości pojawił się w oczach „portretowych“, duchowych patronów tej sali.

## Jaki „Śląsk“?

Pierwszy numer „Śląska“ ukazał się w 130 rocznicę urodzin „miasta nad Rawą“; 50. - w grudniu 1999 roku, w przeddzień otwarcia Roku Milenijnego, wieńczącego XX wiek. Jak bardzo w tym czasie zmieniło się miasto, cały Śląsk? W pierwszym numerze „Śląska“ przypomnieliśmy fragmenty wielkiego tekstu ks. Emila Szramka o Śląsku, jako problemie socjologicznym. W tymże numerze prof. Marek S. Szczepański pisał o Śląsku, i jego miejscu w „narożniku Europy“, konkludując, że „Śląsk o jakim pisał ksiądz Emil Szramek już nie istnieje.“ Zatem jaki jest dziś ten Śląsk? Odpowiedź na tak postawione pytanie starał się dać w tym samym numerze prof. Jacek Wódz tytułując swój artykuł „Górny Śląsk - czy przyszość bez przyszłości?“. Tuż za nim Krzysztof Karwat pytał: Jak być Polakiem w Niemczech? W listopadowym numerze

(pierwszym) „Śląska“ wszystko pojawiło się po raz pierwszy: artykuły stawiające wstępne diagnozy społecznego rozwoju Śląska, zaważające jego mitologię (felietony Antoniego Halora pod znamienym wspólnym tytułem „Pejzaż mitologiczny“), tropiące śląskie ścieżki i rozdroża (felietony Krzysztofa Karwata), rozliczające się

z ważnymi bieżącymi wydarzeniami („Repliki i komentarze“ Tadeusza Kijonki). W „Książce Śląska“ dywagowaliśmy (Janusz Styczeń i Dariusz Nowacki) nad najnowszą powieścią Feliksa Netza „Urodzony w Święto Zmarłych“ - uznana za najważniejsze wydarzenie literackie mijającego, 1995 roku. Był już wtedy z nami Tadeusz Różewicz, gdy wspominaliśmy wydarzenie uhonorowania go przez Gliwice tytułem Honorowego Obywatela Miasta. Był Kazimierz Kutza z fragmentem prozy „Chłopcy“ (w numerze 50. prof. Jan Miodek omawia pisarstwo Kutza), był prof. Henryk Markiewicz, z którym o rozwoju kultury literackiej w Polsce, literatach i badaniach literackich rozmawiał Marian Kisiel. Nie zabrakło tematów kulturalnych: Magdaleny Dziadek o najmłodszej generacji „śląskiej szkoły kompozytorów“, o wielkim wydarzeniu artystycznym jakim było 50-lecie Opery Śląskiej w Bytomiu, o retrospektywie uznanego w świecie scenografa Andrzeja Kréutz Majewskiego w Centrum Scenografii Polskiej i pierwszym po latach nieobecności koncercie Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia

w Katowicach pod batutą Stanisława Skrowaczewskiego.

## O Śląsku za oceanem

Po pięćdziesięciu numerach na łamach „Śląska“ odnajdujemy te same nazwiska, tych samych autorów i liczne grono młodych reprezentantów śląskiej humanistyki. Wiadac też, jak na



„Tęgo nie da się ukryć w szufladzie“ - mówił przekornie Tadeusz Kijonka, wręczając wyróżnienie pani poseł Barbarze Blidzie.



O czym toczyła się rozmowa Tadeusza Kijonki z prof. Janem Wojtyłą, nie zostało podsłuchane.

przestrzeni tych kilkudziesięciu miesięcy pismo zmieniało się (zwłaszcza graficznie), powiększało objętość (a nam - redakcji - i tak ciągle jest za ciasno), pojawiło się także w wersji elektronicznej na stronach www. Był to jedyny sposób, by zaistnieć nie tylko w regionie i w kraju, lecz

aby o problemach i sukcesach Śląska mówić znacznie szerzej, nawet za oceanem. A udaje nam się to tylko za sprawą ludzi, którzy 20 grudnia minionego roku świętowali razem z nami wydanie 50. numeru „Śląska“ - pisma o Śląsku i ślązakach - tu urodzonych i tych z wyboru, którzy robią wszystko, aby nie żyć na „ziemi zapomnianej przez Pana Boga“.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Zdjęcia: Józef Wróbel



Specjały z jubileuszowego stołu przygotowanego przez panią Grażynę Dyląg.



W dyskusji udział wzięli profesorowie **ANDRZEJ KLASIK, TADEUSZ SŁAWEK, MAREK S. SZCZEPAŃSKI** i **JAN WOJTYŁA**. Redakcję reprezentowali: **TADEUSZ KIJONKA** i **KRZYSZTOF KARWAT**

## CZAS PRZEŁOMÓW

# Co czeka Śląsk?

*20 grudnia ubiegłego roku w nowej siedzibie Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego odbyły się uroczystości związane z wydaniem 50. numeru miesięcznika „Śląsk”. Jednym z ważniej-*

*szych punktów tego kilkugodzinnego spotkania była otwarta dyskusja, z udziałem licznie zgromadzonej publiczności. Niniejszy materiał jest zapisem ciekawszych fragmentów tej rozmowy.*

**TADEUSZ KIJONKA:** — Stojemy w obliczu nowych problemów, których wagę nie zawsze sobie uświadamiamy. W ostatnim czasie na Śląsku największą karierę zrobiły dwa pojęcia: transformacja i restrukturyzacja. Oba odnoszą się do wszystkich dziedzin życia, i to w stopniu najgłębszym. Wynika to z dziedzictwa monokultury gospodarczej regionu, zdominowanego przez przemysł ciężki, energetykę i przede wszystkim górnictwo. Oto jesteśmy świadkami wielkich rozte-

rek i lęku przed totalną zapaścią, także cywilizacyjną. Okazuje się, że przemysł, który decydował o pozycji a nawet swoistej mocarstwowości Śląska, jest przestarzały, wymaga odnowienia bądź gwałtownego ograniczenia jego możliwości produkcyjnych. Za tym idą wątpliwości i niepokoje społeczne. Mijająca dekada to także czas rozwarstwienia materialnego, społecznego, rodzenia się biedy i bezrobocia.

Z restrukturyzacją przemysłu wiąże się upadek mitu wielkoprzemy-

słowej klasy robotniczej. Przez 200 lat, od czasu tworzenia się na tej ziemi przemysłu, robotnicy dochodzili do coraz większego znaczenia, a etos pracy mógł być traktowany jak wzorzec. I to się kończy, czego w tym zakresie nikt nie przewidywał. Pytanie o przyszłość Śląska musi więc być także pytaniem o los tych wielkich środowisk robotniczych, które teraz przeżywają okres zwątpienia. Na to nakładają się rozmaite dewiacje, związane z problemem tożsamości. One pojawiły się



nagle, nabierając gwałtownego przyspieszenia, choć nie potwierdziły się obawy, że na tym tle dojdzie do „balkanizacji Śląska”. To zagrożenie zresztą nie było realne. Grupa, którą określa się pojęciem „niemieccy Ślązacy”, to tylko 2,5 proc. mieszkańców województwa śląskiego. Zdecydowana większość deklaruje polskość.

Myśląc o przyszłości tego regionu nie sposób nie odnieść się do skutków, jakie przyniosła reforma administracyjna kraju. Okazało się, że województwo śląskie często postrzegane jest bez sympatii. Nie powiodła się szlachetna idea scalenia w jeden organizm regionalny niemal całego Górnego Śląska, w jego historycznych granicach.

Musimy pytać także o euro-łęki, ale i euro-szanse. Tych kwestii nie unikniemy, a w niedalekiej przyszłości przekonamy się, która z tych postaw zwycięży. Te decyzje będą miały skutki dalekosiężne, więc już dziś rysują się przed nami dwa różne scenariusze: fatalistyczny i optymistyczny. Ten drugi zakłada wizję „innego Śląska”: silnego nauką, edukacją i kulturą.

Jaki zatem będzie Śląsk? Pytań jest zapewne więcej niż gotowych odpowiedzi. Spróbujmy je przynajmniej postawić.

**TADEUSZ SŁAWEK:** — Nie jestem ekspertem do „spraw śląskich”, choć przydomek „Śląski”, który widnieje w nazwie naszego Uniwersytetu, zobowiązuje i zawsze chcieliśmy, by tak właśnie było, by Uniwersytet był bliski spraw Śląska. Czuję się w dobrym znaczeniu tego słowa sprowokowany przez pana Kijonkę do zabrania głosu polemicznego, choćby tylko w jednym punkcie. Nie sądzę, by upadł „mit klasy robotniczej”. Jest przeciwnie — dopiero teraz mamy do czynienia z prawdziwym dyktatem grupy, którą wylansowano jako „klasę robotniczą”, choć — w moim przekonaniu — klasą robotniczą nie jest. Wcześniej klasa robotnicza była traktowana jako fasada ustrojowa, zaś w rzeczywistości nikt się z nią nie liczył, czemu dano tragiczny wyraz 20 lat temu, w kopalni „Wujek”. A dzisiaj? Dzisiaj wystarczy, że kilkudziesięciu dżentelmenów pojedzie do Warszawy i przykuje się do dowolnego ministerstwa, a wszystko osiągnie. O paradoksie,

jestemy świadkami narodzin „mitu klasy robotniczej”. To jest rodzaj „golema”, nad którym tracimy kontrolę.

Tak, zgadzam się: restrukturyzacja obejmuje nie tylko przemysł węglowy, ale także wiele innych dziedzin życia. Niemniej, jeśli pada to magiczne słowo, to i tak wszyscy myślą i mówią tylko o kopalniach. To kolejny przykład dyktatu, który bezpośrednio dotyczy Śląska. Media mówią tylko o węglu, niekiedy jeszcze o hutach. Dochodzi więc do zakłócenia komunikacji społecznej. I to jest dyktat kolejny.

Województwo śląskie nie jest traktowane z życzliwością — powiedział Tadeusz Kijonka. Święte słowa. Dlaczego? Bo ulegamy owym dyktatom i jeśli nie kocha nas Opolszczyzna czy Bielsko, to nie szukamy odpowiedzi wyłącznie w historii. Historię trzeba szanować, ale odnoszę wrażenie, że w debatach regionalnych historia jest listkiem figowym, usprawiedliwiającym brak aktywności i konkretnych działań. Ważniejsze jest takie oto pytanie: co zrobiliśmy tutaj, na Śląsku, by inni traktowali nas z większą życzliwością? Nic. Wolimy poddawać się dyktatowi owej tzw. „klasy robotniczej” w dzisiejszym jej wydaniu, choć używam tego pojęcia niechętnie i z zastrzeżeniami, bo nie opisuje ono istoty zjawiska.

W moim przekonaniu, Śląsk nadal nie ma programu dla samego siebie i przez siebie wypracowanego. Spoglądamy czasem w stronę Warszawy, licząc, że za nas coś zrobi i „groszem sypnie”. Tymczasem nie wypracowaliśmy nawet własnego systemu stypendialnego dla uczącej się młodzieży. Wielkoprzemysłowe lobby skutecznie wszystko paraliżuje przy pomocy retoryki „skoku na górniczą kasę”. To jest wielki dramat Śląska. Zamiast być iskrą nadziei na nową, lepszą przyszłość, w „restrukturyzacji” dźwięczą tony apokaliptyczne. Nie wiem, jak go przezwyciężyć.

**MAREK S. SZCZEPAŃSKI:** — W moim przekonaniu, nie można mówić tylko o „dyktacie klasy robotniczej”. Jest bowiem na śląskiej scenie społecznej trzech wielkich aktorów, nie zainteresowanych zmianami i restrukturyzacją. Poza grupą najgorzej wykwalifikowanych robotników tudzież tych z naj-

dłuższym stażem pracy w firmach państwowych, trzeba mówić o sporej grupie syndykalistów, którzy po 2-3 kadencjach nie są w stanie wyobrazić siebie samych poza strukturami związków zawodowych. Nie wolno też pominąć silnej grupy, czerpiącej rodzaj renty z tego, że górnictwo wygląda tak, a nie inaczej. Renty ekonomicznej i prestiżowej. Oto bowiem, mimo enuncjacji prasowych, nic się nie dzieje, nawet jeśli ujawnia się, że prezes Katowickiego Holdingu Węglowego, znajdującego się przecież w fatalnej kondycji finansowej, zarabia miesięcznie 34 100 złotych. Byłbym zdumiony, gdyby pan prezes był zainteresowany zmianą status quo.

Pan rektor Sławek wspominał o złych „notowaniach” województwa śląskiego poza jego obecnymi granicami. Mogę to potwierdzić. Byłem konsultantem Ośrodka Badań Opinii Publicznej i stąd wiem, że spada poparcie dla śląskiego górnictwa. Okazuje się, że społeczeństwo polskie oczekuje oznak powściągliwości i rezygnacji z wysokich roszczeń finansowych. Podobny proces obserwowaliśmy w Wielkiej Brytanii w latach, gdy Margaret Thatcher prowadziła „wojnę” ze związkami zawodowymi. Kiedy rewindykacje angielskich górników osiągnęły punkt krytyczny, wsparcie społeczne zaczęło gwałtownie maleć, zaś bez niego — reformy nie mogą być udane. To grozi także Śląskowi.

Chciałbym omówić pięć czynników, w moim mniemaniu, najistotniejszych dla przyszłości Śląska. Po pierwsze — musimy dążyć do integracji i reintegracji województwa śląskiego w nowych granicach. Uważam, że źle się stało, że województwo ma taki, a nie inny kształt i rozmiary. Przegraliśmy szansę na odtworzenie Górnego Śląska w jego historycznych ramach. Ale mleko się już rozlało, musimy więc zastanowić się nad tym, jak stworzyć klimat solidności i solidarności. Jeśli się nie uda, będzie to miało wpływ także na rozwój gospodarczy regionu. Musimy więc uwzględnić różnorodność i wielobarwność dzisiejszego województwa śląskiego.

Po drugie — musimy wzmocnić kapitał edukacyjny. To trzeba jasno i głośno powiedzieć: mamy społeczeństwo źle wykształcone. W woje-

wództwie śląskim na 100 osób 65 ma wykształcenie zasadnicze zawodowe, podstawowe lub — i tych ludzi wcale nie jest mało — niepełne podstawowe. 8 na 100 — ma wykształcenie uniwersyteckie (lub ekwiwalentne), 2 na 100 — wyższe zawodowe. 25 na 100 ma wykształcenie średnie. Inne wskaźniki opisujące poziom wykształcenia mieszkańców województwa katowickiego — niestety — też są niekorzystne i gorsze od większości pozostałych regionów Polski. W tej sytuacji nie dziwi, że także ten region zagrożony jest tzw. funkcjonalnym analfabetyzmem, objawiającym się tym, że wielu mieszkańców województwa śląskiego nie potrafi „odszyfrować” prostych komunikatów i tekstów ani dokonywać prostych obliczeń matematycznych. Optymizmem napawają tylko te wyniki badań socjologicznych, które wykazują, że rodzice coraz częściej myślą o wykształceniu swoich dzieci i marzą o tym, by studiowały.

Po trzecie — dokonuje się proces marginalizacji dużych grup społecznych. Pan Kijonka już o tym wspominał. Warto dodać, że marginalizacja ta ma wymiar ekonomiczny i prestiżowy. 200 tysięcy mieszkańców województwa śląskiego żyje „pod kreską”, co oznacza, że ich byt biologiczny nie byłby możliwy bez pomocy różnych instytucji państwowych (także prywatnych czy kościelnych). Mowa więc o jednym dużym mieście, które samodzielnie żyć nie potrafi. Statystycznie rzecz biorąc, ludzi żyjących w skrajnym ubóstwie mamy mniej niż gdzie indziej, co wynika z faktu, że na Śląsku są najwyższe pensje (2 miejsce po województwie mazowieckim) i najwyższe renty i emerytury. W związku z tym na Śląsku — statystycznie rzecz ujmując — najmniej osób korzysta z pomocy społecznej. A jednak do tych 200 tysięcy należałoby dodać kolejnych 500 tysięcy, które żyją w tzw. relatywnym ubóstwie, a na poziomie minimum socjalnego — 1 milion. Taki jest wizerunek ciągle jeszcze bogatego województwa śląskiego. Nie ma wątpliwości, że rozpoczął się proces powstawania „podklasy społecznej”, ludzi, którzy już w drugim pokoleniu uczą się żyć z pomocy spo-

łecznej. Socjologowie nazywają to zjawisko „syndromem somalijskim”.

Po czwarte — z górnictwa w ciągu zaledwie dwóch lat odeszło 65 tysięcy osób. Nie znam przypadku, mimo że byłem we wszystkich ważniejszych europejskich zagłębiach górniczych, by w tak krótkim czasie za bramy zakładów pracy, i to jednej branży, „wystawiono” tak potężną armię ludzi. Część z tych ludzi nie zmieści się w gospodarce rynkowej, inni — odprawy „przejedzą”, jeszcze inni — w sposób utracjuszkowski pozbędą się środków do życia.

Po piąte — chodziłoby o zbudowanie nowej strategii wspierania poczucia bezpieczeństwa publicznego. Bardzo ważne, czy ludzie czują się bezpiecznie. Sprawdziłem tzw. syntetyczne wskaźniki przestępczości, liczone na każde 100 tys. mieszkańców. Polska jest, w porównaniu z wieloma innymi krajami europejskimi, wręcz „oazą bezpieczeństwa”. A jednak mimo tego ludzie czują się mniej bezpiecznie niż w krajach unijnej „piętnastki”. Dlaczego? Bo instytucje powołane do wspierania poczucia bezpieczeństwa źle pracują. Źle pracują policja, straż, wszelkie służby mundurowe, sądy i prokuratury, a w każdym razie — takie są społeczne odczucia, i one są niejako ważniejsze od statystyk i wskaźników.

Jest takie powiedzenie: „Bóg pomaga tym, którzy sami pomagają sobie”. Nawiązuję tym samym do tego, co powiedział pan rektor Sławek. Rzeczywiście — jeśli nie wykonamy roboty, którą wykonać trzeba, to nikt nam nie pomoże. Ani Warszawa, ani Bruksela. Zwłaszcza ta ostatnia nie jest stowarzyszeniem św. Franciszka, które o niczym innym nie marzy, jak tylko o niesieniu pomocy dla 5 milionów mieszkańców województwa śląskiego.

**TADEUSZ SŁAWEK:** — Pan profesor Szczepański wspominał, że zauważył spadek zainteresowania sprawami górnictwa. Dlaczego? Bo daliśmy sobie narzucić „gębę”, że Śląsk to tylko węgiel. Kiedy zaś

mówi się o tym, by restrukturyzacja tego regionu objęła także edukację?

**JAN WOJTYŁA:** — Ta dyskusja trafnie określiła zagrożenia, jakie stanęły przed Śląskiem. Pytanie, czy potrafimy wyciągnąć wnioski. Mówmy zatem raczej o szansach i wyzwaniach. Paradoks naszej sytuacji polega na tym, że zmiany ustrojowe są dziełem ludzi, którzy kiedyś ryzykowali zdrowiem, karierą a nawet życiem, a dziś płacą słoną cenę za przemiany. Ci zaś, którzy stanowili fundament „szczęśliwie minionego okresu”, skutecznie ulokowali się w strukturach gospodarki wolnorynkowej i dzisiaj są zwolennikami przyspieszania reform, także tych liberalnych. Czy nie można było przewidzieć takiego rozwoju sytuacji? Sądzę, że można było.

Górnictwo to obszar nabytych praw i przywilejów, wynikających choćby tylko z korzystnych układów zbiorowych, które teraz tak trudno zmienić. Brakuje na Śląsku społecznego przymierza, zwróconego w przyszłość. Oglądałem niedawno w telewizji debatę wokół kopalni „Siersza”. Z tej debaty wynikało, że górnictwo jest tylko rozszczeniowe, więc nie warto w nie inwestować. Tak właśnie buduje się fatalny obraz Śląska. Kiedy spotykam się z rektorami innych uczelni w Polsce i mówię o zapaści edukacji, to nie znajduję zrozumienia, bo pokutuje przekonanie, że Śląsk i tak już otrzymuje wielkie pieniądze. Myślę, że trzeba walczyć z takimi stereotypami.

Powiedziane tu zostało, że edukacja to klucz do postępu. Młodzi ludzie rzeczywiście są nadzieją dla tego regionu. Oni inaczej myślą, są otwarci i jeśli tylko daje im się szanse, chętnie z nich korzystają. To jest najlepszy rodzaj inwestycji. Ważne jednak, by edukacja prowadzona była na odpowiednim poziomie. Uczelnie powinny otwierać się na nowe specjalności, tymczasem ciągle najlepiej funkcjonują te kierunki i uczelnie, które „produkują” absolwentów, mających później problemy ze znalezieniem się na rynku pracy.

Jestem pod wrażeniem światowego kongresu, poświęconego prawu pracy i prawu socjalnemu, który odbył się w Warszawie. Zwrócono tam uwagę, że dzisiaj problemem jest nie tylko kwestia uzyskiwania kwa-

Co czeka Śląsk?



lifikacji, ale także umiejętności ich zmieniania. Stąd potrzeba kształcenia także ludzi już pracujących, bo rynek stawia coraz większe wymagania.

Warto zapytać, czy dzisiejszy Śląsk jest przygotowany do tego, by włączyć się do Unii Europejskiej? Nie jestem pesymistą, ale w perspektywie minionych 10 lat wolno mówić o falstarcie. Niemniej nabraliśmy nowych doświadczeń i już dziś wiemy, że trzeba kształtować postawy otwarte i tworzyć warunki do tego, by ludzie mogli swobodnie poruszać się po rynku pracy. Balkanizacja zaś nam nie grozi. Musimy tylko zadbać o to, abyśmy korzystali ze standardów socjalnych, które już dzisiaj obowiązują w Unii. Czy polskie podmioty gospodarcze będą w stanie je zapewnić? Dojdzie do zderzenia tych dwóch rzeczywistości, naszej i zachodniej, więc trzeba się do tego przygotować. Nadzieją — powtórzę — są ludzie młodzi, którzy muszą mieć dostęp do zagranicznych uczelni, a w konsekwencji do tamtego rynku pracy. To oni staną się naszymi „ambasadorami”.

Pojawiła się w tej dyskusji wątpliwość, dotycząca roli związków zawodowych i ich kontaktów z pracodawcami. Na Śląsku zawsze był to problem. Sam jestem wielkim zwolennikiem prowadzenia dialogu społecznego z tym wszak zastrzeżeniem, że każdy zakład pracy, każde przedsiębiorstwo, to jest „wóz”, na którym „jadą” i pracodawcy, i pracownicy. Ewentualna kolizja dotyczy wszystkich. Tej świadomości dzisiaj nie ma. Ciągłe brakuje kodeksu, który regulowałby stosunki między związkami pracodawców i pracobiorców. Projekt był, ale przyklepiono mu etykietę „anty-związkowego”, więc nie mógł się przebić. Bo też nie ma „równowagi broni” — z jednej strony są strajki, ale nie jest wprowadzany lokaut. Trzeba więc tak rozbudowywać infrastrukturę prawną, by łagodziła napięcia społeczne i likwidowała na przykład nielegalne strajki.

Na Śląsku, bardziej niż gdzie indziej, zakorzeniło się przekonanie, że adresatem wszystkich roszczeń społecznych powinno być państwo. Stąd łatwiej przykuć się łańcuchami do budynku rządowego niż uwierzyć, że problemy powinny być roz-

wiązywane „na miejscu”. Ale tej świadomości też brakuje.

**ANDRZEJ KLASIK**: — Mówimy: Śląsk, a nie zawsze myślimy o tym samym obszarze, stąd taką uwagę przywiązujemy do problemów górnictwa. Województwo śląskie zaś w dzisiejszym kształcie nie stanowi już monostruktury przemysłowej i jest bardzo zróżnicowane gospodarczo. Gdy myślimy o Opolszczyźnie, to powinniśmy zrezygnować z prób jej inkorporacji, bo to pułapka. Mamy tylko wyciągać do niej rękę, współpracować. Zmieńmy zatem także język i pojęcia, jakimi się w takich dyskusjach posługujemy.

To nie jest tak, że poszczególne województwa nie wypracowują własnych strategii rozwoju, bo to robią. Wszędzie działa PHARE 2000. Są fundusze przedakcesyjne. Mechanizmy zatem zostały już uruchomione, a Polska wygenerowała na programy rozwojowe własne pieniądze publiczne, które i tak stanowią tylko 1/4 tego, co zostanie wydane. Nie formułujemy zatem poglądów katastroficznych i krańcowych.

O przyszłości Śląska zadecyduje układ metropolitalny aglomeracji, zawierający miasta liczące powyżej 200 tysięcy mieszkańców. Duże znaczenie będzie też miał rozwój ośrodków aglomeracji górnośląskiej jak Częstochowa, Bielsko-Biała i Rybnik. Z drugiej strony — musimy pamiętać, że nowe województwo śląskie zaludnia znacznie więcej niż w dawnym województwie katowickim odsetek ludności zajmującej się rolnictwem. Do tego dołączmy Śląsk Cieszyński i Żywiec-czynę, które ze swoimi potencjałami turystycznymi przeobraziły ogólny wizerunek regionu.

Od kilku miesięcy jestem głównym konsultantem strategii rozwoju województwa śląskiego. Trwają prace nad strategią rozwoju województwa. To nie są prace kameralne i dobrze wiedzą o tym także niektórzy uczestnicy tej dyskusji. Podkreślam ten fakt, bo rzeczywiście kwestia integracji należy do ważniejszych w myśleniu o przyszłości województwa śląskiego. Obecnie znaleź-

liśmy się w okresie, gdy jedni próbują się „okopać”, inni — preferują postawy otwarte. Nadal jednak dezintegracja społeczna jest największym mankamentem.

Sporządzono już „bilans otwarcia” dla tego województwa. Rozpoznano szanse i zagrożenia, silne i słabe strony tego obszaru. Jakie wnioski? Po pierwsze: w perspektywie lat 90. widać rosnącą liczbę owych słabych punktów. Określając przyszłość, trzeba myśleć o uwarunkowaniach zewnętrznych, choćby tylko po to, by zrezygnować z syndromu „rozwoju w enklawie”. Mówmy zatem o ewentualnych scenariuszach rozwojowych i o czynnikach determinujących ten rozwój. Strategia ma charakter średnioterminowy, policzona jest na siedem lat, bo tego wymaga „unijna inżynieria” działania.

We wspomnianym bilansie mówi się o kilku najważniejszych czynnikach. Po pierwsze: decentralizacja finansów publicznych. To, co dotąd się stało z samorządami, jest tylko pierwszym krokiem. Jest decentralizacja, są kompetencje, a nie ma pieniędzy. Nadal decydujący głos mają ministerstwa i rządowe agencje, których budżety są kilkakrotnie większe niż wszystkie województwa razem wzięte.

Po drugie: województwo powinno jak najszybciej zostać włączone w transeuropejskie systemy komunikacyjne, także teleinformatyczne, bo to jest przyszłość. Jesteśmy bardzo zapóźnieni. Nie można poprzestać na autostradach. Nie wiemy, jak będą w przyszłości wyglądały szybkie koleje. Jeśli projekty będą odkładane „na później”, to skazemy się na peryferyjność. To samo dotyczy międzynarodowego lotniska.

Po trzecie: integracja europejska. Województwo śląskie znalazło się w gronie pięciu regionów, które „załapały się” na fundusze przedakcesyjne. Wielu nam to wyrzuca, a problem polega na tym, czy będziemy umieli właściwie z tych pieniędzy skorzystać.

Po czwarte: międzynarodowa konkurencyjność regionów. Dzisiaj konkurują już nie tylko wielkie firmy, ale całe narody, w tym również regiony. Kraje są konkurencyjne wobec siebie właśnie poprzez regiony.

A jaka jest dzisiejsza pozycja Śląska w porównaniu z innymi regio-

## Co czeka Śląsk?

nami? Powiedzmy wyraźnie: średnia, choć kiedyś wysoka. Potencjał słabnie, a nie widać alternatyw. Lista słabych stron województwa śląskiego — powtarzam — wydłuża się, a lista silnych stron — skraca. Nie jesteśmy już „przemysłowym sercem Polski” i musimy się z tym pogodzić. Jednocześnie trudno sobie wobrazić, by Polska mogła stworzyć 16 centrów rozwoju cywilizacyjnego w XXI wieku w oparciu o strukturę 16 województw. Nasze kochane Opole, Zielona Góra czy Kielce nie są w stanie przekształcić się w metropole, nie są zdolne do bezpośredniej konkurencji z regionami europejskimi. Na to nikt nie da pieniędzy. A województwo śląskie? Jeśli chce się zmieścić w „pierwszej lidze” polskich regionów, musi przyspieszyć restrukturyzację. Zdecydują o tym z pewnością zasoby ludzkie, edukacja i mobilność. Jak dotąd zasoby ludzkie cechuje niska mobilność.

Ważna jest też infrastruktura ochrony środowiska. Wiele się poprawiło, ale nasz wizerunek zewnętrzny nie jest dobry. Trzeba też mówić o transporcie, telekomunikacji i informacji, co łączy się — z racji położenia geograficznego — ze współpracą transgraniczną. Nie uchronimy się także przed restrukturyzacją przemysłu ciężkiego i wydobywczego. Ważna jest drobna i średnia przedsiębiorczość, także sektor i rynek rolno-spożywczy oraz turystyka. Oto pola, wokół których musimy budować strategię rozwoju województwa śląskiego.

**TADEUSZ SŁAWEK:** — Zgadza się z prof. Klasikiem, że musimy cenzurować swój język, ale nie zgadzam się, iż nie ma już stereotypów, które nadal by nie funkcjonowały. Powtarzam raz jeszcze: elity śląskie nie zrobiły nic, by zmienić zewnętrzny wizerunek regionu. Mało tego — w ten stereotyp „wpompuwano” już sześć miliardów dolarów. Czy można fakt ten zleceważyć?

**ANDRZEJ KLASIK:** — Chodziłoby o to, abyśmy się do tych stereotypów nie przywiązywali.

**TADEUSZ SŁAWEK:** — Mnie zaś chodzi o to, że gdy mówimy o edukacji, to nie czujemy znikąd poparcia. Jeśli powiedziano tu, że kolejnych 70 tysięcy górników straci pracę, to pomyślnie nie tylko o nich, ale także o ich dzieciach.

One nic nie zdołają zrobić, jeśli nie stworzy im się szansy edukacyjnej. Nie zastąpią przecież swych ojców i nie obejmą ich warsztatów pracy. Tego nikt nie widzi. To jest grzech, że restrukturyzacja w obecnej postaci objąć ma tylko jedno pokolenie.

**KRZYSZTOF KARWAT:** — Zastanawiając się, jakie perspektywy ma przed sobą Górny Śląsk, kreśliłmy także jego „wizerunek zewnętrzny”, jednogłośnie zgadzając się, że ów wizerunek jest niekorzystny, nacechowany stereotypami. Może powinniśmy głośno powiedzieć, dlaczego to, o czym tu mówimy, jest z taką niechęcią bądź niezrozumieniem przyjmowane poza naszym regionem? Dlaczego nikt „nas nie widzi”, nikt „nas nie słyszy”. Ton, w który uderzył profesor Sławek, odpowiada mi. Niewiele zrobiliśmy, by było inaczej, bo też nasze elity są słabe. Wiem, że trudno się do tego przyznać. Górny Śląsk, mimo że już od 10 lat korzystamy z dobrodziejstw ustrojowych zmian, nie zdołał wypełnić wielu luk, także „kadrowych”. Z racji zawodu, być może częściej niż uczestnicy tej dyskusji, bywam w różnych, nawet bardzo odległych od siebie środowiskach społecznych czy zawodowych. Co się okazuje? Wszędzie, gdzie tworzą się tzw. elity, mające później wpływ na podejmowanie decyzji, spotykam tych samych ludzi. Świadczy to o słabości życia politycznego w naszym regionie, o nie najlepszej kondycji stowarzyszeń społecznych czy organizacji pozarządowych. Niby jest ich bez liku, a jednak „kręcą” nimi ciągle te same osoby. Nie dokonała się zatem naturalna wymiana pokoleń.

Wiele tu powiedziano o niskim stanie świadomości społecznej, o słabej aktywności obywatelskiej, zawodowej, o pasywności. Potwierdzają to także interesujące, choć skromne wyniki badań, które właśnie dostałem do ręki. Badania przeprowadził Instytut Regionalny. Respondenci mieli odpowiedzieć tylko na jedno pytanie: „Czy sprawy województwa śląskiego idą w dobrym czy złym kierunku?” Mieszkańcy

województwa śląskiego w zaledwie 30 proc. twierdząco odpowiedzieli na tak zadane pytanie. Z tych badań wynika, że najwięcej optymistów mieszka w dawnym województwie bielskim. Najwięcej pesymistów — w dawnym województwie częstochowskim. Niemniej odpowiedzi negatywnych — w skali całego województwa śląskiego — było ponad 50 proc.! To nie może cieszyć. Ciekawe rezultaty przyniosła analiza tych badań pod kątem politycznym, bowiem respondenci byli także pytani o swoje preferencje wyborcze. Co się okazuje? Fala pesymizmu najsilniej zalewa te środowiska i grupy społeczne, które w ogóle nie chcą mieć niczego wspólnego z polityką i deklarują, że nie będą brały udziału w żadnych wyborach. Wiemy, że ta część społeczeństwa polskiego (nie tylko dotyczy to przecież mieszkańców Górnego Śląska) jest niepokojąco duża, większa niż w Europie Zachodniej, bo zdecydowanie przekracza 30 proc.

Wniosek dla mnie najważniejszy: pasywność polityczna jest zjawiskiem groźnym i obejmuje coraz szersze kręgi społeczne, szersze niż zwykliśmy przypuszczać i niż sobie to wymarzyliśmy w roku 1980, bo — według mnie — właśnie ta data pozostaje zasadniczą cezurą dla powojennej Polski. Taki stan rzeczy, to woda na młyn dla wszelkiej maści populistów i politycznych doktrynerów. Ich znaczenie może w niedługim czasie wzrosnąć, tym bardziej że elity — jak już podkreśliłem — są słabe.

Czy należy zatem w przyszłość patrzeć z pesymizmem, z katastroficznym lękiem? Jednak nie. Dlaczego? Właśnie z tych powodów, o których tutaj panowie profesorem mówili. Wierzę w edukację i wierzę w ten nadzwyczajny pęd ku nauce, jakiego mimo przeszkód jesteśmy w ostatnich latach świadkami. Rzeczywiście, młode generacje — zwłaszcza mentalnie — są lepiej przygotowane na zmiany niż generacje starsze.

Wydawało się, że spośród najważniejszych reform społecznych, jakie ostatnio wprowadzono, najłatwiejsza będzie ta decentralizacyjna, samorządowa. Żle się stało, że Polska została podzielona nie na 12 (może nawet 10) regionów, a na 16. Żle się stało, że Śląsk pozostał rozbity. Jesz-

Co czeka Śląsk?





Foto: Józef Wróbel

Uczestnicy sesji odbywającej się w siedzibie redakcji „Śląska”.

cze większe rozczarowanie przynosi tempo rozwoju samorządności. Wydawało się, że w naturalny sposób wyrosną nowe elity lokalne, niezbędne dla zdrowego funkcjonowania poszczególnych gmin czy powiatów. Co z tego, że u nas, na Śląsku, być może samorządność działa lepiej niż gdzie indziej, choćby tylko z uwagi na tradycje, które tutaj są bogatsze? Co z tego, skoro korupcja, nepotyzm, kumoterstwo i partyjniactwo przecież nie ominęło śląskich miast i gmin? Tak się stało, ponieważ — jeszcze raz to powtórzę — życie polityczne regionu jest kiepskie, bo tylko odbija struktury kreowane w Warszawie. Stąd hierarchia problemów i konfliktów jest tylko lustrem tego, co dzieje się w rządzie czy parlamencie. A przecież prawda o tym regionie jest inna. To jest wina systemu, jaki panuje w Polsce, pewnie także ordynacji wyborczych, które powinno się poprawić tak, by ludzi skłaniać do aktywności, by nie odpędzać ich od urn wyborczych. Chciałoby się, by Polacy, także mieszkańcy Górnego Śląska, znowu uwierzyli — jak w roku 1980 — że hasło: „nic o nas bez nas”, naprawdę niesie najgłębsze sensy.

**TADEUSZ KIJONKA:** — Żal, że w tym miejscu musimy tę dyskusję przerwać. A jednak wydaje mi się, że zdołaliśmy poruszyć wiele ważnych kwestii. A przecież opisujemy sytuację, która ciągle się zmienia, nie jest statyczna. Reforma administracyjna jeszcze tylko ujawniła problemy, o których nie myśleliśmy

wcześniej. I na tym polu mamy do czynienia z nową jakością, z nowym stanem rzeczy. Stoimy zatem przed nowymi zadaniami, które nie poddają się pełnemu opisowi. Na razie nikt jeszcze nie potrafi precyzyjnie powiedzieć, jak będą przebiegały procesy integracyjne w ramach nowego województwa śląskiego. Nie można przecież wykluczyć, że różnice kulturowe i gospodarcze okażą się przeszkodami większymi niż się to nam dzisiaj wydaje.

Właściwie w ogóle nie mówiliśmy o kulturze, ale z tego powodu nie boleję, ponieważ są dostępne materiały po Kongresie Kultury na Górnym Śląsku. Jest także — niech mi to wolno będzie podkreślić — miesięcznik „Śląsk”. Nadal chcemy, by stanowił wolne forum wymiany myśli dla przedstawicieli nauki i środowisk kulturalno-artystycznych. A jest o czym dyskutować. Choćby o do końca nie zinterpretowanym dziedzictwie „Katangi”, które nadal nad Śląskiem ciąży, tak jak ciężar inne, bolesne dla mieszkańców tej ziemi stereotypy. To wyzwanie stoi przed śląskimi elitami. Nie ma bowiem prawdziwej integracji bez uruchomienia takich instrumentów jak kultura, nauka czy edukacja. O nie musimy się stale upominać, bo bez nich wszystkie strate-

gie rozwoju województwa śląskiego nie będą udane. Co bowiem zależy od „materii”, to zależy, ale od „ducha” — na pewno nie mniej. To jednak wciąż nie dociera do kręgów technokratycznych, także i dziś decydujących o strategicznych programach rozwojowych, bez względu na stan zdewastowania życia społecznego, co może doprowadzić do napięć i konfliktów o trudnych do przewidzenia konsekwencjach. Ale i kolejnej zapaści cywilizacyjnej nie do przewyciężenia bez niezbędnych inwestycji w sferze najszerzej pojętej kultury — jako sposobu godnego życia. A należy pamiętać, iż żaden program rozwoju kultury nie doczekał się w tym województwie realizacji. Ostatni zresztą nacechowany gigantyzmem charakterystycznym dla „formacji Katangi” powstał przed ćwierćwieczem.

Problemy zastanej monokultury gospodarczej nie można rozwiązać jedynie poprzez restrukturyzację i transformację ograniczoną do sfery produkcji i usług konsumpcyjnych. Nawet napływ obcego kapitału jest uwarunkowany w dużym stopniu jakością wykształconego społeczeństwa o wysokich kompetencjach i uformowanych potrzebach także w sferze kultury. Śląsk przyszłości będzie takim, jakim go stworzą tu żyjący ludzie. Kim są i czego chcą — a chcąc - mogą: oto jest pytanie, nie od dziś bez pełnej odpowiedzi.

## Co czeka Śląsk?

Oprac.  
KRZYSZTOF KARWAT

Józef Korol urodził się sto lat temu, 10 grudnia 1900 roku, w Strzelcach Opolskich. Po ukończeniu klasycznego gimnazjum w Opolu rozpoczyna w 1919 roku studia prawnicze we Wrocławiu. Przerywa je jednak aby wziąć udział w akcji plebiscytowej i III powstaniu śląskim. W czasie akcji plebiscytowej Niemcy mordują mu ojca, zawiadowcę stacji w Starym Oleśnie oraz bestialsko katują jego brata Franciszka, który do końca życia pozostaje kaleką.

Po plebiscycie i III powstaniu, jak wielu powstańców i działaczy plebiscytowych, musi uciekać na polską część Śląska. Podejmuje pracę w magistracie w Świętochłowicach i kontynuuje studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Po ich ukończeniu, w 1927 roku, zostaje wicestarostą w Świętochłowicach, a od 1931 do połowy 1935 roku starostą w Tarnowskich Górach. W ostatnich latach przed wybuchem wojny jest dyrektorem biur Zarządu Miejskiego w Chorzowie. Był również znanym działaczem harcerskim oraz członkiem Zarządu Głównego Związku Powstańców Śląskich. Wszystko to wystarczyło, aby znalazł się na czołowym miejscu ludzi do aresztowania w chwili wkroczenia hitlerowców na Śląsk. Musi więc kolejny raz uciekać przed Niemcami.

# JÓZEF KOROL

## – śląski Grot-Rowecki

JAN COFAŁKA



Mgr Józef Korol wicestarosta w Świętochłowicach 1927 r. (fot. ze zbiorów autora)

### Z myślą o czwartym powstaniu

Koniec kampanii wrześniowej 1939 roku zastaje Józefa Korola we wsi Kołków w okolicach Pińczowa, skąd decyduje się wracać na Śląsk. Wie jednak, że jako człowiek bardzo znany i na dodatek poszukiwany, nie może poruszać się swobodnie, ani

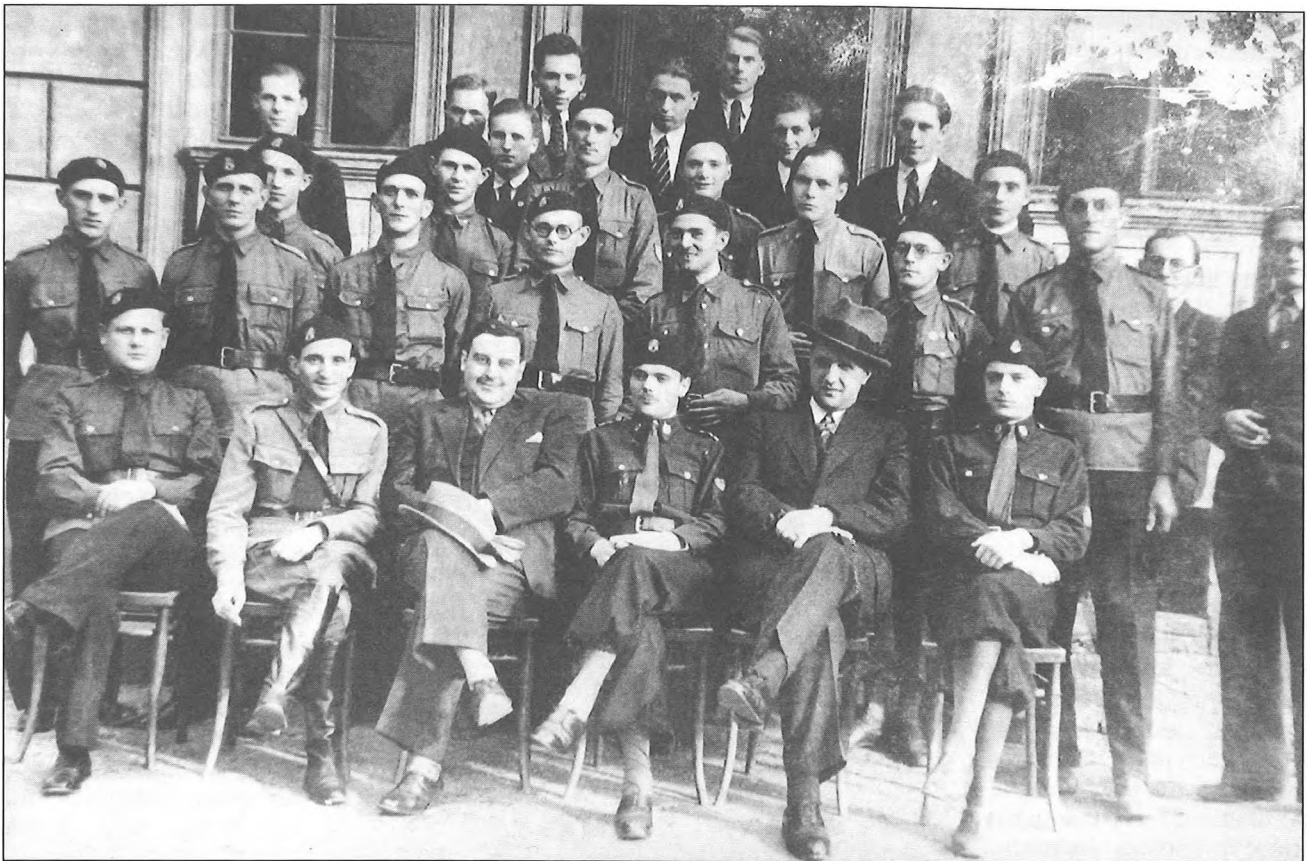
też wrócić do miejscowości, w których mieszkał i pracował. Po rekoniesansie przeprowadzonym przez przyjaciół, na pewien czas zatrzymuje się w Katowicach-Ligocie przy ul. Wileńskiej 11 u państwa Kołoczków, gdzie przystępuje do tworzenia organizacji pod nazwą Polski Ruch Wolnościowy scalając różne organizacje oraz odbudowując harcerstwo. Gdy hitlerowcy zaczynają interesować się domem, w którym przebywa, przenosi się do Goczałkowic-Zdroju.

W połowie października 1939 roku ppor. rez. J. Korol polecił swemu podkomendnemu (prywatnie szwagrowi) Ksaweremu Lazarowi utworzenie organizacji w Chorzowie i okolicach. Przyjmuje ona nazwę Polskiej Organizacji Partyzantkiej (POP) i bardzo szybko rozwija się nie tylko na terenie Chorzowa, lecz także w Chropaczowie, Lipinach, Łągiwniakach, Rudzie a także w Katowicach i okolicy. Był pracownikiem Korola — Paweł Ulczok przywozi wykradzione z chorzowskiego magistratu polskie pieczęcie i blankiety dowodów osobistych, co pozwala także Korolowi przemienić się w Hajduckiego.

3 listopada 1939 r. Korol-Hajducki opracował statut organizacji i jej strukturę. Wówczas też wysłana zostaje do Francji misja w celu nawiązania łączności z polskim emigracyjnym rządem oraz poinformowania, że na Górnym Śląsku działa organizacja,

której przywódcą jest J. Korol, przygotowująca powstanie zbrojne, (na Śląsku ciągle żywe były tradycje powstań śląskich, tu więc rodzi się koncepcja odzyskania niepodległości przy pomocy zbrojnego zrywu). Śląscy emisariusze, Henryk Fick i Tadeusz Tomosz, docierają do Francji gdzie odbyli rozmowy z członkami polskiego rządu emigracyjnego, od których otrzymują pisemne instrukcje w sprawie





Zjazd Powiatowy Oddziałów Młodzieży Powstańczej (OMP) w Tarnowskich Górach w 1934 r. Trzeci od lewej siedzi starosta Józef Korol, czwarty prezes OMP — Władysław Sala, drugi od prawej burmistrz — Fryderyk Antes (fot. ze zbiorów autora).

kontynuacji walki przeciwko Niemcom oraz kilkaset tysięcy marek w złotych i dolarach.

Na początku grudnia 1939 roku POP, do której przyjmowano z zasady osoby po odbytej służbie wojskowej — według danych gestapo — liczyła już kilka tysięcy członków i obejmowała swym zasięgiem działania cały Górny Śląsk. Dr M. Starczewski w referacie wygłoszonym na konferencji naukowej zorganizowanej w 1995 roku przez Muzeum Górnośląskie „Górny Śląsk i Górnoślązacy w II wojnie światowej” twierdzi — o czym wciąż mało kto wie — że Śląsk jako jedyny region w Polsce rozpoczął przygotowania do powstania przeciwko Niemcom już w październiku 1939 roku a ppor. rez. Korol zameldował gen. Władysławowi Sikorskiemu o podporządkowaniu się organizacji bezpośrednio rządowi polskiemu na uchodźstwie. Oznacza to, iż Śląsk w początkowym okresie okupacji, odgrywał dominującą rolę w skali kraju w walce z okupantem, bo jako pierwszy zgłosił rządowi polskiemu gotowość do rozpoczęcia powstania siłami liczącymi kilka tysięcy żołnierzy”.

Na początku grudnia 1939 roku Korol wyjeżdża do Krakowa gdzie spotyka się z kierownictwem Służby Zwycięstwu Polski (SZP) i podporządkowuje jej POP; jednocześnie wyznaczony zostaje na komendanta Okręgu Śląskiego SZP. Organizacja ta jednak na Śląsku przyjmuje raczej nazwę Siły Zbrojne Polski, chociaż do lata 1940 roku używano także starej nazwy POP. Pod koniec stycznia 1940 roku zostaje poinformowany o przekształceniu się SZP w Związek Walki Zbrojnej (ZWZ).

Józef Korol kieruje pracami Okręgu Śląskiego mając do pomocy zastępcę, adiutanta i sztab. W sztabie działały: Wydział Wojskowy i Wydział Cywilny. Ten drugi dzielił się na oddziały: opieki społecznej, spraw politycznych i cywilnych oraz bardzo aktywny oddział propagandy. Według M. Starczewskiego można postawić hipotezę, iż Wydział Cywilny odgrywał rolę przyszłej Okręgowej Delegatury RP. Tym samym stworzono załączki Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku. Najistotniejszym jego elementem od początku 1940 roku były siły zbrojne. W każdej prawie miejscowości Śląska zorganizowano pluton liczący co najmniej 30 osób. ZWZ na Śląsku ma swój wywiad, grupy sabotażowo-dywersyjne, wydawnictwa drukujące ponad 50 tytułów czasopism, ulotki i broszury oraz szeroko zorganizowaną pomoc społeczną dla rodzin, które szczególnie ucierpiały w rezultacie hitlerowskiej represji. Jako dowódca J. Korol wykazuje się nie tylko zdolnościami organizacyjnymi, lecz wielkim taktem i dyplomacją w godzeniu sporów i jednoczeniu różnych organizacji.

Kierownictwo ZWZ na Śląsku przystępując do realizacji koncepcji politycznych i militarnych rządu polskiego na emigracji, zakładających odzyskanie niepodległości dzięki wywołaniu powstania zbrojnego, szczerze wierzy w rychły jego wybuch. Pamiętajmy, jest początek roku 1940 i wielką popularnością cieszą się hasła w rodzaju: *Im słońceko wyżej, tym Sikorski bliżej*. Korol jest głęboko przekonany, że lada moment na Hitlera ruszą sprzymierzeńcy i wówczas on stanie na czele czwartego powstania śląskiego, które zrealizuje to, czego tamte trzy nie były w stanie spełnić. Według

tych przewidywań wybuch powstania miał nastąpić w czerwcu lub latem tego roku.

## Tragedia w willi „Lusia”

**D**la bezpieczeństwa Józef Korol musi stale zmieniać miejsca pobytu. Z Goczałkowic przenosi się do Bielska-Mikuszowic, potem do Dziedzic i Wisły-Głębcze. Wymagał tego rozwój organizacji i zasady konspiracji. W Wiśle miał już tak dobre niemieckie dokumenty, na nazwisko obywatela niemieckiego Königa, że sam idzie z nimi zameldować się do burmistrza. Być może, że owo złudne przekonanie o rychłym zakończeniu okupacji, skupienie się na przygotowaniu do walki i przejęcia władzy powodowało iż nie zawsze przestrzegano wszystkich reguł konspiracyjnej pracy, których — na dobrą sprawę — dopiero musiano się uczyć.

27 sierpnia 1940 roku dochodzi do tragicznego w skutkach wydarzenia, które przerywa świetnie rozwijającą się działalność Józefa Korola. Doprowadziło to do masowych aresztowań oraz rozbicia śląskiego podziemia. Jego przebieg podaję według ustaleń dr Juliusza Niekrasza, potwierdzonych także przez badacza dziejów ruchu oporu na Śląsku i w Zagłębiu dr Mieczysława Starczewskiego.

Około szesnastej do willi „Lusia” w Wiśle-Jaworniku podeszła grupa Niemców, po cywilnemu i w mundurach, z burmistrzem na czele. Zadzwońili do drzwi, nikt nie odpowiadał. Ponowili próbę — również bez rezultatu. Zaczęli stukać — także bezskutecznie. W willi panowała absolutna cisza, jakby rzeczywiście nie było w niej żywej duszy. A jednak przebywały w niej trzy osoby: właścicielka willi Maria Kwaśna, która położyła się do łóżka, jej znajoma Hildegarda Nandzikówna oraz przybyły tu poprzedniego dnia, z zamiarem zakwaterowania na jakiś czas, znajomy państwa Kwaśnych — Józef Korol — komendant Śląskiego Okręgu Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Nandzikówna zza firanek zobaczyła stojących pod willą i poinformowała Korola, że jest to gestapo. Korol miał z sobą tajne dokumenty przywiezione właśnie z Krakowa, które w przypadku dostania się w niemieckie ręce mogły zdekonspirować wielu ludzi i organizację. Dlatego po takiej informacji — zgodnie z zasadami konspiracji — Korol natychmiast przystąpił do ich palenia. Trwało to około dziesięciu minut. Po pewnym czasie Niemcy przestali się dobijać do willi i coś zapisawszy, zaczęli się oddalać. Kiedy już nieco odeszli, jeden z Niemców odwrócił się w stronę willi i dostrzegł wydobywający się dym z komina. Natychmiast zawrócili i zaczęli walić w drzwi, domagając się ich otwarcia. Nandzikówna, przez uchylone okno za-

wołała, że gospodyni nie ma w domu, nie może więc wynająć pokojów ani też nikogo wpuścić do środka. Jeden z Niemców, pokazując jakiś znaczek w klapie marynarki, rozkazał natychmiast otworzyć.

Korol z resztą dokumentów i z Nandzikówną postanawia uciekać przez garaż. Za późno. Niemcy, otoczywszy willę, zaczęli się do niej włamywać. Uświadomiwszy sobie, iż już nie zdoła uciec, Korol nakazuje Nandzikównie spalić resztę dokumentów, sam zaś, kiedy Niemcy wdzierają się do domu przez wyważone drzwi garażu, wyskakuje na taras ostrzeliwując ich, aby mogła wykonać polecenie.

Niemcy po chwili łapią Nandzikównę, która zdołała jednak zapalić resztę dokumentów żarem pozostałym w piecu. Używając jej jako tarczy, podeszli do drzwi na taras, wzywając Korola, aby przestał strzelać. Korol posłuchał i otworzył drzwi. Wówczas Nandzikówna szybko pada na podłogę, umożliwiając mu strzelanie, lecz jedna z kul wystrzelonych przez burmistrza trafia go w nogę. Sytuacja

staje się beznadziejna. Nie chcąc, by Niemcy wzięli go żywcem, Korol zażywa (stałe noszone z sobą) cyjankali. Śmierć przyszła bardzo szybko. Niemcy wzywają lekarza, który stwierdza zgon. Wówczas zaczął się przed willą ruch. Ściągnięto ekipę śledczą, żandarmerię i gestapo. W okolicy mówiono, że zabito jakiegoś angielskiego szpiega. Trup Józefa Korola leżał do późnego wieczora na tarasie, skąd go zabrano do Cieszyna.

## Spekulacje wokół śmierci

**N**agła i nieoczekiwana przecież śmierć najwybitniejszego śląskiego działacza konspiracyjnego pierwszego okresu okupacji, twórcy zrębów Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku, nazywanego również śląskim Grotem-Roweckim sparaliżowała organizację oraz wywołała wiele domysłów, spekulacji, a także przyczyniła się do powstania różnych legend i zagadek, które do dziś jeszcze powielane są w różnych wersjach, chociaż wiele z nich dawno już zostało wyjaśnionych. Na przykład, na pamiątkowej tablicy w chorzowskim ratuszu wmurowanej w 1996 roku, widnieje napis iż *poległ zamordowany przez gestapo* zaś w Polskim Słowniku Biograficznym wydanym przez Instytut Historii PAN stwierdza się, że *prawdopodobnie 27 sierpnia 1940 roku został śmiertelnie ranny*.

Niektórzy utrzymują także, iż został wydany gestapowcom przez kogoś z najbliższego kręgu. Twierdzi się na przykład, że Józefa Korola wydał jego bliski współpracownik Paweł Ulczok. Dopiero po wojnie dr Juliusz Niekrasz, uczestnik ruchu opo-



Tablica w hołdzie J. Korolowi na ratuszu w Chorzowie (fot. Jan Cofalka).



ru na Śląsku, a potem prokurator oskarżający czołowych konfidentów gestapo umieszczonych w kierownictwach podziemnych organizacji, w oparciu o autentyczne dokumenty hitlerowskie i polskiego podziemia, „dobija się prawdy”. Według jego ustaleń (potwierdzonych następnie przez innych badaczy dziejów ruchu na Śląsku i w Zagłębiu) gestapo nie miało nic wspólnego ze śmiercią Korola.

Niemcy pod willą „Lusia” stanowili grupę, która miała ją skonfiskować. W jej skład wchodził urzędnik uzdrowiska Wisła wraz z burmistrzem, przedstawicielem Urzędu Powierniczego, partii NSDAP, Wehrmachtu oraz Siedlungskommando zajmującego się wysiedlaniem ludności. *Zadaniem tej komisji* — jak podaje dr Juliusz Niekrasz w książce „Z dziejów AK na Śląsku” — *był spis i sekwestracja willi opuszczonych lub zajmowanych przez Polaków*. Niemcy nie wiedzieli więc, z kim mają do czynienia. Świadczy o tym fakt, że Korola pochowano w Cieszynie, a dopiero kiedy po szczątkach nie do końca spalonych dokumentów zorientowali się, że musiał to być ktoś ważny, ekshumowano jego zwłoki dokonując zdjęć, które miały pomóc w ich identyfikacji.

Hildegarda Nandzikówna, której omyłka w rozpoznawaniu przyczyniła się do tragedii, była narzeczoną Pawła Ulczoka, którego rankiem tego dnia Korol wysłał rowerem do Rybnika. Potem, około południa, wyruszył z jakimś rozkazem do Bielska Ksawery Lazar. Wreszcie około 15., komendant wysłał do Wisły-Głębcy braci Rymerów: Benedykta i Michała (bratanków pierwszego wojewody śląskiego) do przedostatniej ich kwatery z poleceniem przewiezienia stamtąd garderoby. Józef Korol pozostał więc sam z dwoma kobietami. Zachował się bohatersko. Mógł przecież uciec tyłem przez garaż, ale obowiązek nakazywał mu najpierw zniszczyć dokumenty. Wybrał ratowanie swoich żołnierzy tracąc szansę na ratunek.

Paweł Ulczok okazał się później jednym z najbardziej ohydnych konfidentów gestapo i ma on na sumieniu wydanie hitlerowcom wielu setek ludzi podziemia; wówczas jednak jeszcze nie pracował dla hitlerowców. Stało się to dopiero po jego aresztowaniu w rok później. Ponadto razem z Korolem wydałby swoją narzeczoną, chociaż tu pewności nie ma, bo przecież mogła być ona z nim w zmoście. O przypadkowości całego wydarzenia, którego rezultatem była śmierć Korola, świadczy raport gestapo, a także sposób przeprowadzenia akcji. Gestapo zrobiłoby to bardziej fachowo.

Pozostaje pytanie, dlaczego komendant poważnej formacji pozostał tego popołudnia bez żadnej obstawy oraz czemu w willi nie było przygotowanej skrytki na dokumenty, chociaż mieszkali w niej

wcześniej członkowie sztabu Korola. Wówczas można byłoby wpuścić do środka Niemców, którzy po dokonaniu urzędowych czynności, przy pewnych dokumentach osobistych Korola-Königa, prawdopodobnie niczego by się nie domyślili.

## Rozbicie śląskiego podziemia

Po śmierci Józefa Korola zaczęła się cała seria klęsk śląskiego podziemia. Hitlerowcy z całą energią zabrali się do niego. Nastąpiły aresztowania. Nie wszyscy podczas przesłuchań na gestapo wytrzymywali, zdradzali więc innych (jak np. szwagier Korola — Ksawery Lazar którego następnie stracono w Berlinie), co umożliwiło przygotowanie zmasowanego uderzenia na ZWZ, jakie nastąpiło w nocy z 18 na 19 grudnia 1940 roku. Aresztowano wówczas 456 osób, w tym prawie wszystkich najbliższych współpracowników Korola. W 1940 hitlerowcy aresztują także, współpracując z synem matkę Józefa Korola, która resztę okupacji spędza

w obozie koncentracyjnym. Nie darują nawet jego bratu, Franciszkowi, kalece przebywającemu w Domu Inwalidy w Chorzowie, skąd go zabierają i ślad po nim ginie.

Kolejne uderzenie, już z udziałem zwerbowanego przez gestapo Ulczoka i innych zdrajców, nastąpiło w 1941 roku. W ich rezultacie nie udało się już odbudować ZWZ na Śląsku w skali, w jakiej działało pod kierownictwem Józefa Korola.

\*\*\*

19 marca 1942 roku rozkazem dowódcy Armii Krajowej — Józef Korol, rodem ze Strzelec Opolskich, został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari V klasy. Po raz drugi to samo odznaczenie przyznano mu na wniosek płk. Kazimierza Płuty-Czachowskiego, który nie wiedział o wcześniejszym, rozkazem gen. T. Bór-Komorowskiego z dnia 1 października 1944 roku. W Chorzowie na budynku ratusza, w którym pracował, wmurowano poświęconą jego pamięci tablicę. Już w latach ostatnich jedna z ważniejszych ulic w Tarnowskich Górach otrzymała imię Józefa Korola.

Pod koniec lat osiemdziesiątych, z powodu nieopłacenia działki, przekopano jego grób na cmentarzu w Cieszynie i pochowano w nim miejscowego nauczyciela. Dopiero po licznych interwencjach położono na tej mogile wspólną płytę nagrobną, z której można się dowiedzieć jedynie, że leży tu także JÓZEF KOROL 1900-1940. Tyle i nic więcej.



Grób J. Korola na Cmentarzu Komunalnym w Cieszynie (fot. ze zbiorów M. Starczewskiego).

★ ★ ★

*koniec lipca  
gorzki smak moreli*

*pod witryną  
akordeonista*

*graj  
piękny Cyganie*

*sezon ogórkowy*

*mim na rynku  
otwiera  
białe  
samotne usta*

*wilgotność powietrza  
jakby przeszły  
pory deszczowe  
stuletnie*

*mleczne słońce  
przecieka*

*pistacjowe  
owady  
siadają  
na powiekach*

★ ★ ★

*NN  
(mężczyzna)  
znaleziony  
2.08.1998 r.*

*skopało cię życie  
i śmierć*

*spoczywaj  
w spokoju*

*niedaleko  
kwitnące pole  
rzepaku  
nad nim  
pszczół rój*

★ ★ ★

*w Wiedniu  
zapach koni*

*ogrody*

*Maria Antonina  
kazała mnie wychłostać  
na placu zamkowym*

★ ★ ★

*do końca roku  
pozostało 357 dni*

*a gdzie noce*

*wieczory  
pełne kruków*

★ ★ ★

*ostatnie kuszenie  
słońca*

*dzielisz  
chleb i ciało*

*przy stole  
puste miejsca*

*dotykasz powietrza  
i*

★ ★ ★

*słońce  
w czasie opadania  
liści*

*święte żyta  
jaskółki kotują*

*w ziarnach  
cisza*

*gasisz pragnienie*

*gdy już nie masz  
pragnienie*

★ ★ ★

*4,15  
ptaki*

*samotność  
przed świtem*

*ileż razy można  
otwierać żyły*

*bo słońce  
spóźnia się  
z czerwienią*

★ ★ ★

*środek lata  
jęczmień prawie złoty*

*różowe floksy*

*to może być każdy  
taka otwarta  
jak rana*

*a tylko nocą  
w czwartej kwadrze  
dopełnia się księżyc*

★ ★ ★

*marcowa noc  
koty*

*mam dreszcze*

*w takie noce  
śniegi Kilimandżaro  
spływają  
w moją pościel*

★ ★ ★

*dziecko płacze*

*Anioł Stróż  
czyta „Playboya”*

★ ★ ★

wielkie miasta  
bez ciebie  
i Casablanka

u mnie  
siódma prowincja

w kuchni śmierdzi  
kiszona kapusta

★ ★ ★

lipiec  
36° C

epilepsja grand mal  
dopada go dwa  
trzy razy  
w tygodniu

przez te upały

w ogrodach hortensje  
niebiesko  
jak niebo

opadają ciężko

★ ★ ★

jest  
coraz gorzej  
wrywa sobie  
pojedynczo włosy

odrasta  
niebieski puch

i tak co roku  
na wiosnę

cicho ptaku  
powyrywa ci pióra  
wariatka

★ ★ ★

samo południe

spada mi  
hemoglobina

dojrzewają  
czereśnie

★ ★ ★

drzewa  
w cichej depresji

jesień

lewitujesz  
duch święty  
ciało

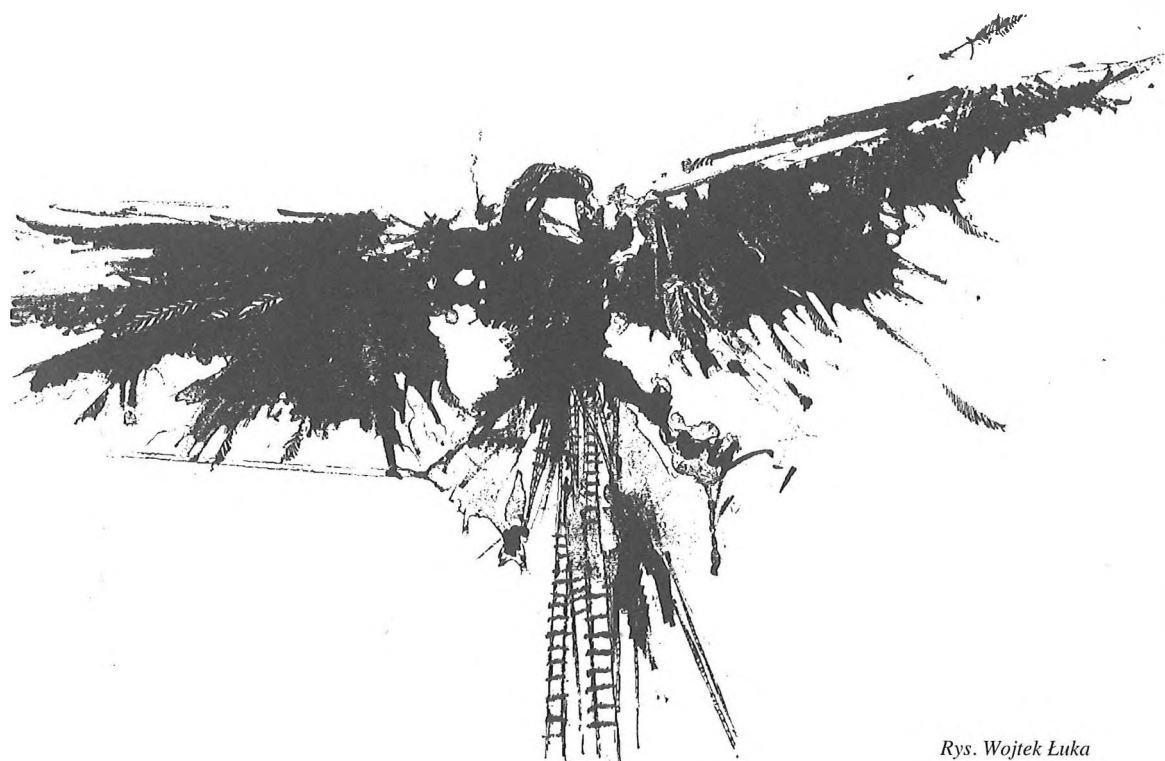
babie lato

★ ★ ★

pokój  
w którym umarłeś  
nieogrzewany

ona  
jest z tobą

nikt  
nie wchodzi



Rys. Wojtek Łuka

GENOWEFA JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA



# Pasja

KAZIMIERZ KASZPER



Fot. Piotr Wojczech

„Pani Ewa jest niesamowicie piękną kobietą” — mówi ojciec jednego z jej uczniów.

Zagadkowa, tajemnicza, prowokacyjna. Piękna. Do niedawna można ją było oglądać najwyżej raz w miesiącu, kiedy gwiazdy schodziły ze swoich orbit w rozgardiasz ziemskiego świata - do klubowego podziemia teatru w Czeskim Cieszynie. Byłem przekonany, że należy do jakiejś odległej i nieznannej konstelacji aktorskiej, ale nie, nie należy, bo jakoś nigdy nie miała ochoty błyszczeć odbitym blaskiem światła rampy. W teatrze pojawiała się dlatego, ponieważ jest on jedną z jej życiowych namiętności. Obok kina i literatury. Ale nie wyklucza, że teraz będzie tam zaglądać rzadziej. Dała się mianowicie opętać całkiem nowej pasji — Centrum Kształcenia Języków Obcych „Pigmalion”. Samo to centrum wymyśliła, zaprogramowała, zlokalizowała i uruchomiła. Jest teraz wszędzie. Organizuje, działa, uczy.

## Namiętność serca i prawda rozumu

Już wiem jak się nazywa. Ewa Katruśak. To obce nazwisko nie ma mnie wprowadzać w błąd, bo pani Ewa całym swoim jestestwem przynależy do bujnie rozga-

łęzionej na Zaolziu rodziny Brannych. Tej samej, która od niepamięci wypuszcza pędy tam, gdzie wysiąkają soki polskości. Ojciec Henryk, autorytet, któremu nie można się było sprzeciwić, inżynier metalurg w hucie trzynieckiej, przez wiele lat chodził na próby chóru „Harfa”; matka Halina z Brzusków, nauczycielka chemii i biologii, od dawien dawna prowadzi Klub Kobiet w Czeskim Cieszynie; spośród dalszych krewnych Danuta jest duszą i mózgiem Rady Polaków, Jan prezesem Zarządu Głównego Macierzy Szkolnej w Republice Czeskiej, Halina aktorką Sceny Polskiej, a Bogusław piastował swego czasu funkcję sekretarza Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Nieżyjący już dziadek, Alfons Brzuska, dyktował w polskiej szkole podstawowej w Czeskim Cieszynie, natomiast znajdująca się ciągle w dobrej formie, jego 90-letnia żona Aurelia, była zapaloną działaczką PZKO. Do tego stopnia, że domownicy mogą sobie z niej dworować: „Lepszy z ciebie pezetkaowiec niż katolik”.

— *W sprawach tożsamości nigdy nie miałam żadnych wątpliwości. O tym decyduje dom, rodzina, szkoła — mówi.*

Miała szczęście do „świetnych polonistek”, Anny Kotas w podstawówce i Danieli Zarembowej w gimnazjum. Pierwsza posiadała niepospolitą zdolność aktywizowania uczniów, poprzez urządzanie np. przewodów sądowych nad bohaterami literackimi. Klasa była dzielona na ławy prokuratorskie i adwokackie, a każda z nich musiała zgromadzić przekonującą porcję argumentów na „tak” i „nie”.

— *Nigdy nie zapomnę rozprawy nad Latarnikiem... A gimnazjum opuszczałam już tak bardzo polska, jak chyba nigdy potem. Zresztą nie tylko ja. Wszyscy. To zasługa pani profesor, która potrafiła przelać na uczniów swe ogromne zamiłowanie do literatury polskiej. Jeszcze dziś, gdy czytam polską prasę, z przyjemnością stwierdzam, że jestem nieźle zorientowana.*

— Ciekawe, że pomimo tego wybrała się pani na studia anglistyczne. To dość daleko leży od kultury polskiej...

— *Daleko, ale to chyba nie ma z polskością nic wspólnego? Po prostu mnie zawsze interesowały języki obce, a najbardziej angielski. Nie wiem, dlaczego. Może zainspirowała mnie kolejna nauczycielka, też zresztą spokrewniona z nami, anglistka Jadwiga Suchoń?... Była wspaniałym pedagogiem. Stosowała bardzo niekonwencjonalne techniki nauczania, piosenki, gry, dialogi, symulację sytuacji życiowych... I doskonale się orientowała w literaturze angielskiej. Teraz uczy w Nauczycielskim Kolegium Języków Obcych w Cieszynie.*

— Więc nigdy nie żałowała pani tej decyzji?

— *Nigdy. Angielski to była w latach osiemdziesiątych mała furka na świat, a mnie od dziecka ciągnęło za granicę.*

— Uczelnia organizowała wyjazdy?

— *Ależ skąd. O tym nie było mowy. Wtedy liczył się smak zakazanego owocu. Tworzyliśmy w Olomuńcu coś w rodzaju małej, trochę jakby zakonspirowanej rodziny. Wykładowcami byli z reguły ludzie z „kontrewolucyjną” przeszłością 1968 roku, na przykład profesor Josef Jářáb, dzisiejszy rektor Uniwersytetu Palackiego, uczył mnie literatury amerykańskiej. Poza tym pojawiali się lektorzy z Wielkiej Brytanii, mieliśmy dostęp do „burżuazyjnych” brytyjskich i amerykańskich podręczników, czasopism...*

— Języka mogła się pani uczyć na kursach...

— *Tak, ale ja jeszcze chciałam poznawać obce kultury, dorobek, zwyczaje i sposób patrzenia na świat innych ludzi. Chciałam robić coś, co się nazywa „cross-cultural studies”, a tego nie mogła mi umożliwić żadna szkoła języków obcych.*

— Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale pomyślałem właśnie, że ta pani ciekawość świata i obcych nacji pomogła się pani zdecydować na małżeństwo z Czechem...

— *Coś takiego! Do głowy by mi nie wpadło... O takich sprawach jak małżeństwo decydują uczucia, a nie przy-*

*należność narodowa czy religijna. Myśły się nigdy nad problemem narodowości nie zastanawiali. Milan jest ciałem i duszą humanistą, studiował historię i języki, i bardzo szybko zrozumiał, że życie na Zaozliu może mieć wiele plusów. Bo właśnie tutaj można zaoferować dziecku to, za co gdzie indziej trzeba słono płacić: znajomość dwóch języków i dwóch kultur. Za darmo!*

— Jakim językiem rozmawiacie?

— Z mężem wyłącznie po czesku, wyjątkowo po angielsku — wtedy, gdy chcemy sobie przekazać coś, czego syn nie powinien wiedzieć. Ale Tomasz już coś łapie. „Znowu powiedziałaś do taty don't say that!” (nie mów tego) — obraża się.

— Z synem mówi pani po polsku?

— Oczywiście. Właśnie o to chodzi, żeby go ojciec uczył czeskiego a matka polskiego. Podobnie przez rodzinę ojca Tomek poznaje kulturę czeską — albo morawską raczej, bo to jest ród z morawskiego regionu Haná, a przez moją — kulturę polską.

— I dodatkowo uczy go pani angielskiego?

— Nie, jakoś nie potrafiłam się zmobilizować. Ma swoją nauczycielkę w „Pigmalionie”.

## Kobieta w interesie

Rozsiadliśmy się w „Piaście”, na całkiem nowych krzesłach, przy całkiem nowych stolikach. Sympatycznie aż do bólu. Przykro to mówić, ale dopiero teraz, gdy restauracja wraz z hotelem przeszły w prywatne, niepezetkawkowe ręce, coś zaczyna się tu zmieniać. Niestety na lepsze. A pani Ewa uchyla rąbek po rąbku „jedwabie” swoich sekretów. Bo chociaż zetknęliśmy się nieomal służbowo — po moim telefonicznym zapytaniu o warunki nauki języka w „Pigmalionie” — pielimy grządkę nad wyraz prywatnie.

Zdumiewające odkrycie: nie jest gwiazdą, lecz energiczną, praktyczną, zdyscyplinowaną kobietą. Business woman? No, nie wiem... jak na ten modny rynkowy typ zbyt wiele dostrzegam w pani Ewie spontaniczności... Trudno, trzeba pytać.

Kaskada śmiechu. Subtelne dołki na policzkach. Uniesione brwi. — *Na pewno potrafię motywować siebie i innych, to znaczy umiem przekonać ludzi do swoich racji i zorganizować ich. Jeśli takie są wyznaczniki kobiety interesu, to tak, jestem business woman. Ale, niech to zostanie między nami: nie czuję się nią i dokładam nawet pewnych starań, żeby nie wpaść w ten styl. Zabrałam się ostatnio do czytania książki McCormacka o biznesie, marketingu i sposobach oddziaływania na ludzi, lecz szybko ją rzuciłam. Nie trawię amerykańskiego sposobu myślenia: ty jesteś najlepszy, w tobie cały potencjał finansowego i życiowego powodzenia, wystarczy, że będziesz parł do przodu.*

— A jak sobie pani radzi w interesie? Stawiając na kobiecą intuicję?

— *Może? (śmiech) Ale nie na tym chciałabym opierać swą karierę zawodową. Wolę stawiać na wiedzę niż na intuicję i zmysłowe odbieranie świata.*

Co nie znaczy, że jedno przeczy drugiemu. Oto wymowny pod tym względem przypadek. Całkiem niedawno został w całości i bez uwag zaakceptowany 20-stronicowy projekt kształcenia załogi Elektrowni Dzieńmorowice, autorstwa pani Ewy. Nauką języka angielskiego zostanie objętych 80 osób, od początkujących, przez średnio zaawansowanych po zaawansowanych. Projekt zawiera m.in. czasową prognozę znajomości języka w poszczególnych kategoriach słuchaczy oraz sposób jej egzekwowania, np. na egzaminie. Sukces. Ale czy tylko intelektualny? Podczas omawiania tej koncepcji menedżer zakładowy zauważył: „A swoją drogą, skąd pani wiedziała, że takie szkolenie akurat teraz jest nam potrzebne?” Oczywiście nie wiedziała, zadziałała intuicja.

Albo taka rzecz. Przez nikogo nie proszona skoncyptowała program rekwalifikacji dla bezrobotnych. Nowatorski w każdym calu, obejmujący oprócz nauki języka, podstawy marketingu, przepisy prawne, sztukę sprzedaży i buchalterię. Kierownik powiatowego urzędu pracy czytał ten materiał z wypiekami na twarzy: „Właśnie czegoś takiego nam brakowało!”

— *A tak naprawdę, to liczy się pomysł. U mnie dość długo trwała zanim podjęłam decyzję, ale w momencie gdy zapadła, wiedziałam, że jestem w stanie poświęcić dla szkoły bardzo wiele.*

— Na przykład rodzinę?

— *Co to, to nie! Kobieta ma być dobrą żoną i matką, a niezależnie od tego realizować się w zawodzie. Nie musi codziennie gotować ciepłych dań ani mieć na bieżąco wszystkiego uprasowanego.*

— Mąż to akceptuje?

— *Jest moim najwierniejszym kibicem.*

— Syn?...

— *Bogu dzięki wyrósł już z pieluszek i zaczyna rozumieć jakie jest jego miejsce w stadle. Ja właśnie ze względu na niego tak długo odwlekałam myśl o usamodzielnieniu się. Rodzina by mi nie wybaczyla, gdybym zaczęła zaniedbywać obowiązki macierzyńskie.*

— A kusito panią?

— *O, nie! Macierzyństwo to przepiękna, niepowtarzalna sprawa. Najwspanialsza, jaką można sobie wyobrazić. W pierwszych chwilach po urodzeniu Tomka ze zdumieniem obserwowałam, jak z godziny na godzinę narasta we mnie uczucie matczynej miłości. Jak z pewnej siebie, marzącej o podboju świata dziewczyny, staję się kimś, kto się boi o zdrowie dziecka i o swoje własne, i zaczyna sobie uzmysławiać jak wielka odpowiedzialność na niego spada. Pomyślałam wtedy, że właśnie dane mi było przeżyć najważniejszą rzecz w życiu, że od tej pory jedynym wielkim doświadczeniem, jakie mnie czeka, będzie doświadczenie śmierci.*

*I muszę panu powiedzieć, że dokładnie taki sam pogląd na macierzyństwo i rolę kobiety posiadają moje najbliższe koleżanki.*

## Klub Matek Polek

Zawiązał się samoistnie, wśród pań przebywających na urlopiach macierzyńskich. Osobliwa jest ta damska brygada. Stałymi bywalczyniami comiesięcznych spotkań są np. Romana Klimsza, Morawianka, małżonka cenionego reżysera teatralnego Janusza; Lucyna Sztabla-Hasan, która związała się z Kurdem; szkolna przyjaciółka pani Ewy, Daniela Kadłubiec-Halama, córka znanego profesora etnografii i polonistki; poza tym Maryla Janik-Mendrek, Danika Tomanek-Kraina, Irka Halama-Polak, Marta Mikulak-Kmeť, Basia Mrózek... Wszystkie posyłają dzieci do polskiej szkoły. To chyba właśnie Milan ochrzcił je mianem Matek-Polek. I to on, gdy widzi żonę zestresowaną, namawia ją do zwolania Klubu. „Cítim, že máš astineněni příznaky, zavolej si Danielce” (coś mi się zdaje, że masz objawy abstynencji, zadzwoń do Danielki) — rozprasza chmury.

Siedzą przy winie i roztrząsają do późna w nocy swe mało-wielkie babskie problemy. Trochę plotek, trochę poważnych tematów, trochę marzeń i wygłupów. Mówi się o wszystkim możliwym i niemożliwym, o zapładnianiu in vitro, homoseksualizmie, Kościele, antykoncepcji, o chłopach, miłości, seksie, dzieciach, szkole, pracy, narciarstwie i tańcu (ulubione formy rozrywki pani Ewy), a również o polskości, która przybiera coraz to nowe kształty.

— *To smutny i podniecający zarazem temat — słyszę po chwili namysłu. — Należymy do generacji, która dość daleko odbiegła od ideałów swotch rodziców. Jesteśmy o wiele bardziej skłonni do zaakceptowania czeskich stereotypów i obyczajów niż pokolenie ojców. Mało tego,*



Lata spędzone w ZPiT „Olza” należą do najpiękniejszych w biografii pani Ewy (druga z prawej). Do grona olziańskich wybranek należała i Renata Putzlacher, najjaśniejsza gwiazda na niebie poetyckim dzisiejszego Zaolzia (druga z lewej).

niektóre czeskie rzeczy wręcz lubimy. Zdaniem pani Ewy jest to rezultat odmiennej sytuacji społecznej i politycznej: — *Inna rzeczywistość kształtowała ich, inna nas. Zaolzie to wieczne rozdarcie...*

Mówi, że najbardziej czuje się u siebie, czyli w klimacie ojczystej kultury, wtedy, gdy na urodziny ojca, matki, babci, wujków i cioć zjeżdża się cała bliższa i dalsza rodzina, i oddaje się wspomnieniom: — *A jak już zaczęliśmy śpiewać nasze piosenki, jak widzę tych rozpalonych statecznych mężczyzn z burzą siwych włosów na głowach, to, och, nie mogę wytrzymać. Jestem wniebo-wzięta.*

Poza domem zaolziański człowiek nie zawsze może i potrafi być sobą. Dlatego pani Ewa tak wielką wagę przykłada do spotkań rodzinnych i podtrzymywania tradycji w gronie najbliższych:

— *Branni są znani z tego, że lgną do siebie. Na przykład mój brat Piotr, kardiochirurg w ostrawskiej klinice, wykorzystuje każdą wolną chwilę, żeby wpaść do domu. Oczywiście wysłał w Ostrawie córkę do czeskiego przedszkola, ale gdy ją odbiera, zwraca się do niej po polsku. A wiadomo, że w tym mieście wymaga to odwagi.*

— Rozumiem, że wasz damski klub jest jakąś próbą kontynuacji tradycji rodzinnych?

— *Nie zgadzam się. To jest zupełnie inna para kaloszy. Taka na naszą miarę.*

— Czyżby opadły z pani złudzenia?

— *W sprawach kondycji Zaolzia na pewno. To jest region wyjątkowych ludzi, spośród których bardzo wielu odniosło sukcesy w różnych dziedzinach życia, ostatnio zwłaszcza w biznesie. Ale polskość skurczyła się raczej do rozmiarów domowych... Na marginesie: nie jestem pewna czy nie pomogła jej w tym sama Polska. Z lat przetańczonych w zespole „Olza” utkwiło mi w pamięci takie wrażenie: poklepują nas po ramieniu, mówią, że jesteśmy najlepsi, ale tak naprawdę hołubią, doceniają i nagradzają tylko polonusów z Ameryki. A dziś, jak słyszę i czytam, z Litwy.*

## Styl życia „Pigmalion”

Poczęte z marzeń pani Ewy centrum nauki języków obcych zachwała się sloganem „Nauczmy Was języka, nie słówek”. Jak zwykle przesada, myślę idąc z tekstem do autoryzacji.

Przypadkowo spotykam po drodze kuzyna Julka:

— *Co, pani Katrušák? No pewnie, że ją znam, przez siedem lat uczyła w Gimnazjum Polskim w Czeskim Cieszynie, przedtem w Szkole Przemysłowej w Karwinie, a swego czasu Bogdan, starszy syn, zaczął u niej brać lekcje angielskiego. Jest bezkonkurencyjna! Jak potem Bogdan składał egzamin do szkoły w Stanach Zjednoczonych, to należał do najlepszych w republice. Ona nie tylko umie nauczyć, ale... Wiesz, jest niesamowicie piękna, a to Bogdana wyraźnie motywowało. Na zajęcia w gimnazjum się prawie wcale nie przygotowywał, łobuz, ale we wtorek wieczorem, dzień przed lekcją z Katrušák, siadał i wkuwał.”*

— Pani Ewo, spotkałem Julka, ojca pani ucznia...

— *O, jak się powodzi Bogdanowi? Zdolny chłopak, zaprzyjaźniłam się z nim. Regularnie pisywał do mnie z Ameryki.*

— Chyba znowu tam pojedzie, otrzymał dwie oferty z tamtejszych uniwersytetów.

— *Brawo!*

— A przy okazji nareszcie się dowiedziałem, z kim mam przyjemność. Nie przypuszczałem, że pani jest takim tuzem.

— *Aż tuzem? (pęka ze śmiechu) Panie Kazku, wszystko zależy od metodyki. Ja nie wymyśliłam nic nowego, idę tropem Jadzi Suchoń i wyniesionych z uniwersytetu wzorów, stawiam starych i młodych w najbliższych im sytuacjach i każę je rozwiązywać przy użyciu języka angielskiego. To wszystko.*

— Czuję, że jest w tym coś więcej...

— *Tak? To ja panu podpowiem. Pasja. Mam zamiar nie tyle stworzyć szkołę, co styl życia, coś, z czym moje pokolenie, i nie tylko, mogłoby się identyfikować. Będzie śpiewać piosenki po angielsku, niemiecku, francusku, będziemy spędzać czas nie tylko w klasach, ale też w wy-cieczkach, koncertach i wspólnych zabawach.*

Przeglądałam biuletyn reklamowy i widzę, że pasja pani Ewy trafiła zaolziakom do przekonania. Wśród pierwszych słuchaczy znajdują nazwiska biznesmenów z „olziańskiego” grona: Mariusza Wałacha, szefa „Walmartu”, największej wytwórni napojów bezalkoholowych w Czechach; Leszka Kotuli, przedstawiciela Zelmera na Czechy i Słowację, znanych i uznawanych nie tylko w republice lekarzy z prywatnego szpitala w Trzyńcu Podlesiu...

— *Oni zareagowali pierwsi, ale nie myślę, że powodowali się sentymentem do lat wspólnego występowania w „Olzie”. Przeżyliśmy razem dużo wspaniałych chwil, teraz jednak każdy musi myśleć o sobie.*

— Więc co ich do pani przywiodło? Potrzeba języka?

— *Naturalnie, bez znajomości przynajmniej jednego zachodniego języka jest się dziś skazanym na granie w drugiej lidze życia. Oni o tym wiedzą.*

— A pani uroda, czy ona nie odgrywa tu żadnej roli? W końcu nieprzypadkowo została pani okrzyknięta „Najszokowniejszą” w pierwszych na Zaolziu wyborach najpiękniejszej Ślązaczki...

— *To było bardzo dawno temu i się nie liczy. Pozostaje to, co się ma w głowie. Niech pan nie myśli, że się chce wykręcić sianem. Ja w to wierzę.*



## ODWRÓT SPOD TROI (I)

To co pozostaje: wrony, kruki, kawki,  
Jedyni zwycięzcy zapomnianej wojny.  
Ciała bohaterów w objęciach przyptywu.  
Ciała tchórzów i zdrajców w objęciach przyptywu.  
Kamienie i piasek w objęciach przyptywu.  
Spalone okręty, gruzy w miejsce rajów.  
Dzioby, łapy, skrzydła, czarnopióre ptaki,  
(Powietrze im daje pozory wolności).  
Znad zgłiszczy przeznaczonych każdej złej miłości  
Ruszają w powrotną drogę do Itaki.  
Już nic się nie zdarzy nad zapominanie  
Blasku ognia, smaku krwi, pisku zabijanych,  
Chudych nóg rozwartych pod brzuchem zdobywcy  
Drobnych piersi szarpanych palcami zdobywcy  
Jęków, płaczu i wrzasku, gdy sztylet zdobywcy  
Wytyczał trajektornię pomiędzy żebrami.  
Ciałom w objęciach morza nic nie będzie dane:  
Szaty, klejnoty, owce, kobiety i wino  
Posiadą inni.  
Ciałom w objęciach nocy będzie dana pamięć.  
Pusta ziemia uwolni czarnoskrzydłe ptaki  
I nic się nie wydarzy nad zapominanie.  
Ciałom w objęciach ziemi będzie dana pamięć.  
Już nic się nie stanie.

## ODWRÓT SPOD TROI (II)

Miasto stało w ogniu i dymie  
I wszystko zostało zrobione i powiedziane,  
I wszyscy mężczyźni polegli,  
I wszystkie kobiety zostały zabite,  
I wszystkie dzieci umarły.  
I wszystko stało się tak jak stać się miało.  
Ślad zaden nie pozostał po dumnej twierdzy,  
Ani na ziemi, ani w niebie, ani na morzu,  
I wszystkie klejnoty zostały zabrane,  
I wszystkie strojne ubrania,  
I wszystkie owce i beczki z oliwą i winem,  
I wszystko stało się tak jak stać się miało.  
Bogowie, gniewni i skłóceni wrócili na swą górę,  
Nie oglądając się na nasze bogate ofiary,  
I nasi królowie przechwalali się przed sobą  
Naszym męstwem i swoją mądrością,  
I wszyscyśmy przez tydzień spijali się winem,  
I oplakiwali poległych przyjaciół i wrogów,  
I wszystko stało się tak jak stać się miało.  
Świt zbudził nas chłodnym, dźwięczącym powietrzem,  
I kamienne ryby wynurzyły się z wody,  
I wiatr wyl przeraźliwie wśród ruin i skał,  
I zepchnęliśmy okręty na otchłanne morze.

## KIRKE

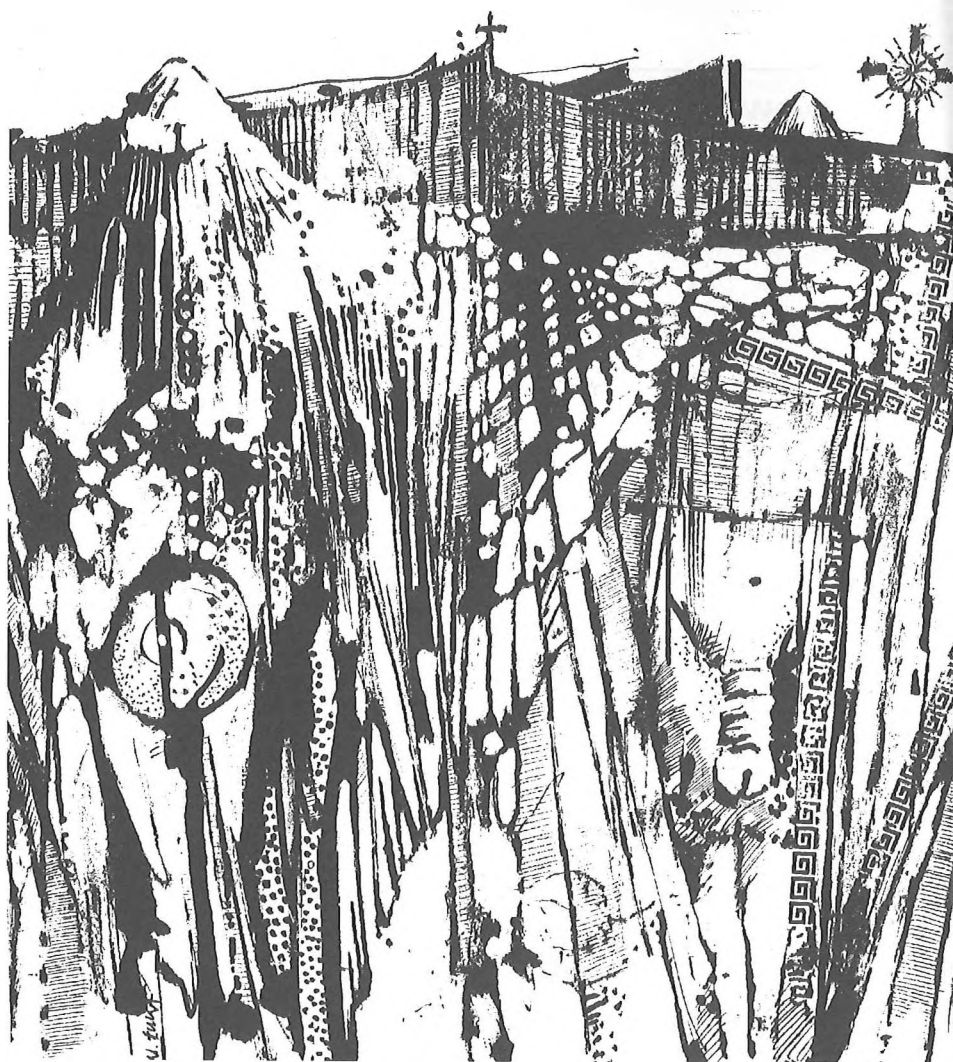
Kiedy Kirke się złości lepiej zejść jej z drogi.  
Bo kiedy zmruży oczy i podniesie dłonie  
Będzie za późno.  
Przyjdzie ci przez lata chrząkać w kącie chlewa  
Czekając zmiłowania wiedźmy lub rzeźnika.  
Kobieta czy bogini,  
Kirke najpiękniejsza jest kiedy się złości.  
Naga na szczycie wzgórza zatapia okręty  
Skinieniem powiek zaś linia jej bioder  
Budzi dreszcz grzeszny w drzewach i kamieniach.  
Cóż, Penelopa pewnie posiwiata,  
A słuchy o jej wierności mocno przesadzone.  
Wiatr wzmaga się kiedy usta czarownicy  
Pełzną, wilgotne, po brzuchu żeglarza.  
Morze zostanie morzem, skała skałą,  
Chleb pozostanie chlebem, wino winem,  
Sól solą. Niczego nie zmieni  
Miłość ani jej brak, ani zapomnienie.  
Siwa kobieta na schodach, oparta o poręcz.  
Błękit jej sukni wabi latające ryby.  
I nic się nie zmienia. Chleb jest chlebem,  
Sól solą, skała skałą, czekanie czekaniem.  
Smak morskiej wody, żagli, małż i wodorostów  
Wdziera się do jej ust, suchych i splekanych.



Rys. Wojtek Łuka

# Pani Emilia

BOGDAN DWORAK



Rys. Wojtek Luka

Najprościej byłoby się wyspowiadać. Wypada pojednać się z Bogiem, ale czy kiedykolwiek spowiadając się — Boże jakie to odległe czasy — pojednałam się ze sobą... Ta spowiedź trwałaby godzinami, może nawet tygodniami, jeśli nie powiem wszystkiego nie pojednam się ani z sobą, ani z Bogiem. Nikt mnie nie wysłucha. To też nieprawda. Nie mam kogokolwiek, kto by mnie wysłuchał. Jedynie ta stara panna, która też nie ma nikogo i odwiedza mnie tylko dlatego, że jest przerażona własną samotnością. Ale ona się skazała na samotność od samego poczęcia. A ja — żyłam. Żyłam. Najczęściej kłamstwem, ale zawsze miłością. Zadzroszczę współczesnej młodzieży, bez najmniejszego zażenowania mogą o sobie powiedzieć: będziemy się ciumciać, pierdolić, a ja te czynności owiewałam mgiełką wyrazów, które miały dać zapach zmiętym prześcieradłom... Lekkość mojej skóry, skór moich kochanków o zapachu czasami tak ostrym jak esencja octowa, podnosiłam w moich nozdrzach i wspomnieniu do zapachu bżów, jaśminów czy maciejki zasianej przez matkę pod oknem. Może nawet czułam te wszystkie zapachy. No i cóż, że powiem o tym tej starej pannie. Czy ona rozumie tę rozkosz zbrukanej skóry zmieszanej z zapachem wiosny czy wszystkimi porami roku. Ktoś o starej pannie powiedział, że jest dziewczą z konieczności. Pewnie jest. Kiedy tak czasami siedzi przy mnie, założy nogę na nogę i jej uda pozbawione partnera wprowadzają ją w rozkosz, czy przez taką rozkosz można stracić cnotę. Pewnie nie... Więc co ona z tego rozumie, co ja jej powiem, chyba że jej strach przed własną samotnością jest większy od mojego i utożsamia się ze mną. A niechby nawet nic nie rozumiała, przecież muszę jej to powiedzieć. Księdzu wystarczy kilkanaście zdań, klecha się pewnie wrzusi, kiedy mu wyznam jak bardzo żałuję, że byłam tak zła dla ludzi i że wielu skrzywdziłam. Pocięszy mnie zawodowym gestem laski: jeśli bardzo żałujesz, to Bóg ci wybaczy. — I będę się biła w piersi: Mea culpa, mea culpa, mea culpa. I w czasie tego gestu znów nie będę żałowała swoich win, najłatwiej jest okłamać Boga. Nie zareaguje w sposób widoczny, nie pogrozi mi palcem.

Cudownie, że pani przysłała. Zupełnie mi niepotrzebne te pomarańcze i banany. Niech pani spojrzy. Mam tu wszystko. Niech pani otworzy szufladkę, mam nawet własne leki. Ci głupi lekarze by mi je zabrali, ale niech mi pani wierzy, tylko te mi pomagają. Te które przynosi mi pielęgniarka, spuszczam z wodą w ubikacji. Jedynie od zastrzyków nie mogę się wymigać. Nie odmówię sobie hiszpańskiej mandarynki. Dlatego one w środku są takie czerwone... zupełnie jak moja rozrzedzona krew w probówce. Pyszne. Teraz żaden z tych konowałów nie wejdzie, siostra też. Ach, muszę zapalić. Palę moja droga, nawet na tej sali. Przypuszczam, że

podejrzewają mnie o to, ale chyba wiedzą, że to moje ciało niedługo znacznie rozkładać się w grobowcu obok mego męża. Udają, że nie wiedzą, że palę. No widzi pani jacy głupi, teraz wiem, że nie mam żadnej nadziei. A ja proszę pani całe życie miałam nadzieję. Mnie porywał wielki świat. Ja byłam stworzona do życia w świecie wielkim. Pani myśli, że to jest łatwe marzenie. Było nas siedem siostr, w małym podkrakowskim miasteczku, wsi prawie. I moje siostry robiły karierę wychodząc za mąż. Niech mi pani wierzy, żadna z nas nie miała matury, ale każda była profesorką, dyrektorką i te pozy, jakie myśmy miały pozy. Przy tych paniach profesor, doktor, myśmy były damami, a one zasuszone w pracy naukowej, z włoskami przylizanymi gładziutko, związanymi w mysi ogonek, czasami z męskim przedziałkiem jakże nam musiały zazdrościć. Powiem pani szczerze, ja tym naukowym myśzkom zazdrościłam chyba nawet bardziej niż one nam. Bo gdybym proszę pani ja była naukowcem lub artystką, nie miałabym gładko zaczesanych włosów z mysim ogonkiem lub męskim przedziałkiem. Ja bym proszę pani nosiła fryzury jak najpiękniejsze aktorki świata, cholera, widzi pani, zgasiłam papierosa i znów muszę zapalić. Ta nikotyna jest mi potrzebna, ale ten woal dymu i ten gest trzymania papierosa jest jedynym dowodem mojej żywotności. Oczywiście, kiedy z panią rozmawiam, bo kiedy jestem sama, to te papierosy ćmię nerwowo jak uczennice w ubikacji w czasie przerwy szkolnej. Prawdziwa kobieta powinna w swoim życiu wszystko robić na pokaz, nawet palić papierosy. Oczywiście ma pani rację, że pani nigdy nie widziała kobiety, która by tak paliła papierosy jak ja. Tu w tym szlafroku wyglądam śmiesznie z tym papierosem ale niech pani mnie sobie wyobrazi: wieszorowa suknia, dekolt, podniesiony biust — umiałam go pokazywać zalotnie nim wymyślono bardotki — za mgiełką dymu. Boże, pożerali mnie spojrzeńmi wszyscy mężczyźni. Raz na przyjęciu w Krakowie u mojej siostry profesorowej pewna aktorka zaproponowała mi nawet wyjazd do Wenecji. Z powodu mego biustu i stóp, które wynikały z czarnych lakiereków. Wie pani, mnie się zdaje że ja nawet w tych bamboszach mam wierzchy stopy alabastrowy. Dlatego nie zakładam skarpet ani pończoch jak te wszystkie konające tutaj pacjentki. Oczywiście nie pojechałam do Wenecji z jakąś zboczoną aktorką... Może trzeba było wyjechać. Ach, proszę pani, po cichu mówili o mnie: za stara kurwa. Czasami dodawano: partyjna kurwa. Nawet w tym się mylili. Nie wykorzystałam wszystkich możliwości i propozycji. Ale przynajmniej, w tym mieście byłam kimś, górowałam nad paniami lekarkami, profesorkami, paniami z establishmentu tego miasteczka, które kończyły uniwersytety i inne uczelnie. Pani się przyzna, to moje ogłoszenie o zaginionym świa-

dectwie dojrzałości, które miałam uzyskać w krakowskich Urszulanek, to była moja największa mistyfikacja biorąc pod uwagę formalność mojego wykształcenia. Wszyscy mi współczuli, że w czasie wojny zaginęło właśnie to świadectwo. Skończyłam zaledwie dwie klasy. Pamięta mnie pani, kiedy tu przyjechałam. I co, lepsza była ode mnie pani doktor, która jest teraz wielkim ordynatorem. Nigdy by nawet matury nie zdała, gdyby nie partyjna pozycja jej matki. A ta sędzina, czy pani wie, jak ona trzymała szklankę z herbatą na przyjęciu. Tak ten mały paluszek odstawała, tak. Kilka profesorek robiło to samo. Wie pani co jest najgorsze, że te wieśniaczki, jak to się pisze w prasie inteligentki pierwszego pokolenia nie zachowują się przy stole jak prawdziwe chłopki, tylko robią przy stole z siebie takie fiu-bzdzi i to je zdradza. A ja od razu byłam z klasą. Znow muszę zapalić. Chwileczkę, chwileczkę, pokażę pani moje zdjęcie ślubne. No proszę, niech pani patrzy. To jestem ja. Przyzna pani, że mój mąż miał urodę, choć psychikę miał ciapka, ale przy takich kobietach jak ja wszyscy mężczyźni służą mi na dwóch łapkach jak ciapki. I służyli mi. Wszyscy. Miałam pozycję niezachwianą. Każdy sekretarz w naszym mieście, obojętnie w jakim stopniu sekretarzowania pragnął się o mnie otrzeć. A kiedy okazałam się laskawa, to już rządziłam tym prowincjonalnym białym domem. Te ich głupie barchanowe żony czuły się zaszczyczone, gdy im podawałam herbatę u mnie w mieszkaniu w cieniutkich filiżankach z chińskiej porcelany. Pijąc odchodziły mały palec, ale to i tak było dla nich więcej niż blaszany kubek, który w dzieciństwie parzył im palce i wargi, kiedy siorpały kawę zbożową czy płyn koloru słomki, który nazywano w ich domu herbatą. Wie pani, one pewnie dlatego tak ten mały palec odsuwają od filiżanki. No ale niech pani spojrz na to zdjęcie. Wtenczas jeszcze nie robiono kolorowych fotografii, ale nie byłam spowita w tiulową suknię i welon, który włókił się za panną młodą pięć metrów i jeszcze tak upięty, bo osłaniał zbyt widoczną ciążę. Niech pani spojrz, ta krótka suknia była niebieska i te dwie mgielki we włosach, to kawałki paryskiego tiulu. Był również niebieski. O jeszcze jedno zdjęcie. Ślub brałam w drugi dzień Bożego Narodzenia. To futro, które tak lekko ze mnie spływa, to norki, najprawdziwsze norki...

Nikomu o tym nie mówiłam. Pani to wyznam. Uznali by mnie za mitymankę. Co tam moje siostry profesorowe, dyrektowe, docentowe. Czy pani wie kim ja bym była... No niech pani zgodnie. Bardzo bogatą? No też byłabym bardzo bogatą. Niech pani jednak doda bogactwo do stanowiska. Ministrową? Ech... To chyba potem. No widzi pani. Małe miasto tak zabija wyobraźnię. Ja bym była a m b a s a d o r o w ą. Ambasadorową w mocarstwie świata. I co pani myśli? Że w tym mocarstwie świata, ci wszyscy wielcy nie leżeli by u moich stóp. A pani wie co to znaczy, gdy kobieta światowa mówi, że mężczyźni leżą u jej stóp, no wie pani, czy pani nie wie... Oczywiście nie wie pani. Bo skąd. Kiedy mężczyźni wielkiego świata leżą u stóp jakiejś kobiety, to znaczy, że ich języki wypieściły każdy milimetr skóry tej kobiety. Nie ma takiego zakątka w ciele kobiety, gdzie by ich ognisty język nie pragnął dotrzeć. Taka kobieta musi być chłodna, bo wówczas ona decyduje za tego rozpalonego do czerwoności władcę świata. No ale czy w naszym mieście taka lekarzyna czy taki sędzia czuje się na tyle władcą świata, aby zapragnął władać kobietą poprzez penetrowanie językiem jej najczulszych zakątków. Wie pani co, owszem, zdarzyło mi się, ale to był ksiądz...

Więc... byłabym ambasadorową. Da pani wiarę. Niemal senne uzdrowisko, Polanica. Kawiarenka jak chatka z piernika w bajce o czarownicy. Moja przyjaciółka przynajmniej przystojna, no i wykształcona miała siostrę. Siostra była bardzo piękna. Ta piękna siostra miała narzeczonego i wie pani, ja też miałam narzeczonego.

Mój narzeczoney. Mój pierwszy narzeczoney. Tradycja rodzinna mojego narzeczonego. Na klatce schodowej kuta poręcz, mocno wydeptane marmurowe schody, zapach klatki schodowej, stary plusz z perfumami jak w Teatrze Słowackiego i kocie szczyzny. To jest cały Kraków. Aristokratycznych mieszkań lat pięćdziesiątych. Ale w przedpokoju to już zapach wypastowanych posadzek, parkietów Wawelu. Przyszła teściowa rozwierna ramiona. Cmok w jeden policzek, cmok w drugi policzek: Doprawdy jesteście co dzień piękniejsza. Wiem, że jestem piękniejsza. odnajduję się jednak dopiero w salonie. Zapadam się w fotel wybity zrudziałym złościstym adamskim. Ach, jak się cudownie umiałam zapadać i podziwiałam rachityczne nóżki stolika któregoś tam z Ludwików. Filiżanki, kryształ, srebra... to wszystko będzie moje. A narzeczoney, metr dziewięćdziesiąt. Wąskie stopy, dłonie wąskie jak u Chopina, a bary szersze jak u drwala. W rodzinach niektórych myślicieli rozwijały się nie tylko mózgi. Dziadzio narzeczonego znawca kultury Wschodu na Uniwersytecie, przyszły teść — prawo międzynarodowe, kariera dyplomatyczna i resztki ziemianńskiej fortuny we wnętrzu mieszkania. Grywał w tenisa z księżętami w różnych krajach. Syn odziedziczył, mój narzeczoney umiejętność prawa międzynarodowego, pisze doktorat, gra w tenisa, te bary i te uda. Uczciwość. Ha, hahaha. Nigdy bym w to nie uwierzyła. Taki wiecuzka, taki katolik i bez krzty obłudy, byłam jego pierwszą dziewczynką, kiedy otworzył przewód doktorski. Moje siostry będą miały jeszcze jednego szwagra profesora i ja też będę profesorową. Jak on siedał przy tym stole... Tyrało niechęć, dyskretnie muskał mnie udem. Patrzyłam przed siebie, i naśladując aktorki filmowe, ta herbata, ach jak dziś pachnie ta herbata... Odstawiając filiżankę patrzę na rozszerzone uda narzeczonego, krocze pęcznienie, trzeba przyznać, jego móżg był równie doskonale jak i Męskość. Po procesji Bożego Ciała przyszli teściowie na obiedzie u Metropolitę. A ja z narzeczoneym sama w salonie pełnym kryształów, biedermajerów, bibelotów. Boże jak rozkosznie drażniła mnie skóra na dłoniach, kiedy

w spaźnie pieściłam jego twardniejące pośladki. Niestety, nikt nie myślał o prezerwatywach. Na początku lipca wiedziałam, że już muszę wyjść za mąż. Nabrał wprawy w sztuce miłosnej, nie sapał, był delikatniejszy od motyla, nawet zaniechał nauki siódmego języka, którym był portugalski. W świętego Benedykta, w dniu imienin przyszłego teścia, kiedy wyszli wszyscy goście, powiedział rodzicom: Będę się żenił. Jego matka uniosła się prawie w powietrze. Boże jakie to szczęście, jakże się cieszę, a ojciec przypomniał, że w takim razie trzeba znajomego hrabiego bardzo gorąco poprosić aby przed ślubem przyszły doktor prawa międzynarodowego mógł spędzić sześć tygodni w londyńskim archiwum. Stosunki, stosunki, na szczęście ówczesny minister spraw zagranicznych mimo komunistycznego reżimu stanął na głowie. Tak moja droga, stanął na głowie minister, nie jest żadnym naszym krewnym, stanął na głowie i twój przyszły mąż, jeden z niewielu Polaków pojedzie do Londynu. Przyliliła mnie do siebie i prawie ze łzami w oczach: Kochana, żony uczonych często pozostają same, ale wierz mi, ćwiczenie wierności mężowi w naszych sferach jest tak samo ważne jak ćwiczenie szwadronów ułańskich, kiedy pod kule szło się z szablami. Kiedyś kobiety nasze szły za mężami na Sybir. Teraz znoszą gorzyc samotności, ale i tak na szczęście nigdy się nie nudzimy... Nie musimy pijać herbaty. Ani bywać na przyjęciach partyjnych dygnitarzy i ich zaplesniałych żon. Narzeczoney pojechał do Londynu, mnie wysłali do Polanicy. Małeńki pensjonat a w sąsiedztwie dom klasztorny z przeoryszą, siostrą teścia. Codziennie komunია, godzina skupienia, najszczęsza modlitwa: Boże, niech mi się urodzi piękne dziecko.

Te dwie bliźniaczki, jedna z narzeczoneym, druga bez, zamieszkały w pensjonacie vis a vis moich drzwi. Uczzone, skrupulatne, zadaniczne. I pomyśleć, że te prawie szare w urodzie dziewczęta potrafiły zafascynować męczyznę mojego życia. Zwłaszcza ta bez narzeczonego. Też codziennie ze mną do komunii, na rozmowy z siostrą przeoryszą, przez chwilę nawet myślałam, że chce zostać zakonnica. I tak sobie siedzimy w tej kawiarni wieczorem, przyszła zakonnica nieruchoma jak Sfinks ale z lekkim uśmiechem, szyja długa, popielate włosy, spadają na ramiona i tak patrzy przed siebie, patrzy: Ty jesteś jak stygmatyczka powiedziała mi pełna zachwyty i wtenczas wszedł on. Omiótł spojrzeniem pustą kawiarnię, zatrzymał wzrok na stygmatyczce, wbił we mnie źrenice jak sztylety, zadrażał. Gdzie mu tam było do mojego narzeczonego. Tylko te oczy i włosy. Krótkie, gęste, skręcone, przylegające do czaszki jak aksamitna czapeczka. Ten na pewno nie był dziewicą. Zaręczoną bliźniaczkę rozboleła głowa. Poszły do swojego pokoju. Nieznajomy natychmiast przysiadł się do mnie. Zapropował papierosa. — Proszę pana, mógł pan przy mnie usiąść, ale dziewczęta z moich sfer nie palą. A piją? — Limoniadę, odpowiedziałam, nie wiem czemu naśladując przyszłą teściową. A czy dziewczęta pijące limoniadę można porwać w wielki świat? Proszę pana, nie ma większego świata od tego, który jest we mnie. Zesztywniał. I już wiedziałam, że to jest ten. Czy możemy pójść na spacer? Oczywiście. Przed pensjonatem sięgnął do kieszeni, wyciągnął pęk kluczyków. To jest mój samochód, pomyślałam, że to nie życie ale film. Kto w tych latach miał swój samochód. Czarna Tatra z grzebieniem najezonym jak u wieloryba. Proszę pana, pan mnie zaprosił na spacer. A przejażdżka samochodem to nie dla pani? Nigdy w życiu nie byłam tak szczerą. Proszę pana, jeździłam tylko taksówką. Więc się pani nie skusi? Pan jest moim pokuszeniem, ale tylko na spacer. Małeńka willa z czerwoną dachówką otoczona drewnianym plotem, lukiem zakończoną furtką tonącą w pnących różach, kwiaty sięgały aż na chodnik. Wśród kwiatów widniała tabliczka: Róża prosi — nie zrywaj mnie. Przechytałam głośno i poprosiłam, żeby mnie odprowadził do pensjonatu. Nazajutrz gdy wychodziłam z domu siostr zakonnych, stał przy otwartych drzwiach tatrę, zaproponował wspólną przejażdżkę. Bliźniaczka zachwycona. Ach to cudownie, to cudownie. Wokół są piękne serpentyny szos. Pomknęliśmy. Nie musiałam go niczego uczyć. Bez przerw paplałam o miłości. Boże, jak ja o tej miłości mówiłam. Szkoda, że kiedy kobieta jest szczęśliwa, nie zapisuje tego co mówi. To była poezja, najprawdziwsza poezja. Kochankiem był nadzwyczajnym. Najpierw z Polanicy wróciłam do miasteczka, gdzie mieszkali moi rodzice. Matka pytała o datę ślubu, jak się czuje profesorstwo, a ja poprosiłam ojca o pożyczkę. Ginekolog w Wieliczce wcale się nie zdziwił. Ani jedna lza mi nie upadła. W godzinę po zabiegu wysłałam krokiem sprężystym, jakbym przed chwilą opuściła basen. Wysłałam list do przyszłych teściów. Przepraszam za wszystko. Zerwałam zaręczyny, odwołałam ślub. Przyjechałam do domu rodziców i krzyknęłam: Wychodzę za mąż, wychodzę za mąż. To przecież żadna nowość — powiedziała matka. Nie wychodzę za mąż za tego cnotliwego dryblasła od prawa międzynarodowego. Matka zbladła i powiedziała do ojca: No tamtych sześć wydaliliśmy bez kłopotu, ale z tą... — Co z tą? Co z tą? Ja wychodzę za dyplomatę. On tworzy prawo międzynarodowe, a nie ślipie nad nim w jakichś bibliotekach angielskich. Nie będę profesorem, dyrektorem, tylko ambasadorową. Ojciec plasnął w ręce jakby przed chwilą wszystkich oszukał w grze w pokera. — Zawsze mi się wydawałaś najbardziej udaną córką. I ojciec się nie pomylił. Poszłam do swojego pokoju, chora ze szczęścia. O zabiegu u ginekologa nawet nie myślałam...

Przez dziesięć dni codziennie wieczorem dzwonił telefon. Podnosiłam słuchawkę — Halo, to ja. Tęsknię. Pamiętam wszystko. Czekam na ciebie. Nie mogę powiedzieć, że śnię o tobie, ponieważ prawie wcale nie śpiam.

Wykrzykiwałam swoją miłość tak głośno, że aż się ludzie zatrzymywali przed naszym domem. Matka upominała: Ciszej, mówże ciszej. A ja



do słuchawki krzyczałam: niech się mama uspokoi, niech się mama uspokoi. A kiedy on mówił do mnie to nie trzymałam słuchawki, to nie był śmieszny gabinet ojca z telefonem, trzymałam jego dłoń, wysyłam się w jego sukni, gryzłam go po szyi. A kiedy prawie po godzinie kończyłam rozmowę, słyszałam najpiękniejsze walce świata i tańczyłam po gabinecie ojca, tańczyłam, wirowałam, aż padałam pół przytomna na sofę i widziałam siebie już nie z nim w atlasowej pościeli, tylko gdzieś na schodkach samolotu, kiedy kiwam odprowadzającej nas delegacji. Boże, w jakich siedziałam kawiarniach. Z jaką pogardą patrzyłam na inne kobiety. Bez przerwy powtarzając: Mój mąż to, mój mąż tamto, mój mąż, mój mąż... Pragnęłam wracać z podróży do naszego małego miasteczka, paczki w kolorowych pudełkach przewiązane kolorowymi wstążkami nie mieściły się w samochodzie. A potem wyjmowanie z tych paczek wielkiego świata. Dla mamy chiński szlafrok. Dla tatusia pióro. Whisky, Armagnac, prawdziwa gąbka do łazienki. Pokochałam nawet parszywiejącego psa sąsiadów za plotem i rzucałam resztki mięsa, które specjalnie dla niego zostawiałam.

Profesorstwo z Krakowa zapowiedziało się z wizytą. Wysłałam z domu o świecie. Poszłam między między zbożami daleko, daleko. Przeleżałam naga cały dzień nagusienka. Nie wiedziałam, że w zbożu jest tak duszno i pachnąco. Wróciłam do domu, słońce zachodziło czerwono. Matka powiedziała tylko. Profesorstwo wcale cię nie potępiają. Nie mogą tylko zrozumieć dlaczego im nic nie wyjaśniasz. — Boże, mamo. Takich rzeczy się nie wyjaśnia. Spojrzałam w lustro. Byłam pięknie opalona. Dojrzałe brzoskwinie. Gdybyś się wpił we mnie wszystkie brzoskwinie, które do tej pory jadłeś, wydałyby ci się zjeczka. Tak to wszystko myślałam. Rozumiesz? Ba, nie myślałam. Wymknął nagle z chlustającego czerwienią zachodzącego słońca. Przylgnęłam wargami do jego pępka i wiesz co — wyjęłam z kącika ust jego skręcony włos. Kiedy dopiero chciałam mu powiedzieć, jaki ten jego włos jest piękny, spostrzegłam, że jestem sama w pokoju. Telefon milczał. Nie odezwał się w nocy ani rano. Telefon milczał przez kilka dni. Długo przymierzałam biały kapelus z bukietem sztucznych fiołków. Czegoś mi było brak. Drugi bukiet wpięłam w kłap białego żakietu. Wykupiałam bilet do Warszawy. Im wiesz, od tego momentu nigdy w życiu już nie wyszłam na ulicę bez kapelusza. Tamtego białego z bukietem fiołków nie zdjęłam nawet w pociągu, choć nie mogłam się wygodnie oprzeć z powodu dużego ronda.

Dom na Wilczej, w którym mieszały bliźniaczki w połowie był zburzony. Do ich mieszkania na drugim piętrze szłam schodami przyczepionymi do ścian z resztkami przedwojennych malowideł saloników, kuchni, sypialni... Wiatr omal nie zerwał mi kapelusza. Drzwi otworzyła mi bliźniaczka z urodą stymatyczki. Była zdziwiona moją serdeczną wylewnością, ale powiedziała: Wejdz. W oknie bez firanek stały dwie pelargonie i klatka z chomikiem. Stół zawalony książkami i notatkami. Nie miałam odwagi poprosić o nocleg. Wśród książek i notatek stała szklanka a w niej grzałka elektryczna.

— Za tydzień wychodzisz za mąż? Nic mi o tym nie mówiłaś w Polanicy. To przecież twoja siostra miała narzeczonego. Stało się to tak nagle... Sama nie możesz w to uwierzyć? Za kogo? Za kogo?! Boże... jaka musisz być szczęśliwa. Dlaczego tak szybko? Aha... Musi jechać na placówkę... Musicie wyjechać na placówkę... Rozumiem. Na żonę dostaje również wyposażenie. Tylko na rok do Szwajcarii, a potem Stany? Moje gratulacje... Nie, nie będę u ciebie spała. Zalatiwuję sobie hotel. Jutro moją narzeczoną wraca samolotem z Londynu, muszę być na lotnisku.

Dziwisz się, że byłam taka spokojna. Czy mogłam płakać, tłuć głową o odrapaną framugę rozwalonego domu, w którym mieszały bliźniaczki, głową w moim pięknym kapeluszu.

No patrz na to zdjęcie, moja droga. Łatwiej o męża niż o wielką miłość. Mówią, że trudno o dobrego męża. Dobroć mojego Zyguścia przerażała pojęcie ewangelicznej dobroci i nie uwierzysz, ten chłopiec, który miał za sobą akowską przeszłość, był dziewiczy jak noworodek. Kiedy go rozbudziłam, potrafił mnie tylko prosić, nigdy nie przestał kochać matki. A teściowa miała urodę przedwcześnie postarzałego obojniaka. I do tego była — nauczycielką. Nie patrzyła na mnie jak na wroga, ale nie widziała we mnie kobiety. Stałam się dla niej młodszym synem.

Co tak pani na mnie patrzy? Tak panią to dziwi? Proszę pani, w moim wieku patrzy się trzeźwo na wszystkie szalenstwa, które się w życiu popeliło. Uśmiecha się pani do mnie przez uprzejmość. Powinna pani wybuchnąć śmiechem. Ale ja panią tylko przerażam. Nie wiem dlaczego nie wyszła pani za mąż, ja musiałam. Z profesorowej zrezygnowałam, ambasadorową nie zostałam z powodu cipki bardziej szarej od zdychającej myszy. U siostry profesorowej w Krakowie przedstawiono mi Zyguścia. O jego przeszłości akowskiej mówiło się szepceniem, gratulowano mu jednak głośno, że potrafił ukończyć studia ekonomiczne. No przystojny to on był, przecież pani widziała na zdjęciu. Cnoty nie miał wypisane na twarzy. Ale kiedy podał mi rękę, wiedziałam na pewno, że od czasu dojrzywania aż do teraz byłam jego jedyną kochanką. Była jeszcze kamienica, to w tym pani mieście, do którego zjechałam. Kamienica i cnota narzeczonego nie miały dla mnie żadnego znaczenia, ale zaraz przypomniały mi się słowa dozorczy krakowskiej kamienicy: Nawet kiedy król wydaje córkę za monarchę, nachyla się do ucha swojej żony i szepcze: No nareszcie wywieziono furę gnoju z naszej komnaty. Mój ojciec czekał na wywiezienie siódmej furi, którą byłam ja. Mnie nie wywieziono, wyjechałam za Zyguściem, o, i tak wyglądałam w dniu ślubu. Niech się pani przyjrzy tej fotografii. Niech mnie pani nie przekonuje, że pani nie chciała wyjść za mąż. Każda kobieta pra-

gnie wyjść za mąż. Te, które nie wychodzą, wbrew sobie robią wszystko, żeby za mąż nie wyjść.

Biedny Zyguś... Gdyby nie ja, do końca życia byłby zapyziałym księgowym w fabryce pasty. Nie mogłam się pogodzić, że będę żoną księgowego. Jeśli nie profesorową, jeśli nie ambasadorową, to przynajmniej dyrektorową być muszę. I zostałam. Musiałam sobie zadać wiele trudu, ale dziś widzę, że to było nawet bardzo łatwe... Wystarczy umiejętnie licytować własną kobiecość, aby męża wepchnąć tam gdzie się żonie podoba. A jeśli jeszcze się to robi z nienawiścią, do tych marnych samców na wysokich stanowiskach, zwycięstwo jest murowane. Zwłaszcza w takim zadupiu, jak pani rodzinne miasto, którego też nie pokochałam a spoczną tu na wieczne czasy. Wykorzystałam wszystkie sprzyjające okoliczności... Sekretarzami partyjnych komitetów byli zawsze najgłupszy, najbardziej ulegli. Prostactwo tych sekretarzy przerażało moją wyobraźnię, a ich żony — lepiej nie mówić. Proszę panią, oni potrafili wypić trzy butelki koniaku w ciągu jednego wieczoru. Początkowo mieli trochę kłopotu z wyścążeniem do dna ze zwężających się kieliszków, ale po trzech bulgotało im w gardłach jakby chlali czysciocze z musztardówek na odpuszcie w rodzinnej wsi. Bo w tym mieście proszę pani, które miało tradycje rewolucyjne sekretarzami, dyrektorami i naczelnikami było samo chłopstwo. Żaden miejscowy nie mógł być na stanowisku. Chłop w mieście jak odkryje, że może mieć trochę władzy, to się potrafi tak zaprzęcać, potrafi się wyrzec wszystkiego. Największego świnstwa dokona bez cienia wyrzutów sumienia. A jak pojedzie na niedzielę do rodzinnej wsi, nikt o nim nie powie: skurwysyn komunista, tylko każdy — Jak się mojego u władzy, to się i w powiecie wszystko zalatwi. A matka przy śniadaniu po przelknięciu ciała Chrystusowego w czasie porannej mszy patrzy z dumą na syna i głośno prosi Boga i ostrzega: Nie daj się za nos wodzić tym miastowym. Słuchaj władzy wojewódzkiej jak ja słucham naszego proboszcza, bo pokorne ciele dwie matki ssie, a ty jesteś z chłopca chłop. Proszę pani, przecież pani oczy wypadają z orbit zamiast się tarzać ze śmiechu. Nie chce pani tego słuchać? Ze pani nie jest księdzem? A pani sądzi, że ja bym mogła księdzu powiedzieć, że musiałam sypiać z oblesnym sekretarzem propagandy, aby mnie i Zyguścia do tej partii przyjęli i nikt mu nigdy nie wypomniał, że był akowcem i wrogiem władzy ludowej. Może po cichu i mówili, ale jak już zostałam naczelnikiem wydziału kultury i założyłam towarzystwo ateistów i wolnomyślicieli, to dwóch milicjantów i jeden dyrektor liceum swoje dzieci jeździli chrzczyć dziesiątki kilometrów od miasta. I kto by mi podsokrzył?

Nie ma pani odwagi zapytać dlaczego nie miałam dzieci. Cale miasto szemrało za moimi plecami. Nawet te krowy z Ligi Kobiet obgadwały mnie: oczywiście nie ma dzieci, aż dziw, że i ten i ów nie zrobił. Jedna nawet, której mąż na mój widok się ślinił i natychmiast wsadzał rękę w prawą kieszeń spodni, z powodu braku moich dzieci miała zamiar wywołać skandal ideologiczno-polityczny. Chciałam mieć dziecko. Po trzech latach małżeństwa wiedziałam, że już nigdy nie będę mogła mieć dzieci. Teściowa cierpiała bardziej ode mnie. Ta stara dewota miała odwagę w każdy wieczór wigilijny szeptać ze łzami w oczach. Jakże byłabym szczęśliwa, gdybym mogła z wnuczusiem polamać się opłatkiem i ustawić kolejkę pod choinką. Łzy, które mi wówczas wypływały, to były łzy nienawiści do pani ambasadorowej. To z powodu niej nie mogłam mieć dzieci. Nie byłam jednak tak głupia, żeby wziąć to na siebie. Bardzo lasy na moją urodę lekarz z kliniki dał zaświadczenie, że to Zyguś jest bez plemników. Natomiast ja teściowej pokazałam, że gdyby tylko Zyguś mógł, to bym mogła rodzic nawet pięcioraczkę. Więc w domu kochałam tylko psa. Boże, jakież to był mój przyjaciel. Kiedy upokorzyła teściową, że urodziła syna, któremu wiatr w torbie hula, a pies witając mnie, gdy wracałam do domu skowycał radośnie wyskakując prawie pod sufit, życie biegło prawie spokojnie. Sekretarza przedyłam — pannę z dzieckiem — owinęłam sobie wokół palca. Przewodniczących nie musiałam się obawiać. Ich kariera w tym mieście była przejściowa. W zależności od prezentów jakie dawali sekretarzom partii awansowali dość szybko. To do województwa, to do zjednoczenia. Aaa, niektórzy nawet i do stolicy. Gdybym miała maturę, awansowałabym pierwsza. Kiedy zaczęli pode mną kopać dolki, dałam właśnie to ogłoszenie o zagubionej maturze... Byłam nie do ruszenia. I nagle świat mi się zawalił. Nie zgadnie pani dlaczego. Przez tę kurewską telewizję. Oczywiście mieliśmy w domu jeden z pierwszych telewizorów w mieście. Pierwszy dziennik telewizyjny, patrzeć, oczom nie wierzę. Robi mi się słabo. Musiałam sięgnąć po walieriankę, czulam jak mi się wywracają wszystkie wnętrzości. Z trudem łapałam oddech. Teściowa chciała wzywać pogotowie. A ja krzyczałam nie, nie, nie... Nie zmrzyłam oka. Poprosiłam lekarza o tydzień zwolnienia. Jak tylko Zyguś wyszedł do pracy, sterczę przy telefonie. Podnoszę słuchawkę. Odkładam. Kilka razy: Halo, międzymiastowa, dzień dobry... i znów odkładam. Odrzucam ze wstrętem nawet laszące się psa. Wreszcie w czwartym dniu otrzymuję połączenie. Halo, to ty? Jesteś zdziwiona, że po tylu latach się odzywasz. Podziwiałam cię w telewizji. Na przyjęciu w ambasadzie radzieckiej. Nic się nie zmieniłaś. Czy ambasadorowe muszą być tak niepozornie skromne? Cieszysz się, że zadzwoniłam? Nie mogę w to uwierzyć. Chcesz, żebym przyjechała? Jak najszybciej? Bo krótko bawicie w Polsce... Dziękuję kochana, dziękuję. Nie, nie przyjadę. Mój mąż jest bardzo poważnym dyrektorem. Obowiązki dyrektora w małym mieście przerażają obowiązkami ambasadora w wielkim mocarstwie. Tu nie ma rautów, tu się trzeba pazurami trzymać. Podjębywaczy nie brakuje. Spodobało ci się to określenie? Myślałam, że to jest język obcy dyplomacji. Co? Prywatnie wyrażacie się jeszcze brutalniej? Nie, nie wiem

co to są twarde układy, powtórz jeszcze raz... Wyrazy seksualne są czasami jedynym argumentem? Mówisz poważnie? Ha, ha... Więc posłuchaj. Moja kochana pani ambasadorowa. Cichojebluwa szara myszko, nie odkładaj słuchawki. Miej gest ambasadorowej jak ja go miałam, gdy mi powiedziałaś o twoim ślubie, jak już wiedziałam, że nie będę ambasadorową. Twój mąż, pan ambasador, w Polanicy mi się oświadczył. I w Polanicy zrobił mi dziecko. Co ile masz dzieci? Trójkę? Ja mam tylko psa. Bałaś się, że dzwonię o alimenty? Moja droga, ja się tego dziecka pozbyłam. Kiedy mi powiedziałaś, że wychodzisz za mąż... Ja opowiadałam fascynujący film? Ja opowiadałam fascynujący film? Więc on ci o tym nigdy nie powiedział? Ze byłam jego kochanką, że w Polanicy zostałam jego kochanką? Nie, nie mam żalu do nikogo. Do siebie tak. Przecież mogłam na Wilczę, w tej ruderze powiedzieć, że noszę w sobie jego dziecko. Tylko miałam gest ambasadorowej. I nie mogłam zrozumieć, że się z tobą chce żenić, jak patrzyłam na te twoje przyzlane włoski, cerę niezbyt zdrowej zakonnicy. Przecież mogłam wybuchnąć. Ty kurewska cichodajko. Jestem z nim w ciąży, kocham go do szaleństwa i ze mną też ustalał datę ślubu. Jak musiałaś namiętnie kleć przed jego rozporządzeniem, żeby tę datę ślubu ze mną odwołał. Po raz pierwszy w życiu przekonałam się, że równocześnie co innego się mówi a co innego myśli. Każde zdanie, które wówczas do ciebie mówiłam, nie miało nic wspólnego z mózgiem, w którym rytmicznie falowało: Ty kurwo, ty kurwo, ty kurwo. Nie usprawiedliwiam się, że nic nie wiedziałaś. Nie płacz. Ach płaczesz nad sobą, że cię zdradza... Ze małżeństwo jest już tylko umową... Ze mnie by też zdradzał. Poważnie myślicie nawet o rozwodzie. To wszystko jest do przeżycia. Ale on mnie oszukał... I pozbawił macierzyństwa. Uważasz, że go jeszcze trochę kocham? Ja go pewnie nigdy nie przestałam kochać. Potrafiłam jednak znieawdzić każdego w zasięgu mojego spojrzenia. No coś takiego... A do ciebie poczułam sympatię. Pewnie dlatego, że jesteś z nim przegrana. Z ludźmi, z którymi jestem na co dzień, nienawidzę i niszczę nawet przegranych. Z czego się śmiejesz? Nie ze mnie. Śmiejesz się z siebie? Ależ oczywiście, spotkajmy się. Cała mięscina będzie szaleć. Odwiedza mnie ambasadorowa ze swoimi dziećmi.

Jest pani ciekawa jak wyglądało spotkanie? O nie proszę pani, odwołałam to spotkanie. Wróg, który wyrządził mi krzywdę, musi klęskę przeżywać w absolutnej samotności.

Niech mi pani nie schlebia. To nie są przemyślenia filozoficzne. Ależ skąd żadnych we mnie głębi filozoficznych. To jest życie droga pani. Niechże się pani nie upiera. Nigdy nie byłam pełną przemyśleń. Zawsze byłam pełna jadu, jadu nienawiści, nawet w czasie orgazmu unoszona rozkoszą, ponad prześcieradło. Raz jedyny chciałam jeszcze przeżyć coś, co bym nazywała okrucieństwem miłości i niech sobie pani wyobrazi, ten szczeniak, delikatny, uprzejmy, z wiedzą głębszą niż lej po bombie atomowej, no cóż, dziś mogę to nazwać po imieniu, nie poleciał na mnie. Chyba mną wzgardził. Wie pani jakie to miało dla mnie znaczenie? Odkułam się na nim za wszystkich tych, których napęczniałe kutasy buszowały we mnie lub między moimi udami. Więc po każdej egzekutywie przy wódeczce, kanapeczkach, niby od niechcenia sączyłam w mózgi władców miasta — Towarzysze, macie chybiony pomysł. On dyrektorem Ośrodka Kultury? Nie wyglupiacie się, on jest zbrojcem. Skąd o tym wiem? Towarzysze, przecież wiecie, ja wiem wszystko.

Niektórzy towarzysze bledli, wiedzieli, że ja o nich wiem wszystko, więc niby dlatego mam nic nie wiedzieć o tym, który mnie odtrącił, no, o tym, że on mnie odtrącił, to oni nie wiedzieli. — Towarzysze, o jego zbrodniu szumiał cały wydział na uniwersytecie. Przecież moja kuzynka z nim studiowała...

W kilka dni potem całe miasto mówiło o nim, że zbrojony, a moja teściowa dewota powiedziała o tym nawet księdzu dziekanowi. Ksiądz był bardziej konsekwentny od sekretarza. Biedny szczeniak z opinią geniusza i najlepszego syna nigdy z rąk księdza dziekana nie otrzymał komunii świętej.

Pani w to nigdy nie uwierzyła? Więc nie jest pani taka znów głupia. Ale co znaczy pani jedna niewiara wobec opinii całego miasta. Niechże pani jeszcze nie odchodzi. Ach, pewnie się pani też w nim podkochiwała. Co takiego? Była w nim pani zakochana? Dziewczyno, pani jeszcze go kocha. Jego widok sprawia pani radość, przecież teraz ma pani szansę. Ileż to już lat minęło jak ta jego przepiękna żona zdążyła się zabić w czasie górskiej wspinaczki. Ciągle pani ma nadzieję? Niechże mu pani powie, że go pani kocha. No jak się pani przy nim rozplacze tak jak teraz, to oczywiście że się nie wzruszy, prawdziwych mężczyzn nigdy nie wzruszają łzy zakochanych kobiet. Łzy raczej takich męczyzn wkurwiają. No już się pani uśmiechnęła. Proszę pani, przecież on już jest teraz starcem. No rzeczywiście, ma pani rację, pani też nie szesnastka... Ha, ha, ha. Sama pani widzi. Och, jak kobietom jest łatwo od lez do szczerzego śmiechu. Łzy i śmiech są widoczne, ale to co tkwi w nas... Co pani powiedziała, niech pani powtórz... Błogosławioną niech będzie miłość nigdy nie wyznana...

Dzisiaj już mi nic nie zaszkodzi. Ten koniak był dla pani ordynator. Przecież całe miasto wie, że pani ordynator się upija. Lubię ją za to. Jak tylko po wizycie, gdy zostajemy sam na sam i mówię, że mam tu dla pani ordynator upominek, to natychmiast pani ordynator buch do szklanki a pielęgniarki i pacjenci są uszczęśliwieni. Pani ordynator pod humorem. Turystyczne kieliszki też mam, posrebrzane. No więc ja piję za pani miłość nigdy nie wyznaną, a pani, moja droga, niech wypije za moją nigdy nie wyznaną nienawiść. Oczywiście, pijemy jednym haustem, niech się pani nie obawia. Nic mi nie zaszkodzi. papieros nabiera boskiego smaku przy koniaku. No widzi pani, nawet potrafię zymo-

wać. Pani nigdy nie paliła? Nigdy nawet z ciekawości? Niechże pani nie pije na raty... O tak, to mi się podoba. Pani wie, że to ciepło koniaku, które mi się rozchodzi po wnętrzościach, uspokaja mnie. Wszystko przestaje mnie boleć. No przecież nie mogę od rana do nocy leżeć pijana w szpitalu. Więc pani nigdy nie paliła... Nigdy pani nie wypila tyle kieliszków na raz. Porozmawiamy szczerze jak dwie dojrzałe kobiety. Czego pani jeszcze nie robiła?... No niech się pani przyzna... Nie miała pani kochanka. Wiedziałam o tym, niech mnie pani dobrze zrozumie. To było jedyne moje prawdziwe współczucie wobec bliźniego. Nie pozabawione jednak trochę zazdrości... Trochę pani zazdrości. Pani zrezygnowała z przysmaku, którego pani nigdy nie skosztowała. Niech mi pani wierzy, to jest łatwiej. O wiele trudniej zrezygnować z czegoś, co się posiadało. W tej chwili ma pani urodę sześciolatniej dziewczynki. To pani zadziwione spojrzenie jest cudowne. A w moich zmrużonych powiekach jest tylko kurewska świadomość. Jeszcze kieliszek. Tylko niech pani nie płacze. Ja wiem, że umieram. To dobrze, że pani milczy i mnie głupio nie pociesza. Ci którzy pocieszają umierających, najczęściej pocieszają samych siebie wystraszonych cudzą śmiercią... Ten koniak dodał mi sił. O osiemnastej poprawię makijaż, fantazyjnie zwiążę chusteczkę na głowie i z tym oto różańcem, niech pani patrzy, różaniec z drzewa sandałowego, po teściowej, zejść do kaplicy na nabożeństwo. Jak Boga kocham, przesuwać paciorki sandałowego różańca wcale się nie modlę. Spokój kaplicy szpitalnej i ten przystojny młody ksiądz przy ołtarzu wpływają na mnie kochają i gdybym była trzydzieści lat młodszą, to ten ksiądz o ruchach koszykarza z amerykańskiej drużyny nie oparłby mi się. Po śmierci męża i po przejściu na emeryturę, kiedy nie musiałam się już nadstawiać sekretarzom, zaczęli o mnie mówić, że jestem dewotką i przyznam się pani, że niewiele w życiu odkryłam, ale odkryłam urok dewocji. Kiedy ten ksiądz jak amerykański koszykarz podnosi ręce do góry błogosławiąc zebranych, to wydaję mi się, że stoję obok niego i smakuję językiem słony pot spod jego pach. I nie wierzę, żeby Bóg miał mi to za złe. Bóg musi mi wybaczyć. Nie wiem czy to wybaczenie, czy zapomnienie, ale nie mam żalu w tej chwili do ambasadora. Oczywiście tę szarą myszkę ambasadorową ambasador puścił kantem. Nie wrócił z Ameryki. Ożenił się tam z jakąś milionerką i jakieś dwa lata temu pokazywali go w telewizji. Łysy, jeszcze rumiany, ale brzdęk jak beka do kapusty. Przeszły mnie ciarki obrzydzenia. Jakież to jego cielsko musi wydzielać fetor, spryskane kosztownym dezodorantem. A ja do dziś czuję zapach jego karku. W tę noc w Polanicy, która była najszcześniejszą nocą w moim życiu.

Pani mnie za to podziwiała? Ach proszę pani, nie ma za co. Wielkie fakty w ludzkim życiu są najwycyplniejsze. Tylko pierdoły są niezwykle dokuczliwe jak drobne robactwo. I przez to są tak ważne w życiu.

Niech mnie pani nie pociesza, że wyzdrowieję. Mnie z tej sali wywiozą nogami do przodu jak mówią o innych zmarłych pielęgniary. Nawet nie boję się śmierci. Tylko kiedy dostaję strasznych bólei, się się tu zwijam i wrzeszczę: Siostrzo zastrzyk! to wcale nie chcę umierać. A kiedy po zastrzyku leżę zupełnie spokojna, to wydaję mi się, że mogę umrzeć i widzę swój pogrzeb. Niech pani nie protestuje. Przyjdzie pani na ten pogrzeb. Ja wiem. Przeżyłam wszystkich najbliższych. Siostry, szwagrow i ta chmara siostrzeńców zjedzie się jak szarańcza i będą się klócić o każdą pierścionkę, o każdą filizankę, o całe stopy nieużywanej bielizny pościelowej... Pogrzeb ich nie będzie zbyt wiele kosztował. Przyzna pani, że mam jeden z najpiękniejszych grobowców w głównej alei. Cale szczęście, że tę komunę szlag trafili. Nieśliby przede mną te czerwono-złote smaty z młotami i zacisniętymi dłońmi na hacie. A tak przynajmniej dwóch księży i to rozdzierający zawołanie „Dobry Jezu a nasz Panie, daj jej wieczne spoczywanie”. Jestem pewna, że nikt nawet na pokaz nie uroni łzy. No proszę, a pani już płacze. Nie przekonano mnie pani, że nade mną. Już pani płacze nad sobą. Nie odbędzie się bez komedii. Dyrektor Rydzik, etatowy mówca na wszystkich pogrzebach byłych działaczy partyjnych, którzy gwałtownie zostali nawróceni, tak zresztą jak i sam Rydzik, wyciągnie z kieszeni zwitek karteluszek i udając, że przemawia, zacznie odczytywać: Droga przyjaciółko, orędowniczko kultury (jeszcze sześć lat temu zaczęły: Nieodżałowanej pamięci towarzyszek wierna idei Lenina), byłaś jedną z najświetlejszych postaci w naszym mieście, choć nie było to twoje rodzinne miasto (a w czasach komuny powiedziałby tak: Wypełniając wolę partii przyjechałaś do tego miasta obejmując powierzone ci przez partię poważne stanowisko, aby zwalczać ciemnogród i szerzyć zwycięską ideę świeckiej kultury partia była ci wdzięczna za swą wieloletnią pełną świadomości klasowej, niwle kultury zostałaś odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, odznaką Zasłużonego Działacza Kultury i wieloma wyróżnieniami partyjnymi, państwowymi i miejskimi). Teraz pewnie wymieni tylko Krzyż Kawalerski i zasłużonego działacza kultury...

Wreszcie się pani zanosi od śmiechu. Moja droga. Pogrzeb bez komediantów byłby nie do zniesienia nawet przez nieboszczyka. Już nie mówię o zebranych żalobnikach. No to co jeszcze po kieliszeczku za tę mowę pogrzebową Rydzika. Zaraz będą roznosić kolację. Oczywiście nie będę jadła. Niech sobie zabiorą zaraz. Odprowadzi mnie pani do kaplicy. Szkoda, że pani nie zostanie ze mną na mszy. Niech mi pani wierzy, że jestem bliżej Boga, jak patrzę na tego przystojnego księdza. Pani widzi jak ten różaniec pięknie kontrastuje z moim szlafrokiem? Dziękuję, że pani przyszła. Wie pani kiedy wezwę księdza? Jak już nie będę mogła wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Ale z pewnością sprawią mi ulgę mocne dłonie księdza, kiedy mi będzie namaszczał stopy ostatnimi olejami.



Wyróżnienie zdobył Polak, Michał Nesterowicz.

Foto: Stanisław Jakubowski

Zakończony 12 grudnia ubiegłego roku VI Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga wzbudził sporo emocji (raczej pozytywnych) i sprowokował wiele pytań. Już to samo świadczy o tym, że impreza jest żywa, a więc potrzebna. Od chwili, gdy odbył się pierwszy Konkurs, wymyślony przez wieloletniego szefa Filharmoników Śląskich, wybitnego dyrygenta Karola Stryję (1979), wiele się zmieniło.

# Dyrygenci na arenie

MAGDALENA  
DZIADEK

Po VI Międzynarodowym Konkursie im. G. Fitelberga

## Tłumów nie było

Obiektywnie rzecz biorąc, mimo to, iż nie ominęły konkursu zwykle nasze trudności finansowe i zrządzenia losu (w krótkim po sobie czasie odeszły dwie bratnie dusze, które stworzyły Konkurs: Karol Stryja i Róża Broda-Miliczek), osiągnął poziom organizacyjny nie przynoszący wstydu organizatorom. Kandydaci przyjechali (co prawda w o wiele mniejszym składzie niż ten, który wyłoniono drogą wstępnych przesłuchań: spośród 80 zakwalifikowanych dyrygentów w Katowicach pojawiło się zaledwie 49 - tak dużego ubytku nie tłumaczą okoliczności losowe...), przesłuchiwało ich międzynarodowe jury złożone m. in. z największych polskich sław batuty (Jan Krenz - przewodniczący, Jerzy Katlewicz, Antoni Wit), tudzież z zagranicznych dyrygentów związanych od dawna z Konkursem. Nie wiem, czy szczęśliwym pomysłem jest zapraszanie do jury laureatów poprzednich edycji. Znam wiele konkursów (niekoniecznie muzycznych), które z tego powodu padły, coraz bardziej zamykając się „we własnym sosie”. Nie to jednak jest teraz

ważne. Ważniejsza jest na przykład kwestia publiczności.

Nie można powiedzieć, by na przesłuchania tegorocznego konkursu i towarzyszące mu koncerty: inauguracyjny i finałowy śpieszyły tłumy ludzi. Za czasów Stryi bywało lepiej... Ale też teraz inne są czasy - nawet wrześnieowy recital Zimermana nie zapełnił sali przy Sokolskiej w odpowiedniej do rangi wydarzenia mierze!

Koncerty udały się bardzo dobrze. Brawa należą się zwłaszcza obecnemu szefowi Filharmoników Mirosławowi Błaszczykowi, który dojrzałe i muzykalnie poprowadził koncert inauguracyjny, wspaniale wytrzymując presję okoliczności (otwarte oczy i uszy kandydatów). Szkoda tylko, że w programie znalazł się, jako wizytówka polskiej twórczości bardzo słaby *I Koncert wiolonczelowy* Bacewiczówny, okaz wyjątkowo infantylnie pojętego „polskiego neoklasycyzmu”. O ileż lepiej wypadłby w tym miejscu Szabelski, nie mówiąc już o Karłowiczu czy Szymanowskim! Obecność tego utworu w programie koncertu inauguracyjnego ma jedynie uzasadnienie sentymentalne. Bacewiczówna należała do grona kompozytorów polskich, które wypromował na estradach polskich i zagra-

nicznych nie kto inny, jak patron Konkursu, Grzegorz Fitelberg. Jako działacz polskiej sekcji Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej miał wiele możliwości, jeśli chodzi o umieszczanie dzieł polskich w programach krajowych i zagranicznych festiwalu, z których też skwapliwie korzystał, kreując już w latach trzydziestych mocną „polską szkołę” kompozycji. Czy wszystkie z „wynałazków” Fitelberga wytrzymały próbę czasu? To pytanie trzeba postawić przy innej okazji.

## Wirtuozi i kapelmistrzowie

Oprócz dyrygentów, którzy przyjeżdżają do Katowic, by walczyć o laury, bohaterem Konkursu jest orkiestra. Wymaga się od niej wiele: dwutygodniowej, codziennej pracy na pełnych obrotach, w męczącym trybie „wrywkowym”: co chwila trzeba pracować z kimś innym, grać co innego, współtworzyć coraz to inne koncepcje prezentowanych dzieł. Aby odciążyć Filharmoników, od wielu lat pierwszy etap konkursu, przeznaczony do odsiewu kandydatów, „załatwia” orkiestra Akademii Muzycznej, sprawiając się zwykle bardzo dobrze (nie ma to jak jednorazowa,



ale intensywna koncentracja...). Potem prowadzenie obejmują już tradycyjnie Filharmonicy. Wiele zależy od postawy orkiestry.

Dyrygowanie jest specyficznym rodzajem wykonawstwa muzycznego, czymś bardzo skomplikowanym, czego nie da się ująć w prostej relacji interpretator - zbiorowe „ciało instrumentalne”. Owo ciało to przecież zbiór różnie reagujących, w różnym tempie uczących się, obdarzonych nierównym temperamentem indywidualności, nie zaś narzędzie akustyczne działające zgodnie ze stałymi parametrami akustycznymi własnymi i zmiennymi właściwościami przestrzeni, w jakiej się znajduje. Żeby obiektywnie ocenić dyrygenta, trzeba go usłyszeć z jego własną orkiestrą. Wówczas można mieć pewność, że usłyszany rezultat dźwiękowy dyrygowania jest zamierzony. Zamierzony zaś, to znaczy wypracowany w toku żmudnych prób, codziennych ćwiczeń z poszczególnymi muzykami, grupami, całym zespołem. Jeszcze przed stu laty nie istniała właściwie profesja dyrygenta - wirtuoza, zarabiającego występami gościnnymi z cudzymi orkiestrami. Kapelmistrz to był kierownik orkiestry, pracujący z nią stale, pracowicie kształtujący jej niepowtarzalne brzmienie i osobowość, będącą wypadkową techniki, temperamentu, wrażliwości każdego muzyka z osobna. Orkiestry z osobowością bywały zespołami, w których muzycy poprzez wieloletnie koleżeństwo upodobniali się do siebie nawet fizycznie. Jeszcze dziś widać, że tacy na przykład wiedeńscy filharmonicy to gromada ludzi jednego pokroju, „jednej rasy”. Nie tylko grają jak jeden mąż (kobiet nie ma), ale są tak samo ubrani, robią takie same miny, ich wzrok emanuje tą samą energią.

Na początku naszego stulecia wielcy dyrygenci: Rafał Kubelik czy Oskar Nedbal robili karierę ciągnąc ze sobą na tourné własne orkiestry. Pojawienie się wielkich dyrygentów bez-orkiestr spowodowała specjalizacja repertuaru. Pojawili się np. kapelmistrzowie wykonujący własne utwory (Pietro Mascagni, Ryszard Strauss, Gustav Mahler). Typ wędrownego dyrygenta popularizowały oczywiście wojny. Masowy exodus mistrzów batusy za ocean w latach hitlerowskiej okupacji (można go wzorcowo odtworzyć na przykładzie biografii Fitelberga), miał nie tylko podłoże polityczne, ale i ekonomiczne. Po wojnie Mekka dla wędrownych dyrygentów polskich stały się Katowice. Tu Witold Rowicki stworzył jedyną wówczas przyzwoitą polską orkiestrę, ściągając z Krakowa muzyków byłej Orkiestry Generalnego Gubernatorstwa - jedynego zespołu, który był „na chodzie”. Ten zespół - obecna NOSPR jest jedną z nielicznych polskich orkiestr, której poszczególni wielcy, przez lata pracujący z nią dyrygenci (Fitelberg, Krenz, Wit) nadal wyrazistą osobowość. Proces ten jest zresztą dla muzyków bardzo nieprzyjemny. Wymaga bezwzględnego poddania się woli dyrygenta, utrzymywania na perfekcyjnym poziomie techniki bez nadziei błyszczenia na estradzie, permanentnej współpracy z pozostałymi członkami zespołu. Muzyk z orkiestry nie może „nawalić”, bo ściągnie na siebie wściekłość dyrygenta i kolegów. Może natomiast „nawalić” dyrygent. Muzycy dzielą swoich kapelmistrzów na umiejących pracować i umiejących występować. Bardziej ceniony jest pierwszy typ (należał do niego podobno Fitelberg). Jeżeli utwór jest precyzyjnie przygotowany w czasie prób, muzycy poradzą sobie z jego wykonaniem na koncercie, nawet, jeśli dyrygent zgubi się w partyturze i nie pokaże komuś „raz”. Typ „koncertowy”, błyskotliwy, jest niebezpieczny, bo daje się unosić emocjom, bywa na estradzie nieobliczalny. Jeżeli teraz wszystko, cośmy powiedzieli o sztuce dyrygowania przełożymy na realia konkursu, zmysłowimy sobie, jak niewiele z istotnej problematyki profesji kapelmistrzowskiej może być przedmiotem konkursowych ocen i jak wiele zależy tu orkiestry, która albo otworzy się na dopiero poznanego dyrygenta i będzie zgadywać jego intencje, albo nie.

## Młodzi i młodszy

Program katowickiego konkursu jest duży i urozmaicony. W poszczególnych etapach uczestnicy losują po dwie pozycje z ustalonej listy symfonii, poematów symfonicznych, uwertur i koncertów instrumentalnych skomponowanych w ostatnich dwóch stuleciach, należących do tzw. żelaznego repertuaru symfonicznego. Przeważa muzyka klasyczna i romantyczna; większość pozycji każdy muzyk orkiestrowy zna doskonale, nie ma więc problemów z czytaniem muzyki. Dopiero w finale pojawia się tzw. klasyka muzyki XX wieku: uczestnicy losują jeden utwór zagraniczny (większość z dzieł proponowanych kandydatom powstała przed... 1945 rokiem, wszystkie pojawiły się w programach koncertów abonamentowych Filharmonii Śląskiej) i jeden polski (wszystkie sprzed 1980 roku, większość również wielokrotnie „ogranych” w koncertach abonamentowych). Finałiści muszą ponadto przygotować w przeciągu dwóch dni utwór współczesny, którego tytuł nie został ujawniony w regulaminie (w tym roku była nim pierwsza część Symfonii Andrzeja Dziadka). Orkiestra Filharmoników Śląskich i w tym konkursie wypadła bardzo dobrze, to znaczy zaprezentowała górny pułap swoich aktualnych możliwości. Nie zdołano wyeliminować (bo na to trzeba lat wyłożonej pracy) takich mankamentów jak elastyczny (delikatnie mówiąc) strój smyczków, niepewne wejścia blachy i ogólny brak precyzji, nadający zespołowi specyficzne „mażące się” brzmienie. Pięknie za to brzmiały solówki drzewa, muzycy trzymali się w karchach, grając, stosownie do poleceń dyrygentów, głośno i szybko albo bardzo głośno i bardzo szybko (rekordowo głośno i szybko było wykonanie VII Symfonii Beethovena pod batutą zwycięzcy konkursu Massimiliano Caldiego, podczas koncertu finałowego).

Do specyfiki katowickiego konkursu należy to, że górna granica wieku kandydatów wynosi 35 lat. To dużo - dzięki temu mogą się tu prezentować nie tylko świeżo upieczeni absolwenci uczelni muzycznych, stawiający pierwsze kroki w karierze zawodowej, często nie mający jeszcze stałej posady w orkiestrze, ale także osoby dysponujące sporą rutyną, nieraz specjaliści od wygrywania konkursów.

VI Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. G. Fitelberga odbył się w siedzibie Filharmonii Śląskiej w Katowicach w dniach 28 listopada - 12 grudnia 1999. Dyrektorem Konkursu był prof. dr hab. Leon Markiewicz, funkcję dyrektora artystycznego objął Mirosław Jacek Blaszczyk (obecny dyrektor artystyczny Filharmonii Śląskiej). Patronat honorowy nad imprezą objął premier Rzeczypospolitej Polskiej Jerzy Buzek. Zmagania kandydatów w czterech etapach konkursu obserwowało dwunastooosobowe Jury, którego pracami kierował Jan Krenz. W pierwszym etapie konkursu kandydaci dyrygowali Akademicką Orkiestrą Symfoniczną (AM w Katowicach) przygotowaną przez Jana Wincentego Hawela, w dalszych - Orkiestrą Filharmonii Śląskiej. Wyłoniono następujących laureatów:

**I nagroda** - Massimiliano Caldo (Włochy)

**II nagroda** - Tomas Hanus (Czechy)

**Dwie III nagrody ex aequo** - Stephen Ellery (Wielka Brytania) i Charles Olivier - Munroe (Kanada)

**Dwa równorzędne wyróżnienia** - Michał Nesterowicz (Polska) i Tao Lin (Chiny).

Ponadto przyznano szereg nagród pozaregulaminowych, m.in. nagrodę PWM za najlepsze wykonanie utworu kompozytora polskiego (Tao Lin), nagrodę Radia Katowice za najlepsze wykonanie polskiego utworu współczesnego (I Symfonii Andrzeja Dziadka - Stephen Ellery), nagrodę NOSPR dla najlepszego uczestnika pozaeuropejskiego (Tao Lin), nagrodę Zofii i Antoniego Witów dla najlepszego polskiego uczestnika, który nie zakwalifikował się do finału (Szymon Bywalec), stypendium Fundacji „Crescendo est Polonia” dla finalisty - Polaka (Michał Nesterowicz), nagroda Rotary Club International dla najmłodszego finalisty (Michał Nesterowicz), i inne.

Minimalny wiek kandydata w tegorocznym konkursie wynosił 23 lata (nie przeszedł on do drugiego etapu). Laureatowi pierwszej nagrody Massimiliano Caldiero brakło dwóch lat do wieku maksymalnego, zdobywcy trzeciego miejsca - Stephenowi Ellery - tylko jednego. Jeszcze raz więc pokazało się, że w rutyna przydaje się dyrygentom. Ale i młodszy, na przykład Czech Tomas Hanus (druga nagroda) potrafili zaprezentować się bardzo korzystnie, rozciągając przed orkiestrą i jurorami nie tylko właściwości swego talentu, ale i walory silnej osobowości, w zawodzie dyrygenta wartę co najmniej tyle, co talent. Najlepszy Polak - Michał Nesterowicz zdobył wyróżnienie. Tylko raz udało się Polakowi zdobyć na Konkursie im. Fitelberga medalową lokatę: w 1979 roku III miejsce zajął Tadeusz Wojciechowski. Potem jeszcze mieliśmy trzy razy wyróżnienia (zdobyli je: Zbigniew Graca w 1983, Jerzy Kosek w 1987 i Mirosław Blaszczyk w 1991 roku).

## Pech, czy nie pech

Czy „naszych” przesładuje pech? Analizując niepowodzenia rodzimych, nieraz bardzo utalentowanych kandydatów (szkoda, że nie doszli nawet do trzeciego etapu Szymon Bywalec i Piotr Sulkowski) trzeba przyjrzeć się przede wszystkim specyficze naszego szkolnictwa. Wiadomo bowiem - w profesji muzyka wszystko zależy od porządnej szkoły. Grzechem byłoby mówić, iż szkoła, jaką otrzymują polscy dyrygenci, nie jest porządna. Jest jednak zupełnie inaczej ukierunkowana, niż na Zachodzie. Zasadniczym punktem nauki w polskich uczelniach są indywidualne lekcje dyrygowania, czyli ręcznej pantomimy, odgrywanej przed akompaniamentem wykonującym fortepianowy wyciąg z partytury. W wiedeńskiej Hochschule für Musik und darstellende Kunst też odbywają się lekcje pantomimy, tyle, że uczestnicy w nich na raz kilku studentów, bo nie ma tam zwyczaju fatorygowania drogiego akompaniatora do indywidualnych zajęć. W polskich uczelniach pół roku poświęca się na perfekcyjne przygotowanie zestawu utworów odpowiadających programowi jednego koncertu. Za międzą kładzie się nacisk na to, by student opanował jak najwięcej partytur, przy czym przez „opanowanie” rozumie się umiejętność odtworzenia ich ze wszystkimi szczegółami na fortepianie; w ten sposób pozostają w pamięci i tworzą bazę repertuarową, z której korzysta dyrygent w czasie kariery (podobnie podczas studiów „robią” repertuar pianiści, skrzypkowie, śpiewacy, itd.). W polskich uczelniach student nie ma kontaktu z żywą orkiestrą symfoniczną, czy choćby jakimś zespołem kameralnym. Istnieje co prawda instytucja pod nazwą Akademicka Orkiestra Symfoniczna. Granie w niej traktowane jest jednak przez studentów jako zło konieczne (podobnie męczą się pianiści w obowiązkowym chórze).

Przy takim podejściu trudno oczekiwać, by można było użyć jej jako materiału ćwiczeniowego dla adeptów dyrygentury czy kompozycji, którzy również studiują tylko na papierze, nie mając możliwości usłyszenia swoich dzieł, choćby na podstawie jednorazowego, roboczego czytania przez uczelnianą orkiestrę. Za granicą studenci co prawda nie dyrygują orkiestrami (to też za drogie), ale sami tworzą dziesiątki małych zespołów, z którymi ćwiczą na zasadzie koleżeńskej, często produkując się publicznie choćby na terenie uczelni. Polscy studenci zając się głównie gonieniem za pianinami, więc nikomu nie przyjdzie do głowy muzykować dla własnej lub cudzej nauki. Jednocześnie marzą o wygrananiu porządnego konkursu, który od razu ustawiłby ich zawodowo. Już niedługo Filharmonia podejmie zapewne przygotowania do następnej edycji Konkursu Dyrygentów. Będą je w tym trudnym dziele błogosławień - z żydowskiej części nieba Fitelberg, z ewangelickiej - Karol Stryja, z katolickiej - pani Róża. Czy wyrosną wspólnie lepszą paszę dla muzyki polskiej? - czekajmy.

# Maniek



Stefan Szymutko i Marian Kisiel podczas spotkania w „Sali Portretowej” GTL.

Foto: Paweł Majewski

## o Marianie Kisielu, literaturoznawcy i krytyku

Najchętniej szkic o Mańku (nie będę udawał, że kiedykolwiek w życiu byliśmy na Pan) zacząłbym najnieoryginalniej: Maniek, jaki jest, każdy wie. Tak jednak nie można, bo — wbrew pozorom — Kisiel to postać tajemnicza, zamurowana w sobie, trudno dostępna. Kisiel stwarza dystans między sobą a innymi: stwarza słowami, zachowaniem, nawet ubiorem. Elegancki nawet na co dzień, zwykle w garniturze, zawsze czysty i schludny, jakby przygotowany w każdej chwili do wejścia na salony, po których porusza się swobodnie, wręcz: naturalnie. Aż dziw bierze, skąd w tym chłopie z pochodzenia, którego się zresztą nie zapiera (pięknie dedykuje rodzicom swą naukową monografię), tyle *charme'u*, smaku, wdzięku. Maniek wie, co, gdzie, kiedy, i jak powiedzieć; co godzi się zrobić, a co nie wypada; umie szybko oddzielić cnotę od występku. Najlepiej, oczywiście, czuje się na salonach literaturoznawstwa. Wszechstronne zainteresowania (historia, teologia, filozofia...), głęboka erudycja (ten — zasadniczo — specjalista od literatury współczesnej cytuje z równą łatwością romantyków polskich i francuskich), umiejętność posłużenia się obcym słowem (łacińskim, rosyjskim, francuskim, a nawet hiszpańskim), obcą maksymą (także zamykając rozdział w książce krytycznej nie napisze po prostu: „tak słyszałem”, lecz: „*relata refero*”) wskazują, iż Kisiel jest bywalcem tych salonów niepoślednim.

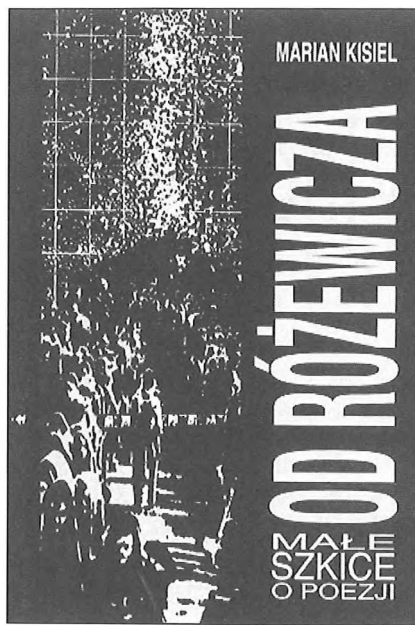
Nie powiem, żeby Maniek jako historyk literatury mnie nie denerwował. Irytuje mnie jego optymizm poznawczy, wiara w skuteczność i adekwatność badań, śmieszny projektowanie. Zwłaszcza owo wskazywanie na wstępny charakter rozpoznania, konieczność rozwinięcia go w przyszłości — nikt tego nie robi, to uchylanie się i wybieg, który dawno już Sławiński (wykorzystując homonimie słowa: trup i opóźnienie) określił jako zwłoki metodologiczne. Za stary ze mnie wyjadacz, bym się przejął wiedzą o wielości osób, spraw i problemów (nigdy nie bywa pełna), nie zaimponuje mi Kisiel ogromem cytatów, przywołań i przypisów — każdy taki ogrom jest tylko wycinkiem, nigdy obiektywnym i prawdziwym, bo już sam dobór fiszek to interpretacja zagadnienia. Nie nabierze mnie też Kisiel na powoływanie się na autorytety i poprzedników, na wyreżanie się ich głosem (polonistyczna symulacja ciągłości dziedziny). Maniek raczej nie chce przyjąć do wiadomości bezkresu naszej niewiedzy, kruchości i znikomości tego, co niby wiemy. A przecież powątpiewając, nie ukryję zarazem, iż bez wahania powierzyłbym Kisielowi każde zadanie poznawcze, bo wiem, że na jego wiedzy, jakości tej wiedzy, fachowości i rzetelności można polegać.

Jako krytyk Maniek również przestrzega salonowych manier, zachowuje się nienagannie. Może

jeszcze bardziej elegancko, piękniej i efektowniej niż jako literaturoznawca, bo w krytyce wymogi *bon ton-u*, pięknego tonu są wymogami wprost, choć jest tu również miejsce na gesty niepoważne, frywolne — dlatego Kisiel pozwala sobie i na kolokwialne „phi!”, i na dywagacje (przy okazji poezji Świetlickiego) o onanistycznym grzebaniu w majątkach. Na ogół jednak Kisiel posługuje się słowem gładkim, wytwornym zwrotem, okrągłą frazą (niezwykle: kunsztowną), poetyzmem, zbliżając do siebie dyskurs krytyczny i liryczny. Rzecz jasna, iż cierpi na tym jasność wyводу, gdy krytyk ulega grze słów, gdy jak poeta daje się ponieść słowom w rejony wątpliwej myśli (np. kiedy bawiąc się słowami, pokazuje, jak „uciskająca maska” staje się „zwyczajną obrozą, zabraniającą mówić”). Nie domagamy się wszakże — unikając bezsensowności — od krytyka, by zachowywał się jak literaturoznawca, nie domagamy się tego szczególnie od Kisiela, który przestrzega wymogów klarowności, sensowności, celowości wypowiedzi. Maniek lubi enumeracje, lecz numerowanie akapitów nie wskazuje na dowolność i luźność toku. Przeciwnie: Kisiel numerując, wyodrębnia cząstki, ułatwia odczytanie ich miejsca w kompozycji tekstu; dba o ekonomię wyводу: unika rozwlekłości, bo stosując cyfry nie musi wymyślać — merytorycznie pustych — stylistycznych łączników.

Jeśli spierać się z Mańkiem, to o coś ważniejszego. W tym bowiem salonowym gadaniu o literaturze — obojętnie: literaturoznawczym czy krytycznym — literatura nie jest tym, czym jest. Wypowiadamy w literaturze myśli najgorsze, przyznajemy się do tego, do czego (przypominając Witkacego) nie przyznalibyśmy się po piątym przepiciu, zmagamy się z nicością, bezsenssem, nihilizmem. Tragizm sąsiaduje tu ze śmiesznością (przypomniałem sobie o tym, czytając Kisielea o Czerniawskim: niezłym poecie, lecz i zarazem bezradnym, biednym człowieku literatury). W salonowym dyskursie wszystkie te sprawy kurczą się do bezpiecznych wymiarów jednego z możliwych tematów rozmowy. Literatura jest (przynajmniej: dla mnie) groźną przestrzenią: gdzie mogę się zagubić, zatracić, zapaść. I o tym chciałbym z Mańkiem pogadać, ale nie z Mańkiem jako bywalcem salonów, lecz z Mańkiem jako Mańkiem — pogadać jak człowiek z człowiekiem. Więc mówię mu, czytając go: zrób krok dalej, przekonaj się — czytelniku literatury — że stąpasz po grząskim gruncie i w każdej chwili możesz pograć się w szlamie nieokreśloności. Innymi słowy: wypatruję (ja — nienawistny salonom), kiedy Kisiel owym salonowym krokiem stąpa najbardziej niepewnie, chwzięnie, żeby z premedytacją podstawić mu nogę.

Ten niecny zamiar o tyle jest bezprzedmiotowy, o ile Maniek wyprzedza moje myślenie — daremnie zachodzę go od tyłu w momentach, gdy wychodzi na jaw, że nie jest literaturoznawczo-krytycznym twar-dzielem, za którego wołałby uchodzić. I choć niełatwo usłyszeć prywatny głos Kisielea (od tej trudności zacząłem mówienie o nim), brzmi sensownie, po ludzku, jakoś z bliska bezradnie. Maniek — choć na ogół nie rozwija zagadnienia — powołuje się na osobisty, intymny odbiór literatury: odbiór z tego świata, w którym właściwie tylko przemijanie jest formą trwałości; odbiór — zdeterminowany zmysłowym doświadczeniem (przypomina kilka razy formułę Arystotelesa, iż w umyśle nie ma niczego, „czego w pierw nie byłoby w zmysłach”), nie chroniącym bynajmniej przed szaleństwem („Dramat cielesności w najnowszej liryce jest maską dramatu duszy”). Cieszy Kisielea — jak nazywają ów trend w poezji ostatnich dekad — nowy ekspresjonizm, liryka zinternalizowanej rzeczywistości, w której świat widzi się w rozpro-



szeniu, w dekompozycji świadomości. A przy tym ta urocza tradycjonalność, nie rozdzielaająca intelektualnego od moralnego!

Nie mogę w tym miejscu nie napisać o delikatności Mańka, o czułości (czasem ukrytej za nieco szorstkimi formułami), z jaką traktuje poetów już na płaszczyźnie analizy. Kisiel raczej cytuje niż wyklada wiersze, stosuje dyskretny, peryfrastyczny komentarz, nie chcąc zdeformować utworu, cudzego słowa — ogranicza inwencję do jakiegoś bystrego spostrzeżenia interpretacyjnego. Wzruszające jak Maniek broni przed zapomnieniem (np. zmarłego przedwcześnie krytyka Romana Zengla), upomina się o osobowy byt nazwisk, które dla większości są tylko pustym brzmieniem, *signifiant* („od Rybczyńskiego po Kozika”). Kisiel z najwyższą powagą traktuje dziecinne czasem dylematy poetów, stara się zawsze odnaleźć jakiś sens w ich ostentacyjnie bezsensownych poszukiwaniach, uszanować wewnętrzne rozterki, dostrzec cel w pseudonimowaniu rzeczywistości na siłę (w tym lirycznym gadulstwie, nie do pogodzenia z bielą kartki). Ja, wyznam szczerze, wielu odpowiedziałbym po chamsku i z lekceważeniem, cytując przekształcająco Iwaniuka: myślisz, „że ja nie cierpię — a kto myśli za mnie / Kto się za mnie codziennie przez życie przedziera / Kto traci siły, kto pada, kto klęka / Komu noc jest torturą / Kogo krwawi sen”.

Dlatego najlepiej spotkać się z Mańkiem przy wierszu, wtedy najbardziej jest sobą, gdy krawat rozwiązany, a marynarka rzucona gdzieś w kącie. Kiedy, poprzedzając przytoczenie, pisze zbyt lakonicz-

nie, iż wiersz Katarzyny Anny Dziki pt. *O czym rozmawiały myszy* jest „bardzo piękny”, wiem, o co chodzi, choć razi mnie banalność myślowa i nieprawdziwość utworu (porównywanie śmierci do łapki na myszy). Podoba mi się jednak chyba to samo, co Mańkowi: siła wyobraźni poetyckiej, znosząca granicę między odrębnością bytów (martwością pulapki i żywą, żywotną agresywnością szczurów), przenikanie planów wyrażenia, odczuwania (kata i ofiary), łatwość przejścia od słowa do słowa (plaster sera / kot), swoboda konkluzji: reifikacja (ni stąd, ni zowąd) śmierci — „nora pełna szkieł”. Jesteśmy w tak bliskim Mańkowi pejzażu mentalnym, gdzie znika opozycja wewnętrzne vs. zewnętrzne, zmysłowe vs. wyobraźniowe; w którym wolność literatury przekracza i sen, i marzenie, bo nie ma w niej wtedy nawet wspomnienia o determinizmie rzeczywistości, śladu konieczności negatywnego określania się względem niej.

Przy wszystkich różnicach jestem gotów pojednać się z Mańkiem w wariactwie literatury. I pojednanie takie jest możliwe, na co wskazuje — choćby tylko — jedno z ulubionych słów Mańka: macerowanie, macerować. Przyznam się, że sięgnąłem do słownika, by wreszcie zrozumieć, o co chodzi, kiedy spotkałem się z tym słowem po raz czwarty. Macerować (dla tych, którzy nie wiedzą, co to znaczy, jak ja nie wiedziałem) to „poddawać coś działaniu płynu [...] w celu rozmiękczenia”. I tu się zgadzam z Mańkiem w zupełności, „na sto procent”, jakby powiedział „zawile i metaforycznie” poeta Bezdomny. Nie należy rozmiękczać doświadczenia literatury, godzić go występnie z praktyką społeczną, racjonalizować. Nie należy zapierać się pragnienia niemożliwego, tęsknoty za ocaleniem czegoś, czego ocalić nie można, nierozumnego pożądanego wieczności. Nie możemy wypierać się naszego pięknego szaleństwa, jakim jest literatura.

STEFAN SZYMUTKO

Tekst wygłoszony podczas spotkania autorskiego z Marianem Kisielem, połączonego z promocją jego ostatnich książek: „Świadectwa, znaki”, „Od Różewicza”, „Zmiana. Z problemów świadomości literackiej przełomu 1955-1959 w Polsce”, które odbyło się w dniu 18 listopada 1999 r. W ramach „Katowickich Spotkań Literackich” zorganizowanych przez Górnośląskie Towarzystwo Literackie. Spotkanie prowadził Stefan Szymutko.

Red.



# Musiąłem wyjąć z szafy trupa i go pogrzebać



— Skąd pochodzili Pana rodzice?

— Moi rodzice pochodzili ze Śląska Opolskiego, po ślubie mieszkali w Zawadzkiem, gdzie przyszedłem na świat. Pamiętam polskie nazwy niektórych przyległych do Zawadzkiego dzielnic: Pustki, Żydownia, Świerkla, Monisko. Po plebiscycie przeprowadziliśmy się do Tarnowskich Gór. Ojciec pracował na poczcie, brał udział w drugim i trzecim powstaniu śląskim.

— Czy ma Pan rodzeństwo?

— Mój brat już zmarł, trzy siostry wybrały życie zakonne, zaś najmłodsza mieszka ze swoją rodziną w Tarnowskich Górach, pracuje w oddziale PZU.

— Jakim uczniem był Piotr Guzy?

— Średnim, nigdy bowiem nie chciałem być prymusem. Lubiłem język polski i historię, nie znosiłem fizyki, chemii

i gimnastyki. Uczyłem się najpierw w „ćwiczeniówce” — w szkole powszechnej przy ulicy Opolskiej, usytuowanej w rozległym budynku wraz z seminarium nauczycielskim. Potem byłem uczniem gimnazjum i liceum, zdałem maturę, przyszedła wojna i na długo wyruszyłem z domu.

— Jak Pan wspomina przedwojenne Tarnowskie Góry?

— To było gościnne, żywe miasto. Ulica Krakowska od rana do późnej nocy tętniła gwarem przechodniów i kupców. Do Domu Ludowego przyjeżdżały liczne trupy teatralne, malarze wystawiali tam swoje obrazy. Nauczyciel rysunku, Michał Dragan, zabierał nas na te wystawy i pod jego okiem szkicowaliśmy zaułki miasta, przekupki, konie na targu.

— Pamięta Pan koleżanki i kolegów?

— Mój Boże, to już tyle lat... Widzę ich w oddaleniu, przez mgłę. Nikogo nie spotkałem z tamtych lat w czasie mojego obecnego pobytu w tym ukochanym mieście. I było mi tak przykro...

— Jak Pan wyobrażał sobie swoje przyszłe życie po zdaniu matury?

— Przede wszystkim wiedziałem, że będę pisał. Interesowała mnie literatura, bardzo dużo czytałem — nieustannie i każdego dnia. Jak to zwykle bywa, najpierw pisałem wiersze, głównie — a jakże — erotyki, malowałem też obrazy olejne z okolic Starych Tarnowic. Niestety, nie przetrwał ani jeden mój wiersz.

— Pierwszego września 1939 roku wszystko się zawaliło?

— O tak... Miałem wtedy 17 lat i zaliczony przedmiot pod nazwą: przysposobienie wojskowe. Zostałem zmobilizowany w swoim drelichowym mundurku i wraz z innymi ruszyłem na wschód w poszukiwaniu walczącego oddziału wojskowego. Po dwóch dniach tej wędrówki znalazłem się w pociągu, który w tej samej chwili został zbombardowany. Siedemnastego września znalazłem się w Kutach nad Czeremszą i przeszedłem granicę do Rumunii. Byłem internowany w obozie w Slatinie pod węgierską granicą. Po dwóch miesiącach uciekłem; nie było w tym żadnego heroizmu, po prostu moim wyczynem była przygotowana przez innych nocna ucieczka do pobliskiej miejscowości pod wskazany adres. Stamtąd, w cywilnym ubraniu, pojechałem na paszport do ambasady w Bukareszcie. I dalej — przez Jugosławię do Aten, z Aten polskim statkiem przepłynąłem do Marsylii, potem do Bretanii, gdzie tworzyła się armia polska generała Andersa.

— Jakie były Pana dalsze wojenne losy?

— Poszedłem do podchorążówki, zostałem starszym strzelcem z cenzusem. W 1941 roku Francja upadła, trzeba było się ewakuować. Na barce węglowej przepłynęliśmy do Anglii. Wylądowaliśmy w Liverpoolu. Podeszła do mnie śliczna dziewczyna w ładnym mundurku i zapytała z uśmiechem: kochanie, chcesz się napić herbaty? To było pierwsze pytanie, nie wymagające rzecz jasna odpowiedzi, jakie mi zadano na Wyspach Brytyjskich. Odetchnąłem z ulgą... Tego się nie zapomina.

— Następnie znalazł się Pan w I Dywizji Pancerniej generała Stanisława Maczka.

— Pełniłem służbę w artylerii przeciwlotniczej na północno-wschodnim wybrzeżu Szkocji. W Holandii, pod Bredą, zostałem ranny w kolano prawej nogi. Z Antwerpii zostałem przewieziony samolotem do Anglii, gdzie niestety amputowano mi nogę.

— Po wojnie został Pan w Anglii?

— Tak, zdałem egzamin wstępny na Uniwersytet Londyński i dzięki przyznanemu stypendium mogłem studiować filozofię, socjologię i ekonomię. Studia te wzbogaciły moją wiedzę o człowieku, o sobie, o otaczającym świecie. Ożeniłem się z Angielką i wkrótce przyszedł na świat pierwszy

syn, Juliusz. Do Polski przyjechaliśmy całą trójką w 1949 roku. Zdawałem sobie sprawę, czym jest socjalizm, ale uważałem, że w Polsce będzie on wyglądał zupełnie inaczej. Przez rok pracowałem w tarnogórskiej Spółdzielni Spożywców, w nie istniejącym już budynku obok kościoła ewangelickiego na Ryнку. Potem wyjechaliśmy do Poznania, pracowałem w „Tygodniku Zachodnim”, zajmowałem się publicystyką kulturalną oraz prowadziłem przegląd krajowych i zagranicznych książek. Uzyskałem też magisterium z ekonomii. W tym czasie „bezpieka” deptała mi mocno po piętach. Rozumiałem, że tak nie można żyć, bo ciągle będą mnie szantażować, i w końcu trafię do więzienia. W 1957 roku wyjechaliśmy do Berlina, gdzie zaproszono mnie na spotkanie autorskie, gdyż w NRD ukazał się właśnie przekład jednej z moich książek sensoryjnych. Poprosiłem wydawcę, aby zatrzymał moje honorarium. Trzeba pamiętać, że wtedy jeszcze w Berlinie nie postawiono owego słynnego muru, dlatego mogliśmy przejść do Berlina Zachodniego. Honorarium starczyło na opłacenie biletu lotniczego do Londynu dla żony i syna, ja zaś wyjechałem pociągiem.

— Zanim znów wyjechał Pan do Anglii, w 1955 roku ukazały się w Polsce pierwsze Pana książki w wydawnictwie „Iskry” i Ministerstwa Obrony Narodowej.

— Powiem wprost: ja się wstydzę tych książek, jakkolwiek były to książki sensoryjne, którymi chciałem się wymigać od literatury socrealistycznej. Niemniej jednak są one napisane w tym duchu, i w jakiś sposób dodawałem trucizny, która przecież sączyła się z tych książek. Jeden z dziennikarzy powiedział mi kiedyś, że wydając „Krótki żywot bohatera pozytywnego”, zrehabilitowałem się w dawnym kręgu czytelników. Być może, ale nie zrehabilitowałem się we własnym sumieniu.

— Czym się Pan zajmował po ponownym przyjeździe do Anglii?

— Przez 9 lat pracowałem w radiu BBC. Opracowywałem streszczenia nadawanych z Polski audycji radiowych oraz tłumaczyłem na język angielski często wielogodzinne przemówienia Władysława Gomułki i wypowiedzi innych członków „politbiura”. Materiały te trafiały potem na biurka sowietologów. To była ciekawa praca, która wiele wniosła do mojej prozy. Pisałem właśnie „Stan wyjątkowy”, kiedy otrzymałem list od Jana Nowaka-Jeziorańskiego z Monachium, z propozycją podjęcia pracy w rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Wyjechałem do Monachium z całą rodziną i pracowałem tam również przez 9 lat w redakcji dzienników. Miałem rękę na pulsie, wiedziałem co się dzieje w Polsce i poza jej granicami. Spotkało mnie zatem kolejne ważne doświadczenie życiowe i pisarskie.

— Jak układała się współpraca z Janem Nowakiem-Jeziorańskim?

— Bardzo dobrze. Mój szef miał dobrego nosa, znał się na ludziach, ufał im i miał do nich pełne zaufanie. Z najwyższym uznaniem odnoszę się do jego pracy i działalności, wiele zasłużył się bowiem dla Polski.

— Czy przewidywał Pan, że Polska stanie się wolnym, demokratycznym państwem?

— Nie przewidywałem, że stanie się to za mojego życia. Wiedziałem natomiast, że kiedyś zawali się cały ten interes, gdyż ustroj komunistyczny jest pasożytniczy. W najśmielszych marzeniach nie myślałem, że kiedyś wrócę do wolnej Polski. To prawda, że państwo boryka się z wieloma trudnościami, z bezrobociem, korupcją wśród polityków, olbrzymimi różnicami majątkowymi społeczeństwa, ale — na miły Bóg — to są przywary budującego się ustroju demokratycznego. Znam poprzedni ustroj z najgorszych lat, kiedy na przykład ocenzurowane gazety liczyły kilka stron, dzisiaj zaś w każdym kiosku są dziesiątki tytułów prasowych, samo wydanie „Gazety Wyborczej” waży bodaj kilogram.

Rozumiem, że dla społeczeństwa, które tutaj się urodziło i tutaj mieszka, nastanie wolnej Polski nie było czymś nadzwyczajnym, gdyż zmiany następowały stopniowo poprzez powstanie „Solidarności”, ogłoszenie stanu wojennego i historyczne porozumienie przy Okrągłym Stole. To przyszło niepostrzeżenie, trudno byłoby dziś powiedzieć, kiedy właściwie należałoby obchodzić Święto Narodowe. Dla mnie natomiast fakt, że Polska odzyskała wolność, jest cudem.

— W naszej rozmowie padło już nazwisko Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Publikował Pan zarówno w paryskiej „Kulturze”, jak i londyńskich „Wiadomościach”. Co Pan sądzi o Jerzym Gedroyciu?

— Mogę jedynie dołączyć się do opinii, że założyciel i redaktor naczelny „Kultury” jest jednym z najwybitniejszych współczesnych Polaków, który wiele zrobił dla utrzymania tożsamości polskiej kultury. Pamiętajmy o niezmiennym stanowisku Jerzego Gedroycia w sprawie nawiązania i stałego pogłębiania wzajemnych stosunków Polski z Białorusią, Ukrainą, Litwą i Rosją. Ciągłe za mało robimy w tym kierunku. Za ileś lat — w co gorąco wierzę — Ukraina na przykład stanie się zamożnym państwem, na Białorusi zapanauje demokracja. I dla Polski może się otworzyć olbrzymi rynek zbytu.

— Od dwudziestu jeden lat mieszka Pan w Hiszpanii.

— Czas szybko płynie. Często z żoną podróżowaliśmy po wielu europejskich krajach. Hiszpania urzekła nas najbardziej — klimatem, roślinnością, całą przyrodą. Od pięciu lat, od chwili śmierci mojej żony, mieszkam sam w urokliwym mieście Daimuz niedaleko Walencji.

— Najbliższe plany literackie?

— W jednym z ostatnich numerów „Zeszytów Literackich” opublikowa-

łem fragment jednego z opowiadań, nad którymi teraz pracuję. W poprzednich książkach musiałem z siebie wyrzucić okropności powojennych doświadczeń z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, opowiedzieć o swoich odczuciach. Musiałem wreszcie wyjąć z szafy tego trupa i ostatecznie go pogrzebać. Zawsze moim marzeniem było pisać o tym, że A kocha się w B, B w C, C w D, D w A, i tak dalej, czyli o normalnych ludzkich sprawach. Na szczęście te opowiadania dotyczą innego świata przeżyć.

**PIOTR GUZY urodził się 15 maja 1922 roku w Zawadzkiem. Gimnazjum i liceum ukończył w Tarnowskich Górach. W czasie wojny był internowany w Rumunii. Zbiegł z obozu i wstąpił do Armii Polskiej we Francji. Po upadku Francji walczył w I Dywizji Panczernej gen. Stanisława Maczka i brał udział w lądowaniu wojsk alianckich we Francji w 1944 roku. W czasie walk został ranny.**

Po wojnie studiował ekonomię i filozofię na Uniwersytecie Londyńskim. W 1949 roku wrócił do kraju i w Poznaniu uzyskał magisterium z nauk ekonomicznych. W latach 1956—1957 pracował w redakcji poznańskiego „Tygodnika Zachodniego”.

Pod koniec 1957 roku opuścił Polskę i wyjechał do Anglii, gdzie przez szereg lat pracował w BBC. W latach 1969—1978 pracował w rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Obecnie mieszka w Hiszpanii.

Opublikował następujące powieści: „Następny odchodzi 22.25” („Iskry”, Warszawa 1955); przekład czeski Bratysława 1959, przekład niemiecki Bonn 1963. „Nocny zrzut” (MON, Warszawa 1955). „Wenus z brązu” (MON, Warszawa 1956). „Krótki żywot bohatera pozytywnego” (Instytut Literacki w Paryżu, 1966 i 1982 — II wyd., Nagroda „Kultury” za rok 1966). „Stan wyjątkowy” (IL w Paryżu, 1968, Nagroda „Wiadomości” za rok 1968). „Requiem dla pani Tosi” („Aneks”, Londyn 1990). „Zwidy na wysokościach” (KAW, Poznań 1994).

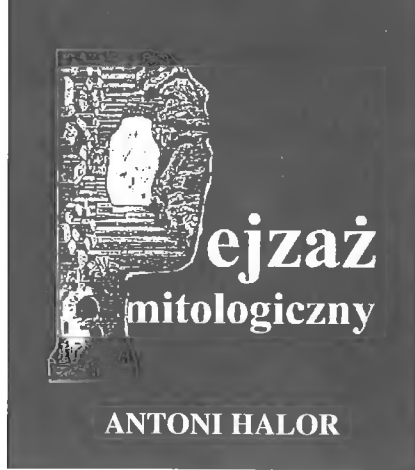
Jan Stanisław Bystron (1892-1964), wybitny polski etnolog i socjolog, w 1925 r. zauważył, że lud — pojęcie ongiś podstawowe przecież nie tylko dla antropologii społecznej — praktycznie nie posiada pamięci. A jeśli już, to jest ona niesłyszanie krótka.

Doświadczenie zdaje się taką tezę potwierdzać nawet (a może — zwłaszcza) w wieku globalnej informacji. Widać to wyraźnie na naszych cmentarzach komunalnych. Ustawowo każdemu osobnikowi i osobnicze, posiadającym dowód osobisty, należał się do niedawna wieczny odpoczynek przez 25 lat. Ostatnio, gdy każde takie statystyczne indywiduum wzbogaciło się o pesel i nip, już zdaje się tylko 20. Można by tedy rzec, nie oddalając się od ścieżek wiedzy potocznej: „Przemysłowe przeludnienie nie pozwala na zbyt długą pamięć”.

Mechanizm ów nie wiąże się jednak wyłącznie (i tylko) z coraz powszechniejszą biurokratyzacją śmierci. To również łatwo zauważyć: Mogiły, na których palą się znicze, niesłyszanie rzadko sięgają dalej niż dwa pokolenia wstecz. Coraz też częściej pamięć o zmarłych przodkach kończy się już na własnych rodzicach. W czasach, w których prawie każdy, jeśli tylko zechciał, może dysponować dokumentami piisanymi i ikonografią własnego rodu na przestrzeni co najmniej ostatnich stu lat, mało kto zna np. daty urodzenia własnej babki czy dziadka. Taki status zdaje się funkcjonować za powszechnym przyzwoleniem. Paradoksalnie, mimo statystycznego wydłużenia żywota ludzkiej jednostki, kolejne pokolenia zdają się żyć w coraz szybszych (czytaj: krótszych) interwałach i w postępującej afazji.

Dotyczy to w jeszcze większym stopniu pamięci zbiorowej. Staje się ona w tej mało ciekawej sytuacji wyraźnie postmodernistyczna, a dokładnie medialna (niektórzy powiadają: telewizyjna), czyli żadna.

A jeszcze niedawno można było spierać się z ową, wspomnianą wyżej konstatacją Bystronia: „Pamięć ludu jest krótka; czasy i wypadki giną w niepamięci pokoleń”. Rzecz bowiem nie jest tak jasna i prosta, jak owe znicze, zapalone (lub nie zapalone) na mogiłach przeszłości. Dowodzi tego chyba dość wyraźnie większość materiałów gromadzonych przez nas na hałdach i pogorzeliśkach dawnego pejzażu mitologicznego, które w tym miejscu staramy się skrzętnie skopiować i przedstawić z myślą, sformułowaną dosyć dawno temu: „Teksty tu pomieszczone są zapewne jednym z ostatnich dokumentów bardzo starej tradycji ustnej opowieści mitologicznej, służącej ongiś nie tylko rozrywce przy ko-



## W milenijnym cieniu

ANTONI HALOR



Ziemia Bytomska. Fragment mapy Wielanda z 1736 r. Zbiory Muzeum Śląskiego.

minku. Tradycji niezbyt rozsądnie w naszych czasach prawie dokładnie zlekceważonej. Bo choć my sami już nie bardzo chcemy, a raczej nie potrafimy docenić owych przekazów, od lat traktując je jako wstydliwą „starość”, to nie sądzę, by ktokolwiek z ręką na sercu (tak się dawniej mówiło) miał prawo stwierdzić, że nie będą potrzebne naszym wnukom. Bywało tak już na tym świecie nieraz, nie ma powodu przypuszczać, że nie będzie tak znów”.

Otóż owe „będzie tak znów” wydaje się (być może zgodnie z reflektowanym przez nas wcześniej przypieszeniem, charakterystycznym dla końca epoki, która na naszych oczach dobiega swego kresu) procesem właśnie co dopiero rozpoczętym. Czy raczej — przypomi-

nam, tu i tam całkiem wyraziście. Choćby w działaniach, coraz rzadziej występujących przypadkowo, w ramach tzw. edukacji regionalnej.

Jeśli się jednak rzecz obserwuje z nieco bliższej perspektywy, widać dość wyraźnie, jak bardzo bywa ten proces „prawdziwie postmodernistycznym”: pełnym zgoła przypadkowego balastu, złowionego w nie zawsze dobrej jakości sieci, w związku z tym, na nieszczęście dla *veritas*, często mającego pozory materii twórczej, z której w rezultacie odbudowuje się niezręcznie kaleką quasitradycję. W kształcie właściwym tak jeszcze niedawno lekkomyślnie zaprzepaszczaną, mało przeto przypominającą oryginał. Budząc tym sprzeciw owych nielicznych już wśród żyjących, którzy jeszcze pamiętają, jak to było „naprawdę”. Niedobrze jest, gdy sprawy biorą w ręce hucpiarze, których nigdy nie brak było w tym społeczeństwie. Jeszcze gorzej jest, gdy robią to z przyzwoleniem tzw. autorytetów. „Tak zwanych”, bo autentyczni strażnicy onegdajszych cnót dawno już wymarli. A zachowanych wzorców jak na lekarstwo.

Prawdą bowiem jest też, że nie mamy ani własnej *Iliady*, *Odysei*, ani nawet *Kalewali*.

Nie musi to przecież oznaczać sytuacji bez wyjścia. Ludowa pamięć, owa „magiczna skrzynia naszych przodków”, choć wybiórczo i zawsze interesownie (to znaczy z reguły w ścisłym związku z zaszłościami dotyczącymi najbliższego otoczenia) potrafiła tu sięgać „wspomnieniem” do zamierzchłych dni, kiedy to „dawnemu, że najstarsi ludzie nie pamiętają, bo tyn graf, nie pamiętają jak sie nazywał...”, a nawet zaczerpnąć potrzebny do przekazu materiał z jeszcze głębszych pokładów, z niewyobrażalnie dla naszych dziadków odległych czasów najazdu Mongołów, czy nieco tylko późniejszych wypraw Husytów nie mówiąc o znacznie „młodszych” latach wojen napoleońskich, etc.

W takiej perspektywie, co również już kiedyś zanotowaliśmy, historia jest wprawdzie „żywołem najzupełniej płynnym, raz bardzo odległym, to znów całkiem bliskim”, ale dla słuchacza (tak było dawniej), potem czytelnika (tak mogłoby być jeszcze do niedawna) doświadczeniem nieodmiennie i obligatoryjnie konkretnym. Przeżywanym, pomimo owej charakterystycznej fluktuacji, prawie zawsze „na dotknięcie ręki”, wciągając w swój wir „przedziwne szczątki dawnych mitologii” i „ułamki archaicznych wierzeń”, dokładnie wymieszane z przywłaszczonymi przez lud tworamii fikcji literackich. I to często tak dokładnie, że z trudem rozpoznawalne przez specjalistów, wyławiane bywały jako objawienia ludowego geniuszu.

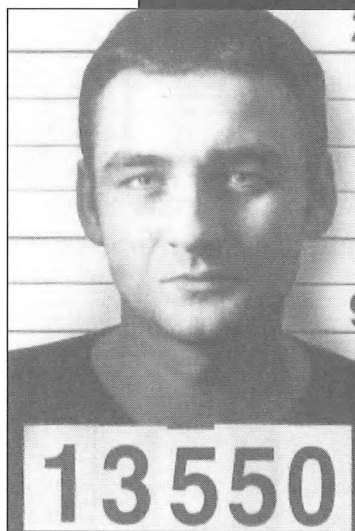


**E**gzekutor. Do niedawna, w Polsce, to słowo było zarezerwowane wyłącznie dla amerykańskiego filmu akcji. Od niedawna dekoracje i rekwizyty amerykańskiego „action movie” weszły do polskiej codzienności. Słowo egzekutor pewnie poczuło się w polszczyźnie, jak bejsbal w ręce polskiego bandziora. Jurek Morawski (bohater reportażu radiowego nadanego 11 stycznia w progr. I.) pożyczył pieniądze od pewnej firmy, po tym, jak jego żonie, ukradziono półtora miliarda starych złotych, które z ich własnej hurtowni miała zanieść do banku. Procent rósł z każdym miesiącem, Jurek Morawski przestał zarabiać, załamał się. Wtedy do jego domu przyszedł egzekutor. Wynajęty przez firmę, skądinąd przyzwoitą. Konsekwencje wizyty egzekutora są druzgocące: dwie próby samobójstwa; dwa miesiące w Tworkach („mania samobójcza”). Rozpad domu, małżeństwa, alkoholizm, ruina psychiczna. Po tym wszystkim egzekutor zapowiedział rychłą wizytę.

To są fakty z życia godnego współczucia, może i litości, Jurka Morawskiego z warszawskiego Ursynowa, który, jak mówi „na początku demokracji” wziął życie w swoje ręce i zaczął, jak tyłu innych, od stolika, a doszedł do własnej hurtowni, domu i samochodu. Lecz nie są to te fakty, na których został oparty scenariusz filmu „Dług”. To jedynie jeszcze jeden dowód na to, że reżyser „Długu”, Krzysztof Krauze, opowiedział historię nie wyjątkową, ekstremalną, a przez to występującą w naturze rzadko, lecz — i to jest przyczyną wstrząsu, jaki ten film wywołuje! — pierwszą z brzegu.

**E**gzekutorzy w Polsce pracują w pełnym świetle dnia, tak samo jak terminatorzy, i są tak pospolici, jak do niedawna inkasenci gazowni, czy elektrowni. Policję widzimy na ekranie telewizora kładącą trupem złodzieja samochodów, bardzo wątpliwe, czy kiedykolwiek zobaczą zakończony sukcesem pościg za egzekutorem, czy terminatorem. Możliwe, że policja biega wolniej i ma gorsze samochody. Możliwe jednak, że drogi policji przecinają się z drogami egzekutorów i terminatorów na skrzyżowaniu niestety, nie prawa z przestępstwem, lecz wspólnych brudnych interesów. W filmie „Dług” jest scena, przecież nie z bajki, ani z telewizyjnej rzeczywistości wirtualnej, która potwierdza prawdziwość takich powiązań. Gdy szantazowany „dłużnik” grozi, że powiadomi o wszystkim policję, egzekutor Gerard (o wyglądzie lubianego przez dzieci kierownika szkoły podstawowej — perfekcyjna rola Andrzeja Chyry) zawozi naiwnego pocziwca pod komisariat, gdzie porusza się z imponującą pewnością siebie, i przedstawia mu stróża porządku w mundurze, całkowicie zblatowanego z egzekutorem.

W pamięci pozostała mi koleżeńska wymiana zdań pomiędzy policjantami nad wywołionymi o świecie dwoma ciałami bez odzienia, z odciętymi głowami. Pierwszy mówi: „To pewnie chłopcy z za wschodniej granicy”. Drugi:



POZA KADREM

## Prosto z życia ale nie wprost

„A niech się pozabijają”. Świetna replika, z punktu widzenia kina akcji. Ale z punktu widzenia przeciętnego Polaka jest to tekst bardzo złowieszczy. Bo przecież — jeżeli nawet „chłopcy” są „z za wschodniej granicy” — to ważne jest to, iż zabijają się u nas. Pomiędzy nami. Każdy z nas może paść ofiarą ich porachunków. Ktoś powie: bez przesady! Ot, kinowa odzywka... To tylko kino!

Owszem, to jest kino, i to świetne, lecz nie tylko. Jest to świetne kino, bo trzyma w napięciu jak thriller. Jest to także kino obyczajowe, bo przedmiotem opisu jest w „Długu” właśnie obyczaj, forma życia, habitus — wygląd Polaka w domu, wśród najbliższych, w pubie, w banku, w firmie, w całym społeczeństwie właściwości miejsca i czasu, w jakim dzieje się akcja filmu, która jest — w tym przypadku — także akcją życia. I jest to kino socjograficzne. Pierwszy, tak nieomylny w diagnozowaniu rzeczywistości, opis faktu pewnego cywilizacyjnego w najnowszych dziejach Polski. Powiedziano Polakowi: wszystko zależy od twojej inicjatywy, bierz życie w swoje ręce, i to już! Nigdy, jak daleko sięgał horyzont pamięci młodego Polaka, nie usłyszał tak jednoznacznej zachęty. Najwyżsi dostojnicy państwowi mówią mu prosto w twarz: państwo musi zająć się państwem nie tobą, szary człowieku. Cokolwiek osiągniesz, będziesz to zawdzięczał jedynie sobie. Jakąż to pokusa dla trzydziestolatka! Wznieść gmach swojego sukcesu własnymi rękami. A prędko! Bo Europa nie czeka!!! Uwważaj, bo nie zatopisz się na Europę! „Dług” Krzysztofa Krauzego to nie tylko film, nie tylko po mistrzowsku opowiedziana historia pewnej zbrodni, to coś więcej: to jest kino moralnego — już nie niepokoju — ale wstrząsu. Jest to

moralitet wielkiej szlachetności. Krzysztof Krauze pokazał nam współczesnego polskiego diabła, który nie tumani, nie przestrasza, lecz — wymuszając haracz — bez mrugnienia wyjmuje niemowlę z łóżeczka i wystawia je za okno. Rodzice dziecka i my, widzowie, nie mamy wątpliwości, że Gerard spełni swoją groźbę. Krzysztof Krauze przedstawia zło, które ma twarz pospolitą. Nic w niej diabolicznego. Kolega Stefana (Jacek Boruch) z podwórka.

Idealna zwyczajność. Diabeł nie przybywa prosto z piekła; zazwyczaj chodziliśmy z nim do przedszkola, do podstawówki, czasem do liceum, a bywa, że dzielił się z nim pokój w akademiku. Aż pewnego wieczora wyszedł z akademika i zarznął dwóch taksówkarzy. Diabeł dba, aby córeczka nie przeziębila sobie gardelka: „Zadnych lodów, proszę!” — przypomina żonie. Koledze z podwórka ufamy instynktownie. Diabeł o tym wie, i potrafi to wykorzystywać.

Krzysztof Krauze z tego, co wydarzyło się naprawdę, co się stało w tzw. prawdziwym życiu, wybiera twarde bloki zdarzeń i miękkie grudki czegoś nie do końca rozpoznanego. Stąd jego film ma przejmującą dwoistość: realność i tajemnicę.

Realność twarzy, miejsc, realność rozmowy z panią prezes banku i realność sali szpitalnej, realność domu inteligentkiego (rodzina Adama), w którym wnuczka na prośbę dziadka recytuje Inwokację, a babcia (mama Adama) pomaga jej niemym ruchem warg; tak Krauze buduje realność, tak przedstawia świat zupełnie w filmie polskim lat dziewięćdziesiątych nie przedstawiony.

I tajemnicę, bo „Dług” jest także filmem o odkrywaniu duszy.

Adam i Stefan zabijają Gerarda i jego ochroniarza, ponieważ zostali doprowadzeni do ostateczności, do całkowitej ruiny, nie uczyniwszy przecież nic złego. Racja: raz wzięli udział w wymuszeniu haraczu, i uwaga: wywiązali się z zadania całkiem sprawnie. Pewnie we wstrętem, jednak sprawnie. Bo zło jest banalne. Gdy zabijają diabła w postaci Gerarda, czujemy ulgę. Oto pułapka, w jaką wpadliśmy. Przeraza nas forma tej szczególnej samoobrony, a zwłaszcza odrzycanie głów, ale ani przez moment nie stajemy po stronie ofiar. Bo ofiary rzeczywiste widzimy jedynie w tych, którzy na naszych oczach popełniają okrutną zbrodnię, co tu dużo gadać: z zimną krwią.

Gdy w Adamie odkrywamy Raskolnikowa, nie czujemy w tym ani fałszu, ani przesady, ani nadużycia, ani sadzenia się ponad możliwości tego filmu. Ku temu właśnie zmierzał reżyser, byśmy z powagą, na jaką nas stać, weszli na terytorium zbrodni i kary. W wymiarze sztuki. W wymiarze prawa. I w wymiarze ducha.

FELIKS NETZ

# Przesłuchanie

Prawdziwe są wszystkie osoby, słowa, daty i godziny. Wszystko jest prawdą, może oprócz pięciu ołówków referenta Widery.



Foto: Marek Baster

Budynek Miejskiej Rady Narodowej w Gliwicach.

Czwartek, 20 maja 1948 roku. Ósma rano. Urząd Wojewódzki w Katowicach. Pokój 342. Referent Widera układa na biurku ostro zaostrzone ołówki. Obok kładzie cienkie kartki papieru przebitkowego i odwrócone na czystą stronę druki poświadczenia obywatelstwa polskiego i akt zdawczo-odbiorczych. Zapowiada się ciepły dzień. Przez lekko uchylone okno naczelnik wydziału społeczno-politycznego Duda wypuszcza kłęby papierosowego dymu i mruży oczy w świeżym słońcu. Stoi plecami do masywnego biurka, na którym leżą: zwinięte w pół wczorajsze wydanie „Trybuny Robotniczej”, dowód doręczenia wzwania oraz otwarta teczka, a w niej na samym wierzchu:

„Doniesienie. Dnia 9. maja 1948 podczas nabożeństwa w Gliwicach ks. Dominik Pyka wygłosił kazanie i między innymi powiedział: »Z przykrością stwierdzam, że na tych terenach śląscy działacze niepodległościowi, którzy tęsknili za powrotem Ziemi zachodnich do Macierzy, poszli w odstawkę, natomiast rej wodzą niemieccy komuniści. Na terenie m. Gliwicz ukazala się ulotka pochodząca z poznańskiego, która szkaluje Ojca Świętego i duchowieństwo. Nie wiem czy jest to prawda, że Ojciec Święty nieprzychylnie odniósł się do granic zachodnich Polski, a gdyby nawet tak było, to przecież zrozumie, moi drodzy, że Ojciec Święty czuje się Włochem i kocha wszystkich jednakowo. Ojciec Święty wie dobrze, że nasze tereny zachodnie nie są zaludnione jak być powinny, bo na przykład znam jeden powiat, który ma dwanaście tysięcy mieszkańców, a co zrobić z tymi biednymi uciśnionymi Niemcami(\*) w głębi Rzeszy«. W tym miejscu przerwano mu kazanie okrzykiem: »Wybudować im Oświęcim«. Okrzyk wyraził Marian Cholewiński. Po tym okrzyku poważniejsze osobistości opuściły kościół, między innymi kier. szkoły Mrozek, por. Sobieszak i inni. Poza tym ks. Pyka nie zatara śladów niemieczyny w kościele. Cholewiński Marian, Gliwicz, ul. Wolności 29”.

Skrzypią drzwi: naczelnik Duda odwraca się do wchodzącego kierownika Mazurka. Już jest. Niech poczeka, zastępca naczelnika Malodobry powinien zjawić się lada moment. Naczelnik Duda siada za masywnym biurkiem i gasi niedopalek w szklanej popielnicze. Z otwartej teczki wyjmuje protokół posiedzenia Miejskiej Rady Narodowej w Gliwicach z 10 maja 1948 roku, na temat nabożeństwa w kościele parafialnym z okazji dnia zwycięstwa, 9 maja o godzinie 11.00. Podpisana przez świadków — członka prezydium MRN Mariana Cholewińskiego, burmistrza Tadeusza Staszewskiego, członka prezydium Wacława Kozłowskiego, przewodniczącego ogniska ZNP i Polskiego Związku Zachodniego Edwarda Mroźka oraz komendanta miasta i strażnicy WOP por. Leona Sobieszaka — wersja wydarzeń w kościele parafialnym jest zgodna z doniesieniem radnego Cholewińskiego.

Kierownik Mazurek dostawia krzesło z prawej strony biurka naczelnika Dudy i otwiera wczorajszą „Trybunę” z artykułem redaktora Borkowskiego pt. „Sprawa wciąż aktualna”:

„Leży przed nami list obywateli Gliwicz — robotników, nauczycieli, b. partyzantów, działaczy społecznych i politycznych — odnośnie kazania wygłoszonego przez ks. proboszcza Dominika Pykę, 9 maja br. w Gliwicach, Podpisani stwierdzają, że w kazaniu tym ksiądz Pyka wystąpił w obronie listu papieża do biskupów niemieckich. Litość i współczucie dla tych 'biednych Niemców', powiązane z kwestionowaniem naszych granic zachodnich — to rzeczy, które muszą wywołać głęboką niechęć w narodzie polskim do głosicieli tego rodzaju poglądów. Społeczeństwo polskie jak i państwo nie może nie przeciwdziałać ich antypaństwowej działalności politycznej. Niech opinia szerokich warstw naszego społeczeństwa, która rozbrzmiała m.in. z pisma obywateli Gliwicz, będzie dla reakcyjnych polityków w sutannach świadectwem, że nie uda się w żaden sposób oszkalować słusznego i patriotycznego odruchu Polaków, potępiających ludzi, którzy przedkładają interesy naszego odwiecznego wroga — Niemców ponad interesy własnego narodu”.

Naczelnik Duda zakreśla czerwonym ołówkiem na drugiej stronie protokołu MRN w Gliwicach: „Były wypadki w szkołach, gdzie ks. Pyka pobił jednego z uczniów pod pozorem nienauczenia się jakiejś pieśni kościelnej, a właściwie dlatego, że ojciec tego ucznia był sekretarzem miejskiego komitetu PPR. Harcerstwo miejscowe również wystąpiło z wnioskiem o zmianę duszpasterza w Gliwicach. Stanowisko ks. Pyki doprowadziło do zatargu pomiędzy Zarządem Miejskim a Parafią, wzgl. jego osobą, w kwestii żłobka dla dzieci i wymownia przedszkola z budynku parafialnego. Atakował on częstokroć z ambony nauczycielstwo polskie, krytykował prasę demokratyczną i Polskie Radio odnośnie jego audycji, doprowadził podczas nabożeństwa w dniu zadusznym w 1947 r. do konfliktu ze Związkiem b. Więźniów Politycznych. Można by takich przykładów wymienić wielką ilość, jak między innymi zamaskowanie napisów niemieckich przy obrazach »Drogi Krzyżowej« w kościele parafialnym, nie wywieszanie z własnej woli flagi narodowej na kościele w dniu Święt Narodowych itd.” Dlatego dla dobra społeczeństwa, które „odczuwa ferment, jaki wprowadza ambona w stosunkach tutejszych”, zebrani jednomyślnie upoważniają prezydium MRN do wszczęcia kroków dla usunięcia proboszcza, „a nawet padł głos bezwzględny pozbawienia księdza Pykę obywatelstwa polskiego”.

Protokół MRN w Gliwicach rozesłany w kopiach do Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, do Urzędu Bezpieczeństwa Publiczne-

go w Nysie (tu naczelnik Duda patrzy w oczy kierownika Mazurka), do starosty powiatowego w Nysie oraz do „Trybuny Robotniczej”, ma dołączone pismo przewodniczącego rady Jana Swiridy, z żądaniem natchmianostowego usunięcia proboszcza z Głuchołaz.

Na piśmie przewodniczącego Swiridy do Urzędu Wojewódzkiego, w lewym górnym rogu, zamasytą notatką zielonym atramentem: „Naczelnik Duda: wezwać tego księdza. Jeżeli z ducha niemieckiego, odstawić do Gliwic. Jeżeli zaś repatriant, przytrzymać. W obu przypadkach zawiadomić ks. dr. Kominka, by przysłał nowego księdza. omówić ze mną. Zawadzki”.

Naczelnik Duda zamyka teczkę. Jest ósma dziesiąć, za oknem piękny wiosenny dzień. Do pokoju 342 wchodzi naczelnik Wydziału Przemysłowego Lasocki z zastępcą naczelnika Wydziału Społeczno-Politycznego Małodobym. Naczelnik Duda daje znak referentowi Widerze: do pokoju wchodzi 45-letni mężczyzna, który trzyma w dłoni wysłane przed tygodniem wezwanie. Naczelnik Lasocki i zastępca naczelnika Małodobry siadają z lewej strony masywnego biurka, mężczyzna naprzeciwko. Referent Widera domyka szczerne okno i odbiera od mężczyzny wezwanie. Kładzie je przed naczelnikiem Dudą i wraca za swoje biurko, mniej masywne od biurka naczelnika Dudy. Naczelnik Małodobry wyjmuje papierosnice. Referent Widera sięga po pierwszy z ostro zaostrzonych ołówek. Równym, lekko chylącym się w prawo charakterem, na odwrotnej, czystszej stronie druku poświadczania obywatelstwa polskiego, zapisuje:

„Protokół z przesłuchania Ks. Dominika Pyki, ur. dnia 4.12.1903 r. w Jemielnicy pow. Strzelce, na okoliczność wygłoszonego w dniu 9 maja br. kazania. Ks. Pyka jest proboszczem, dziekanem parafii w Głuchołazach. Domyśla się, że został wezwany w sprawie kazania, które wygłosił w dniu 9 maja br. Pouczony o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznanie, Ks. Pyka podaje co następuje:

Ojciec mój Nikodem zginął w nieszczęśliwym wypadku w 1914 r. Matka Maria żyje. Brat Hieronim jest profesorem w gimnazjum w Strzelcach. Obywatelstwo polskie przyjął w 1929 r. Studia ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Siostra Anna Kuś należała do Związku Polaków w Niemczech. Mieszka obecnie w Jemielnicy. Mąż jej żyje, jest Polakiem.

Gimnazjum ukończyłem w Nysie w Zakładzie św. Krzyża w roku 1924, a studia teologiczne w Wiedniu, skąd jako Polak miałem być wyrzucony. Nowicjat odbyłem w Sigburgu. Studia teologiczne ukończyłem w roku 1932 i w tym to roku moje władze zakonne przeniosły mnie, jako Polaka, do Grudziądza. Tam byłem zaledwie kilka tygodni. Moim przełożonym był ks. Michalik. Z tamąd następnie zostałem wysłany do Poznania na studia matematyczno-filozoficzne, gdzie otrzymałem tytuł Mgr Filozofii w zakresie matematyki.

pyt. Kto był prezesem Związku Polaków w Niemczech?

odp. Nazwiska prezesa Związku Polaków w Niemczech nie przypominam sobie w tej chwili. Dzielnicowym był Myśliwiec, a na powiat strzelecki był ob. Rychel”.

4 czerwca Koło Polskiego Związku Zachodniego w Jemielnicy napisze do Urzędu Wojewódzkiego: „Niniejszym zaświadczamy, że ksiądz proboszcz Pyka Dominik, urodzony w Gąsiorowicach, pochodzi z polskiej rodziny. W okresie reżimu hitlerowskiego przyjeżdżał częściej na tutejszy teren, utrzymując stały kontakt z tutejszymi działaczami polskimi”.

„W dalszym ciągu ks. Pyka zeznaje, że wniósł do swoich władz zakonnych prośbę o uznanie go księdzem świeckim. Prośba jego została uwzględniona. Od 1938 r. pracował w »Liceum Raciborskim« w Tarnowskich Górach. Tam przebywał do 1.9.1939 r. Dyrektorką Zakładu była ob. Godzińska. W drugim dniu wojny wyjechał z Tarnowskich Gór. Zatrzymano nad rzeką Brynicą w okolicy Świerkłańca został odstawiony z powrotem do Tarnowskich Gór, gdzie został przesłuchany. Przesłuchiwał go gestapowiec Werner. Po przesłuchaniu został zwolniony i pozostał w Tarnowskich Górach”.

16 czerwca 1948 roku proboszcz z Tarnowic Starych napisze do Urzędu Wojewódzkiego: „Zabieram w tej sprawie głos jako Polak. Że jestem Polakiem, to mi poświadczą 'Dziennik Zachodni' z niedzieli dnia 6.10.1946 roku, kiedy pisze: 'Na Śląsku przed laty: dnia 29.9.1918 r. w Wójtowej Wsi pod Gliwicami poświęcenie kościoła tymczasowego i wprowadzenie jako pierwszego duszpasterza naszego rodaka ks. Tworza'. Jako Polaka zna mnie Wojewoda Obywatel Ziętek i, jak się spodziewam, Prezes Wydziału Społeczno-Polit. Obywatel Duda. Więc jako Polak oświadczam, że ks. Pyka jest z przekonania Polakiem a nie Niemcem, że posądzenie ks. Pyki o usposobienie niepolskie i niepatriotyczne jest nieusprawiedliwionym i fatalnym błędem. Kiedy ks. Pyka urzędował w Tarnowskich Górach jako profesor i katecheta, to utrzymywał ze mną z moim domem szczególnie ścisły kontakt dlatego, że mnie poznał jako Polaka i że mógł się do mnie odnieść z zaufaniem. Schodziliśmy się często. W czasie okupacji, kiedy trzeba było kryć się z mową polską, aby uniknąć przesładowań, mówiliśmy tylko po polsku. Aby się pokrzepić na duchu, jechaliśmy do Będzina odwiedzić stary zamek, pamiątkę świetności dawnej Polski, aby u stóp górkę św. Dorotki roznówić się z naszymi współbraćmi z Zagłębia Dąbrowskiego. Jest nie do pomysłenia, że ten gorliwy pa-

triota polski ks. Pyka, który doznał za swoje przywiązanie do Polski od Niemców tyle sztykan, teraz miałby się Polski zapierać i laścić się Niemcom. Tak oskarżać go jest niesłychaną, nieszczęśliwą pomyłką. Łącząc wyrazy uszanowania. Ks. Twórz, proboszcz”.

Pismem wciąż równym, na odwrotnej stronie druku akt zdawczo-odbiorczych, referent Widera zapisuje:

„Następnie ks. Pyka zgłosił się do Biskupa Śląskiego w sprawie powierzenia mu czynności duszpasterskich. Biskup Adamski przyjął go do Diecezji Śląskiej. Biskupi Wrocławski i Berliński odmówili mu przyjęcia, gdyż jako Polak nie mógł pracować wśród Polaków na tamtych terenach. Jak obywatel niemiecki posiadał radio i słuchał również stacji zagranicznych”.

Naczelnik Duda, ociera popiół z papierosa o brzeg szklanej popielniczki:

„pyt. Jaki sygnał miała radiostacja londyńska?

odp. Brzmienie to pamiętam, ale go nie mogę powtórzyć.

Kontynuując swoje zeznanie ks. Pyka podał, że prowadził tajne nauczanie. Na pytanie kogo uczył, ks. Pyka podał: braci Kasperskich uczyłem języka niemieckiego, łaciny i matematyki. Ponadto uczyłem młodzieńca nazwiskiem Samiec, braci Huberta i Arkadiusza Baronów. Placili oni 50 pf. za godzinę. Ponadto na lekcje przychodziła Słomkówna, córka właściciela składu papierosów oraz Kubelanka. Uczyłem również prywatnie dzieci rodzin niemieckich i w ten sposób byłem kryty przed władzami niemieckimi. Wiadomość o jego nauczaniu doszła na gestapo i władz szkolnych, na skutek czego ks. Pyka musiał zaprzestać naukę”.

2 czerwca dwudziestu mieszkańców Tarnowskich Gór podpisze pismo do Urzędu Wojewódzkiego: „Od jesieni 1939 r. do marca 1942 r. brałmśmy czynny udział jako uczniowie w »tajnym nauczaniu« w prywatnym mieszkaniu ks. prof. mgr. Pyki, co jak powszechnie wiadomo — było b. ostro ścigane przez okupanta zwłaszcza na terenach włączonych do rzeszy, jednak ks. Pyka tym się nie zraził i jako wielki przyjaciel młodzieży — mając wyłączność na względzie jej dobro, podjął się tego niebezpiecznego trudu, udzielając nam lekcji z zakresu matematyki, chemii, fizyki i łaciny, używając jako języka wykładowego język polski. Jeszcze na Wielkanoc 1940 r. w tut. kościele parafialnym wygłosił plomienne kazanie po polsku poświęcone zmartwychwstaniu Polski. Ponieważ na skutek doniesienia kierownika szkoły Niemca Hof-fmeistera, groziło Jemu i nam wywiezienie do obozu koncentracyjnego, zrezygnowaliśmy z dalszego pobierania nauk. W następstwie tego doniesienia ks. Pyka opuścił Tarnowskie Góry, my zaś zostaliśmy zmuszeni do pracy w fabrykach”.

„Ks. Strzysz powierzył mi następnie stanowisko wikariusza w Tarnowskich Górach, a w jakimś czasie później powierzono mu stanowisko zarządcy parafii w Miotku w pow. lublińskim. W Miotku był również niemiecy. Ludność miejscowa wiedziała kim ks. Pyka jest. Tam przebywał do kwietnia 1945 r. Po przejściu Oddziałów Wojsk Radzieckich ks. Pyka odprawił nabożeństwo dziękczynne z odpiewaniem teodeum. Urządził również przy pomocy pani Emilii (gospodyni ks.) i ks. Kusia szkołę, gdzie uczył języka polskiego i innych przedmiotów. Po miesiącu zgłosił ks. Pyka w inspektoracie szkolnym o istnieniu szkoły”.

10 czerwca, na tej samej maszynie do pisania, na której zostało sporządzone pismo tarnogórskich uczniów, Klara Imiołczyk z Miotka napisze do Urzędu Wojewódzkiego: „Ja niżej podpisana, wdowa po zmarłym więźniu politycznym Franciszku Imiołczyku, nie uwierz, ażeby ks. Dziekan Pyka Dominik miał Niemcom sprzyjać. Znam go jako wielkiego patriotę polskiego, który, skoro się dowiedział po swoim przybyciu do Miotka, że ja jestem wdową po więźniu politycznym, pospieszył dla całej mojej rodziny z pomocą materialną, pod karą śmierci wzbromioną. Jest to wprost dla Polaków poniżające, ażeby takiemu człowiekowi miałaby się krzywdzić dzieć, dzisiaj w demok. Polsce, którą tak gorąco budował. Wszystkich nas zapewniał, że Polska będzie a Niemcy muszą ponieść klęskę. Ilekroć mi to powiedział, wylewałam przed nim łzy. Serdecznie witał wojska radzieckie, które do nas przybyły”.

Tego samego 10 czerwca Gertruda Goniwiecha z Miotka napisze do Urzędu Wojewódzkiego: 14 czerwca mieszkanka Miotka napiszę do Urzędu Wojewódzkiego: „Ks. Pyka popierał na każdym kroku poczynania nowych władz polskich i ułatwiał im pracę. Pierwszy Oddział Milicji Obywatelskiej został od ks. Pyki serdecznie powitany i ugoszczony. Mamy jeszcze żywo w pamięci serdeczne rozmowy ks. Pyki z oficerami wojska radzieckiego w języku rosyjskim. Zaledwie front się przerwał, odprawił ks. Pyka mszę św. dziękczynną za odzyskaną wolność, z kazaniem i dziękczynnym hymnem »Ciebie, Boże, wielbimy«. Jeszcze grzmiąły armaty, a ks. Pyka już organizował szkołę polską w pomieszczeniach należących do jego administracji”.

Książd odpowiada dobitnie, ważąc słowa. Referent Widera nie ma kłopotów z nadaniem:

„Z Miotka został ks. Pyka przeniesiony przez kuratorium do gimnazjum w Tarnowskich Górach na stanowisko katechety. Tam przebywał od wielkanocy do października 1945 r. Jeszcze we wrześniu tego roku spotkał się ks. Pyka w tramwaju ze swoją dawną dyrektorką ob. Godzińską i wizytatorem szkolnym, którzy podsuwali



mu myśl przeniesienia się na zachód. Ks. Pyka wyraził wówczas swoją gotowość przeniesienia się i za zgodą Biskupa poszedł na stanowisko katechety w Głucholazach. Tam uczył języka angielskiego i religii. W listopadzie tego roku otrzymał do ks. Biskupa Kominka list z zapytaniem czy byłby gotów objąć poważniejsze stanowisko, w konsekencji czego został zamianowany dziekanem i proboszczem parafii w Głucholazach, mimo że ks. niemiecki Donau był jeszcze na miejscu. Ks. Pyka odremontował tam kościół probostwo ewangelickie. Do tego kościoła uczęszcza 5 miejscowych szkół. W sprawie przekazania tego kościoła i probostwa miejscowej parafii wystosował do Urzędu Wojewódzkiego pismo. Pismo to nie zostało do tej pory załatwione. Natomiast miejscowa Komisja Lokalowa wezwała ks. i zarządziła oddania budynku probostwa na rzecz złobka. Ks. Pyka nie zgodził się, bo nie chciał działać na szkodę parafian a ponadto dlatego, że do remontu włożył dużo własnych pieniędzy. W końcu na jego własne żądanie Miejska Komisja Lokalowa wypowiedziała mu dalsze używanie odremontowanego domu. Zwolniony budynek został przejęty przez Zarząd Miejski. Ks. Pyka podaje, że ustąpił dobrowolnie i przeniósł się do dawnej plebani.

Na papierze przebitkowym, trzeci ołówek referenta Widery ześlizguje cię coraz mocniej w prawo:

„Budynek ten jest nie wystarczający. Na urządzenie zebrań, ćwiczeń pieśni i urządzenie przedstawień teatralnych zmuszona jest parafia korzystać z budynku miejscowego przedszkola. Przedstawienia te organizowała i prowadziła gospodyni księżka Emilia Grzechotkówna. Udział w tych przedstawieniach brała młodzież związana ściśle z kościołem i organizacjami kościelnymi. Ks. Pyka uważa, że te organizacje nie muszą być rejestrowane. Kuria Biskupia informowała ks. Pykę, że zarządzanie teatrów, zbieranie się młodzieży szkolnej i pozaszkolnej nie musi być zgłaszane do władz. Frekwencja takich zebrań dochodzi do 50 osób”.

Naczelnik Duda podchodzi do okna i otwiera je do połowy. Chmura papierosowego dymu walczy z orzeźwiającym powietrzem z zewnątrz. Jest kwadrans po dziewiątej. Naczelnik Duda oddycha głęboko i odwraca się do przesłuchiwanego:

„pyt. Jaką ks. posiadał »Volskliste«?

odp. Volsklisty nie posiadałem, bo byłem obywatelem niemieckim”.

18 czerwca prezydium Gminnej Rady Narodowej w Kaletach napisze do Urzędu Wojewódzkiego: „Ks. Pyka cieszył się wśród społeczeństwa polskiego bardzo dobrą opinią”.

24 czerwca ks. dr Leven z Tarnowskich Gór napisze do Urzędu Wojewódzkiego: „Według mego najszczerzego przekonania czyni się ks. Pyce ciężką krzywdę, jeżeli się go osądza od polskości, a posądza o niemieckie sympatie”.

pyt. Do kogo i ile paczek wysłał ks. w czasie okupacji?

odp. Nie wysyłałem w czasie okupacji żadnych paczek, gdyż sam znajdowałem się w trudnym położeniu”.

30 maja Helena Pilarzka z Miotka napisze do Urzędu Wojewódzkiego: „Oświadczam, że ks. Pyka Dominik był pierwszym, który mi pomógł materialnie i finansowo, gdy zabrano mego męża do obozu. Jak mi wiadomo, ksiądz pomagał wszystkim wdowom po więźniach politycznych, co mogło w razie potrzeby zaświadczyć sądownie”.

7 czerwca Stefan Szeliga z Zielonej, parafia Miotek, napisze do Urzędu Wojewódzkiego: „Pozwalam sobie wyjaśnić i oświadczyć, że ks. Pyka siostrze mojej i szwagrowi, który obecnie jest burmistrzem miasta Woźniki, podczas okupacji niemieckiej wysyłał do Włocławka paczki żywnościowe”.

10 czerwca Anastazja Pietsz z Zielonej, parafia Miotek, napisze do Urzędu Wojewódzkiego: „Ja jako 14-sto letnie dziewczę rodziców nie posiadających żadnej volsklisty, wyrzucono mnie ze szkoły w Zielonej, a z przemusem chciano wysłać na prace przymusowe do Niemiec. Dowiedziawszy się o powyższym, ks. Pyka zabrał mnie przez to do siebie — mimo wszelkich trudności jakie mu robili parteigeosen, blokleitrowie i ostbauerfuerer oraz inne. Traktowano mnie jak własne dziecko, dawano mi ubranie, bieliznę, każdego dnia kiedy wracałam do domu dawano mi żywności dla młodszego nieomal od głodu ginącego rodzeństwa. Oprócz tego wieczorami lub wczesnym rankiem dostarczałam żywność dla chorych polek czy żon po zamordowanych więźniach politycznych, co każda w razie potrzeby zaświadczyć może sądownie. Będąc jako służąca przez 3 lata oświadczyć mogę, że ks. Pyka był nie tylko dobrym polakiem, lecz także i ojcem, i opiekunem całej parafii Miotek. Kiedy urodziły się dzieci w polskich rodzinach,



Grób ks. Pyki - cmentarz w Koźlu.

Foto: Marek Bastier

udzielał w ten czas chrztu św. w obrzędach polskich, co w czasie okupacji było surowo wzbronione. Nadmieniam, że powyższe w razie potrzeby zeznać mogę SĄDOWNIE”.

„pyt. Co się ks. nie podoba w obecnym ustroju?

odp. Przecież jestem zadowolony, zasadniczo.

pyt. A co się ks. podoba w obecnym ustroju?

odp. Podoba mi się to, że Ziemia Zachodnie zostały przyłączone do Polski. Nie podoba mi się natomiast brak współpracy między ludnością miejscową i napływową.

pyt. Co ks. wie o Warszawie?

odp. Że została zniszczona w 90 proc. i że obecnie odbudowuje się. Winę za zniszczenie Warszawy powinien ponieść ca-

ły naród niemiecki. Zdaniem moim Niemcy ponoszą konsekwencje tylko po części. Konsekwencje te ponoszą w pierwszym rzędzie ci, którzy zostali wysiedleni. Jest to dla nich kara.

pyt. Czem byli Niemcy na tym terenie i z jakiej ziemi zostali wysiedleni?

odp. Z Ziemi Piastowskiej, która sięga po Odrę i Nysę.

pyt. Z jakiej ziemi byli wysiedleni Niemcy?

odp. Niemcy byli wysiedleni z ziemi, na której byli przybyszami.

pyt. Czy wysiedlenie ich jest zatem karą?

odp. Nie jestem w stanie określić czy to jest dla nich kara.

pyt. Czym był dla Niemców Oświęcim?

odp. Oświęcim był hańbą dla Niemców, najgorszą zbrodnią.

pyt. Co jest dotkliwsze, czy śmierć w krematorium na własnej ziemi, czy też wysiedlenie z obcej ziemi do własnej ojczyzny?

odp. Wysłudzenie moim zdaniem jest karą.

pyt. Jak daleko sięga nasze prawo do Ziemi Zachodnich?

odp. Prawo nasze do Ziemi zachodnich sięga do ustalonych obecnych granic. Wysłudzenie Niemców z Ziemi Zachodnich uważam za wysoki wymiar kary.

pyt. Gdzie jest ten punkt przesylny, w którym Niemcy zasługują na litość i ile metrów kwadratowych przypadało na jedną osobę w czasie okupacji w Oświęcimiu?

odp. Na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć”.

Czwarty ołówek, coraz szybciej:

„pyt. Ilu Niemców umiera śmiercią głodową?

odp. Nie wiem.

pyt. Ile w Polsce jest oper?

odp. W Poznaniu, w Warszawie i na Śląsku.

pyt. Ile oper jest obecnie w Niemczech?

odp. Nie wiem.

72 — dopowiada Ob. Naczelnik Wydziału S.P.

pyt. Co Niemcy zrobili z profesorami i szkolnictwem polskim w czasie okupacji?

odp. Nie pozwolili nauczać, a profesorów zniszczyli. U Niemców natomiast jest obecnie wszystko normalne.

pyt. Czy ks. słyszał co o planie Marschalla i ile przeznaczono na odbudowę Warszawy?

odp. Plan pomocy obejmuje tylko Niemcy.

pyt. Gdzie zatem jest ten punkt litości nad nimi?

odp. Niemcy czuli się zawsze wyższymi, bo tak zawsze występowali. Prawo to było urojone a wszczepiane przez Nietschego jako 'übermensch'. dzisiaj ich to boli, że tym nie są.

pyt. Czy ks. czytał list wielkiego człowieka do Biskupów Niemców?

odp. Tym człowiekiem jest papież. Listu tego nie czytałem, ale o nim słyszałem jak Starosta Kulbicki mówił o nim w dniu 1-go maja i który krytykował Papieża. Co do wypowiedzi Papieża w sprawie granic zachodnich, nie zgadzam się. Uważam, że nie jest rzeczą Papieża zabierać głos w sprawach granic politycznych państw i narodów. Co do samych Niemców, że oni głodują i są ścienieni, uważam, że Papież wszędzie tam, gdzie jest ból i cierpienie, wyraża swoje współczucie.

pyt. Czy zdaniem ks. istnieje powód do wyrażania Niemcom współczucia i to współczucie głosić na cały świat?

odp. Uważam, że współczucie papieża nie jest w tej mierze dostatecznie uzasadnione.

pyt. Czy w tym współczuciu dopatruje się ks. tylko aspektu chrześcijańskiego, czy też politycznego?

odp. Jako obywatel gotowy jestem przypuszczać, że i polityczne aspekty skłoniły Papieża do takiego wystąpienia.

pyt. Czy ks. w czasie wojny słuchał radia zagranicznego?

odp. Tak, słuchałem.  
pyt. Jaki to był aparat?  
odp. Miałem aparat 5-cio lampowy, o szerokim zasięgu, marki 'Telefunken', i byłem dobrze poinformowany o wszystkich wiadomościach na świecie.  
pyt. Czy ks. mając tak dokładny kontakt ze światem w czasie okupacji, słyszał coś o proteście papieża na zbrodnie niemieckie w Polsce?

odp. Podczas wojny o jakimkolwiek proteście Papieża na mordy i zbrodnie, dokonywane w Polsce i innych krajach, nie słyszałem.

pyt. Czy sytuacja, w jakiej Polacy znajdowali się przez 5 i pół roku okupacji jest podobna do sytuacji, w jakiej Niemcy obecnie się znajdują?

odp. Ależ nic podobnego, nie da się porównać. Słyszałem i czytałem, że Papież błogosławił oręż i oddziały włoskie wyruszające na front.

pyt. Który naród i państwo jest zdaniem ks. bardziej katolickie i wierne Papieżowi i Rzymowi?

odp. Polska, o której mówił, że Polonia semper fidelis. Niemcy są zgangrenowane.

pyt. Czy o Niemcach mógł który papież wypowiedzieć takie słowa?

odp. Nie.

pyt. Czy zdaniem ks. były kardynał Pacelli, obecnie Papież Pius XII, jest śladem innych, poprzednich papieży, polonofilów?

odp. Tego nie wiem, w jakim stopniu jest dla Polski życzliwym.

pyt. Jaki wniosek nasuwa się ks. w związku z tym pytaniem?

odp. Odnoszenie się Papieża do Polski nie jest tak życzliwe, jak tego Naród Polski słusznie oczekuje. Z drugiej strony jego stosunek i wypowiedzi wyrażone Niemcom jest na wskroś niezrozumiałe i przesadne. Nasuwa mi się tu słuszne zdanie w tej sprawie, ale jako ks. obawiam się na ten temat mówić. Nie chciałbym Papieża krzywdzić twierdząc, że jest źle ustosunkowany do Polski, mimo że za tym wszystko przemawia — wszelkie pozory.

pyt. Czy ks. przyłącza się do tego współczucia wyrażonego Niemcom?

odp. Absolutnie nie, wręcz przeciwnie. Naprawdę jeszcze nigdy Niemców nie żałowałem”.

26 czerwca 841 mieszkańców Glucholaz podpisał pismo do Urzędu Wojewódzkiego: „Postanowiliśmy tą drogą prosić Ob. naczelnika o łaskawe wysłanie delegata, który by na miejscu sprawdził, ile Ksiądz prof. Pyka działał dobrego wśród nas przybyłych na te ziemie z całej Polski i według tego osądził, czy możliwym jest, aby tego pokroju Ksiądz i Polak mógł nagle być Niemcem. Kiedy przed półtora rokiem jednostki dla państwa wrogo nastawione szerzyły niepokojące pogłoski, żeby opuszczać te ziemie, to właśnie Ksiądz Pyka uspokajał zaniepokojonych parafian z ambony: tego Niemiec by nie uczynił na pewno”.

„pyt. Czy ks. był oburzony na wyrok w Norymberdze?

odp. Nie, nigdy.

pyt. Dlaczego ks. w kazaniu w dniu 9 maja b.r. przyznawał słuszość Papieżowi w kwestii granic zachodnich Polski?

odp. Słuszości Papieżowi nie przyznawałem, usiłowałem tylko wytłumaczyć, wyjaśnić jak Papież jako obywatel zagraniczny może w tej sprawie myśleć.

pyt. Dlaczego ks. usiłował to tłumaczyć?

odp. Usiłowałem ratować autorytet Papieża w oczach ludu.

pyt. Czy to było potrzebne?

odp. Niekoniecznie, nawet nie przeczuwałem, że mogę być tak fatalnie zrozumiany.

pyt. Czy poruszenie tego momentu z ambony miało wpłynąć na umocnienie ducha polskiego parafian, pewności jutra?

odp. Miało przeciwdziałać w podkopywaniu zaufania do Papieża.

pyt. Co zdaniem ks. jest ważniejsze, czy ewentualne osłabianie zaufania do Papieża ze strony wiernych, czy też wywołanie psychozy niepewności Polaków i repatriantów itp?

odp. W dziedzinie praktycznej wywołanie takiej psychozy w środowisku jest szkodliwe.



Glucholaz, ul. Wolności 29: dom, w którym mieszkał donosiciel.

pyt. Ile Polska liczy mieszkańców?

odp. 20 coś tysięcy — poprawia się — 20 milionów.

pyt. Czy ks. zajmuje się statystyką, stanem ludności?

odp. Nie zajmuję się.

pyt. Który powiat ma 12 tys. mieszkańców?

odp. Powiat, w którym Karuga jest starostą, tak mnie informowano.

pyt. Dlaczego ks. mówił o tym z ambony?

odp. Wyrwało mi się.

pyt. Czy to jest karygodne?

odp. Jest karygodne. Tak daleko jednak nie myślałem. Zdaję sobie sprawę, że stałem się karygodnym za to, że rozszargałem sprężystość ducha polskiego. Nie uświadamiałem sobie, że wypowiedzenie to przyczyni się do podkopania ducha pewności i może być przez zagranicę podchwyczone. Osobiście ubolewam, że z powodu braku przygotowania do kazania te słowa mi się wyrwały. W danej chwili — jak sobie przypominam — absolutnie nie wyczuwałem, wskazując na to, że Papież może mieć pozory słuszności dla swego poglądu na nasze granice zachodnie.

pyt. Czy może w to uwierzyć każdy, dziecko i dorosły. Niezadowolenia w szerokich masach nie ma. Niezadowolenie to jest tylko w niektórych kołach”.

14 czerwca 42 mieszkańców

Glucholaz podpisał pismo do Urzędu Wojewódzkiego: „Ks. Pyka jest to urzędnik-pracownik, u którego sprawy finansowe są podrzędną rzeczą. Taks nie wymaga — żyje z jałmużny parafian. Słubów i pogrzebów »kupić« u niego nie można. Jest typowym demokratą kochającym, bo u niego bogacz i biedny ma taki sam ślub. »Paradę« robi jedynie Bogu w święta uroczyste”.

„pyt. Dlaczego ks. tych swoich wywodów na temat granic zachodnich, stanu zagospodarowania Ziemi Zachodnich, ich zaludnienia i miłości Papieża do Niemców nie kontynuował?

odp. Niezbyt głośnym okrzykiem ob. Cholewińskiego »Oświeć-cim«, kazanie w tym miejscu mi przerwano. Na to zreflektowałem się uwagą: »proszę pana, tu kościół«, na co Cholewiński odpowiedział: »To mogę pójść«. Zdania te padły z takim natężeniem, że były słyszane. Cholewiński wyszedł z ławki. Mnie to jednak nie zdetonaowało, gdyż byłem opanowany a dla uspokojenia ludu powiedziałem: »To było powiedziane nie przeciwko proboszczowi, lecz przeciwko Niemcom«”.

W czerwcu 243 mieszkańców Glucholaz podpisał pismo do Urzędu Wojewódzkiego: „My jesteśmy w największej mierze z dalekich stron Polski, a każdego z nas ceni i kocha miłością prawdziwego brata-rodaka. Znamy go z 3-ech lat gorliwej pracy nacechowanej wielkim patriotyzmem dla wszystkiego co nam święte i drogie. W sposób sobie jedynie swoisty potrafił nas zespolić, zacierając wszelkie ujemne cechy i wady, które dają wybujały regionalizm. Nigdy nie wyczuliśmy nawet z jego myśli litości dla Niemców, lecz przeciwnie, piętnował ich butą i zaślepienie polityczne, tępił ślady Niemców i niemieckość w sposób duchowo kulturalny, a nie jak niektórzy hurra-patrioci, którzy dużo krzyczą, a czynem nic nie dokonywują”.

„pyt. Jaka krzywdza dzieje się Ślązacom, zdaniem ks.?

odp. Ze się kwestionuje ich polskość, Doznałem dużo przykrości. pyt. Którzy znajomi ze Związku Polaków w Niemczech zostali odsunięci od stanowisk, wpływów i udziału w procesie repolonizacyjnym?

odp. W Strzelcach — Rychel, Arka Bożek — Wicewojewoda. Brat mój Hieronim, który jest w Strzelcach profesorem i wcale nie awansuje.

pyt. Proszę podać nazwiska komunistów niemieckich, wodzących rej na tut. terenie?

odp. W związku ze zdaniem, że najwięcej boli to, że działacze są odsuwani, wypowiedziałem zdanie: »Podczas gdy pewien Niemiec komunista gdzieś rej wodził«. Miałem wówczas na myśli ob. Fruholza, który obecnie jest bardzo głośny jako Polak, a który o Związku Polaków nie chciał nic słyszeć. Przebywa on w Jemielni-

cy i jest członkiem PPR. Był on zawsze przekonany niemieckich. Podobni jemu są: Tomasz Maseli z Gąsiorowic, młynarz Ptok, również z Gąsiorowic.

pyt. Jak ocenia ks. obecny ustrój Polski?

odp. Jako ustrój zupełnie na miejscu i korzystny dla Polski.

pyt. Jakie zdanie ma ks. o przyjaźni Polsko-Radzieckiej?

odp. Powtorzę zdanie, jakie wypowiedziałem przed rokiem w rocznicę PKWN, mianowicie, że przyjaźń Polsko-Radziecka jest jedyną gwarancją utrzymania granic zachodnich. Powiedziałem również i na tym stanowisku stoję obecnie, że cieszę się, że narody słowiańskie połączyły się jako wspólny front przeciwko germanizacji.

pyt. Jak ks. ocenia przeprowadzoną w Polsce reformę rolną?

odp. Jestem z niej zadowolony.

pyt. Jaką prasę ks. czyta?

Mija trzecia godzina przesłuchania. Referent Widera sięga po ostatni z ostro zaostrzonych ołówków:

„odp. Czytam Trybunę Robotniczą, bo najwięcej daje wiadomości i informacji.

pyt. Ile kosztuje Trybuna Robotnicza?

odp. 3 zł.

pyt. Gdzie wychodzi?

odp. W Katowicach. Ponadto czytam Tygodnik Powszechny.

pyt. Dlaczego ks. krytykował prasę?

odp. Tego nigdy nie robiłem. Przeciwnie, pochylałem.

pyt. Jaki jest stosunek ks. do miejscowego nauczycielstwa?

odp. Za wyjątkiem kierownika Mrozka, stosunek ten jest poprawny.

pyt. Co się ks. nie podoba w radio polskim?

odp. Z radia i jego audycji jestem zadowolony.

pyt. Jaki konflikt miał ks. w dniu zadusznym ubiegłego roku ze Związkiem b. Więźniów Politycznych?

odp. W dniu zadusznym nie było żadnego konfliktu. Po paru tygodniach doszło do mojej wiadomości, że Związek b. Więźniów Politycznych miał do mnie pretensje, że przy obchodzie grobów pominałem mogiłę ofiar — b. więźniów politycznych.

pyt. Dlaczego ks. nie usunął dotąd napisów niemieckich w kościele?

odp. Bo nakryłem je w sposób idealny. Dałem również rozkaz do usunięcia ich w sposób artystyczny. Cmentarz nie należy do mojej kompetencji”.

18 czerwca ksiądz Pyka napisze do Urzędu Wojewódzkiego: „W sprawie herbu znajdującego się w łuku tryumfalnym w kościele parafialnym w Glucholazach wyjaśniam: obecny kościół parafialny został zbudowany w roku 1729. Napis ten brzmi dosłownie: »anno quo francisco ludovico, neoburgo, electoratus sanctae sedis cessit«, co po polsku brzmi: »w roku, w którym Franciszkowi Ludwikowi Neuf-Chatel przypadł w udziale wybór stolicy św.«. Wiemy z historii, że biskupem wrocławskim był naówczas właśnie Franciszek Ludwik książę Neuf-Chatel w Szwajcarii. Czarny orzeł zaś w środku herbu jest jego rodzinnym godłem”.

„Na pytanie czy wywarł jakiś nacisk i użył wpływów na usunięcie niemieckich napisów z nagrobków cmentarnych ks. Pyka odpowiedział, że tymi sprawami nie interesował się, bo gospodarzem cmentarza jest magistrat.

W sprawie chłopca, którego zbilam po twarzy oświadczam, że zbilam go za zachwałę zachowanie. Obszerny protokół w tej sprawie znajduje się w Kuratorium Szkolnym Okręgu Śląskiego.

pyt. Dlaczego ks. nie chce się przyznać, że uderzył chłopca dlatego, że jest synem PPR-owca?

odp. Dowiedziałem się o tym dopiero po fakcie.

pyt. Jakie konsekwencje powinien ks. ponieść za kaganie polityczne i inne czyny natury politycznej?

odp. Chciałbym pozostać nadal na tym stanowisku i pracować dla dobra Polski”.

31 maja naczelnik Duda napisze do administratora apostolskiego w Opolu biskupa Kominka: „Urząd Wojewódzki przedkłada odpis protokołu posiedzenia MRN w Glucholazach w sprawie ks. Pyki, proboszcza i dziekana w Glucholazach, z prośbą o natychmiastowe usunięcie wymienionego z zajmowanego stanowiska z równoczesnym przeniesieniem go na inne miejsce. Podniesione w protokole zarzuty ks. Pyka potwierdził w zeznaniach, złożonych przed tut. Urzędem Wojewódzkim. O pozytywnym ustosunkowaniu się ks. Administratora do powyższej prośby należy powiadomić tut. Urząd Wojewódzki w ciągu 7 dni, przy czym nadmieniam, że w razie przeciwnym dalsze załatwienie sprawy ks. Pyki w trybie administracyjnym nie będzie możliwe”.

2 czerwca kanclerz kurii w Opolu napisze do naczelnika Dudy: „Donosimy niniejszym, że z dniem dzisiejszym ksiądz Pyka przestał być rządcą parafii i dziekanem w Glucholazach. Na jego miejsce zamianowaliśmy księdza Piotra Mirosa z Warszawy”.

„Przesłuchanie zakończył Ob. Naczelnik uwagami odnośnie zarzutów, do których ks. Pyka przyznał się i oświadczył, że zajście takie więcej się nie powtórzy”.

29 lipca ksiądz Pyka napisze do naczelnika Dudy: „Pragnę niniejszym dać wyraz zadowoleniu, że Woj. Wydział Społeczno-Polityczny raczył wglądać w moją przeszłość i przekonać się, jak bardzo byłem i jestem sprawie Ojczyzny oddany. Uważam zresztą, że wśród księży autochtonów na Opolszczyźnie nie ma takiego, który by za niemieckich czasów bardziej ode mnie albo w równym przynajmniej stopniu był związany ze sprawą polską. Usiłowałem zmusić sądownie dwóch obywateli do udzielenia mi publicznej satysfakcji na złośliwe zniesławienie mej osoby na publicznym posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej w dniu 28.5.br. i spowodowanie uchwały odebrania mi obywatelstwa polskiego, lecz do rozprawy wyznaczonej na dzień 9.7.br. nie doszło z powodu niestawienia się jednego z oskarżonych (w ogóle wyjechał z Glucholaz) i połączenia obu, przeze mnie oddzielnie złożonych, oskarżeń przez Sąd Grodzki. Dowiaduję się, że oskarżeni wraz ze swymi przyjaciółmi zamierzają i w przyszłości za wszelką cenę nie dopuścić do rozprawy. Więc z tego wynika, że rehabilitacja osiągalna na drodze prawnej jest daleka i na razie nieaktualna.

Zalecenie Woj. Wydziału Społ.-Polit., żebym mimo to Glucholazy opuścił, spełniłem, lecz jeśli to uczynię nie powróciwszy uprzednio na swoje stanowisko proboszcza w Glucholazach chociażby tylko na krótki okres, będę uchodził w oczach tutejszego społeczeństwa za zde-maskowanego autochtona-niemca. Jest niepożądane, aby społeczeństwo, które w przygotowanej większości mi zaufało i darzyło wielkim przywiązaniem, widziało we mnie nie tego Polaka, ja kim jestem i zwiódło się w swej wierze w patriotyzm księdza-autochtona. Wobec powyższego zwracam się z prośbą o wyrażenie swej zgody na ponowne przejęcie objętej przeze mnie urzędu proboszczowskiego w Glucholazach, z tym że ze swej strony zobowiązuję się do opuszczenia Glucholaz najpóźniej do 1.IX.br.

„Przesłuchanie odbyło się w gabinecie Nacz. Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego Śl.-Dąbr. przy udziale jego zastępcy dra Małodobrego, kierownika Oddziału II-go ob. Marzurka i Naczelnika Wydziału Przemysłowego ob. mgra Lasockiego”.

11 sierpnia naczelnik Duda napisze do biskupa Kominka: „Urząd Wojewódzki prosi o wyjaśnienie, dlaczego ks. Pyka Dominik przebywa jeszcze w Glucholazach, mimo zwolnienia go ze stanowiska proboszcza i dziekana w Glucholazach”.

27 sierpnia kanclerz kurii w Opolu napisze do naczelnika Dudy: „W odpowiedzi donosimy, że ks. Pyka otrzymał nominację na substytutą w Koźlu od 1 IX 1948 r. W Glucholazach przebywał na własną prośbę nadal — bez urzędu proboszcza i dziekana — by przeprowadzić osobiście sprawę obrony przeciw niektórym osobom i oskarżeniom, które jego zdaniem niesłusznie na niego narzucono. Ks. Pyka złożył swego czasu w Kurii naszej następujące oświadczenie na piśmie: »Pan Naczelnik Duda w dniu 20 V 1948 r. oświadczył po czterogodzinnym protokole między innymi dosłownie do mnie: »Nie mamy nic przeciwko temu, aby ks. nadal w swym zawodzie pracował, nawet na lepszym stanowisku niż Glucholazy, ale z Glucholaz musi ks. pójść, inaczej musielibyśmy skierować sprawę do sądu«. Dr Małodobry wypowiedział się w dniu 12 VII między innymi dosłownie do mnie: »Nie mamy co do księdza żadnych zastrzeżeń. My wiemy teraz wszystko, my wiemy, że się ksiądz w Glucholazach krzywdza dzieje, my wiemy, że społeczeństwo w Glucholazach jest po stronie księdza. Jednak chcielibyśmy, żeby się ksiądz z Glucholaz usunął ze względu na tamten incydent i ze względu na własną osobę. O ile by miał ksiądz na nowej placówce przykości, to niech nam ksiądz doniesie, to my wtedy wystąpimy z wyjaśnieniem i w obronie księdza«”.

„Sporządzony protokół podpisał ksiądz Dominik Pyka, umieszczając swój podpis pod treścią każdej kartki”.

12 września starosta powiatowy w Nysie Kulbicki napisze do naczelnika Dudy: „Zawiadamiam, że ks. Pyka Dominik przebywa jeszcze w Glucholazach, lecz czynności duszpasterskich w kościele parafialnym nie wykonuje. Wymieniony otrzymał nominację na proboszcza parafii w Koźlu i w najbliższym czasie wyprowadza się z Glucholaz na stałe”.

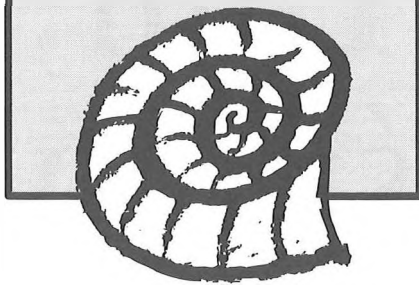
„Na tym przesłuchanie ks. Pyki i protokół zakończono. Katowice, dnia 20 maja 1948 r. Protokółował: R. Widera, ref. Wyd. S.P.”  
Naczelnik Duda podchodzi do okna i otwiera je na całą szerokość.

## POST SCRIPTUM

Po wyjeździe z Glucholaz ksiądz Dominik Pyka przebywał w Koźlu — do 1958 roku jako proboszcz, później jako emerytowany rezydent parafii św. Zygmunta. Zmarł w 1982 roku. Pochowany w skromnej kwaterze, na kozielskim cmentarzu.

\*) W tekście zachowana została oryginalna pisownia, jaka była stosowana w dokumentach, na podstawie których powstał publikowany materiał.





## Śląskie markowe produkty turystyczne?

Produktom markowym (marką turystyczną) nazywamy rynkowy produkt usług turystycznych o wysokich walorach i odpowiedniej jakości, typowy dla danego regionu czy kraju. Taką marką zapewne jest pielgrzymka śladami Chrystusa po Ziemi Świętej, wczasy w wiosce polinezyjskiej, safari w Afryce, może spływ Dunajcem z górską kapelą i pochodniami, itp. Marki można pogrupować w zespoły turystyki biznesowej, rekreacyjnej, tranzytowej itp. Jakie produkty turystyczne, jakie usługi, typowe dla województwa śląskiego możemy łatwo sprzedać na rynku pełnym konkurencji? Nie mamy Krakowa, Oświęcimia, Białowieży, Tatr — więc co posiadamy?

W pojęciu ekorozwoju, czy też zrównoważonego rozwoju istotną rolę odgrywa równowaga i proporcja pomiędzy sektorami życia. Mało uświadomiony aspekt dotyczy harmonii pomiędzy pracą a wypoczynkiem, monotonią osiadłego życia a aktywnością poznawczą wędrującego człowieka. Aktywność ruchowa, turystyka kwalifikowana, staje się potrzebą. W Polsce w okresie transformacji ustrojowej nastawiliśmy się głównie na pracę zapominając często o właściwym wypoczynku, rekreacji i turystyce. Wypoczynek, wczasy, aktywna turystyka stała się poszukiwanym towarem. Towarem — na którym również można sporo zarobić, o czym wiele krajów i regionów wie od dawna. Wychodzą one naprzeciw oczekiwaniom turystów, dużo inwestują w infrastrukturę techniczną, informację i promocję, a nade wszystko z roku na rok podnoszą poziom usług turystycznych i rozszerzają i uatrakcyjniają oferty turystyczne. Społeczeństwa bogate cenią sobie nie tylko pracę ale szczególnie wypoczynek, rekreację, sposób spędzenia wolnego czasu. Na wolnym rynku konkurencji poziom usług turystycznych jest coraz większy. Przyciąga już nie tylko piękny krajobraz, przyroda, lokalna kultura, ale odpowiednia infrastruktura i urzędnicy, jak i (czego nie docenia się jeszcze w woj. śląskim) profesjonalna promocja i interpretacja produktu turystycznego.

Niestety w ostatnich latach nastąpił w Polsce regres turystyki. Z komunikatu badań Instytutu Turystyki wynika, że roczna tendencja spadkowa za ubiegły rok sięga około 2,5 proc. krajowej aktywności turystycznej naszego społeczeństwa. W turystyce przyjazdowej do Polski przeciętny turysta wydał na terenie Polski 161 USD na osobę. Wydatki te były zróżnicowane i wahały się od 102 USD (Białorusini) do 335 USD kraje zamorskie (USA, Kanada, Japonia, Australia, Nowa Zelandia). Najczęściej odwiedzanymi województwami były mazowieckie i małopolskie. Gości za Odry mamy coraz mniej, bo benzyna podróżowała, tradycyjna turystyka sentymentalna ogranicza się, w sposób naturalny, odstrasza niski poziom usług higienicznych. Handel przygraniczny, szczególnie wschodni został ograniczony i to wszystko razem — kształtuje wyżej wymieniony obraz statystyczny. Aktywność turystyczna zagraniczna Polaków też uległa obniżeniu o ok. 3 proc. Średnia wydatków na osobę przy wyjazdach w Polsce długookresowych 44 zł, krótkookresowych 88 zł. Niski poziom usług, wygórowane ceny nie adekwatne do jakości usług, zagęszczenia weekendowe, itp. powodują, że wielu polskich turystów woli pojechać za granicę (i tam wydać miliony dolarów) na narty niż do Szczyrku czy Korbiewowa. Trasy tam są zdecydowanie szersze, lepiej oznakowane

i utrzymane. Jeden karnet narciarski, tzw. skipas, pozwala korzystać za darmo z najlepszej sieci wyciągów narciarskich i skibusów dowożących pod wyciągi.

Marzy mi się turystyka w województwie śląskim na miarę europejską. Jest na to szansa właśnie teraz, kiedy zlikwidowano Urząd Kultury Fizycznej i Turystyki, powstała Polska Organizacja Turystyczna i powstać mają Regionalne Organizacje Turystyczne. Jest wiele do zrobienia, aby w możliwie krótkim czasie próbować dogonić cywilizowane kraje. Potrzebne są w województwie śląskim inwestycje, zmiana mentalności usługodawców, koordynacja i integracja działań, system sprawnej informacji, agresywna promocja produktów markowych, itp. Marzy mi się wysoki poziom usług, sprawny wojewódzki system informacji turystycznej w internecie. Setki kiosków interakcyjnych na dworcach kolejowych, lotniskach, stacjach benzynowych pozwalałoby każdemu potencjalnemu turyście dowiedzieć się, co konkretnie w dany dzień i o danej godzinie będzie się interesującego działo. Tysiące ścieżek rowerowych łączyłoby setki atrakcji naszego województwa.

Czy woj. śląskie jest atrakcyjne dla Polaków i cudzoziemców? Czy mamy czym przyciągnąć, czy też jesteśmy wyłącznie regionem tranzytowym w drodze do Krakowa, Oświęcimia? Otóż atrakcyjność — dobrą markę — buduje się latami. To nie tylko zabytek kultury czy ciekawostka przyrodnicza — to raczej produkt konkurencyjny na rynku, wypromowany i potwierdzony przez jakość usług i atrakcyjność. To cudowna atmosfera, wygodny nocleg, miła obsługa, czystość, dobre jedzenie i picie, sprawna informacja. Nie potrzebny jest Wersal czy Kanion Colorado, aby się dobrze bawić. Dowiodły tego kraje takie jak Irlandia, która nie posiadając wielkich zabytków zwielokrotniła ilość odwiedzających ją turystów — tylko dzięki sumiennej pracy marketingowej Organizacji Turystycznej.

Co może stać się atrakcją w województwie śląskim? Prawie wszystko, pod warunkiem, że zbudujemy pozytywny wizerunek województwa śląskiego. To znaczy

nie będą pojawiały się w prasie warszawskiej i zagranicznej tytuły: „Katastrofa ekologiczna na Śląsku”, „Trójkąt śmierci”, „Ołowiane dzieci”, „Zlamany kod genetyczny” lub też w głównych wiadomościach telewizyjnych „Górale w Szczyrku grożą nartostrady drutami kolczastymi” itp. A członkowie korpusu dyplomatycznego zamieszkają w aglomeracji katowickiej nie bojąc się, że będą żyli krócej. Po drugie wyselekcjonujemy i wypromujemy produkty markowe województwa śląskiego bazujące na wielkiej różnorodności krajoznawczej. Za najbardziej swojski górnośląski produkt markowy uważałbym „Wnętrze ziemi śląskiej i tradycje górnicze”. W ramach tej marki turysta zwiedziłby niejedną przodek górniczy, kopalnie srebra, sztolnie odwadniające, zobaczyłby muzeum górnicze czy geologiczne, wysłuchałby górniczej orkiestry dętej, zwiedziłby Giszowice czy inne osiedle górnicze a wieczorem uczestniczyłby w karczmie piwnej. Atrakcją jest też przejazd tramwajem po najdłuższej sieci tramwajowej w Europie czy galeria malarstwa polskiego w Muzeum Śląskim. Wielką atrakcją dla znawcy będą renomowane zabytki historii techniki: maszyny parowe, wyciągowe, itp. Można też pokazać postępy w rewitalizacji zniszczonego środowiska (WPKiW, zrehabilitowane nieużytki okolic Jaworzna). Druga marka to „Beskidy i tradycje kultury góralskiej” a w tym wycieczka piesza po groniach, tradycje pasterskie (redyk i życie w szałasie), zwiedzanie Muzeum Beskidzkiego w Wiśle, koronkarstwo w Koniakowie, pętla beskidzka, itp. Gdyby udało się zbudować jeszcze lepszą sieć wyciągów i nartostrad to Beskidy byłyby bezsprzecznie zimową stolicą kraju. Trzecia marka to pielgrzymka po sanktuariach województwa np. Jasna Góra, Piekary, Pszów i najliczniejszej w Polsce sieci drewnianych kościołków gotyckich. Marką może być agroturystyka w Jurze w połączeniu ze zwiedzaniem Częstochowy. Marką dla turysty niemieckiego mogą być trasy sentymentalne po miejscach urodzin czy zamieszkania znanych postaci, np. laureatów nagrody Nobla, wielkiego romantycznego poety niemieckiego J. von Eichendorffa z Lubowic koło Raciborza, którego porównać można do naszego Mickiewicza. Trasy te ubogacić można zwiedzaniem znakomitych rezydencji magnackich i przemysłowych. Specyficzną marką mogą być tradycje myśliwskie i muzyki łowieckiej (trąbka myśliwska zwana plesówką) okolic Pszczyń (Promnice), itp. Nowa Śląska Organizacja Turystyczna musi postawić przed sobą wysokie zadania organizacyjne, promocyjne i po analizie słabych i silnych stron województwa zacząć budować w sposób profesjonalny potęgę turystyczną naszego regionu. Tak wielkiego rynku zbytu i tak wielkiej różnorodności nie posiada żadne województwo. Ważne jest też uświadomienie, że zachęcanie do tego co polskie, co śląskie, kupowanie produktów turystycznych w województwie śląskim (wycieczkę na Jurę, wczasy narciarskie w Beskidach, zwiedzanie wnętrza ziemi w kopalniach śląskich, itp.), to pozostawienie tutaj pieniędzy, to danie szansy na rozwój usług, to kreowanie nowych miejsc pracy. Korzystajmy z naszych przyszłych marek turystycznych, zostawiamy zatem pieniądze i podatki na Śląsku, nie zasilajmy zbytnio kasy pięknych krajów, dajmy miejsca pracy w naszym województwie.

Słuchałem tego koncertu  
w tej samej sali,  
w której po zakończeniu  
I wojny światowej  
i po polsko-ukraińskiej  
wojnie o Lwów  
królowała sławna  
Kiczmanka  
(Anda Kitschman),  
pierwsza w Polsce  
kobieta dyrygent.  
Na przełomie lat 20. i 30.  
artystka ta prowadziła  
w Katowicach  
zespoły wokalne.

# Tam, gdzie śpiewała Kiczmanka

MAREK  
BRZEŹNIAK

We Lwowie była piosenkarką, autorką, kompozytorką i pianistką kabaretu „Czwórka”, występującego w teatrze „Bagatela”, wczesniejszym „Casino de Paris”, secesyjnym budynku z 1909 roku. Z czasów, gdy pod miłościwym panowaniem Franciszka Józefa Habsburga stolica Galicji przeżywała istny boom budowlany. Obok „Casino de Paris” powstawały także i inne budynki przy dość krótkiej ulicy Rejtana, równoległej do Wałów Hetmańskich. Przy okazji zburzono znajdujący się tam dom, w którym w latach 1820-1830 mieszkał i tworzył Franz Ksawer Mozart, syn wielkiego Wolfganga Amadeusza, założyciel Towarzystwa Muzycznego im. Św. Cecylii.

Dziś ulica nosi imię reżysera i aktora Les'a Kurbasa (1887-1942), który w tymże 1909 roku wystąpił po raz pierwszy we Lwowie w zespole amatorskiego studenckiego teatru. Tyle, że w budynku ukraińskiego towarzystwa asekuracyjnego „Dnister”, zbudowanym 4 lata wcześniej przy ulicy Ruskiej, w ścisłym centrum starego miasta.

## Wspomnienie Śląska

„Casino de Paris”, choć nie ma już w nim ornamentalnych malowideł Zygmunta Balka, nadal istnieje i jest dziś Teatrem Młodzieżowym im. Kurbasa. Właśnie w nim słuchałem i oglądałem spektakl „Dźwięki i słowa”, z którym wystąpili aktorka, śpiewaczka i pianistka Natalia Polowynka, wychowanka winnickiej szkoły muzycznej i lwowskiego konserwatorium, mająca na swoim koncie współpracę z Jerzym Grotowskim we Włoszech oraz Jurij Jaremczuk. Całość była utrzymana w happeningowym klimacie występów naszej Olgi Szwajgier, a więc solistka śpiewała, szeptała, krzyczała i dyszała we

Foto: Marek Brzeźniak



W tej kamienicy, zbudowanej na początku XIX wieku w stylu klasycystycznym, mieszkała początkowo rodzina znanych lwowskich litografów i drukarzy Pillerów. Później mieściło się tu Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne, założone w 1866 r. i przekształcone w 1880 r. w konserwatorium.

wszelkich możliwych pozycjach: na siedząco, stojąco, leżąc, w świetle i po ciemku.

Natalia Polowynka studiowała fortepian w klasie Marii Tarnawieckiej. Tak się złożyło, że na innym koncercie V Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej „Kontrasty” siedziałem obok pani profesor. I zaczęliśmy rozmowę. Na pytanie pani Tarnawieckiej, skąd jestem, odpowiedziałem, że z Katowic i że ja, rodowity lwowiak pojawiłem się w wieku niemowlęcym na Śląsku dlatego, ponieważ do Bytomia wyjechała w 1945 roku polska część zespołu Opery Lwowskiej, a w tym gronie także mój dziadek. Wtedy pani Tarnawiecka zadała mi pytanie, czy znam nazwisko Franciszki Denis-Słoniewskiej. Naturalnie — odparłem — wielokrotnie pisałem o przyjeździe lwowskich artystów do Bytomia, a Franciszka Denis-Słoniewska była najslawniejszą solistką tej grupy. Najbardziej jednak zdu-

miewające było następne pytanie z tej „serii”, jako że dotyczyło osoby znacznie mniej znanej: — A znał pan jej męża, perkusistę Jana Słoniewskiego? — Tak, był kolegą mego dziadka, również perkusisty. — To był mój kuzyn — odparła pani Tarnawiecka.

Nie przypuszczałem, bym jeszcze mógł spotkać nie znanych mi wcześniej świadków tamtych wydarzeń. Prof. Tarnawiecka przekazała przy okazji pozdrowienia dla Ewy Pawlik-Zmudzińskiej, dyrektorki Instytucji Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” w Katowicach, którą zapamiętała z okupacyjnych kompletów.

Lwów Ukraińców,  
Lwów Polaków

Na tegorocznych, V „Kontrastach” polscy muzycy zagłosili wyjątkowo licznie. Wszak pol-

ski był główny koncert festiwalu, który wypełniło najnowsze dzieło oratoryjne „Credo” Krzysztofa Pendereckiego poprowadzone przez samego kompozytora. Z Orkiestrą Festiwalową Pendereckiego wystąpili polscy soliści, wśród nich Romuald Tesarowicz, dobrze znany sprzed lat bytomskiej publiczności oraz chór „Dumka” z Kijowa i chłopięcy „Dudaryk” ze Lwowa. Scenografię stanowiło tło z malowanym barokowym ołtarzem, wypożyczone z „Toski”, a rzecz działa się w teatrze Opery i Baletu, który za rok będzie obchodził stulecie istnienia(!). Może szkoda, że koncert ten nie odbył się, jak początkowo planowano, w katedrze rzymsko-katolickiej, ponieważ oratoryjne kompozycje religijne Pendereckiego najlepiej czują się w odpowiedniej dla nich akustyce. Teatralna pozostawiała sporo do życzenia, ale i tak lwowiakom chyba najbardziej się spodobał właśnie ten wieczór. Gości przybyło sporo, zwłaszcza VIP-ów, jako że impreza odbywała się pod patronatem Aleksandra Kwaśniewskiego, a najważniejszą osobą na widowni była prezydentowa Jolanta Kwaśniewska. W przemówieniach strony polskiej i ukraińskiej podkreślano coraz lepsze kontakty obydwu państw, a szczególnie fakt, że Polska była pierwszym krajem, który uznał niepodległość Ukrainy.

V festiwal był dobitnym przykładem tej dobrej atmosfery. Polscy kompozytorzy i polscy wykonawcy stanowili drugą grupę po ukraińskiej. To, że Krystyna Moszumańska-Nazar, która osobiście przybyła na festiwal jest z urodzenia lwowianką, organizatorzy z sympatią akcentowali w swoich wystąpieniach. Wykonanie jej „Tuberozy” przez saksofonistę An-

drzeja Rzymkowskiego odbywało się w ramach jubileuszu 75-lecia pani profesor. Chyba nawet i w podejściu do tego, jakby nie było, dość odległego czasowo faktu czuć lwowiankę z krwi i kości — jakaż inna dama pozwoliłaby tak roztrąbić datę swego urodzenia?

Omawiany koncert, w którego programie znalazł się utwór jeszcze jednego lwowiaka, także jak Krystyna Moszumańska-Nazar związanego po wojnie z Krakowem — Bogusława Schaeffera sprezentował lwowskim „Kontrastom” Krakowski Oddział Związku Kompozytorów Polskich. To dzięki znakomitej współpracy jego prezesa Jerzego Stankiewicza z dyrektorem festiwalu Wołodymyrem Siwochypem tak dobre są dziś kontakty muzyczne dwu dawnych galicyjskich stolic.

Na szczeblu bardziej ogólnopolskim pielęgnuje je dyrygent Roman Rewakowicz, wychowanek warszawskiej Akademii Muzycznej, współorganizator „Kontrastów”, stale współpracujący z orkiestrą „Wirtuosi Lwowa”, która w 2000 roku weźmie udział, już po raz trzeci, w Mikołowskich Dniach Muzyki. Rewakowicz wraz z „Wirtuozami Lwowa” zaprezentowali jeden z najlepszych wieczorów ubiegłorocznego festiwalu, na którym obok „Sinfonietty per archii” Krzysztofa Pendereckiego i „Tabuli rasa” Arvo Paerta przedstawił kompozycje dwu ukraińskich twórców różnych pokoleń Witalija Hubarenki ur. w 1934 roku w Charkowie i 42-letniego lwowiaka Jurija Łaniuka.

Tak, jak Ukraińcy specjalnie nie ukrywają już polskiej przeszłości miasta — w najnowszym, dość szczegółowym przewodniku po Lwowie,



Foto: Marek Brzeźniak

Krakowska kompozytorka, Krystyna Moszumańska-Nazar, z urodzenia lwowianka, nad grobem lwowskiego kompozytora Jana Galla, autora pieśni „Dziewczę z buzią jak malina”, na Cmentarzu Lyczakowskim.

opublikowanym w 1999 r. zamieścili m.in. aktualne zdjęcie Cmentarza Orłąt i archiwalną fotografię nieistniejącego już pomnika namiestnika Galicji Agenora Goluchowskiego — tak i my również winniśmy pamiętać, że przedwojenny Lwów był nie tylko wielkim ośrodkiem kultury polskiej, lecz także ukraińskiej.

## W kościołach i cerkwiach

I tak patron sali filharmonicznej, w której odbywało się najwięcej festiwalowych koncertów Stanisław Ludkewicz (1879—1979) nie był nikim importowanym z zewnątrz po 1945 roku, ale muzykiem ściśle związanym ze Lwowem. Mimo polskiego imienia (ach, ta Galicja) był jak najbardziej Ukraińcem, wychowankiem polskiego kompozytora Mieczysława Sołtysa i austriackiego twórcy Aleksandra Zemlinskiego (ach, ta Austria ze słowiańskimi nazwiskami Niemców), nauczycielem języków klasycznych i ukraińskiego w gimnazjach Przemyśla i Lwowa, założycielem w 1903 roku ukraińskiego Wyższego Instytutu Muzycznego we Lwowie, noszącego od 1912 roku imię Mikołaja Łysenki. Dziś w dawnym Instytucie Łysenki działa szkoła muzyczna im. Ludkewicza, a Instytut, czyli przekładając na polski Akademia Muzyczna, przeniósł się do budynku wybudowanego niegdyś jako Instytut Technologiczny. Obydwa obiekty pochodzą z tych samych lat, początku XX wieku i są znakomitymi przykładami lwowskiej secesji.

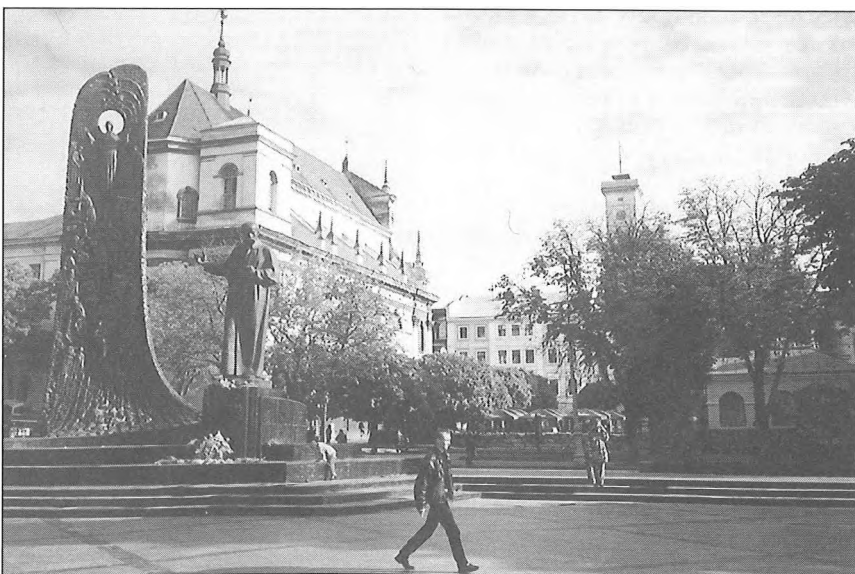
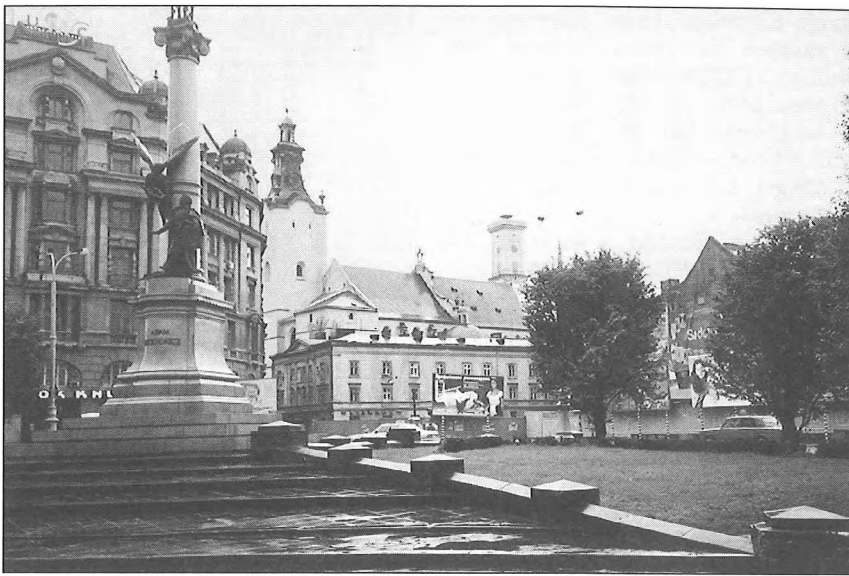


Foto: Marek Brzeźniak

Na dawnych Walach Hetmańskich, niedaleko miejsca, gdzie do 1950 r. królował pomnik Jana III Sobieskiego, „wyrósł” przed kilku laty bardzo interesujący pod względem artystycznym monument Tarasa Szewczenki. Z tyłu, nadal zamknięty, kościół Jezuitów.





Po wyburzeniu jednej ze starych kamienic katedra rzymsko-katolicka stała się lepiej widoczna z placu Mariackiego. Na lewo pomnik Mickiewicza.

Foto: Marek Brzeźniak

Sala koncertowa Instytutu Muzycznego również należała do stałych wnętrz V „Kontrastów”, a z polskich utworów zabrzmiały w niej *Preludia taneczne na klarnet i fortepian* z 1954 roku Witolda Lutosławskiego, z którymi przyjechali do Lwowa dwaj muzycy szwajcarscy.

Jeśli chodzi o salę im. Ludkewicza największe wrażenie sprawiły na mnie rewelacyjne interpretacje 5 mazurków i „Masek” Karola Szymanowskiego przez pianistę Józsefa Ormęny'ego, urodzonego we Lwowie i w Moskwie, w klasie sławnego Jewgienija Malinina. Ormęny zagrał też fortepianową wersję *Medytacji* lwowskiego kompozytora Andrzeja Nikodemowicza, wychowanka Adama Sołtysa, syna wspomnianego wyżej Mieczysława. 4 dni później „Medytacje” Nikodemowicza zabrzmiały w wersji na flet i orkiestrę smyczkową, w interpretacji Andrija Karpiaka i zespołu Wyższego Instytutu Muzycznego. Andrzej Nikodemowicz należy do tych przedstawicieli polskiej inteligencji, którzy bardzo późno zdecydowali się na zmianę kraju i opuszczenie ukochanego Lwowa — dopiero w 1980 roku przeprowadził się on do Lublina, gdzie został profesorem KUL. Jak jednak zdążyłem zauważyć, we Lwowie pozostawił wielu przyjaciół, którzy witali go obecnie z dużą sympatią.

Z wewnątrz kościelnych najczęściej był wykorzystany dawny kościół świętego Łazarza z początku XVII wieku przy ulicy Kopernika, która do dziś nie zmieniła nazwy. Na szczęście mało ucierpiał, jako że w latach 70. przekazano go chórowi chłopięcemu „Dudaryk”. W środku pozostały ubiegłowieczne ołtarze i stare polskie ta-

blice pamiątkowe. Paradoksalnie brak organów, które bardzo by się chłopakom z „Dudaryka” przydały w odtwarzaniu repertuaru barokowego i renesansowego. Mimo, że teoretycznie jest to sala koncertowa, odbywają się w niej również nabożeństwa, tyle że cerkiewne. Co prawda ikonostas nie wprowadzono, ale obok obrazów rzymsko-katolickich pojawiły się ikony. W tej sytuacji dzisiejszy święty Łazarz jest wszystkim naraz — i salą koncertową, i kościołem, i cerkwią.

Właśnie w tym wnętrzu Krystyna Moszumańska-Nazar, która zdążyła dojechać do Lwowa w połowie festiwalu, wysłuchała w ostatnim jego dniu swego kwartetu smyczkowego nr 2 w interpretacji młodego zespołu ukraińskiego „Klaster”. Tu kwartet smyczkowy Wołodymyra Dudy i „Wirtuozi Lwowa” wraz z pianistą Zygmuntem Krauzem wystąpili w wieczorne monograficznym Krauzego. Tu usłyszeliśmy też pięć wokaliz na sopran i fortepian Andrzeja Nikodemowicza. Tu wreszcie przeżyłem sporo wzruszeń słuchając znakomitego recitalu młodego altwiołisty lwowskiego Andrija Wijtowycza, współpracującego z orkiestrami BBC i londyńskiej Covent Garden. Akustyka świątyni dźwiękom instrumentów smyczkowych daje cudowny aksamitny odcień.

Co prawda w kościele Łazarza nie ma dziś organów, ale za to w pobliżu, u Marii Magdaleny znajdują się największe organy na całej Ukrainie, zbudowane w 1932 roku przez czeską firmę braci Rieger. I dlatego kościół ten od wielu lat pełni funkcję Sali Organowej i kameralnej. Podczas dwu poprzednich moich wizyt we Lwowie — a za drugim razem bawiłem w tym mieście pod koniec lat 80., towarzysząc pierwszej i jedy-

nej, jak do tej pory wizycie zespołu Opery Śląskiej „u źródeł” — nie udało mi się dojrzeć zza zasłony największej dumy tej świątyni, wspaniałego, stiukowego ołtarza głównego z 1634 roku. Obecnie, jaśniał w blasku światła, a na jego tle zabrzmiała... cerkiewna kompozycja liturgiczna, którą lwowski kompozytor Mirosław Skoryk ur. w 1938 roku i wychowany w klasie Adama Sołtysa, wywiódł, jak sam podaje z tradycji cerkiewnych, galicyjskich śpiewów. Rzec wykonali soliści i chór „Gloria” prowadzony przez szefa festiwalu Wołodymyra Sywochypa, a wrażenie było ogromne.

Niestety, nie zdążyłem przyjechać na jedyny festiwalowy koncert w przepięknym wnętrzu Dominikanów (obecnie cerkwi Przenajświętszej Eucharystii i równocześnie nadal muzeum historii religii, choć już bez dodatku „i ateizmu”), w którym cudowne, złote rzeźby świętych dominikańskich, z szatami o fałdach przypominających szlify szlacheckich kamieni, przysłuchiwały się jakże im niepojętym dźwiękom utworów, z którymi zagościł tu Sztokholmski Kwartet Saksofonowy. Czcigodni święci mocno się chyba zadumali nad zmianą gustów i wpływem czasu.

Bo czas płynie nieubłaganie. Nawet i dla nas, polskich lwowiaków, miasto to staje się coraz bardziej odległym wspomnieniem. Choć nadal niezwykle pięknym, z dodatkowym urokiem patyny czasu. Najważniejsze, żeby łączyło obydwie narody, a nie dzieliło. Lwowskie „Kontrasty” niewątpliwie łączą.



Foto: Marek Brzeźniak

Zbudowany w 1910 roku według projektu Władysława Sadłowskiego budynek Towarzystwa Muzycznego i Konserwatorium. Dziś mieści Filharmonię i salę im. Stanisława Ludkewicza.

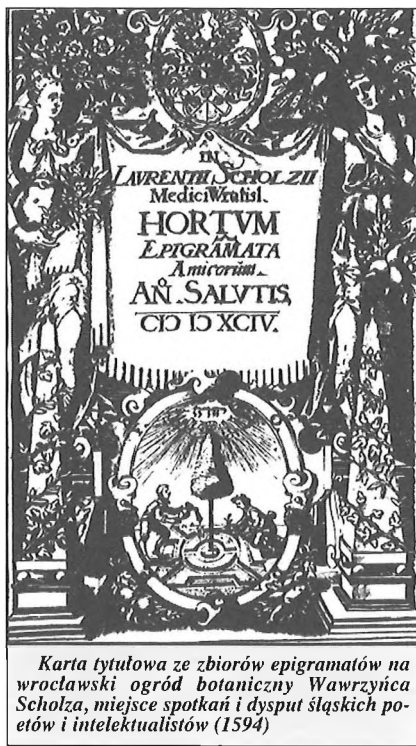
W dniach od 21 do 24 listopada 1999 roku w Kamieniu Śląskim koło Opola odbyła się już druga sesja poświęcona tradycjom kultury antycznej w życiu duchowym dawnego i dzisiejszego Śląska. Konferencja została zorganizowana w Zamku Odrowążów przez Zakład Historii Starożytnej Uniwersytetu Opolskiego oraz Konwersatorium imienia Józefa von Eichendorffa, któremu prezesuje dr Adolf Künemann. Zimowy wystrój starego parku i piękny różowy salon, a nade wszystko troskliwe oko Gospodyni obrad, prof. Joanny Rostropowicz – sprzyjały przypomnieniom tego, co łączy naszą ziemię z dziedzictwem kultury śródziemnomorskiej i tego, co pozostanie na zawsze uniwersalne w śląskiej literaturze.

Z pierwszej części sesji o antycznych tradycjach w naszej kulturze, która miała miejsce przed trzema laty (19-21 września 1996 roku), ukazały się w 1997 roku w jednym tomie zebrane wystąpienia, referaty, komunikaty. Było ich 24. Również teraz uczestnicy wysłuchali 24 wystąpień. Jeszcze wieczorem w niedzielę 21 listopada obrady rozpoczął senior zjazdu, prof. Eugeniusz Konik z Wrocławia. W poniedziałek w części popołudniowej uczestnicy sesji słuchali wystąpień dra Adolfa Künemanna, prof. Anny Elissy Radke z Marburga o współczesnej recepcji poezji Gryphiusa i Angelusa Silesiusa, prof. Zofii Głombiowskiej z Gdańska o liście poetyckim Daniela Hermanna, interesującego referatu, również z Gdańska przybyłej, mgr Izabeli Bogumił o poezji Melchiora Laubana ze Szprotawy, dra Dariusza Rotta z Katowic o śląskiej hymnologii w świetle po polsku napisanych hymnów autorstwa siedemnastowiecznego poety Piotra Wacheniusa ze Strzelec Opolskich, a także referatu dra Wojciecha Mrozowicza z Wrocławia, który przypominał sylwetkę zapomnianego śląskiego uczonego i starożytnika – Abrahama von Bibrana.

Posiedzenie popołudniowe przyniosło następujące odczyty: dra hab. Józefa Budzińskiego z Katowic o naśladowcach antyku w śląskich szkołach humanistycznych na przestrzeni od XVI do XVIII wieku, mgr Doroty Zuchowskiej z Łodzi o tłumaczeniach poezji Horacego, których dokonali w swych młodych latach – Jan Nikodem Jaroń. Mgr Anna Malina z Katowic mówiła o dawnych osiemnastowiecznych łacińskich sztukach teatralnych, pochodzących ze szkół zakonnych jezuitów (Wrocław) i franciszkanów (Głubczyce). Mgr Beata Gaj z Katowic przywołała dawne szkolne oratorstwo i retorykę na Śląsku, m. in. na przykładzie mowy Walentyna Preibizjusza. Wystąpienie prof. Joanny Rostropowicz z Opola było poświęcone śląskiej barokowej emblematyce, a szczególnie emblematom, których autorem był Jerzy III Oppersdorff z Głogówka, znany jako mecenas literatury i sztuki, nieznan jako nowolaciński poeta.

Dzień obrad trzeci rozpoczął się odczytem mgra Zbigniewa Kadłubka z Katowic o mamieryzmie na Śląsku i poezji Baltazara Exnera z Jeleniej Góry, następnie głos zabrał dr Krzysztof Tomasz Witczak z Łodzi, który polemizując z artykułem Gościwita Malinowskiego z Wrocławia, przypominał w bardzo interesujący sposób pradzieje osadnictwa na Śląsku, a szczególnie ludu Botów-Butonów, w świetle źródeł pisanych. Dr Tadeusz Aleksandrowicz z Katowic natomiast w referacie o zachowa-

# Tradycje kultury antycznej na Śląsku



Karta tytułowa ze zbiorów epigramatów na wrocławski ogród botaniczny Wawrzyńca Scholza, miejsce spotkań i dysput śląskich poetów i intelektualistów (1594)

nych łacińskich chronostychach w Cieszyźnie przypomniał dzieje tego bez wątpienia tajemniczego gatunku poezji oraz przedstawił przykłady śląskich chronostychów. W tym samym dniu mgr Dariusz Chojcecki z Raciborza mówił o nieznanym szerzej zagadnieniu egiptologicznym związanych ze Śląskiem, a także przedstawił znajdujące się w muzeum w Raciborzu egiptiaki, np. Urny Kanopskie i ich – nad wyraz dziwne – losy. Dwa wystąpienia dotyczyły zainteresowań starożytnych na Śląsku w wieku XIX i krótko przed II wojną światową: dr Mateusz Żmudziński z Wrocławia zarysował przedwojenne badania nad kulturą antyczną na uniwersytecie we Wrocławiu, a mgr Anna Rozmus i mgr Dorota Schreiber z Opola przypominały działalność Śląskiego Towarzystwa „Filomatia”, które w XIX i na początku XX wieku zrzeszało intelektualistów (tylko mężczyzn) o najróżniejszych zainteresowaniach, m. in. starożytnych. Referat dr Gabrieli Wcisło traktował o Alei Muz, tj. o rzeźbach dziewięciu córek Zeusa i Mnemozyny, które znajdują się w Bytomiu. Do sztuk plastycznych odwołała się w swoim wystąpieniu także mgr Marta Rostropowicz-Miśko z Opola, opowiadając o dziejach naczyń, sporządzanych na wzór etruski w dziewiętnastowiecznej fa-

bryce procelitu w Prószkowie niedaleko Opola.

Nauczanie łaciny to niejako dzisiejszy, nie jedyny, wszelako ważny, aspekt ciągłości tradycji antycznych na Śląsku u progu nowego tysiąclecia. Dlatego kilka wystąpień poświęcono sprawom nauczania języka Rzymian w szkołach. Mgr Piotr Wietrzykowski z Bytomia zapoznał słuchaczy z aktualną sytuacją nauczania języka łacińskiego w szkołach województwa śląskiego. Referent zapoznał zgromadzonych z przygotowanymi przez siebie i wydanymi przez wydawnictwo „Antiquitas”, lub też własnym sumptem, książkami-pomocami do nauczania łaciny. Podobnie mgr Ewa M. Wiśniuch z Łodzi, zarysowując najważniejsze aspekty własnego autorskiego programu nauczania języka łacińskiego i kultury antycznej, wprowadziła uczestników konferencji w problematykę dzisiejszych – niestety coraz większych – trudności związanych z prowadzeniem w szkołach średnich tego przedmiotu. Pomysł rozwiązania – bodaj niektórych z tych trudności – przedstawiły mgr Ewa Pobiedzińska i mgr Anna Sporysz z Walbrzycha w swoim ciekawym i inspirującym – myślę – referacie-dwugłosie.

Tylko pozornie mogłoby się wydawać, iż różnorodną tematykę odczytów trudno jakoś podsumować, jakoś niełatwo ją ogarnąć. Wszystkie referaty dotyczyły wartości humanistycznych i uniwersalnych, takich, jak piękno, literatura, ludzkie życie, przemijanie, czas. Właściwie przymiotnik „śląski, śląska, śląskie” – jeśli ktoś bardzo zazwyczajby sobie tego – można zwyczajnie pominąć. Wystąpienia niczego nie straciłyby ze swej aktualności, a także wartości intelektualnej. A zainteresowania śląskoznawcze u nas – coraz większe i coraz żywsze. Dowodem obecność badaczy np. z Łodzi. Nie mówię o tych z Gdańska, bo Śląsk i Gdańsk zawsze wiele łączyło, przede wszystkim współistnienie wielu języków w literaturze i na rynkach.

Były reprezentowane trzy śląskie uniwersytety: Wrocław, Opole, Katowice. Zabrakło Opawy, ale wszyscy uczestnicy zgodnie przytaknęli, że dołożą starań, aby w następnej konferencji był i ktoś z opawian. Interesujące, że prof. Anna Elissa Radke postanowiła wziąć udział w konferencji, nie zważając na niezbyt sprzyjającą podróżowaniu aurę, żeby mocno wyartykułować ciągłość i jednolity charakter śląskiej tradycji literackiej, uzależniony – że się tak wyrażę – od przynajmniej trzech języków – lecz wspólny w pewnym paradymacie estetycznym.

Rozważano i zastanawiano się – podczas obrad i w kulturalach – nad metodologią badań śląskoznawczych. Tutaj wciąż piętrzą się problemy. Atoli dało się odnieść wrażenie, że nienaturalne lub wręcz wynaturzone, pod wszelkim względem nieestosowne, pod wszelkim względem literackiej przeszłości Śląska – mamy już chyba za sobą. Mniejszą z pewnością rolę w przyszłości w śląskich badaniach literackich odgrywać będą różnorakie uwarunkowania etniczne i społeczne, polityczne i propagandowe. Pozostanie literackość. Jeden z rzymskich historyków – mając na myśli fakt, że Tyberiusz, czyli polityk, nie powinien być autorytetem w sprawach nauki – napisał: *Cesar non supra grammaticos* – Nad grammatykami cesarz nie posiada władzy. Nad historykami literatury także.

ZBIGNIEW KADŁUBEK

# Bodajbyś diabła zjadł

ANDRZEJ  
KUŚNIERCZYK

„Miał się diabeł urodzić, ale kogut zapiał”

Grecki wyraz „diabolos” oznacza oszczercę. I z greki wziął się w polszczyźnie diabeł. Demon. Zły duch. Szatan. Potępiony i strącony z niebios anioł. Upadły anioł.

Istnieje w polszczyźnie wiele określeń, które odnoszą się do diabła. Najczęściej są to eufemizmy. Kusiciel (pokusznik), bies, czart, diasek, piekielnik, kaduk, kusy itp. W wierzeniach ludowych są też diabły o imionach własnych, np. Rokita, Boruta, Smętek.

W Apokalipsie szatan nazywany jest „smokiem wielkim, wężem starodawnym, który zwodzi cały świat”. To synonim zła. W pamiętnej scenie egzorcyzmów - w „Dziadach” Adama Mickiewicza - ksiądz Piotr na pytanie „ktoś ty?” otrzymuje następującą odpowiedź:

„Lukrecy, Lewiatan,  
Voltaire, alter Fritz, Legio sum”.

Diabeł to wielki destruktor, antagonistą Kościoła. W polskiej tradycji, ukształtowanej w dobie kontreformacji, jest synonimem heretyka. Jest także kimś obcym etnicznie. Ubiera się z cudzoziemska, w strój francuski bądź niemiecki: kusy fraczek, zazwyczaj czerwonego koloru, kapelusz trójgraniasty. Elementy diabelskiej mody pełnią istotną funkcję identyfikacyjną. W Irlandii diabeł paradował, co niemal oczywiste, w stroju Anglika; w Niderlandach był hiszpańskim grandem. Trudno się zatem dziwić, że na Górnym Śląsku diabeł ubierał się „z polska”, „po pańsku” czyli jak szlachcic kontuszowy. Albo z kolei przypominał jako żywo niemieckiego myśliwego, z fajką w zębach. Dorota Simonides dostrzegła podobieństwo owego ludowego diabła do znanego w folklorze niemieckim nocnego myśliwego („Nachtjäger”). Tyle, że owa postać nie była tożsama z demonem. Diabeł ubrany w polska miał swój kapitalny konterfekt w postaci podłęczyciego Boruty. Idealnie pasował do wizerunku szlachcica-pieniacza, sejmikowego rębajły, w kontuszu i przy szabli.

Siedzibą diabłów było piekło, królestwo Lucypera, ale nie brakowało takich diabelskich osobników, którzy swą służbę pełnili wśród ludzi. Te właśnie diabły upodobały sobie miejsca szczególne, mało uczęszczane, tajemnicze, np. samotne drzewa na rozstajnych drogach, pustkowie, samotnie stojące wiatraki czy młyny.

Nie mamy szczegółowych opisów wizerunku diabła. Na tę demoniczną postać zapracowała wielowiekowa tradycja. Są tu elementy starożytne, pogańskie, chrześcijańskie i judejskie, wschodnie i zachodnie. Atrybutami diabła w wierzeniach ludowych są przede wszystkim rogi i ogon. Także kopyta. A więc coś z mitologicznego Pana, kozłonożnego Satyra, staroitalskiego Fauna. W judaizmie diabły utożsamiano z kozłami, jako że te były wcieleniem nieczystości.

Diabeł mógł przybierać dowolną postać. Psa, węża, nawet kobiety; świadczą o tym żywoty świętych mężów i ascetów. W procederze sprowadzania człowieka na manowce, namawianiu do grzechu i nieczystości wszystkie chwytły były dozwolone. Celem było zdobycie duszy grzesznika.

„Diabeł może występować pod dowolną postacią, a nawet kłuszącej mrówki lub pchły, zeszcłego liścia i spadającej kropli” - pisze Kazimierz Kutz w „Piątej stronie świa-

ta”. Natomiast Marian Grzegorz Gerlich w opracowaniu „Strachy” starał się stworzyć „robotniczy” portret diabła na podstawie rozmów z mieszkańcami Górnego Śląska. Jedną z oryginalnych wypowiedzi warto tu przytoczyć, jako swego rodzaju definicję:

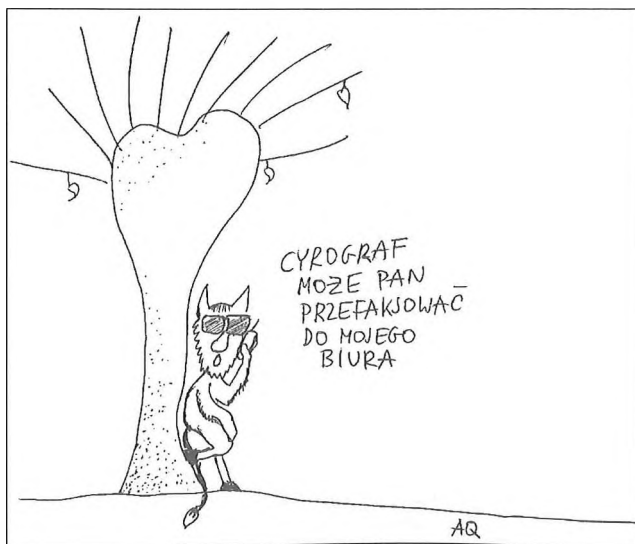
„Diabły som jak ludzie ino ze skorom od psa i majom ogon, i gołe zadki, i śmierdzom starkom. Som zawsze cale czorne. Zmaraszone tyż som”.

Diabeł to przede wszystkim szkodnik i destruktor. Jego sprawką jest rozsiewanie kąkolu w zbożu. To on porozrzucił po polach ogromne kamienie zwane przez lud „diabelskimi”. Józef Lompa określił, w swych bajkach, dokładnie rejony tego typu działalności, od Toszka po Sławków. Diabeł trafił do wszystkich ludowych form narracyjnych, do bajek, przysłów, zagadek, powiedzonek. W ludowej dydaktyce pełnił niezwykle ważną rolę. „Co nagle, to po diable”, „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”, „diabelskie nasienie” (lub też: „czarci pomiot”), „diabeł nie śpi”, „Bodajbyś diabła zjadł”, „Wynoś się do wszystkich diabłów”, „diabli nadali”, „nie taki diabeł straszny, jak go malują”, „w starym piecu diabeł pali” etc. Mnogość tych i podobnych zwrotów świadczy o wielkiej żywotności w kulturze tej sfery znaczeniowej i wierzeniowej. To odwrotna strona sacram. Jej dopełnienie.

Nieoceniony dla udokumentowania ludowej antropologii Górnego Śląska Józef Lompa ulokował pewnego diabła w dębnie w Rozbarku. Szukałem go onegdaj w czasie swej etnologicznej i wydaje mi się, że przeniósł się bliżej Szarleja. I zamienił dąb na tradycyjną swą siedzibę - wierzbę. To było bowiem jego najmilsze pomieszkowanie. Nieprzypadkowo w zbiorze przysłów Juliana Krzyżanowskiego „Mądrej głowie dość dwie słowie” odnajdujemy następujące zwroty:

„Roześmiał się jak diabeł w rokitinie”, „Śmieje się jak diabeł w suchej wierzbie” i „Zakochał się jak diabeł w suchej wierzbie”.

W zbiorze „Polskie zagadki ludowe” Sławomira Folfasińskiego przy haśle „diabeł” dwa ciekawe przykłady:



Rys. Autor



*Przyleciał diabeł z lasa  
i porwał żółty kwiatek.*

Odpowiedź: wrona porwała kurczę.

*Co wolisz: czy opaleńca z piekła  
czy pod umartłą babą leżeć?*

Odpowiedź: jedno i drugie, bo to chleb i pierzyna.

Mamy tu do czynienia z ciekawym przeniesieniem cech. W pierwszym przykładzie chodzi o diabelski kolor (czarny bądź szary), w drugim o temperaturę: pieczenie chleba jako analogia pobytu w piekle (podobnie w potocznym określeniu: „gorąco tu jak w piekle”).

Powiedzenie „boi się jak diabeł święconej wody” ujawnia najskuteczniejszą formę ochrony przed zgubnym wpływem działania sił diabelskich. Innym sposobem prewencyjnym i skuteczną profilaktyką było po prostu unikanie rejonów działania złych sił. No i przede wszystkim niewymawianie słowa „diabeł” („nie kuś, babo, licha”).

Zabawną anegdotę przytoczył w swym szkicu „Przeżytki wiary w magiczną moc słowa” Jan Stanisław Bystron. Bohaterką anegdotki była służąca znanego językoznawcy, prof. Tadeusza Lehra-Splawińskiego, która wymówienie słowa 'diabeł' uważała za grzech i nigdy nie dała namówić się do złamania tego językowego tabu. Znając sumienność służącej, Bystron nakazał, aby powtórzyła swemu panu zdanie: „był tu pan Bystron i poszedł do diabła”. Tak się też stało. „Zgrzeszyła po raz pierwszy ku naszej ogromnej radości” - napisał autor, sprawa całego zamieszania.

Na koniec kilka słów o relacji baba - diabeł. To kobiety były dawniej posadzane o kontakty z siłami nieczystymi. „Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle” - mówi przysłowie. Ale i diabeł mógł czuć respekt przed babą, o czym świadczy zakończenie znanej ballady Adama Mickiewicza „Pani Twardowska”...

Czy diabeł mógł pełnić pozytywną rolę? Tak, jeśli np. stał na straży ludowych przekonań o tym, że pieniądze zdobyte w nieuczciwy sposób nie przynoszą szczęścia. Ponoć tak było z legendarnymi skarbami Karola Goduli, przemysłowca, o którym wiele mówiło się w górnośląskich domach.

Konszachty z diabłem (bo czyż można dojść do fortuny zwykłą, uczciwą pracą?) sprawiły, że Godula nie zaznał szczęścia. Nie miał ani żony, ani dzieci. Paradoksalnie więc diabeł był w tym wypadku strażnikiem ludowego systemu wartości moralnych.

O przymierze i konszachty z diabłem posadzano czarownice. To one rzucały uroki, zatrwały studnie, psuły krowom mleko. Potrafiły także sporządzać lubczyki czyli środki zapewniające pozyskanie miłości. Jednym z miłosnych ziół był jęczmierz zwanym nasięźrzałem. Nazwa wzięła się stąd, że po zażyciu tegoż specyfiku kochankowie mieli na siebie wciąż patrzeć, po staropolsku „źrzeć”, gwarowo: „spozierać”. Ten sam rdzeń, co w wyrazie źrenica (dawniej: „źrzenica”).

Historia upadku Lucyfera (po łacinie dosłownie: „nosiiciel światła”, także nazwa jutrzienki, gwiazdy zarannej) wiąże się w jakimś stopniu z płcią piękną. Oto bowiem Lucyfer sprzeciwił się stworzeniu pierwszej kobiety - Ewy. To był powód stracenia go z niebios przez Michała Archanioła. Jak twierdzą znawcy przedmiotu nazwę swą ów upadły anioł, odtąd księżę ciemności (przykuty za karę w piekle do kamiennego słupa) zawdzięcza błędnemu tłumaczeniu fragmentu księgi proroka Izajasza. Gdybyśmy przyjęli z greki określenie (jak stało się w wyrazie diabeł), to księżę piekiel nosiłby miano „phosphoros” (fosfor), tak jak jeden z pierwiastków chemicznych w tablicy Mendelejewa.

Pozostać musimy przy Lucyferze. W gwarach zwanego Lucyferem. Na koniec nie mogę odmówić sobie przyjemności zacytowania wypowiedzi babci Stasi, która sposób poruszania się kierowców po drogach skwitowała krótko: „jeżdżą jak Lucypry”.

## M.

*A taką się sniła  
wielka rozłożysta nade mną jak korona  
sieć gałęzi ciasna co przed deszczem  
wiatrem*

*jasna kopuła  
jej cień jak szlak dla stóp  
przez czas*

*Łagodnieje w fotelu  
coraz bardziej opływowa  
jak kałuża o zatartych kantach  
kolcach paznokciach  
szalem zsuwa się z za dużego fotela  
w mrok*

*Długie palce zakończone migdałami  
szeleszczą do snu  
skraplają się migdałowym mlekiem  
w białą falbankę  
w szumie poduszki  
cisza*

## Na powierzchni

*Falą oddycham poruszam się  
wspólna nasza sól  
cisza mokra*

*unoszą nogę  
pociąga oddaje pociąga oddaje  
porywa stopę kotłyszę  
kotłyszę  
usta rozmokłe*

*i zleją się nasze wody  
spłyną języki i palce  
usta rozmokłe*

*wpadamy tak w siebie  
ty wielka ja spragniona  
przywarta całym ciałem  
oddana ciałem*

## Palce

*Wylażą ze szpar z kątów ciemnych  
z międzyfałd palce  
miękkie lepkie ciekące  
we włosy  
i oczu już nie odkleisz*

*palce pełzające  
palce rogi mebli rogi ciała palce  
zza zaston  
w zastonach zagubiłam  
moje gdzie moje  
palce pnące  
z szuflad  
gdzie płatki zasuszone  
przygniecione czasem  
rozpadły się  
w palce  
moje palce*

**Wśród** bogatego dorobku naukowego profesora Zbigniewa Jerzego Nowaka jest dziecina, która w pewnym sensie pozostała niedoceniona. Mam tu na myśli jego prace na temat Jerzego Szaniawskiego. Jest to dorobek dość pokazny. Jeżeli sięgnąć do bibliografii Profesora, opracowanej przez Bożenę Mazurkową, to okaże się, że przynajmniej 10 pozycji dotyczy twórczości i biografii autora *Żeglarza*.

Zainteresowanie Nowaka Szaniawskim ma — jak się wydaje — początki w latach bezpośrednio po drugiej wojnie światowej, kiedy to ówczesny student polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, Zbigniew Jerzy Nowak, miał okazję po raz pierwszy zetknąć się osobiście ze znanym i cenionym dramaturgiem. Pośrednikiem w tych kontaktach był Leon Pietrzykowski, przyjaciel Nowaka i zarazem współlokator pokoju w domu akademickim. Pietrzykowski, zafascynowany *Dwoma teatrami*, nawiązał kontakt z mieszkającym wówczas w krakowskim Domu Literatów, przy ul. Krupniczej pisarzem. Do pierwszego spotkania między sławnym autorem a studentem doszło latem 1946 roku, kilka miesięcy po słynnej krakowskiej premierze *Dwóch teatrów*, w Bursie Akademickiej, przy ul. Garbarskiej 7, na trzecim piętrze, w pokoju nr 51. Wedle wspomnień Nowaka:

„Szaniawski zjawiał się w porze popołudniowej, gdy słońce chyliło się już za Kopiec Kościuszki, rzucając czerwone blaski na nasz pokój. Pietrzykowski wyszedł, by kupić ciastka, którymi chciał uhonorować gościa: ja tymczasem prowadziłem z nim rozmowę. Rozglądał się z ciekawością po pokoju, ozdobionym — to była namiętność mego współlokatora — reprodukcjami dzieł sztuki. W ogóle Szaniawski — jak można było zauważyć — okazywał wiele zainteresowania dla ludzi i obyczajów polskiej dzielnicy łańskiejskiej, rozciągającej się między Collegium Novum, ul. Św. Anny i Plantami.

Oczywiście, mieszkańcy Bursy Akademickiej byli pod wrażeniem tej niezwykłej wizyty i zarówno przyjaciele, jak i odeszłe Szaniawskiego, kroczącego przez podwórko Bursy, było pilnie obserwowane przez mieszkańców trzeciego piętra.

## ZBIGNIEW JERZY NOWAK o JERZYM SZANIAWSKIM



# Czytać po wojnie

STEFAN ZABIEROWSKI

Drugim źródłem zainteresowania, a z czasem fascynacji — obok bezpośrednich kontaktów z autorem — była twórczość Jerzego Szaniawskiego. Szczególne zaś miejsce przypadnie — granym w owych latach z wielkimi sukcesami i wywołującym burzliwe dyskusje — *Dwóm teatrom*.

Wspominając tragicznie zmarłego przyjaciela, Leona Pietrzykowskiego, Nowak wyznał, czym dla niego i jego pokolenia stała się inscenizacja *Dwóch teatrów*, w roku 1946, na Małej Scenie Teatru Powszechnego im. Żołnierza Polskiego, w reżyserii Ireny

Grywińskiej i scenografii Tadeusza Kantora. Przywołajmy owo wspomnienie:

„Była ona głębokim przeżyciem dla niego a także niejednego mieszkańca Bursy Akademickiej. Utwór Szaniawskiego mówił o sprawach trudnych w sposób prawdziwy i czysty — słowem poetyckim, które pokolenie wojenne przyjmowało z wdzięcznością i wzruszeniem.”

Wolno przypuszczać, że olśnienie sztuką, która mówiła także o przeżyciu pokolenia Armii Krajowej, szczególnie zaś — o Powstaniu Warszawskim, a także kontakt z osobowością autora *Dwóch teatrów*, sprawiły łącznie, że Zbigniew Jerzy Nowak był dziełem i twórcą zafascynowany.

Przejawem owej fascynacji były liczne — jak można sądzić — kontakty z Szaniawskim w latach pięćdziesiątych, a także — o ile mi wiadomo — udział w zabezpieczeniu po tragicznej śmierci Leona Pietrzykowskiego w roku 1952, zebranej przez przyjaciela dokumentacji po pisarzu, która obejmowała cenne materiały „w postaci druków, listów pisarza, jego maszynopisów i rękopisów, fotografii, które dzisiaj tworzą cenne archiwum zachowane w całości dzięki rodzinie i stanowiące chlubę Zduńskiej Woli”. Natomiast na teksty Nowaka o Szaniawskim przyszło czekać dość długo. Pierwszy z nich, omówienie zbioru szkiców *W pobliżu teatru* (1956), pojawił się w katowickich „Poglądach” w roku 1969(5); ostatni pt. *Szaniawski mniej znany*, w „Życiu zduńskiej Woli” z roku 1987. Prawie wszystkie ważne pozycje Nowaka na temat Szaniawskiego — z wyjątkiem rozprawy o *Dwóch teatrach*, która powstała później — zebrane zostały w tomie *Wśród pisarzy i uczonych* (1980).

Można w tym miejscu postawić pytanie: dlaczego tak długo należało czekać na prace Profesora o ulubionym autorze?

Należy wpierym zauważyć, że do roku 1955 o Szaniawskim nie można było pisać ze względów cenzuralnych. Ale potem?

Odpowiedź, jak sądzę, jest dość prosta. Każdy, kto choć trochę znał profesora Nowaka, wiedział, że był to człowiek o wyjątkowym poczuciu odpo-

wiedzialności za słowo. Wydaje się, że nim przystąpił do pisania, pewne problemy musiał gruntownie przemyśleć, one musiały w nim dojrzeć, by chwycił za pióro. Warto również zaznaczyć, że Nowak zaczął pisać o autorze *Mostu* już po jego śmierci. Perspektywa ta stwarzała dla badacza stosowny historycznoliteracki dystans.

Prace Nowaka o Jerzym Szaniawskim można podzielić na dwie grupy. Grupę pierwszą stanowią będą teksty, które przede wszystkim ukazują autora *Zeglarza* jako człowieka. Grupę drugą zaś — rozważania i interpretacje na temat pisarskich dokonań Szaniawskiego.

**Nim** jednak przejdziemy do omówienia tych tekstów, na początku uwaga o charakterze ogólnym. W głębokim przeświadczeniu Zbigniewa Jerzego Nowaka Szaniawski był autentyczną wielkością — jako pisarz i — co równie doniosłe — jako człowiek. Był klasykiem literatury polskiej. Dla badacza był to akcjonariusz, z którego wynikały wszystkie pozostałe sądy. Owocem wieloletniej znajomości Nowaka z Jerzym Szaniawskim i częstych kontaktów z „Jerzym Milczącym” — wedle określenia Karola Irzykowskiego — była grupa tekstów wspomnieniowych, wśród których na czoło wysuwa się portret literacki autora *Mostu*, skromnie zatytułowany *Ze wspomnień o Jerzym Szaniawskim*. Szkic ten, oparty na osobistych kontaktach i sporządzonych notatkach z rozmów, podejmuje cały szereg problemów związanych z Szaniawskim. Mamy tu i swobodne rozważania na temat biografii autora i jego związków z ziemią rodzinną, pojawia się też — nakreślony kilkoma rysami — wizerunek dramaturga z lat pięćdziesiątych, który pozwoli sobie przywołać:

„Aleją zbliżamy się do dworu; zieleni pokrywa jego ściany i rozpociera się nawet na dachu. Wchodzimy po kamiennych schodach na ganek wsparty na czterech białych kolumnach. W sieni spotykamy Jerzego Szaniawskiego, który podając rękę mówi głębokim tonem: »Witam«.

Twarz wyrazista. Spojrzenie niebieskich oczu przenikliwe. Przypomina się wizerunek starego Goethego, pędzla Józefa Stieler. W ubiorze Szaniawski raczej zaniedbany: tylko w Krakowie obserwować można było pewną staranność, zresztą niepedantyczną. Bo w ogóle pedantem nie był”.

W szkicu tym są cenne informacje o trybie życia pisarza, o jego sposobie mówienia — a także: o poglądach na zagadnienia rzemiosła pisarskiego, o koncepcji tetaru, stosunku do języka, o opiniach, jakie Szaniawski, członek przedwojennej Polskiej Akademii Literatury, wypowiadał na temat swoich kolegów-akademików. Zdaniem Nowaka autor *Fortepianu* był „rzecznikiem teatralnej teorii dramatu, formułowanej oczywi-

ście nie ze stanowiska teoretyka literatury, ale w wyniku doświadczeń dramaturga. W tym — i w innych — wspomnieniach Szaniawski rysuje się nie tylko jako wybitny twórca, ale także jako mądry, bezpośredni i szlachetny człowiek, z którym obcowanie bardzo wzbogacało.

Sporo miejsca w swoich pracach poświęcił Nowak twórczości literackiej Szaniawskiego. Pisał o dramatach *Zeglarz* i *Dwa teatry*, o słuchowisku radiowym *Srebrne lichtarze*, a także o tomie esejów *W pobliżu teatru*.

Interpretując *Zeglarza* — zgodnie z tradycją krytyczną — za najważniejsze zagadnienie tego dramatu uznał Nowak problematykę tworzenia się mitu społecznego. Dowodził: „nie ulega wątpliwości, że Szaniawski z wyjątkową wnikliwością ukazał genezę mitu i jego społeczne uwarunkowania”. Ale zarazem starał się udowodnić, i tu zajmuje zdecydowanie indywidualne stanowisko wśród interpretatorów tego dramatu, że utwór Szaniawskiego bynajmniej nie stanowi aprobaty mitotwórstwa. Zdaniem Nowaka ostatnie słowo w tej materii należy nie do autora, ale do widza spektaklu teatralnego. Pisał on:

„Szaniawski — niewątpliwie w zgodzie z zasadami poetyki swego teatru — przesuwa ciężar problematyki *Zeglarza* na jego widzów. Liczy na ich współdziałanie, które pojawi się w zadumie czy refleksji po wyjściu z teatralnej sali”.

Tak więc dramat Szaniawskiego był — w rozumieniu badacza — czymś w rodzaju „dzieła otwartego”, w znaczeniu, jakie temu terminowi nadał Umberto Eco.

Osobną pozycję poświęcił Nowak słuchowisku radiowemu Szaniawskiego pt. *Srebrne lichtarze*, które nadane zostało przez rozgłośnię warszawską Polskiego Radia w dniu 4 listopada 1938 roku. Otóż tekst tego słuchowiska, uważanego przez wielu recenzentów (m.in. przez Stanisława Witolda Balickiego czy Mariana Grzegorzycy) za „najwybitniejsze dzieło teatru radiowego ówczesnej Polski”, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zaginął w wojennej zawierusze. Zachowało się jednak streszczenie słuchowiska, które opowiedział Szaniawski Leonowi Pietrzykowskiemu, już po zakończeniu wojny. W przywołanym artykule Nowak przedrukowuje notatkę Pietrzykowskiego, wzbogacając ją o dodatkowe informacje zaczerpnięte z recenzji prasowych tego słuchowiska.

„W ten sposób — dzięki zapisowi Pietrzykowskiego oraz przedwojennym recenzjom — powstaje możliwość wnikliwszej interpretacji *Srebrnych lichtarzy*, a może i literackiej rekonstrukcji tekstu utworu, gdyby takiego zadania podjął się jakiś pisarz. Jednak najważniejszą — jak sądzę — pozycją Profesora na temat twórczości Jerzego Szaniawskiego jest rozprawa o *Dwóch teatrach*. Podzielona na 11

podrozdziałów, rozprawa ta jest swoistym konspektem jakiejś większej całości, konspektem, w którym autor wypowiada swoje najważniejsze tezy.

Ze hipoteza taka nie jest czymś dowolnym, świadczą niektóre sformułowania, zawarte w tekście owego studium. Choćby takie:

„Te luźne uwagi o światopoglądzie *Dwóch teatrów* wymagałyby tła porównawczego w postaci całej twórczości pisarza. Ale byłby to już temat do osobnego wywodu, któryby można antycypować w postaci wstępnej formuły, że Szaniawski to *homo religiosus* w obliczu rzeczy ostatecznych”.

Lub też:

„Ale naszym głównym celem jest zbliżenie do niektórych elementów tego utworu oraz jego funkcji w wyniku interpretacji podjętej nie tylko przez historię literatury, ale i świadka epoki. Będzie to więc próba interpretacji częściowej. Pełna interpretacja wymagałaby osobnego studium monograficznego, na które z pewnością *Dwa teatry* zasługują”.

Przywołany w powyższym cytacie termin „historik literatury” wydaje się w pełni zrozumiały, natomiast komentator domaga się sformułowanie drugie — „świadek epoki”. Postawmy więc pytanie: co sformułowanie to znaczy?

Do argumentów wyjaśniających musimy sięgnąć poza tekst. Chodzi o rzecz stosunkowo prostą: czym był dramat Szaniawskiego dla Zbigniewa Jerzego Nowaka i jego rówieśników, przynależnych do najbardziej tragicznego w polskich dziejach pokolenia 1920, zwanego potocznie „pokoleniem wojennym”, „pokoleniem Kolumbów”, czy też „pokoleniem straconym”?

I jeszcze bardziej szczegółowe pytanie: czym stały się *Dwa teatry* dla Zbigniewa Jerzego Nowaka, studenta Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, konspiratora i żołnierza Armii Krajowej, walczącego w oddziałach partyzanckich na Ziemi Proszowskiej i Miechowskiej, kawalera krzyża Virtuti Militari?

Pisała Krystyna Starczewska na temat pierwszych powojennych inscenizacji sztuki Szaniawskiego:

*Dwa teatry* były bowiem dla większości odbiorców przede wszystkim rozrachunkiem z okupacyjną przeszłością. Ocena powstania warszawskiego, romantyczna apoteoza bohaterstwa w scenie *Krucjaty dziecięcej*, ruiny stolicy, tragiczne wspomnienie o tych, którzy odeszli — to były właśnie te aktualne, żywe treści, które przemawiały do ówczesnego widza”.

Zaś Zbigniew Jerzy Nowak wyznawał:

„Ta elegia Szaniawskiego (bo tak można jego dramaty nazwać) mówiła pokoleniu Armii Krajowej o schyłku dwudziestolecia międzywojennego i minionych niedawno latach wojny w sposób prawdziwy i czysty — słowem



poetyckim, które było przyjmowane z wdzięcznością i wzruszeniem. Można z całą pewnością powiedzieć, że funkcja *Dwóch teatrów* w początkowej fazie ich odbioru była katartyczna — tak w wymiarze indywidualnym jak i zbiorowym”.

Tylko tyle — i aż tyle — można powiedzieć. Szkoda, że znana dyskrekcja Autora, a także zapewne wzgląd na działającą wówczas w kraju cenzurę, nie pozwoliły na bardziej szczegółowe wyznania. Spróbujmy więc je uzupełnić. *Dwa teatry* bowiem mówiły w sposób dyskretny o najważniejszych przeżyciach pokolenia wojennego, w których miejsce szczególnie przypadło Powstaniu Warszawskiemu, a także — i to chyba sprawa najważniejsza — uzasadniały moralne racje, w imię których to pokolenie walczyło. A działa się to w latach, kiedy akwoccy byli często przedmiotem przesładowań przez komunistyczną władzę.

Pora postawić kolejne pytanie: na czym polegał historycznoliteracki ogląd *Dwóch teatrów* w Nowakowski warsztacie?

**Jak** już powiedzieliśmy, dla katowickiego Profesora było aksjomatem, że Jerzy Szaniawski zaliczony jest do klasyków literatury polskiej. Płynęły z tego faktu określone konsekwencje:

„Otóż gdy mamy do czynienia z utworem stworzonym przez klasyka, to nieomal zawsze — jak wolno sądzić — w utworze takim występują i zdumiewają dwa zjawiska. Po pierwsze: dzieło klasyka jest zwierciadłem, w którym arcywernie odbija się epoka. Po wtóre: dzieło to równocześnie uprzedza epokę następną”.

W odniesieniu do dramatu Szaniawskiego oznacza to rekonstrukcję — wpisanego w tekst *Dwóch teatrów* — mówiąc terminologią Kazimierza Wyki — „czasu środowiska”.

Oryginalne podejście Nowaka polega na interpretacji tego dramatu przez lekturę zbioru szkiców Szaniawskiego *W pobliżu teatru*, który to zbiór traktowany jest jako swego rodzaju komentarz autora do własnej twórczości. W swoich dociekaniach nad *Dwoma teatrami* próbuje Nowak odpowiedzieć na pytanie: jaki ideał teatru wpisany jest w słynny dramat Szaniawskiego? Zdaniem badacza:

„Jest to teatr w zasadzie realistyczny, modelowany według *Reduty Osterwy*, z którą Szaniawskiego łączyły liczne związki. Równocześnie ten teatr pobudza do głębszej refleksji. Istnieje on w widzu także i wtedy, gdy spektakl już się zakończył. W teatrze tym spotkać można nie tylko aktorów żywych, ale i w pewien sposób tych, co już odeszli. Bo ich sztuka aktorska, choć ulotna, trwa nadal, kształtując następców. Byłby to więc teatr wszechstronny, bo nie ograniczony tylko do jednego modelu; pełny, dysponujący wieloma możliwościami”.

Zarazem jednak tak rozumiany teatr stanowił w latach bezpośrednio po wojnie swoiste ostrzeżenie przed ciasną i deklaratywną poetyką realizmu socjalistycznego. Badacz dowodził:

„W latach pięćdziesiątych panowała estetyka wąsko pojmowanego realizmu. Można więc powiedzieć, że Szaniawski *Dwoma teatrami* wskazywał jakby na bezdroża czy ślepe zaułki, do których mogła doprowadzić taka właśnie estetyka. Słowem, pisarz wyprzedził swój czas”.

Wiele miejsca poświęcił też Nowak — obecnym w dramacie — jakościom estetycznym: tragizmowi i komiczności, analizując dokładnie, w oparciu o stosowne fragmenty tekstu, ich różnorakie funkcje. Rozważania te prowadziły do sformułowania propozycji klasyfikacji gatunkowej *Dwóch teatrów*. Bowiem mogł składników tragicznych i komicznych, a także obecnego — szczególnie w jednoaktówkach *Matka i Powódź* — naturalizmu, dostrzegał interpretator elementy przynależne do dramatu poetyckiego. Z poczynionych analiz wysuwał wnioski, że:

„całość utworu Szaniawskiego wiązać by należało z dramatem romantycznym, w którym, jak wiadomo, mogą występować rozmaite gatunki, jakości estetyczne i zasady stylistyczne”.

Zarazem jednak podkreślał:

„dramat Szaniawskiego, choć wzniesiony ze składników różnorodnych, ma kompozycję wyjątkowo spójną, jeśli idzie o związki fabularne i motywację psychologiczną”.

Zdaniem Nowaka, stosunek *Dwóch teatrów* do tradycji romantycznej — w szczególności do dramaturgii Mickiewicza — ma charakter nader złożony. Badacz, wskazując na liczne analogie tematyczne i kompozycyjne — skłania się raczej w kierunku wielkiej paraleli, niż bezpośredniego wpływu. Konkluduje:

„Jak więc widzimy, sfera oniryczna jest w *Dwóch teatrach* bogata i zróżnicowana. Pod tym względem przypomina *III część Dziadów*”. Bo najbardziej doniosłe sprawy i problemy postaci *Dwóch teatrów* znajdują swoje rozwiązanie w płaszczyźnie snów — jakby w zgodzie z teorią romantyczną oniryzmu. Trzeba jednak równocześnie zauważyć, że teoria snu, z jaką spotykamy się w *Dwóch teatrach* jest zdeterminowana przez psychologię głębi, jest teorią rodem z XX wieku. W każdym razie i w *Dwóch teatrach* — podobnie jak w *III części Dziadów* — spotykamy się z pewną teorią snu.

„Jest rzeczą nieco zaskakującą, że w swojej interpretacji dramatu Szaniawskiego Nowak całkowicie pomija tradycję modernistyczną, choć o związkach twórcy *Zeglarza* z tą właśnie epoką pisało paru badaczy. Dość zacytować Lesława Eustachiewicza:

„Dramat Szaniawskiego jest głęboko zakorzeniony w Młodej Polsce i jej es-

tetyce. Szaniawski nie powtarza mechanicznie problematyki poprzedników, nie kopiuje ich technicznych pomysłów, ale nie odrzuca również niczego, co może być nadal bodźcem dla refleksji i podniętą dla wizji”.

Wydaje się jednak, że pominięcie elementów modernistycznych w tym dramacie było rezultatem konsekwentnego charakteru rozprawy, w której autor koncentrował się wyłącznie na tym, co uważał za najważniejsze. W tekście rozprawy znajdziemy również refleksje nad światopoglądem, wpisanym w dramacie, a także rozważania nad sposobami poprawnej inscenizacji *Dwóch teatrów*.

**Wśród** pism Nowaka o problematyce „szaniawskiej” na uwagę zasługuje też obszerne omówienie zbioru szkiców *W pobliżu teatru* (1956). Pisząc o tym tomie, badacz szczególnie akcentował wartości formalne owego zbioru. Dowodził, że „każdy esej oznacza się wyrazistą konstrukcją, często o mocno akcentowanym finale; jest to niewątpliwie wpływ techniki dramaturgicznej. Nieomal wszystkie eseje mają charakter wspomnieniowy; ale w obrębie tego dominującego gatunku ileż odmian: esej panorama (*Na warszawskim Placu Teatralnym*); esej — portret (odmiana w zbiorze najczęściej występująca, jej przykładem najświetniejszym jest chyba szkic o Stefanie Jaraczu), esej — „monografia problemowa” (np. *Sufler, Malarze teatralni* itp.”)

Ale zarazem podkreślał — obecną w tekstach Szaniawskiego — sferę aksjologii. Pisał:

„świat teatralny, który Szaniawski opisuje, jest dlań światem wartości. Szacunek dla wartości powoduje, że w Szaniawskim budzi się moralista”.

Podsumowując te — z konieczności nader zwięzłe — uwagi, należy stwierdzić, że pisma Zbigniewa Jerzego Nowaka o osobowości i pisarstwie Jerzego Szaniawskiego pozostaną na zawsze jedynie fragmentem jakiejś zamierzonej, ale — niestety — nie ukończonej całości. Jeżeli z fragmentów zachowanej mozaiki można wnioskować o jej kształcie, to możemy powiedzieć, że rysowała się całość interesująca, tym bardziej, że pomimo paru opracowań książkowych twórczości Szaniawskiego, pióra Wojciecha Natanson, Krystyny Nastulanki czy Jadwigi Jakubowskiej, autor *Dwóch teatrów* ciągle czeka na — godną swego miejsca w literaturze polskiej — monografię. Sądzę, że w takiej przyszłej monografii Szaniawskiego będą liczne odsyłacze do prac Profesora.

I jeszcze jedna uwaga. Teksty Zbigniewa Jerzego Nowaka mówią wiele — i to jest oczywiste — o osobowości i artyzmie Jerzego Szaniawskiego. Ale wnikliwy czytelnik dostrzeże w nich także piętno osobowości ich autora — Zbigniewa Jerzego Nowaka.



# Powroty

## Dwie rocznice Kazimierza Wyki

Zbiegły się ze sobą dwie rocznice: dziesięćdziesięciolecia narodzin (19 marca 1910) i dwudziestopięcioletnia śmierci (19 stycznia 1975) Kazimierza Wyki, bez wątpienia najwybitniejszego krytyka literackiego drugiej połowy XX wieku. Krytyka, bez którego trudno sobie wyobrazić przemianę nowoczesnej polskiej literatury, osoby niezwykle inspirującej całe generacje badaczy i interpretatorów, człowieka wielkiej wiedzy i niebywalej otwartości na poglądy innych. Zapewne w najbliższym czasie doczekamy się wielu wspomnień, w których - po raz kolejny - zostanie oddany hołd temu niezwykle myślicielowi. Tak być powinno, bo czasy dzisiejsze wymagają przypomnień, rodzaj konieczność kolejnego zastanowienia się nad tym, w którą stronę powinna pójść nasza refleksja nad poezją i prozą, w stronę jakiej tradycji intelektualnej powinniśmy się kierować.

W tym felietonie tego uczynić - oczywiście - nie mogę. Chciałbym jednak, mieszcząc się w ramach rozważań rocznicowych, przypomnieć rolę Kazimierza Wyki, jaką odegrał on w przełomie październikowym. Jest to może zagadnienie zbyt szczegółowe, lecz - wydaje mi się - nader wyraźnie ukazujące postać Profesora, który najlepiej czuł się właśnie w sytuacjach zmiany literackiej. Wtedy ujawniała się jego błyskotliwość interpretacyjna i przenikliwość sądów, a jego „ryzyko badawcze” stawało się czymś niezwykle inspirującym dla innych krytyków. Zresztą, co tu dużo mówić: bez ówczesnych prac autora *Pokoleń literackich* nie byłoby pewnie tej świadomości o przełomie 1956 roku, jaką dzisiaj dysponujemy. A przynajmniej ta świadomość byłaby znacznie zubożona.

Zagadnienie, które chcę tutaj pokrótce naszkicować, doczekało się już kilku bardzo dobrych omówień. Dość wspomnieć jednak szkice Jerzego Kwiatkowskiego, Tomasza Burka, Marka Graszewicza czy Mariana Stali, by uświadomić sobie, że wymaga ono dalszych prób opisu. Roli Kazimierza Wyki w przełomie październikowym nie da się bowiem - jak to niekiedy się czyni - zredukować wyłącznie do jego szkiców z książki *Rzecz wyobraźni* (1959), szkiców - przynajmniej w części poświęconej debiutantom okolic 1956 roku - drukowanych regularnie na łamach prasy literackiej i wpływających niewątpliwie na sposoby lektury nowej poezji przez innych kryty-

ków. Tę rolę, różnolita i wszechstronna, widzieć należy - moim zdaniem - w trzech przynajmniej płaszczyznach: światopoglądowej, metodologicznej i autotelicznej (albo estetycznej).

Na płaszczyźnie światopoglądowej Kazimierz Wyka nieustannie pozostawał wierny swojej, skonkretyzowanej jeszcze w latach trzydziestych, postawie personalistycznej. Na płaszczyźnie metodologicznej bronił idei „odbudowy i ciągłości” (znana jego teza jeszcze z *Pogranicza powieści*, 1948). Na płaszczyźnie autotelicznej wreszcie (a dotyczy to głównie jego zainteresowań poezją) przyznaje on krytykowi prawo do zachwytu nad tekstem. Uwspółrzedzenie tych trzech ról prowadziło Wykę do własnego stylu pisarskiego, którego także poszukiwał w czytanych przez siebie autorach. Styl ten nazwał w znanym esej o Czechowiczu „stylem osobowości, stylem personalistycznym”, przełamującym wszelką „nakazowość” i wszelkie wcześniej dane „wzory formalno-estetyczne”.

Kazimierza Wykę interesowała literatura w kontekście - jak pisał o tym we wstępie do *Rzeczy wyobraźni* - „rozwoju”, przy czym słówko to należy rozumieć przynajmniej trojako. Chodzi o: 1. rozwój indywidualny (artysty), 2. rozwój literatury (nowość artystyczną) i 3. przewidywanie rozwoju (tradycję). Nie można pisać o literaturze współczesnej eliminując którekolwiek ze znaczeń tego słówka, ponieważ zawsze coś się utraci z lektury. W *Rzeczy wyobraźni* widać to wyraźnie. Jest to książka nie tylko o młodej poezji po roku 1956, ale w ogóle o „drzewie tradycji”, którego nowe konary sąsiadują ze starymi. Metafora „drzewa” jest w zbiorze Wyki niezwykle mocno zaakcentowana.

rze Wyki niezwykle mocno zaakcentowana.

Ale autor *Modernizmu polskiego* był w okolicach roku 1956 nie tylko krytykiem literackim, także - teoretykiem realizmu nowoczesnie pojmowanego. Zbyt rzadko odwołujemy się do tej roli Profesora, a przecież przypomnieć wypada, że w szeroko zakrojonej dyskusji o realizmie, jaka toczyła się wówczas na łamach „Zycia Literackiego”, właśnie Kazimierz Wyka - wspólnie z Henrykiem Markiewiczem - na nowo przywrócili rangę temu pojęciu, tak zbanalizowanemu przez socrealistów. Wyka sięgał tutaj do swoich wcześniejszych o dekadę doświadczeń i przemyśleń krytycznych, które zawarł w *Pograniczu powieści*. Formuła „realizmu nowoczesnego”, której autorem jest Markiewicz, wiele zawdzięcza właśnie spostrzeżeniom Wyki, nawet jeśli budowana ona była przeciwko nim. Rzecz w tym, iż Wyka traktował realizm jako jedną z możliwych metod twórczych, a nie jako prąd literacki (metoda to było dla niego pojęcie nadrzędne wobec prądu), sprowadzał zatem długotrwały spór ideologiczno-literacki z czasów socrealizmu na płaszczyznę metodologiczną, a nie programową czy polityczno-kulturalną. Przyznając realizmowi wartość epistemologiczną, domagał się maksymalnego otwarcia pojęcia na nowe treści. To było zasadnicze *novum* w czasie przełomu październikowego.

A zatem: krytyk poezji, historyk i teoretyk literatury oraz obrońca stylu osobniczego. Te cechy temperamentu pisarskiego każdorazowo dawały o sobie znać po roku 1956. Gdyby próbować określić jednym zdaniem rolę Kazimierza Wyki w tamtym czasie, trzeba byłoby powiedzieć tak: był propagatorem nowości w kontekście kultury przeszłości. Domagał się budowania na skale, a nie na piasku.

I tak było zawsze - poczynając od jego tekstów z lat trzydziestych, a kończąc na tych z lat siedemdziesiątych. Wyka wierzył w literaturę, wierzył w naturalnie rozwijające się jej konary, domagał się od uczestników życia intelektualnego podejścia serio do wszelkich przejawów ekspresji artystycznej. Bo literatura to nie tylko wiązka słów, zapisywanych w niespiesznym rytmie. Literatura - to życie wolne.

O tym pisał Profesor nie tylko w roku 1956, pisał stale.

GRZEGORZ  
SZTOLER

W starym  
pielgrzymowickim kościele  
trwa właśnie realizacja filmu  
„Na miarę Miarki”.

Przy organach,  
na których grał kiedyś  
Karol Miarka,  
siedzi miejscowa organistka  
Bronisława Piechaczek.  
Otoczona jest wiankiem  
śpiewających córek  
— Celiny, Magdy, Mirosławy  
i syna Damiana.

Kolejne ujęcie kręci tu  
reżyser Wiesław Głowacz.  
W Pielgrzymowicach jest  
po raz trzeci.



Rys. Jerzy Moskal

# Pamięć Miarki

Karol Miarka urodził się 174 lata temu w Pielgrzymowicach, niewielkiej malowniczej wiosce położonej na skraju powiatu pszczyńskiego. Był nauczycielem i organistą.

„Kupiłem za dwa talary 25 książek ludowych — pisał Miarka w „Głosie na puszczy górnośląskiej”. — Czcigodny mój ksiądz pleban, umiając błogi skutek biblioteki ludowej ocenić, udzielił mi także kilku talarów, za które kilka roczników »Szkółki Niedzielnej« i »Kmiotka« kupiłem. Był to początek biblioteki ludowej.”

— Brakuje nam centrum miarkowskiego — te słowa dolatują do mnie w przestronnej sali nowoczesnej szkoły, jaką Pielgrzymowicom mogą pozazdrościć inne pszczyńskie wsie. Głowacz, który był tu kilka lat temu, widział jeszcze fundamenty, ale już wtedy Pielgrzymowanie wiązały z nią duże nadzieje. Teraz przyjechał znowu zobaczyć, czy je spełniła — czy jest „na miarę Marki”.

## Pielgrzymowice

— Brakuje nam miarkowskiego centrum — te słowa wypowiedziała do mnie moja dawna nauczycielka. Nie wiedziałem, że pochodzi z tych Pielgrzymowic. Jest teraz dyrektorką szkoły. — Naliczyłam kiedyś ponad dwudziestu paru nauczycieli — mówi Małgorzata Kielkowska rodem z Pielgrzymowic. — Wszyscy stąd wyszli i tu wrócili.

„Najpilniejszymi dziećmi pożyczalam w nagrodę książki zajmujące — pisał pielgrzymowicki nauczyciel i organista. — Po krótkim czasie dowiedziałem się, że wieczorami i przy paszeniu bydła małe towarzystwa się zgromadzają i ciekawie czytania słuchają.”

Siedzimy w szkolnej bibliotece. Wójt gminy trzyma w ręce starą kronikę pisa-

ną przez Miarkę. Kronikę wsi i szkoły. — Niech pan nie robi zdjęć. Już raz chciano nam ją zabrać — dodaje z gorącością długoletnia kierowniczka szkoły, obecnie sołtys Zyta Kapel. Wójt z Pawłowic, Damian Dalusek, ogląda starą kronikę i opowiada mi o gminnej oświacie. — Jako jedna z pierwszych gmin wiejskich przejęliśmy na utrzymanie wszystkie szkoły. Ta jest jedną z najnowocześniejszych.

Miarkowska kronika pisana jest po niemiecku gotykiem, który trudno rozczytać. Miarka był Niemcem. W 1853 roku szkołę prowadzoną przez Miarkę wizytował inny Niemiec, ksiądz biskup Bernard Bogedain. „Spominam osobliwie śp. Pamięci Bogedaina — pisał pielgrzymowicki nauczyciel — którego pamiętka w sercach Górnoślązaków wiecznie żyć będzie, bo on życie swoje pełne niezmordowanych prac, już to jako radca regencyjny, już to jako sufragan wrocławski ofiarował dla Polaków śląskich i byłby stał się filarem błogosławieństwa, gdyby go Pan Bóg nie był tak prędko ze świata odwołał.” Biskup Bernard Bogedain zmarł niespodziewanie w czasie kolejnej wizytacji kanonicznej w Pszczynie 17 września 1860 roku.

Kronika szkolna właściwie nie ma charakteru kronikarskiego. Nie ma w niej chronologicznego zapisu, są za to — pisane po dłuższej przerwie — wyurzenia następcy Miarki, który nie umiał mu wybaczyć polskiego „odchylenia”. Zapisy te nie są przyjazne i pochlebne, a zawistne. Autorstwo Miarki jest chyba tylko pierwszych dwadzieścia parę stron. Reszta jest już pisana innym charakterem pisma.

„Dnia 29 listopada 1938 roku odwiedziłyśmy starą szkołę, w której nasz ojciec śp. Karol Miarka i dziadek Antoni Miarka uczyli. Mito było usiąść na katedrze, z której Tatuś uczył, widzieć ściany, o które obijał się Jego głos

i odwiedzić kościół w którym grywał i śpiewał na chwałę Bożą” — zapisały na pamiętkę w kronice wnuczki Miarki starszego: Erna z Miarków Stadnikowa i Leokadia Miarka Boromeuszka. Poniżej dopisał się przedwojenny kierownik szkoły Paweł Paździor: „Naprawdę niezrozumiałym jest fakt, że gmina, w której tak dzielny i zasłużony człowiek uczył — nie może się zdobyć na ufundowanie mu pomnika w formie paradnego budynku szkolnego.”

— Przyjeżdżają do nas ludzie i pytają o wieś Karola Miarki, a tej dawno już nie ma — opowiadają mi pielgrzymowiczcy gospodarze. — Starą „Miarkówkę”, gdzie uczył i mieszkał Karol, stojącą przy kościele zburzono do fundamentów. Do wojewody śląsko-dąbrowskiego gen. Jerzego Ziętka pojechała delegacja powstańców. Prosilili, by jej nie ruszać. Ale Miarka nie był wygodną postacią dla ówczesnych władz — klerykał, katolik i organista. Powstańcy niczego nie wskórali. Na jej miejscu postawiono budynek przedszkole — mówi pani Zyta.

Nie ma już „Miarkówki”. Nie ma też kościoła drewnianego w Golasowicach, w którym Miarka też grywał. W latach siedemdziesiątych spaliła go służba bezpieczeństwa.

— Nie umieliśmy dotąd sprzedać Miarki. Przez ostatnie lata było to niemożliwe — słyszę. Ale czy nie jest na to za późno?

Podobno nawet organy na których grywał Miarka w drewnianym, pielgrzymowickim kościele nie są oryginalne. Podobno. Co zatem zachowało się z Miarki? Czy istnieją jeszcze dawne ścieżki po których chodził?

„Pokazało się, że niektóre dzieci, osobliwie już starsze z szkoły wypuszczone — dzielił się Miarka senior swoimi spostrzeżeniami — od zwolenników moich pożyczać chcą książeczki, aby je czytać. Jeden i drugi z dawnych



szkolników moich przybliżali się do mnie (...) prosili z widoczną nieśmiałością: czy im też nie mogę pożyczyć jakiej książeczki. Pojmie każdy, jak serce moje się rozradowało. Nie pokazałem jednak radości mojej, lecz z powagą powiedziałem proszącym, że dla ich pilności i grzeczności niegdyś w szkole i jeszcze trwale doświadczonej chętnie im książki pożyczę. Niektóre dziatki, nie dowierając sobie, czy im takowych pożyczę, nalegały na rodziców, aby książki u mnie wyprosili. Dzięki Bogu, mam teraz ciągle około 90 książeczek u chętnych czytelników. Niektórzy przynoszą mi za pożyczenie książek małe podarunki, i pieniądze nawet oferują, które mimo wzbraniań wszelkich przyjąć musiałem."

Tak działo się w Pielgrzymowicach ponad sto lat temu. Jest jeszcze jedno miejsce na ziemi pszczyńskiej z którym nierozdzielnie związany jest ród Miarków — Mikołów.

## Drukarnia w Mikołowie

„Znany wódz ludu śląskiego Karol Miarka starszy, wydawca pisma politycznego »Katolik« w Królewskiej Hucie, przeniósł się w r. 1875 razem ze swymi wydawnictwami do Mikołowa” — pisał Konstanty Prus, którego monografię Mikołowa wydano przed wojną właśnie w miarkowskiej drukarni. Dalej czytamy, że w mikołowskie zacisze przeniósł się Miarka prześladowany karami i sądami ze strony pruskich władz. „I odtąd »Katolik« i inne pisma Miarki były drukowane w Mikołowie w małej drukarni gazetowej, którą Miarka posiadał”.

Edward Długajczyk konkretyzuje bardziej kwieciste, ale puste wywody Prusa. Mówi, że „od 2 lipca 1874 roku »Katolik« drukował się więc w Mikołowie” w drukarni Nowackiego. Wydawano go tu już wcześniej przez pięć miesięcy 1869 roku. „Katolik” zyskał na przeprowadzce — korzystnie wpły-

nęło to na szatę zewnętrzną pisma. „Kolumnę dwuszpaltową zastąpiła trzyszpaltowa. Duże urozmaicenie czcionek ożywiło dotychczasową monotonię.”

Redakcja i rodzina Miarki miała znaleźć się w Mikołowie już z początkiem września 1874 roku. Ekspansja Miarków trwała. „Do pomocy ojcu przyszli dorastający synowie; Paweł wyuczył się introligatorstwa, a rok młodszy Karol zecerstwa. 30 listopada 1876 roku »Katolik« ogłosił, że wychodzi z własnej drukarni i bieżący numer jest właśnie pierwszym dziełem nowopowstałej oficyny. Odtąd Nowacki w cieniu bujnie rozrastającej się firmy Miarków jakby stanął w miejscu, wegetował (...) w Karolu Miarce synu (należy upatrywać właściwego twórcę drukarni »Katolika« w chwili jej założenia, a właściwie reaktywowania w Mikołowie w listopadzie 1876 roku. Karol ukończył wtedy 20 lat. Wiek to zapewne młodzieńczy, ale wystarczający do samodzielnego prowadzenia zakładu. Zawodu wyuczył się wędrując, podobnie jak inni drukarzy, po kilku krajach. Otarł się nawet o znaną drukarnię braci Benzigerów w Szwajcarii. Po cóż ojciec miałby oddawać kierownictwo nowej drukarni w obce ręce, skoro syna kształcił na drukarza. Wydaje się, że ojciec wyłożył pieniądze, a syn jako fachowiec zajął się techniczną stroną przedsięwzięcia, zapewne również przy współudziale brata Pawła.” Tyle Długajczyk.

Potem nastąpił schyłek. Miarka starszy zmarł w 1881 roku w Cieszynie. Trzydzieści lat później jego syn odsprzedał drukarnię Antoniemu Napieralskiemu i zmarł w zapomnieniu parę lat później w Raciborzu. 29 stycznia 1933 roku zakłady miarkowskie nabyła rodzina Hermanów. Józef Herman zakupił nowe maszyny, w tym pierwsze kolorowe offsetowe. Kontynuowano bogate tradycje wydawnicze. Książki miały duży, okazały „miarkowski” format.

Drukarnię wzniesioną jeszcze przez Miarkę juniora zburzono 26 stycznia 1945 roku. — Zniszczyli ją w całości Rosjanie — opowiada mi pochyłona wiekiem 93-letnia Stefania Leja i pokazuje zdjęcia. — Mój ojciec odbudował ją od nowa po wojnie. W 1949 roku drukarnię upaństwowiono.

Staruszka z okien pokoju widzi okazały dom, w którym mieszkała przed wojną jej rodzina. Został sprzedany parę lat temu jak cały zakład. Mieści się tu dalej Drukarnia im. Karola Miarki.

— Jest tu trochę starych książek — Maciej Jańczyk, syn właściciela drukarni Adolfa, pokazuje gablotę z pozycjami wydanymi jeszcze przez Miarkę syna. — Ale to wszystko co mamy.

Mikołów jest dziwnie smutny o tej porze. Przy ul. Żwirki i Wigury, na której wznosi się drukarnia, natrafiam na tablicę poświęconą Miarce — kolejną.

— Jest dużo szkół noszących imię Miarki — w uszach dzwonią mi myśli i słowa pielgrzymowian. Ile? Co najmniej kilkanaście...

— Nie wiemy, co się stało z pomnikiem Miarki. Wiemy, że żyją jacyś potomkowie, ale nie wiemy gdzie. Nie mamy z nimi żadnych kontaktów - słyszę.

— Stawiamy na agroturystykę. Pielgrzymowice to naprawdę malownicza wieś położona na wzgórzach, w podmokłych okolicach, na pograniczu ziemi pszczyńskiej i cieszyńskiej. Miarka mógłby nam pomóc.

□□□

Co zostało z Miarki, z pamięci metalowe tablice? Sfilmować Miarkę, jak robi to w okolicach Pszczyzny filmowiec amator Józef Klyk, pełnego krwi i kości, pełnego życia? Czy też pozwolić szukać mozolnie, uparcie, niewidocznych pozornie śladów — jak robi to (mam nadzieję, że znów powróci) Wiesław Głowacz.

— Miarka był doświadczonym nauczycielem. Rozumiał, że to nie młodzież powinna kreować nauczyciela, ale nauczyciel młodzież. A jak jest dzisiaj? — pyta Małgorzata Kielkowska z Pielgrzymowic. Każdy z tutejszych nauczycieli ma w swoim życiorysie miarkowski epizod. Kielkowska, rodowita pielgrzymowianka, po siedemnastu latach wróciła w rodzinne strony. Wyszła za mąż za Henryka z rodu Kielkowskich, których tu pełno. — Trudno nie wracać w rodzinne strony. Cały czas marzyłam o tym, by wybudować tu dom.

W Pielgrzymowicach rozległ się kolejny filmowy kłaps. — Czemu myślę panią Bronisławę ze świętą Cecylią? — zastanawia się reżyser. I dopowiada, że przecież Cecylia jest patronką śpiewu. — Wspaniale — krzyczy Głowacz zachwycony barwą pielgrzymowickich organów. Na nich 150 lat temu grał Karol Miarka starszy.



Zdjęcie ze zbiorów Stefanii Lei z Mikołowa

# Zmiana ról

JACEK  
WOJCIECHOWSKI

Zapędzenie literatury pięknej — jeśli nie całego piśmiennictwa — na sam skraj niebytu dość powszechnie uważa się za fakt dokonany. Ogłaszają to z lubością rozmaici tacy, sugerując jednocześnie totalną elektronizację wszystkiego, co się z komunikowaniem wiąże.



Rys. Marek Polański

Ten upór w obwieszczaniu zagłady zarówno samego pisma (czemu przeczą fakty), jak zwłaszcza literatury, wygląda raczej na obsesję, aniżeli na racjonalną diagnozę. Może za dużo było i jest dwój w szkole z przedmiotu *język polski* i z czasem następuje reakcja? W podobnej zresztą tonacji przepowiadano kiedyś kolejno zagładę teatru, a następnie kina, tymczasem — chociaż może trudno mówić o rozkwicie — nie jest to w obu wypadkach jeszcze stan agonialny.

To, co pochopnie bierze się w komunikacji za śmierć, zanik, odejście w niebyt, jest przeważnie tylko zmianą charakteru i ról. Zmienić się a umrzeć — to jednak różnica. Mniej więcej w ten sposób, wraz z wynalezieniem

sztućców, zmieniła się rola palców podczas jedzenia. Ale to jeszcze nie oznacza amputacji.

## Amputacja

Mimo całej gadaniny o zapaści literatury, na dobrą sprawę nawet nie wiadomo bliżej, w jakim stopniu społeczny zasięg literatury uległ amputacji. Doniesienia prasowe na ten akurat temat pochodzą tylko ze słyszenia i z ocen na oko: co się komu zdaje, co widać i słyszać. Jednakże na tej zasadzie, to i tygrys może niekiedy wydać się kotkiem.

Jedyne (względnie) miarodajne informacje pochodzą od Instytutu Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej, ale najświeższych póki co nie ma, dawniejsze zaś dotyczą obiegu książki a nie samej literatury, co oczywiście zmienia postać rzeczy. W dodatku badania były realizowane na niewielkich próbach i są wobec tego obarczone dużym ryzykiem błędu — spotęgowanym jeszcze przez niepotrzebne zmiany zasad pomiaru i ocen. Wyniki tych badań trzeba więc przyjmować z należytą ostrożnością, a innych nie ma.

Z wieloletnich sondaży IKiCz wynika w każdym razie, że o ile w latach 70. i 80. książki (co najmniej 7 rocznie) czytało w Polsce 34-37 proc. populacji w wieku powyżej 14 lat, to w latach 90. odsetek ten wynosi 23-24 proc. Różnica jest więc wyraźna, ale powtórzę: mowa o czytaniu książek. Jak wielka natomiast była redukcja czytania *literatury*, tego nie wiadomo, choć na pewno była.

Według mnie zresztą, główny problem polega na tym, że w kontekście europejskim wszystkie te odsetki są żenujące. Oraz: że nie ma oznak wzrostu, a powinny być.

Najłatwiej ustalić, kto sam sobie amputował czynność czytania w ogóle. A zrobiło tak 2 na 5 dorosłych Polaków i co charakterystyczne: ten wskaźnik nie zmienia się od dziesięcioleci. Jest to więc miara trwałej i absolutnej absencji w czytaniu.

Z całą pewnością literatury pięknej nie używają amatorzy szybkich samochodów, przedsiębiorcy oraz ich żony (mimo deklaracji w czasopismach dla kobiet) i wszelkiego autoramentu kredytobiorcy. Ale to wszak nic nowego, nawet jeśli przedtem nie było tak szybkich samochodów ani dużych kredytów do brania. Pewna część społeczeństwa zawsze uprawiała czytelniczy (więc literacki) post — pytanie tylko, czy równie znaczna i czy taka sama.

Przypuszczam, że nie do końca. Jakieś zmiany, na przykład pokoleniowe, w odbiorze literatury najprawdopodobniej zaszły. No i dokonała się także redukcja obiegu, chociaż nie wiadomo jak znaczna.

Pośrednio świadczy o tym regresie katastrofalna sytuacja większości bibliotek publicznych, wywołana biedą oraz/lub dezynwolutą utrzymujących je samorządów lokalnych. Mimo to obraz wciąż nie jest klarowny. Wolimy przypuszczać, że to jednak raczej kryzys społeczno-obiegu literatury, aniżeli agonia.

## Zmiany

Co wobec tego zmieniło się/mogło zmienić w społecznym odbiorze literatury w stosunku do lat ubiegłych? Można pokusić się o zgadywanek.

Bardzo możliwe mianowicie, że nastąpiła redukcja szkolnych lektur literackich, wypartych przez bryki oraz ekranowe adaptacje. W konsekwencji absolwenci szkół — uprawiający dawniej lektury w duchu poniekąd *postszkolnym* — dzisiaj czynią to o wiele rzadziej,

jeżeli w ogóle. Już częściej w tym duchu czytują osoby najstarsze. Podobna redukcja mogła też nastąpić w zakresie czytania dla lekkiej rozrywki, ponieważ w tej mierze oferta medialna jest z całą pewnością konkurencyjna.

Zanikło — bo nie ma takiej potrzeby — również czytanie literatury z przyczyn politycznych. Przynajmniej wśród elity czytelniczej rozpowszechnione były wszak lektury literackie z drugiego obiegu oraz z obiegu oficjalnego — wszystkie lektury aluzyjne, bo taki sposób wypowiedzi niezależnych wykształcił się z upływem czasu. Dziś inne są okoliczności i chociaż nikt za tamtymi nie tęskni, pewna formuła czytania literatury tym samym przecznie zanikła.

Jest coś, na co często znawcy zwracają teraz uwagę, mianowicie na zdumiewająco szeroką nieznaną co ważniejszych tekstów literackich a także pisarzy, szczególnie współczesnych. Zawodowi uczestnicy turniejów telewizyjnych potrafią bez pudła nazwać główną ulicę w Konakry, nie słyszeli natomiast o Grassie, Faulknerze, Fuentesie. Ale czy to nie złudzenie? Czy aby na pewno w przeszłości bliższej i dalszej publiczność lepiej orientowała się w produkcji literackiej?

No więc może tylko jest klarowniej. Po prostu nie trzeba udawać, że kogoś literatura interesuje, jeśli nie interesuje. I że ją zna — jeśli nie zna. Możliwe, że szkoda, ale to jest redukcja pozorów, a nie samego zjawiska.

Co natomiast z pewnością uległo zmianie, to ogólnospołeczne mentorstwo literatury. Nie da się już współcześnie odwoływać do wszystkich, ze wszystkimi dyskutować, wszystkich do czegoś namawiać. W literackim dialogu pojawiły się podziały, grupowe, pokoleniowe, może nawet regionalne. Nawet literacka Nagroda Nobla nie jest już w istocie symbolem powszechności literatury: o kolejnych laureatach pamięta się tylko lokalnie.

Oraz w zmniejszonej (zapewne) mierze uchował się popyt na fabuły. Rejstr topiki tak jakby uległ wyczerpaniu, ile bowiem można nawymyślać jeszcze zdarzeń, o których nikt przedtem nie opowiadał? Odejdźcie więc od fabuły — w kierunku niefabularnej literatury, prozy, powieści — wydaje się naturalne. Ale to nadal nie jest agonia; to tylko zmiana formuły i ról. Co zresztą nie wszyscy muszą akceptować.

## Ku przyszłości

Jeśli nie wybiegać w zbyt odległą (więc właściwie nieznaną) przyszłość, to rokowania dla literatury nie muszą być złe. Jakkolwiek zagrożenia istnieją, ale obecnie wydają się mniej apokaliptyczne, aniżeli rok lub dwa lata temu.

Ucichł trochę jazgot, zapowiadający w komunikacji absolutną dominację sieci elektronicznych — złasz-

cza odkąd policzono koszty oraz wymyślono elektroniczną książkę. Systemy komputerowe są rewelacyjne w odniesieniu do informacji, lecz literatura jedzie z informacją tym samym tramwajem, jest fikcyjna, metaforyczna — o czym informatycy i teoretycy komunikacji na ogół nie wiedzą, ale to ich problem. W systemach elektronicznych szanse tekstom fikcyjnym, jednak zupełnie innej natury, stwarza komunikacja hipertekstowa (swoiste połączenie wideo i komputera), w perspektywie może nawet wirtualna, ale w odmiennej konwencji. Wygląda więc na to, że literatura przetrwa.

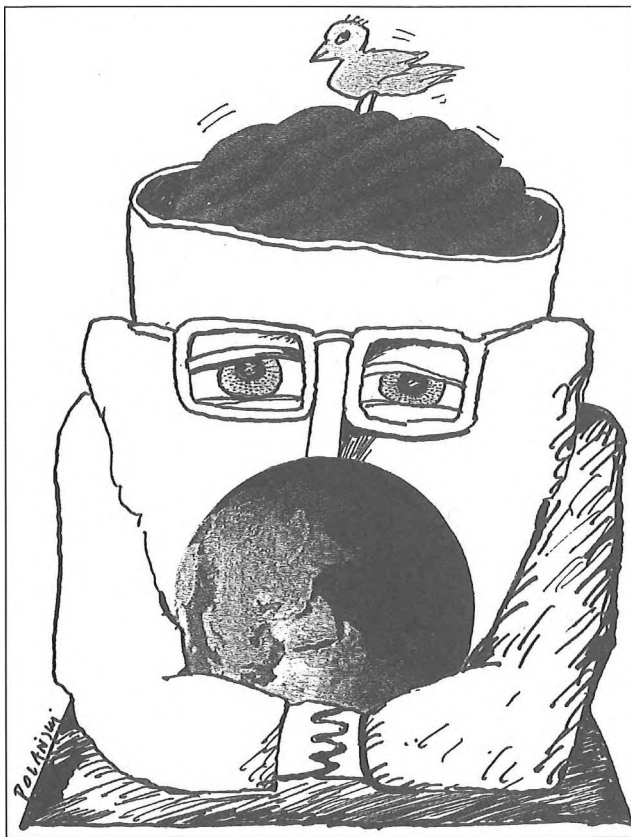
Oczywiście — jeśli zdoła uzasadnić swoją egzystencję i funkcje wobec kolejnych pokoleń. Wydaje się, że taka szansa jest. W Polsce i na świecie pojawiają się teksty literackie młodych autorów — niekoniecznie rozumiane i akceptowane przez starszą publiczność i oficjalną krytykę, ponieważ są inne, niekiedy zaskakujące. Ale ktoś to jednak czyta. Może następuje — w miejsce uniwersalności — upokoleniowanie literatury? Zamiast do wszystkich, adresowanej do określonych odbiorców? W ostatecznym rozrachunku efekt może być ten sam.

Wszystko w końcu zależy od tego, czy literatura będzie komukolwiek potrzebna — w dotychczasowym bądź w zmienionym kształcie — czy też okaże się bezużyteczna. Według dzisiejszych kryteriów, ze względu na swoją niedookreśloność, tj. ewokacyjną, sygnałową, a nie ukonkretnioną charakter wypowiedzi oraz fikcyjność, jest niezrównanym narzędziem dla pobudzania refleksji oraz nieużytkowych satysfakcji estetycznych, jak też dla odreago-

wań substytutycznych (kiedyś używano określenia *katharsis*). I takie są najprawdopodobniej przyszłe funkcje, obowiązki, powinności społeczne literatury pięknej. Natomiast wolno przewidywać regres jej rozrywkowych zadań, bo te akurat media realizują skutecznie.

Powinności — wobec kogo, skoro nie da się ich odnieść do całego społeczeństwa. Otóż najprawdopodobniej wobec elity intelektualnej. Nie sposób bowiem wyobrazić sobie, że wysoko rozwinięte umysły poprzestaną wyłącznie na przyswajaniu oraz przetwarzaniu informacji. Na czym bowiem polegałoby to wysokie rozwinięcie? Jest mało prawdopodobne, żeby elita intelektualna mogła obejść się bez refleksji, także estetycznej — zwłaszcza wobec wzmożonych wyzwań czasu przyszłego — a tej zaś nic lepiej nie służy niż literatura i jej abstrakcyjny świat przedstawiony. To główna pożywka rozwiniętej świadomości, która odróżnia człowieka od maszyny.

Informacją, wiedzą oraz programami przetwarzania można nafaszerować komputer do woli. Natomiast komputer nie wie, że wie. Nie ma świadomości. Człowiek wciąż ją ma.



Rys. Marek Polański





Rozmowy z  
ks. prof.  
JÓZEFEM  
TISCHNEREM

# OBJAŚNIANIE BIBLI

## 3. Pierwsze morderstwo

— Po Wielkim Wybuchu, który towarzyszył Stworzeniu Świata oraz wygnaniu Adama i Ewy z raju, pojawia się następny ważny, ale i tragiczny temat: pierwsze morderstwo...

— Rozumiem, mamy mówić o Kainie i Abla...

— Jak doszło do tego, że brat zabił brata — pracowali zgodnie i żaden z nich nie wykazywał wobec drugiego nieprzyjaznych uczuć. Kain był rolnikiem, siał, orał i zbierał plony. Abel pasał owce. Obaj ciężko pracowali i obaj z plonów swej pracy złożyli ofiarę Bogu...

— Pamiętajmy, że Biblia to przede wszystkim problematyka zła i wszystkiego, co się z nim wiąże. Objawia się ono rozmaicie. W przypadku Adama i Ewy złem było kłamstwo, które uosabiał wąż. Natomiast bunt Adama, który był konsekwencją owego kłamstwa, to zło wyrażone za pomocą słów. W historii Kaina i Abla mamy do czynienia z czymś innym. Tutaj zło zamienia się w czyn. Dochodzi do morderstwa, przelana zostaje krew...

— Co doprowadziło do tej tragedii?

— Aby zrozumieć tragiczną historię obu braci, trzeba zapoznać się z jej filozoficzną interpretacją. Jedną koncepcją (jej wyznawcą jest angielski myśliciel Tomasz Hoops, nawiązuje do niej Józef Hegel), mówi, że do pierwszego mordu doszło w wyniku walki o władzę, która była jedyną gwarancją bytu. Innymi słowy — by przeżyć człowiek zabijał człowieka. Drugą koncepcją, preferowaną przez Zygmunta Freuda, zakłada, że motywem zabójstwa była walka o kobietę, przy czym oba rodzaje walki, prowadzące do unicestwienia jednej ze stron konfliktu, znane są od wieków zarówno w świecie ludzkim, jak i zwierzęcym. Skoro tak, to biblijnego zabójstwa nie moglibyśmy odnosić do człowieka i traktować go jako coś typowego dla rodzaju ludzkiego, a tak się przecież ujmuje ów fragment Starego Testamentu. W Biblii chodzi o coś zupełnie innego a mianowicie o udowodnienie, że cechą charakterystyczną człowieka jest brak oporów przed zabiciem drugiego w pewnym sensie bezinteresownie, to znaczy bez szczególnego powodu. Takich zachowań w świecie zwierzęcym się nie spotyka. Wilk zabija owcę, by przeżyć i rozszarpuje rywalą wyłącznie dla zachowania gatunku.

Niezwykłość Biblii polega na tym, że podejmuje temat zabój-

stwa, które może się zdarzyć wyłącznie w świecie ludzi i interpretuje to zabójstwo „po ludzku”. Słowo „po ludzku” w odniesieniu do mordu brzmi dwuznacznie, gdyż każdy mord jest niehumaniczny, a tragizm owej sytuacji polega na tym, że niehumanicznego czynu dokonał właśnie człowiek.

Warto tu zwrócić uwagę, że chcąc określić rodzaj zabójstwa jako „ludzkie” musi się dojść do dramatu, opisanego w Starym Testamencie, gdzie brat zabija brata, a więc podnosi rękę na kogoś podobnego do siebie, kogoś równego sobie. W grę wchodzi tu absolutny brak akceptacji osoby, która pod każdym względem jest równa mnie lub co gorsza, mnie przewyższa. Oto mamy przed sobą dwóch braci, obaj są dziećmi tych samych rodziców, niczym się od siebie nie różnią. I nagle Pan Bóg kwestionuje to podobieństwo. Jednego brata wywyższa, drugiego poniża. Dlaczego? Jakim prawem Stwórca zakwestionował tę gatunkową równość? Na tym polega cały problem.

— W Biblii czytamy „Bóg wejrzał na dary Abla, a stało się tak, że na dary Kaina nie wejrzał...” Czyli Stwórca zlekceważył Kaina i złożoną przez niego ofiarę, nie docenił zatem jego wysiłku, wyzwalając ogromne poczucie krzywdy. Kain cały swój gniew obrócił przeciwko bratu...

— Jest taka sugestia, że uczynki Kaina były złe, naganne. To by oznaczało, że Pan Bóg kwalifikuje ludzi nie wedle urodzenia, ale ich moralności. Tego Kain nie zrozumiał. Nie zaakceptował faktu, że dla Boga ważniejsze jest nie tyle działanie zgodne z naturą, co etyka. Ale przyjmijmy, że motywy postępowania Kaina były inne, że wpadł we wściekłość na widok „dobrego brata”, który — jego zdaniem — niesprawiedliwie został wyróżniony przez Pana Boga...

— Miał do tego powody. Niesprawiedliwa ocena, brak uznania dla pracy, starań, dobrej woli wywołuje stres. Rodzi poczucie niesprawiedliwości i buntu przeciwko takiemu traktowaniu...



Kain przed Bogiem. Fragment drzwi brązowych z Kościoła św. Michała w Hildesheim.

— Tyle, że ów niedoceniony człowiek powinien się buntować przeciwko podmiotowi, który był sprawcą jego poniżenia, czyli przeciwko Bogu, tymczasem przykład biblijny dowodzi czegoś innego. Brat dokonuje zamachu na życie brata. Abel zginął choć nie miał nic wspólnego z poniżeniem Kaina. I tu zawiera się cała psychologia zabójstwa w ludzkim wydaniu.

— **Czy można czyn Kaina zakwalifikować do zabójstwa w afekcje?**

— Nie, ono zostało popełnione w myśl zasad logiki, wszystko potoczyło się zgodnie z regułami gry: pojawił się konflikt i on stał się przyczyną dramatu. Kain zabił, gdyż ktoś okazał się lepszy od niego, przynajmniej tak mu się wydawało. Nie szukał winnego, wręcz przeciwnie — pozbawił życia kogoś, komu nie można było nic zarzucić. Za jego postępkami kryła się zwyczajna ludzka zazdrość, albo — zawiść, jakże powszechna w otaczającym nas świecie. Przecież największą niechęć kierujemy pod adresem tych, którzy — przynajmniej w naszym rozumieniu — są od nas lepsi...

— **Ale gdyby Pan Bóg wejrzał równie życzliwym okiem na ofiary jednego i drugiego, być może do tragedii by nie doszło...**

— Nie patrzmy na tę historię przez pryzmat jednego zdarzenia. Tu nie chodzi o dramat panów Kaina i Abła, oni są jedynie wymownymi symbolami. Mówimy o tragedii całego rodzaju ludzkiego, znanej również czasem współczesnym. W Biblii jak w zwierciadle odbijają się nasze własne przywary. Weźmy pierwszy lepszy przykład wzięty z życia: mamy chłopaka i dziewczynę, dwoje ludzi, sympatyzujących ze sobą i wyobraźmy sobie, że na ich drodze pojawia się inny mężczyzna. Dziewczyna odchodzi z nim...

— **Wówczas chłopak bierze siekiere i rozprawia się z rywalem...**

— Tak, to zdarzenie jest wierną kopią historii opisanej w Biblii. Powiedzmy: dziewczyna dokonała wyboru, bo tak chciała, to była jej decyzja. Ale dla jej chłopaka fakt ten jest nieistotny, wini rywala i on ponosi konsekwencję jej czynu.

Kwestia zazdrości, czy lepiej zawiści wymaga w Polsce szczególnej interpretacji. Cechą charakterystyczną nas, Polaków jest tzw. bezinteresowna zawiść. Przy czym warto tu dodać, iż wyzwalanie w sobie tego rodzaju uczuć jest pozbawione sensu, gdyż kierując się nimi w żaden sposób nie można spodziewać się zrozumienia z czyjejkolwiek strony, a już na pewno nie ze strony Boga.

— **Ale ja mimo wszystko broniłabym Kaina. Co on takiego zrobił, czym zawinił, że nie znalazł uznania w oczach Stwórcy?**

— Wchodzi pani tutaj w kompetencje Pana Boga. Cóż, nie da się ukryć: Pan Bóg, który nie różni się od człowieka, bo stworzył go na obraz i podobieństwo swoje, ma — jak widać — swoje słabości. Ale w końcu nie obszedł się źle z Kainem, wręcz przeciwnie — dał mu szansę odkupienia winy!

— **Jaką szansę? Skazał go na banicję, mówiąc: „Tułaczem i biegunem będziesz na ziemi”. Ja rozumiem, znaczyło to, że Kain już nigdy nie miał**

**zaznać szczęścia. A to jest równoznaczne z potępieniem...**

— Proponuję się cofnąć i jeszcze raz przyjrzeć uczuciom zazdrości czy zawiści. Kainowi wydaje się, że zabijając Abła pozbywa się konkurenta i sam zostaje na placu boju, bo Pan Bóg nie mając nikogo innego — jego wybierze. Tymczasem takie podejście do sprawy jest irracjonalne. Chłopak, który zabija rywala nie może liczyć, że dziewczyna do niego wróci... W tym miejscu należałoby postawić inne pytanie, dlaczego Pan Bóg nie okazał gniewu, że zglądzonego człowieka, którego On wybrał...

— **No właśnie, dlaczego?**

— Bo Pan Bóg nie uznaje odwetu. Pierwszym tego dowodem była historia Adama i Ewy, których wprowadzie wygnął z raju, ale nie zamknął drogi powrotu. Podobnie postąpił z Kainem.

— **Myszę, że dowodzą tego słowa: „ktokolwiek by zabił Kaina, siedmiokrotną poniesie pomstę”.**

— Właśnie, na samym końcu tej opowieści ujawnia się cała prawda o Bogu, który wybiera „mimo wszystko”...

— **Mówiąc, że Pan Bóg akceptuje człowieka, nie bacząc na jego naganne postęпки, wytrąca mi Książdz z ręki wszelkie argumenty...**

— To nie są moje słowa, tylko tekst zaczerpnięty z Biblii. Karty Starego Testamentu zawierają dramatyczne dzieje ludzkości, wyrażone myślami, które mają znaczenie symbolu. Jeśli byśmy szukali treści, których możemy się spodziewać w referacie, to sięgnęlibyśmy po prasę. Gdyby interesowały nas traktaty, to czytalibyśmy filozofów greckich lub choćby średniowiecznych. Na Biblię trzeba patrzeć inaczej; musimy nauczyć się ją czytać. Nie szukajmy w niej dosłowności, bo ich tam nie znajdziemy.

— **Biblijny dramat zakończył się pomyślnie. Kain, skazany przez Boga na tułaczkę, dokonał wielkiej sprawy: zbudował miasto na pustyni, nadając mu imię swojego syna...**

— Kain za mord na Ablu, został pozbawiony ziemi, która jakby krzyczała w proteście, wołała o pomstę do nieba za przelaną krew niewinnego. Kain musiał więc znaleźć dla siebie inne miejsce, z dala od tego, gdzie się urodził. Wtedy zbudował miasto. Od tego czasu wiadomo już, jakie korzenie mają ludzie miastowi... Pani Ewo, pani pochodzi z miasta...

— **...to znaczy wywodzę się z Kainowej linii, natomiast Książdz pochodząc z Łopusznej z Kainem nie ma nic wspólnego...**

— tak, ale proszę się nie martwić, pani należy do grona wybranców tak jak Kain, oboje zostaliście wybrani przez Boga, by odegrać swoją rolę.

— **A Książdz nie uważa się za wybrańca Bożego?**

— Ja tam na górze już się trochę zadomowiłem i jeżeli stanę przed Boskim obliczem i dowiem się, że panią lepiej niż mnie oceniono, może powtórzyć się historia Kaina i Abła...

— **Czyli znów ktoś na kogoś podniesie rękę...**

# Polski kalambur

JERZY PASZEK



Okladka „Skotopasek” A. Nowaczyńskiego (rys. W. Wojtkiewicz).

*Pisarzy się style styka:  
Tak powstaje stylistyka.*  
(J. Lemański)

Kalambury dzielą się na kalambury-karambole i na kalambury-kameleony. Inaczej mówiąc: Królestwo Kalamburu obejmuje terytoria Jawne (zdobyte drogą kontaminacji) oraz Terytoria Ukryte (zamaskowane przez umiejętne rozbiory słów). Pierwsze są dziś domeną ironistów i satyryków, drugie — braci szaradziarskiej.

1

*Jestem Neuwert — Kalamburda  
(Pierwsza szopka warszawska)  
Błagam o chwilę spokoju,  
decybellissima mia!  
(M. Załucki)*

Kalambur-karambol (nazwa wymyślona przez Juliana Tuwima w jego świetnej — a zapomnianej obecnie — książce *Pegaz dęba*) to przede wszystkim neologizm (lub okazjonalizm semantyczny), powstający dzięki zderzeniu dwóch różnych wyrazów. Taki karambol może być powierzchowny lub bardzo głęboki i tragiczny (jedno ze słów ginie w paszczy kalamburu-krokodyla). Przykładem takiej obustronnie wyniszczającej kraksy jest kalambur Adolfa Nowaczyńskiego — „rokokoty” („Pierroty, heroicznie liżąc rokokoty”), w którym słowo „rokoko” wchłonęło i zostało jednocześnie wchłonięte przez „kokoty”, tworząc zgrabne określenie stylowych kurtyzan. W kalamburze „druidureń” („Druidurniów dzisiejszych po prostu linczować”, Nowaczyński), tylko jedna głoska spaja dwa wyrazy, stąd wra-

żenie powierzchowności karambolu. Autor *Małpiego zwierciadła* jest mistrzem tego typu kalamburów, w których co najmniej dwie głoski (a z reguły trzy i więcej) są wspólne dla powiązanych ze sobą członów neologizmu: „W literaturze małPawiaństwa dużo”. Trzy litery kojarzą różne słowa w kalamburach: „kanKANarek”, „wodziREJ-tanów”. Cztery litery łączą „emancypantki” z „panterkami” („emancyPANTerki”). Po pięć liter przyciąga dwa odrębne określenia w kalamburach: „Ma coś z Don Juana / Ten pady-SZACH-raj z tym lu-CYFER-błatem”. Całe dwa wyrazy pochłonięte zostały wzajemnie w satyrycznej nazwie epigonów romantyzmu: „nasze WIESZCZENIĘTA”.

Przypatrzmy się innym pomysłowym kalamburom Nowaczyńskiego. Jednym z jego chwytów jest znacząca zmiana pisowni istniejących słów lub tworzonych przezeń neologizmów. Tak więc w słowie „burżuazja” poeta aluzyjnie wskazuje etniczne pochodzenie tej warstwy społecznej poprzez dodanie dywizu i dużej litery: „Dopókim w burżu-Azji wytępiał zakwały”. Kalambur staje się wieloznaczny m.in. dzięki takim podziałom i podkreśleniom:

NIC to polska tajemNICa,  
W NIC-po-nich słowach się mięści...

Przymiotnik „nicponi” byłby zwykłym okazjonalizmem, gdyby nie wyróżnienie w nim cząstki „nic” i obnażenie etymologii słowa „nicpon”. Epitet „NIC-po-nich” odnosi się do słów: 1. ladajaków, używanych przez nicponiów, 2. niepotrzebnych (nic po nich), 3. tych, które zawierają w sobie wyraz „nic”. Jeszcze bardziej skomplikowane konteksty przywoływane są w wierszu wyśmiewającym wszelkiego rodzaju hołyszów i chamów:

Nad stan żyją w Sarmacji i pany, i chamy.  
Zanim się szal szaloną nie ukończy chryją,  
W szampańskim CHO-HOŁYSZE nogi sobie myją

W tym meandrze zaszyfrowana została isticie labiryntowa semantyka: epitet „cho-hołyszze” może bowiem oznaczać bądź nogi hołyszy, bądź też kończyny „chochole”; neologizm ten — jako rzeczownik — może być podmiotem zdania, które w innym szyku syntaktycznym brzmi: „Cho-hołyszze nogi sobie myją”. Wówczas określenie to oznacza hołysza spod znaku chochoła lub dubeltowego golca (hołysz ze aż ho!). Normalny zapis tego neologizmu („chocholyszze nogi”) utrudniałby wytropienie mariażu „hołyszzy” z „chochołami”. Nb., gdy wraz z chochołami wkraczamy na scenę *Wesela*, to zobaczymy, co dzieje się tam z szacowną postacią Wernyhory pod piórem satyryka:

Pewien pan wernychory, także na umyśle  
Od niejakiego czasu, ma humor wprost boski.

Wernyhora jest tu więc poważnie chory, a w dodatku na słabość, której podówczas nie umiano skutecznie wyleczyć (choroby weneryczne). Takie manipulowanie nazwiskami i nazwami geograficznymi było ulubioną zabawą Nowaczyńskiego. Lemański dłań Allemańskim, Żeromski — Żeremiaszem (jeremiada — żeremiada), Lwów — Płowowem, Feldman — Feldmandrylem itp. Z kolei w nazwie kabaretu — Pochronce — odnajdziemy Pochronia z *Dziejów grzechu* Żeromskiego skontaminowanego z niewinną instytucją dla sierot.

Lemański — wspomniany w satyrach Nowaczyńskiego jako Allemański — pisał „zakąśliwie” o ludziach „zurfikswych” i „bliźniożernych”. Opiewając uroki życia łączył „hosannę” z cygarem „havana”:

Ceremonia śniadanna,  
Ubiad... Goście... Wint... HAVANNA.

Jedną z obsesji autora *Nowenny* jest doszukiwanie się w małżeństwie etymologicznych związków z mięczakami morskimi lub słodkowodnymi, czyli małżami. Już w „Chimerze” pisał:

Niech śpi biała małża-żonka,  
Niech sylaby życia bąka...  
Dźwięcznych, szumnych MAŁŻ-małżonek

— by dwa lata potem — w *Nowennie* — wyjaśnić rzecz w trójwierszowej antymieszcząńskiej strofie:

Domek niby MAŁŻY koncha.  
W domku-konsze MAŁŻA-żonka  
Przylepiona do MAŁ-Żonka.

Bohaterka poematu *Wyzwolenka* — modna ówczesnie „emancypanterka” — ironicznie (by nie rzec — jak ona — „ser-donicznie”) proponuje kobietom przeciwieństwo dzielności życiowej: święteczną niedzielność, polegającą na obżarstwie i tyciu:

Cobykolwiek gdzieś się działo,  
Ty NIE-DZIELNOŚĆ wdziej na ciało,  
Przysiąż tycia ideałom.

Satyryczną paleczkę z rąk młodopolań przechwycili skamandryci. Tuwim w *Jarmarku rymów* wykreował kilka znakomych kalamburów-karamboli: „cała orgia jakoFONTann”, „Są ludzie spokrewnieni przez MAMCIE. MAMCIE... gdzieś”, „Jabłko, którym wąż skusił Ewę: diABELUSZKO”, „Nasz ból głowy: EMIGRena”, „Biblia — HANDBóg”. Antoni Slonimski — autor felietonów z cyklu *Moje walki nad Bzdurą* (1932) — z kalamburów uczynił narzędzie swady publicystycznej. W tekście zatytułowanym *Professor Witwicki o STYCE, a nie o PLA-STYCE, czyli ignorant na cenzurowanym* mówi m.in. o „detologii” i „lopatologii”. Inny felieton miał tytuł: *Psychoanaliza, czyli świat został dopiero psychoanalizowany*. Nagłówek o prof. T. Zielińskim (*Zieliński się „zesikał”*) jest zaskakujący, bo prowadzi w stronę Ferdynanda Hoesicka — zwanego familiarnie Esikiem (artykuł Zielińskiego „napisany jest gorzej, niżby to jeszcze dzisiaj zrobił stary Esik”). Łacińska formuła „Urbi et orbi” staje się w ręku miłośnika sportu zawołaniem: „NURMI et orbi”. PEN Club — nie interesując się mieszkaniem Żeromskiego na zamku warszawskim — staje się instytucją o skomplikowanej nazwie: „P.E.N.T.A.K. Club”. Zakończenie felietonu o polonistach (*Komentatorzy działają jak na komendę*) brzmi: „Czy nie za dużo tych półmędrków i półgłówków, tych KOMENDA-torów”, tych słówek podkreślonych kursywą, tych ciemnych głów bawiących się w objaśniaczy. Kursywa ich mać”.

Po wojnie w kalamburach-karambolach wyróżnia się Lec i Lem. Lec jest subtelnym aforystą, wymyślającym nowe słówka w otoczeniu lapidarnych zdań: „To nie byle kto! To sam Analfabeta-gammadelta itd. aż do samej omegi”, „Ma te biedne pięć cierni w koronie i już szuka siebie w Almanach de Golgotha”, „Ta pani ulegalka”, „Fanatyci”, „Można znaleźć się nieopatrnie w entuzjarmie”, „Argumętnie”, „Trogloderydyta”, „Grafomanna”, „Lucyferblat czasu patrzy na nas!”, „Ach, ci optymistycy!”. Jak widać, i Lec, i Nowaczyński kojarzą ze sobą Lucyfera i cyferblat!

Stanisław Lem bawi się kalamburami wymyślonymi przez komputery: „warchlak — [pijane prosię]”, „sarkofag — [mięso-żemik]”, „sędziwka — ździerlatka — wróżbita [czytaj: w róż bita]”, „wzębajło — skopek — broczymorda”, „drwałęń — [ryba piła]”, „chochlokracja — rządy zapakow”; „sędziwka” i „ździerlatka” — to „stare prostytutki”, jak wyjaśnia także autor.

2

*Strudzony pod różą spoczywa.*  
(A. Żółkowski)  
*Żyję w podziwiewie.*  
(J. Przybós)

Kalambur-kameleon nie ma tak bezkresnych horyzontów kreatywnych i recepcyjnych jak kalambur-kambol. Jeśli nawet można sobie wyobrazić masową produkcję tego typu gier



Nalęczów, ok. 1906 r. (stojąc od lewej) S. Żeromski i A. Nowaczyński, (siedząc od lewej) S. Bryliński, Z. Nalkowska, J. Matuszewski

słów, to z góry też trzeba założyć syzyfowość wysiłku twórczego: zdecydowana bowiem większość ukrytych kalamburów nie ma ani satyrycznych, ani intelektualnych walorów. Wystarczy przeprowadzić eksperyment słownikowy (podstawą tu będzie *Indeks a tergo do Słownika języka polskiego pod redakcją Witolda Doroszewskiego*), oparty na hasłach kończących się częstą „-owiec”, czyli wyrazach typu „hitlerowiec” („Szpilki” przedwojenne wyjaśniały, że wyraz ten oznacza „psa pasterskiego”). Ileż z tych 200 haseł niesie samo w sobie — poza kontekstem satyrycznej narracji, w której połączenie rzeczownika w mianowniku z rzeczownikiem w dopełniaczu („owiec”) stanowić powinno puentę — interesujące zderzenie i zdarzenie semantyczne?

Mnóstwo ukrytych kalamburów seryjnych obiecuje przedrostek „wy-” będący jednocześnie zaimkiem drugiej osoby liczby mnogiej. Powstają m.in. takie kalambury: „wyabstrahujecie — wyabstrahujecie”, „wyakcentujecie — wy akcentujecie”, „wyalienujecie — wy alienujecie”, „wybawicie — wy bawicie”, „wybaczcie — wy baczcie” itd. Nie są to cenne materiały satyryczne lub humorystyczne! Niekiedy jednak przedrostek „wy-” w funkcji zaimkowej tworzy niecodzienne zderzenie pojęć i zakresów lekcyjnych: „wy czeski lubicie?” (wyczeski — „krótkie włókna lnu, konopi”), „wy włokami zajmijcie się!” (włoki — „narzędzia rolnicze lub rybackie”; wywłoki — „nicponie, kobiety lekkich obyczajów”), „wy — smok — tam!”. Także inne zaimki mogą ujawnić zamaskowane kalambury: „ja” — „ja błonkę miałam”.

W polszczyźnie nie tylko krótkie zaimki umożliwiają powstawanie całych sekwencji prostych, choć czasem zaskakujących (np. „masakra — ma sakra”, „madziarska dziewczyna — ma dziarska dziewczyna”, „mi kożę — mikożę”) kalamburów.

Recepcja kalamburów-kameleonów uzależniona jest od wykrycia i dostrzeżenia wielowarstwowości przekazu, a także znajomości rzadkich słów. Wykrzyknienie „Zawistna baba!” dla większości Polaków nie ukrywa żadnej dwuznaczności. Dopiero ci, którzy otarli się o stolik brydżowy (wist — atak gracza rozpoczynającego rozgrywkę) i historię Indii (nabab — „władca księstwa w północnych Indiach”) — wykryją tu rodzaj toastu karcianego („Za wist nababa!”). W filozoficznym zdaniu „Pitagoreizmem wabi” trzeba wyróżnić nie tylko pierwszy termin, ale i drugi — reizm (Kotarbińskiego chociażby). W sentencji „Nie znam fana Berii” dochodzi do zderzenia złej sławy polityka sowieckiego (z pochodzenia Gruzina) i wyrazu o genezie



kaukaskiej (fanaberie — 'grymasy, fochy'). Bez wiedzy o finwalach (wielorybach faldowcach) niezrozumiałe jest zdanie „W fiordach widzę finwali kupę”.

Niektórzy autorzy kalamburów domagają się innego rodzaju doświadczeń czytelnicznych. Chcą, by odbiorca analizował wybrane zdanie w kontekście całego utworu lub jego części. Tak więc pozornie niewinne stwierdzenie Juliana Przybosa „Żyję w podziwie” nabiera dwuznaczności na tle ostatniego fragmentu wiersza *Ów halcyjon*:

DZIW się zjawia tylko raz prawdZIWIE.

Zjawił mi się w pastuszym dzieciństwie

na znak:

ISTNIEJ!

Żyję w poDZIWIE.

Trzykrotne powtórzenie słowa „dziw” („dziwie”) pozwala czytelnikowi domyślać się, że puenta oznacza nie tylko życie wzbogacone podziwem dla symbolicznego halcyjona-zimorodka, ale i życie po-dziwie, po spotkaniu z tym wielobarwnym ptakiem. Ba, jednozdaniowe słowo „Istniej!” jest także kalamburem, gdyż ma dwa znaczenia: 1. 'żyj', 2. 'istotniej, iściej, prawdziwiej'. Jak widać, niektóre kalambury-kameleony naprawdę są dokosnale zamaskowane w tekście poetyckim!

3

*Precz, precz od nas smutek wszelki!*

(A.E. Odyniec)

*Precz, precz smutek w szelki!*

(J. Lechoń)

Podchodząc do interesującego nas zagadnienia od strony historycznej zauważmy, że już w dobie staropolskiej pojawiają się pierwsze kalambury. Mikołaj Rej w swoich *Figlikach* wprowadza dialog, w którym został wyzyskany dwuznacznik „nazad — na zad”:

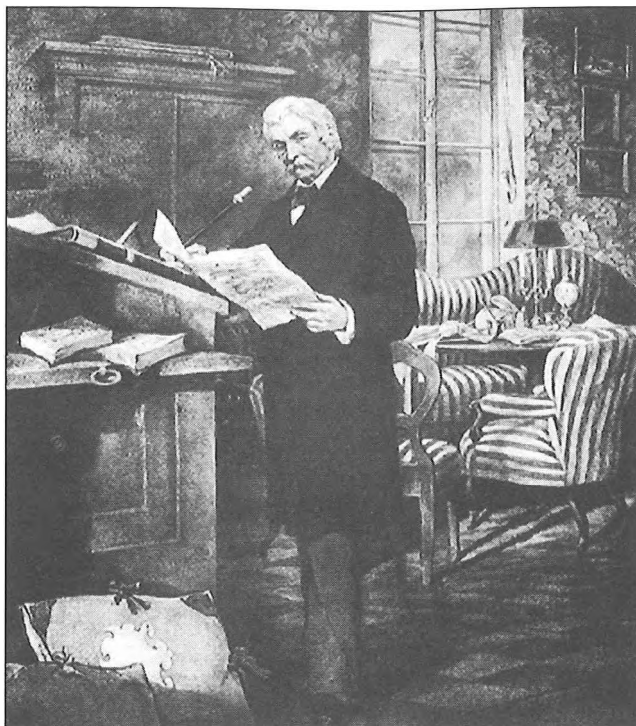
Pani jednemu rzekła: — „Rada bych widziała,  
Abych cie też wždy kiedy w swoim domku miała.”  
Rzekł: — „Iż mi teraz trudno, lecz do domu nazad  
Jadąc do was, gospodze, stąpiłbych barzo rad.”  
Pani sie obaczywszy: — „Mijaj, dobry panie,  
Bowiem wam bardzo z drogi jechać na zad na mie.  
Udajcie sie do siebie, tamtędy wam prosto,  
Bo kędy sie bierzecie, barzo tam zarosło.”

We *Fraszkach* Jana Kochanowskiego mamy anegdotę *O gościu*, który chwali się publicznie z odniesionego sukcesu erotycznego („swadźbić” — 'kopulować'), ale nie jest przez wszystkich dobrze rozumiany:

Gość napisał na murze, że coś paniej czynił;  
Drugi, źle wyczytawszy, jako złego winił:  
„Otóż widzisz — powiada — czyżne dobrze komu,  
A to tu drugi SNAĆ BIŁ gospodynią w domu.”  
A sługa stojąc za nim: „Przypatrzcie się, panie!  
Widzi mi się, że SWADŹBIŁ stoi tam na ścianie.”

Można by taką fraszkę — choć odwołuje się do artefaktów graficznych (pre-graffiti) — uznać za niedokładny kalambur audialny („snać” — jak wiadomo — piszemy dziś „snaź”, a Linde dopuszcza wymiennosc „snać” oraz „snaź”). W dedykacji *Trenów* napotykałyśmy kalambur literalny, zawiniony zresztą przez edytorów poety: przez lata drukowano bowiem, iż „niefortunny ociec, swojej najmilszej dziewce Z ŁZAMI napisał”, chociaż w intencji autora powinno tu być „ZŁZAMI”, bo tak ówczesnie wyraz „łza” wymawiano, a twórca — wzorem Cyce-rona — chciał oznajmić, że nie używał do pisanja atramentu, tylko własnych lez...

W okresie romantyzmu Mickiewicz — w sonetach — potrafił grać wieloznacznością syntaksy szyfrując imię „Maryja” w wersach: „MARY JA dotąd pośród pamiątek kościoła / Myślą gonię i duch mój o przeszłości roi”, by na starość snuć fantastyczne — jeśli chodzi o oddalenie od lingwistyki — etymologie. Najstłyniejsza jest następująca: „Odważ się tutaj dać wykład słowa Nabukadnezar [Nabuchodonozor], które Arabi wymawiają Bakht-on-Nasr, co znaczy 'szczęście i zwycięstwo'. Słowo to, jeśli je napiszemy znakami słowiańskimi: Ne-buh-



Aleksander Fredro

odno-car, bardzo łatwo wytłumaczyć: NIE MASZ BOGA JE-NO CAR”.

Najdłużej i najtymniej pamiętanym kalamburem tego okresu była kwestia z *Zemsty* Aleksandra Fredry — dyl z kroku:

„Jeśli nie chcesz moje zguby,  
KRRROKODYLA daj mi, luby”.

Jest to żądanie Klary Raptusiewiczówny, starościanki za-KROCZYńskiej w stosunku do Papkina, więc obok „przesadyzmu” (wiązanego z poetyką opowieści gotyckiej) powinno się tu dostrzec i wyraźną aluzję falliczną. Jest zresztą Fredro autorem skrzydlatego zdania (w *Słubach paniejskich*): „Znam dobrze mężczyzn, ten ród KROKODYLI”.

O niektóre udane kalambury toczy się wojna podjazdowa: oto Henryk Markiewicz i Andrzej Romanowski cytowanej jako motto tego fragmentu moich rozważań zdania-parafrazy Odyńcowej *Pieśni filaretów* („Precz, precz smutek w szelki”) nie wiążą z nazwiskiem Lechoń, lecz Janusza Minkiewicza. We wspomnieniach Marka Rudzkiego o przedwojennej Warszawie pojawia się szereg skrzydlatych słów autora *Karmazynowego poematu*: „Poeta był mistrzem gry słów. Oto kilka przykładów, które wywodzą się z dawnej Ziemiańskiej: 'Piersi wysuwają się na czolo!', 'Precz, precz smutek w szelki!', 'Ciasto pieniądz', 'Cielesna Aida' ” (w ostatnim przykładzie może chodzić albo o odczytanie epitetu jako „cie, leśna” albo o rozbicie słowa „Aida” na „aj, da”).

Tużym również jest twórcą kalamburów-kameleonów. Przykładem jest refren antyniemieckiej piosenki z okresu I wojny światowej:

„O, KUP PAN TO! O, KUP PAN TO!  
Bitte! Bitte! O, KUP PAN TO!”

[...]

„OKUPANT TO! OKUPANT TO!  
Brrrrrr!!! OKUPANT TO!”

Audialny autobiograficzny i zarazem autoironiczny kalambur napisał sobie „sobielizant” prof. Wyka (w archiwum historyka literatury znaleziono tekst pt.: *Mowa, którą sobie wygłosił Kazimierz Wyka na swoim jubileuszu w dniu 18 kwietnia w Krakowie roku 1970*), nawiązując do nalewki własnego wyrobu i czekającej zebranych „odwykówki”:

Czas kończyć wielkie słowa i małe półsłówka,  
Proszę gości do stołów, czeka OT, „WYKÓWKA”.  
Niechże się w życie na tej sali wciela,  
Czysta — *Legenda i prawda* „Wesela”.

Stanisław Barańczak — mistrz sztuki translatorskiej — tłumacząc poezję Josifa Brodskiego wynajduje głębokie, soczyste rymy, które ujawniają także strukturę kalamburów:

Niedobrze  
znosząc to wszystko, co działa NA PIĄTY  
zmysł, plaster skrzętnie przylepiam NA PIĘTY  
przeciw odciskom. Łowi słuch NAPIĘTY  
odległej łopaty pobrzęk.

Hiperborejski wicher dmie zimą ZA SADAMI.  
Omszały kaloryfer, przy którym ZASIADAMY,  
Ma wydatniejsze zębra niż damy z ZASADAMI.

Ze znanych sloganów reklamowych jedynie piwo Okocim łączone jest z kalamburem-kameleonem:

Mariola ma oczy piwne,  
Mariola O KOCIM spojrzaniu.

Inne reklamy bawią się dwuznaczną pisownią polskich i obcych słów: piwo Żywiec jest sławione jako „Bez-al-koho-LO-VE”, dzinsy firmy Lee w radiu — „Znasz li te dzinsy?”, a w prasie — „Znasz Lee, te dzinsy?” (Loewe 1997, 105).

4

*Siekierzada*  
(E. Stachura)  
*Scherzarade*  
(J. Joyce)

Danuta Buttler do krainy kalamburowej chętnie przyjęłaby także tzw. „zartobliwe dekompozycje wyrazu”, w których brzmienie części neologizmu „ulega nieznacznej modyfikacji pod wpływem drugiego (Meissnersztyki — o książkach Meissnera)”.

*Siekierzada*, czyli *Zima leśnych ludzi* Edwarda Stachury aluduje nie tylko do znanej powieści Marii Rodziewiczówny, ale i do opowieści Szeherazady (zresztą można — na upartego — i tutaj odtworzyć karambol słów „siekiera” i „Szeherazada”). „Scherzarade” z *Finnegans Wake* — to m.in. żart, szarada, opowiadanie Szeherazady. U Joyce’a nad assonacją przeważa oczywiście struktura „kalamburu walizkowego”. Wybitnym przykładem assonacji może być natomiast jeden z bohaterów *Grubych ryb* Michała Bałuckiego, który zwie się Pagatowicz, co jest aluzją do prawdziwego nazwiska-wyzwiska „Szpagatowicz”, bo w słowniku języka polskiego nie ma hasła na „pagat-” (najbliżej jest „pagaj”). — Takie kalamburowe aluzje czy assonacje są tematem wiersza Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej pt. *Reforma słów*:

Ja, kochająca polską mowę,  
widzę w niej z bólem braków dużo...  
i choć niejedni się oburzają,  
wprowadzę w nią  
reformy nowe. [...]

Więc RZECZOWNIKIEM zwę tragarza,  
a SZATANAMI  
zwykłych krawców.  
Wyrazem BACHOR zaś wyrażam  
Bacha najlepszych wykonawców. [...]

Tę, która płacze, nazwę BECZKA —  
a SKORKIEM znów: motocyklistę —  
snoba — CHRABAŚSZCZEM zwijmy raczej,  
a MATNIĄ —  
poród, oczywiście.

5

*Oj-czyste kpiny*  
(M. Załucki)

Satyrycy rozszerzają terytoria krainy kalamburów. Marian Załucki w puentach swoich monologów często wyzyskiwał zaskakujące żarty słowne. Jednym z pamiętnych kalamburów jest ten, który można byłoby nazwać kalamburem-reduplikacją czy kalamburem-dżdżownicą (*Mój interes matrymonialny*):

Dziś cóż mi zostało po Biurze?

Ruina.  
Nieprzyjemności.  
Ślubna hrabina.  
I zepsuta płyta, która zwykła mawiać:  
„Przed ślubem trzeba się długo  
zastaNAWIAĆ...  
...NAWIAĆ...  
...NAWIAĆ...”

Kalambur aluzyjny można także poddać restrukturyzacji poprzez nałożenie kilku warstw semantycznych w określonym kontekście. Oto w *Juvenaliach staruszków* (przezwanymi dowcipnie — „piernikaliami”) przywoływane są słowa Mickiewicza („stracił” — przechodzi w „spryczał”, a neologizm oparty jest na zderzeniu wyrazu „pryk” i „prycza”):

Jak młodość cenić — ten tylko się dowie.  
Kto SPRYCZAŁ!

Aluzja do nazwiska Nabokowa kojarzy ze sobą i sferę erotyczną, i finansową (zarabiać na boku), a słowo „pokwitowanie” także ukrywa w sobie „pokwitanie”:

Nikt nie zatai —  
wierzę w to głęboko:  
każdy sam się przyzna,  
jaki z niego NABOKOW.  
Zapłaci.  
Dumą będzie dla starego drania  
to, że jeszcze w wieku  
jest — POKWITOWANIA.

Satyryk rozwijający swą działalność w okresie szalejącej cenzury musiał czasami zamieniać realia („kodeks rodzinno-drogowy”) i nie dopowiadać wszystkiego do końca („mowa prawa” a zjawisko „mowy-trawy” — wiersz *Kodeks to kodeks*):

Odkąd zawarliśmy małżeństwo,  
to żona — imię: Kicia —  
wymusza wciąż pierwszeństwo  
na wspólnej drodze życia!  
Może ostudzi ją raz obawa?...  
Kodeks to kodeks!

MOWA PRAWA.

Podobną assonację można spotkać w monologu *Tylko dla dorosłych* poświęconym rewolucji seksualnej:

Ruszy tłum...  
Na apteki albo na ich filie.  
Różowe pastylki na ulice wytoczy,  
krzycząc:  
— Hura! Zwycięstwo!  
— Zdobycie PASTYLII!  
— Już PŁÓD nam nie zagładnie w oczy!

6

*Uśmiechnij się, jutro będzie LEPPER!*  
(Kabaret Olgi Lipińskiej)

Można by zadać pytanie: Czy w wielkiej (wysokiej) literaturze współczesnej kalambur odgrywa ważną rolę? Czy pełni funkcje organizacji tekstu artystycznego (ideowe, strukturalne)?

Nie mamy w Polsce wybitnych dzieł literackich zdominowanych przez gry słów, a w tym i kalambur. Ale już w *Ferdynandzie* jest sporo kalamburowych assonacji i neologizmów związanych z tą grą słów (np. „infanty!” czyli „infantylny” + „ty!”). W wierszu Kazimierza Wierzyńskiego (*Do towarzysza Wiesława*) puenta jest nieoczekiwanym kalamburem:

Rzeczpospolita pańska,  
Dziwka stargana,  
Przeklina to wszystko i pana,  
Towarzyszu WNIEŚLAWIE.

## Pluskwa milenijna

Pluskwa - stworzenie ohydne, wręcz odrażająca paskuda... Jeśli tak stanowczy sąd wypowiada budzący powszechną grozę skorpion, nie przeczę, iż jakiś zadufany niedouk może zadać prowokujące pytanie: no, a skorpion?... choć sam fakt zestawienia obrzydliwego insekta, jakim jest każda pluskwa, z męznym i schludnym skorpionem jest świadectwem kompletnej ignorancji. Skorpion to istota waleczna, nieustraszony łowczy nastawiony na zabójczy atak i pożarcie ofiary. Nawet tak groźne pająki, jak demoniczna tarantula, włochate ptaszyniki, czy jadowity karakurt na sam widok skorpionia zmykają w panice. Bo i nie ma w przyrodzie stworzenia uzbrojonego do tego stopnia, od potężnych kleszczy - po złożony z ruchomych ogniw ogon zakończony ostrym, jadowitym kolcem. Tak wyposażone przez naturę skorpiony żyły już w sylurze i jako najdoskonalszy wykwit fauny dotrwały do czasów, gdy pojawił się zadufany homo sapiens. Zresztą człowiek na sam widok skorpionia doznaje konwulsyjnych drgawek a jeśli zdarzy mu się napotkać skorpionia afrykańskiego z gatunku *Androctonus*, czy meksykańskiego z rodziny *Centruarus*, to wręcz nie panuje nad odbytnicą, że obrzydzenie bierze.

A czym może zaimponować wstrętna pluskwa? Chyba tylko odpornością na mróz i głód (i ponad rok wytrzyma!) Ale jak się potem dorwie do żywiciela, jak wpije niechlujny pyszczek w ciało ofiary, to ssie aż napuchnie krwią. Żeby tylko to, choć odraza wymiotna bierze na samo przypomnienie wstrętnego odoru, który wysącza, gdy już napompuje się juchą. A przecież ten obrzydliwy pasożyt jest także roznosicielem zakaźnych bakterii. Taka pluskwa domowa (*cimex lectularius*) to odwieczny problem epidemiologiczny. Składa przy tym podstępnie swe mikroskopijne jaja gdzie bądź, by mnożyć się, mnożyć i mnożyć.

Teraz jeszcze przejdzie do historii jako symbol zagrożenia cywilizacji na przełomie wieku. Nie smok, czy wyniesiony pomiędzy znaki zodiaku skorpion, lecz pospolita pluskwa stała się kryptonimem przełomu tysiącleci jako Problem Roku 2000. Lecz w jakich okolicznościach - czy chwalebnych?... Pluskwa milenijna - toż to paranoja na wszechświatową skalę!

Oglupiona medialną psychozą coraz bardziej skomputeryzowaną ludzkość (nie licząc ludożernych Papuasów, czy abnegatów w rodzaju clochardów), w krótkim czasie doprowadzono do skrajnej hysterii. Wyszło oto na jaw, że wschładne komputery nie są zaprogramowane z uwzględnieniem „2”; cyfry, która otwiera rok 2000. Złowieszcze ekspertyzy (co za wredna pluskwa!) nie wykłuzły nawet samoczynnego uruchomienia arsenału nuklearnego. Właśnie dlatego przesądny Borys Jelcyń nie wytrzymał i podał się w Sylwestra do dymisji, żeby tylko pozbyć się czarnej walizeczki z atomowym przyciskiem. I tak cwany agent KGB nowej, komputerowej generacji, Władimir Putin, zagarnął całą władzę nad imperium od Bałtyku po Pacyfik.

Apokaliptyczna psychoza firmowana milenijną pluskwą z końcem minionego roku doszła do obłędu. Co za wizja z nastaniem północy, w razie awarii i blokady

komputerów, w jednej sekundzie następuje całkowity paraliż życia. Przeszają funkcjonować systemy satelitarne i energetyczne, telekomunikacyjne i bankowe. Milkną radiodiodniarki i gasną telewizory. Nie działają wodociągi i pompy odwadniające, urządzenia wentylacyjne i sygnalizacyjne. Zatrzymują się pociągi i windy. Samoloty nie mogą wylądować na wygaszonych lotniskach a statki wpłynąć do portów. Nikt nie odpowiada na wezwanie pomocy. Kompletny bezruch bo nie funkcjonuje nic. Lecz jak to, cholerna pluskwo, wprawić potem ponownie w ruch?

Okazało się jednak pluskwo przeklęta, że nie się tak nie oplaca jak sterowanie strachem globalnym. Wielki biznes wykorzystal okazję przełomu tysiącleci i nie tylko podporządkował sobie największe organizacje gospodarcze i instytucje o międzynarodowym zasięgu, ale wdął się wszędzie gdzie człowiek uzależnił się od komputerów i automatyzacji. Jeszcze nigdy ekipy informatyków i konserwatorów nie były tak zajęte. Nigdy też nie sprzedano więcej agregatów prądowórczych, kuchenek turystycznych i przeterminowanej żywności. Mobilizacja osiągnęła szczyty hysterii a sztaby kryzysowe przed godziną „00” (nie mylić z oznakowaniem drzwi), działały w stanie obłędu. Wszędzie podwojone obsady służb awaryjnych i wzmocnione siły antyterrorystyczne. Wredna pluskwa milenijna aż tak wessala się w mózgi, bo choć przetestowano wszystkie komputery i „wyzerowano” liczniki, nikt nie dawał pełnej gwarancji, że...

Pluskwa 10, pluskwa 9, pluskwa 8, pluskwa 7... Jak przed globalną eksplozją, aż do podwójnego zera i pierwszych sekund 2000 roku (choć wielu dowódców operacji awaryjnych i sztabów kryzysowych pod ciśnieniem totalnego zagrożenia z trudem dobiegło do miejsc doraźnej ulgi). I co - a no nic, bo jeśli nawet gdzieś tam kogoś ukąsiła pluskwa, to nie milenijna, lecz pospolita, domowa, wieczna *cimex lectularius*.

Pluskwa, bydlątko ohydne a podstępne, bo trudne w porę do wykrycia, okazała się jako znak globalnego zagrożenia wyjątkowym interesem. Pierwsze obliczenia wykazały, że Operacja Pluskwa 2000 kosztowała świat skomputeryzowany 600 miliardów dolarów, nie licząc kosztów panicznych reakcji drobnych ciułaczy oraz domowych niewolników internetu. A także nieodwracalnych zmian w umyśle jako skutek następstw psychologicznej inwazji urojen ze znakiem pluskwy milenijnej. Lecz czy teraz rozpleniona w niezliczonych mózgach nie będzie się owa pluskwa, pod nowym kryptonimem, pojawiała w kolejnym wcieleniu? Tu i tam już lepetyny pracują, szczególnie sztaby skośnokich chytrusów, którzy wpadli na milenijną supergeszft. To była na pewno operacja marketingowa przełomu tysiąclecia!

W tej sytuacji konieczna jest zapobiegawcza interwencja istot tak czujnych a bezkompromisowych jak skorpiony. Tylko skorpion milenijny jako akcja permanentna może okazać się trwałym zabezpieczeniem przed milenijną pluskwą, odrażającą, podstępną paskudą, działającą w perfidnej zmoiwie - wiadomo z kim!



Na Wiejskiej...

WIKTOR BUGLA

Na Wiejskiej ważne posiedzenie, pan Sprawozdawca już się trudzi, a pan Marszałek z podwyższenia czuwa nad snem kilkorga ludzi.

Więc niby wszystko jest w porządku, normalnie i zwyczajnie tak, są sekretarze, aktyw Rządu i tylko panów posłów brak.

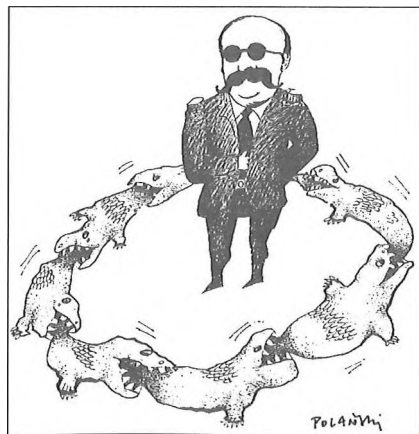
Mój też gdzieś wyparował z sali, choć tak jak tamci jest na diecie i tak jak wszyscy, mniej wytrwali, swój azyl znalazł przy bufecie.

A w Sejmie trwa debata długa, zaczyna poseł swe peany, za chwilę zacznie gadać drugi, ten będzie ganił dla odmiany.

Za cztery lata na tej sali zasiądą pewnie znów ci sami, znów będą kwestie wygłaszały, z tym, że zamienią się rolami.

Tak karuzela ku uciesze trwać będzie wiosny, lata, zimy, dopóki ktoś znów nie namiesza, a elektorat nie wytrzyma.

sierpień '98



SKORPION



JULIUSZ  
WĄTROBA

CZESŁAW CZAİKA

DOWCIPNIE?

FRASZKI

Dowcipny wierszyk  
dowcipnie piszę  
w dowcipne myśli  
zapręgam pióro  
choć się dostaję  
ciągle zadyszek  
bo życie dołem  
choć niebo górą

Dowcipny sejmik  
dowcipny rządzik  
- chociaż panowie  
tacy poważni -  
jakby ich drażył  
młodzieńczy trądzik  
gdy po raz setny  
będą się błażnić

W nocy i we dnie  
te same brednie  
wiosną czy latem  
głupie debaty  
z których powstają  
dowcipy przednie  
- tylko w dowcipy  
nasz kraj bogaty

#### Kobieta Polska

Polka się składa - mierząc od góry:  
z głowy, szyi, ramion i... cenzury.

#### Prawna separacja

Przede wszystkim o to chodzi  
i niemało jest w tym racji,  
by nieszczęśliwie się nie rozwodzić,  
mogąc szczęśliwie żyć w separacji.

#### Wiosenne dziewczyny

Nie mam pretensji, choć z waszej winy  
skacze mi poziom adrenaliny.

#### Ostry kogut

To nie żaden fenomen natury...  
po prostu wokół zbyt łatwe kury.

#### Zdobyc

Zalotów apogeum:  
dziewczyna - trofeum.

#### Cenna Europejka

Nie spuści nawet powieki,  
gdy nie zapłacisz w ecu.

#### Juror

Najlepiej oceni poranek,  
jaki był z ciebie kochanek.

## LIMERYKI

ANDRZEJ KUŚNIERCZYK

1. Pewna kuma z Czeladzi,  
Wpadła do piwnej kadzi;  
Choć złapały ją dreszcze,  
Krzyczała: „Jeszcze, jeszcze...  
○ Nie wyciągajcie z kadzi”.

2. Pewien krawiec spod Lidy,  
Miewał wizje i zwidy.  
Nie widział, co inni widzieli,  
Aż wreszcie pewnej niedzieli  
○ Został bez żony Lidy.

3. Pewna modelka z Łaska  
Biegała na golaska,  
By pozyskać uznanie  
Kąpała się w szampanie  
○ Mówiąc: „płaćcie co łaska”.

4. Dwaj panowie z Werony  
Ciągłe pletli androny,  
Używając do tego łyka.  
I nim się spotrzęgła publika,  
○ Utkali dziewczicom welony.

5. Poetka z różą i głógiem  
Zmagała się wciąż z nałógiem.  
Uciekała przed nim od rana  
I tak za mężczyźnę przebrana  
○ Padała w barze za rogiem.



PODKOPKI



— Pańska ostatnia wystawa, „Splendor solis”, jest w swej wymowie nadzwyczaj radosna. „Blask słońca” — ten tytuł mówi sam za siebie. Ale przecież czasy mamy trudne — kończy się stulecie i millennium, towarzyszy nam niepewność jutra, które to okoliczności nie nastroją zbyt optymistycznie. Twórczość, prezentowana w katowickim BWA, jest refleksją nastrojącą przeciwnie.

— Czy to jest radosna refleksja? Pewnie nie jest to sama tylko radość, w mojej twórczości znalazły także miejsce inne uczucia. Chcę przez tę wystawę powiedzieć, że warto żyć, że należy z radością przyjmować i spoglądać na to, co do nas przychodzi. Wydaje mi się, że to najlepsze, co można dzisiaj zrobić. Mam świadomość, że we współczesnym świecie za wiele jest zmartwień, pesymizmu i złych uczuć. Wszystko to bardzo nas przytłacza. I jest podcinaniem gałęzi, na której siedzimy. Pesymizm nie przynosi (i nigdy nie przynosił) nic dobrego nam, jako rodzajowi ludzkiemu.

— W pana malarstwie wiele jest odniesień do różnych kultur i wieków, także i tych, których dziś nie ma. Te nawiązania są widoczne w obrazach i instalacjach. Od jak dawna sięgał pan do tych, nieraz bardzo egzotycznych, inspiracji?

— Prace, które tworzyłem na początku, miały zabarwienie awangardowe. Byłem nieco zapatrzony w to, co działo się na Zachodzie na przełomie lat 50. i 60. Stąd w malarstwie pierwszego okresu tyle materii spalanej, przetworzonej, farb mieszanych z piaskiem, worków, i efektów chropowatości. Było to bardzo widoczne na mojej pierwszej wystawie indywidualnej w galerii Krzywego Koła w Warszawie, w roku 1963.

Ale z biegiem czasu uznałem, że w tej twórczości brak mi innej warstwy znaczeniowej, symboliki. Stąd wzięły się moje późniejsze poszukiwania związane z kulturą w szerokim rozumieniu tego słowa i filozofią. Na początku sięgnąłem do kultur zamierzchłych, umownych kolebek naszej cywilizacji — Babilonii, Egiptu czy kultur antycznych. Dopiero w trakcie rozwijania swoich poszukiwań sięgnąłem także do kultur dalekowschodnich i tamtejszych religii.

— Jednak te studia na pewno poszerzyły pańską wiedzę i wpłynęły — co jest widoczne — na twórczość.

— Nie należy tego traktować jako „poszerzenie”. Tu istotne jest, na ile sprawy z przeszłości są ważne i żywe dzisiaj. Można to sprowadzić do tego, że nie chodzi mi w przekazie artystycznym o odślanianie walorów czysto dekoracyjnych w wykorzystywanych przeze mnie motywach, ale o ich świadome przywoływanie. Jeśli

# Opis emocji

Rozmowa  
z ANDRZEJEM  
URBANOWICZEM

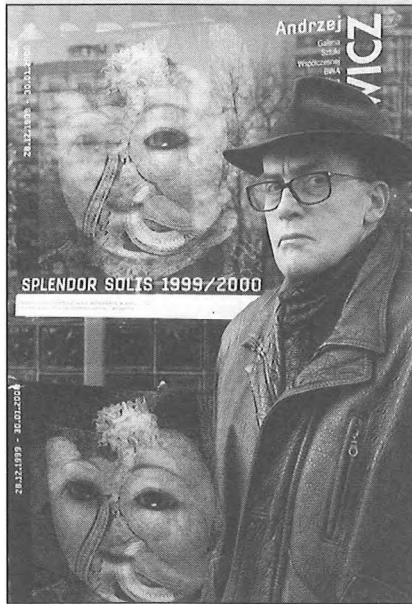


Foto: Zbigniew Sawicz

w moim obrazie przytoczony jest zapis sanskryckiej mantry „Om Mani Padme Hum”, ma to swoje uzasadnienie. U podstaw tych poszukiwań jest przekonanie, że obecna rzeczywistość w pewnych wizerkach symbolicznych jest niewystarczająca.

— Czy twórczość w pańskim przypadku jest pretekstem, aby tą pozyskaną wiedzą się dzielić?

— Nie dzielę się wiedzą, w określony sposób dzielę się swoimi uczuciami. Ci, którzy mówią, że przekazują wiedzę przez sztukę, są w błędzie. Sztuka nie ma takich zdolności. Jedynym jej zadaniem jest poznanie duszy ludzkiej, danie opisu stanu emocji i uczuć. Zresztą — dzisiejsza twórczość wizualna rozbita jest na tysiące „sekcji” i ma inne zadania, niż 500 lat temu. W tej sytuacji najważniejszą powinnością artysty jest słuchanie siebie samego.

— To wsłuchiwanie się w siebie przyniosło nam „Blask słońca”.

— Jest to tylko jedna z propozycji artystycznych. Przez prezentowaną formę — kształt kręgów solarnych i lunarnych daję widzowi błysk emocji, wgłębiam się w możliwości ludzkiej psychiki, próbuję je ukazać. Patrzący nie może przejść wobec tego zjawiska obojętnie, coś musi go zaintrygować, zatrzymać, nastroić do odbioru tych wibracji, które są obecne w każdej z przedstawionych prac.

— Przez wiele lat przebywał pan w Stanach Zjednoczonych. Jak dalece ten pobyt wpłynął na pańską twórczość?

— Wyjechałem z powodów czysto osobistych. W roku 1978, moja siostra powiadomiła mnie o ciężkiej chorobie ojca. Jako przedwojenny oficer WP, nie mógł wrócić do PRL. Postanowiłem wyjechać, żeby się z nim zobaczyć. I to był pierwszy, podstawowy powód mojego wyjazdu. Cztery miesiące później mój ojciec zmarł, a tydzień po jego śmierci, w Nowym Jorku urodziły mi się bliźniaki. I to była przyczyna, która mnie tam zatrzymała. Szczęśliwie, otrzymałem w tym czasie stypendium Fundacji Kościuszkowskiej, które umożliwiło mi zajęcie się twórczością.

— Uchodzi pan za znawcę i wielkiego miłośnika „artystycznej Meki”, jak nazywany jest Nowy Jork.

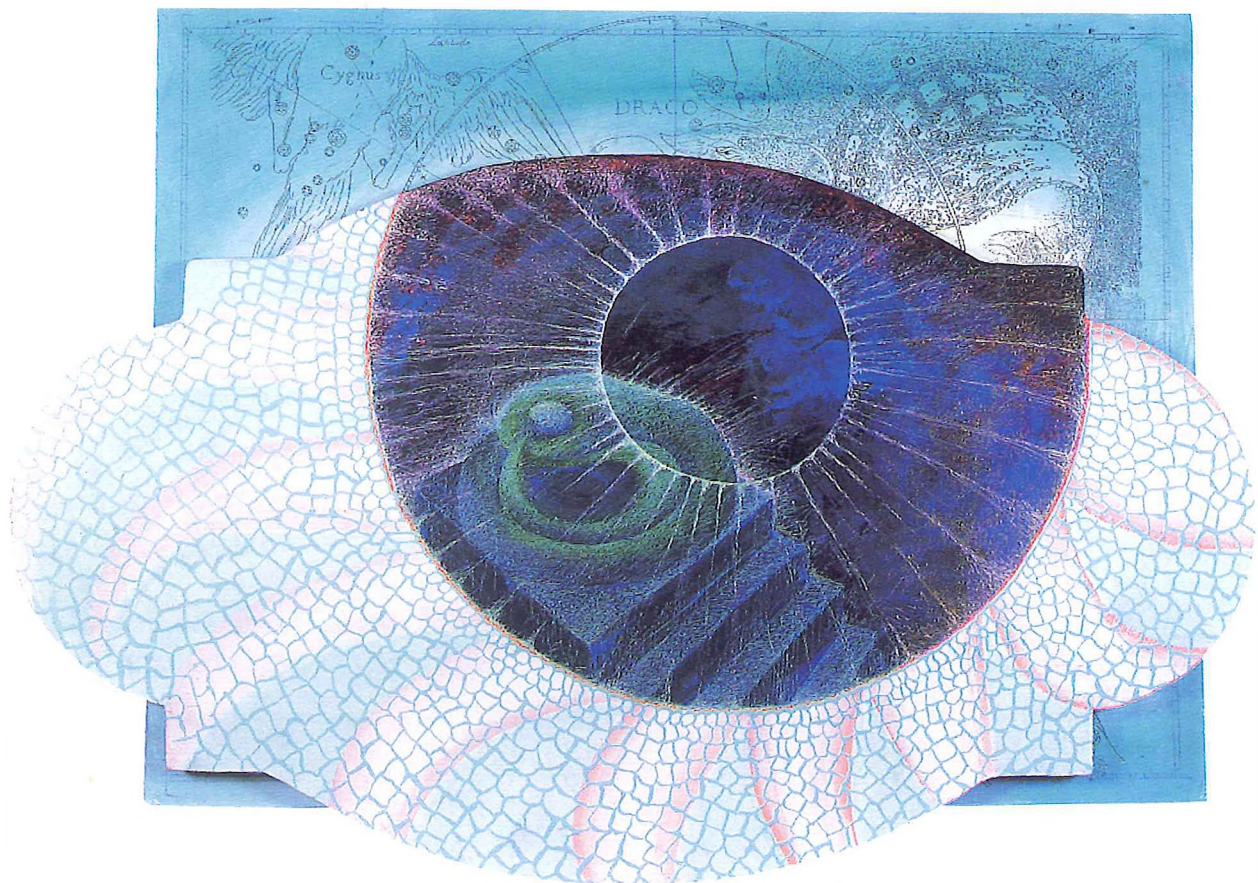
— Rzeczywiście, to jest niezwykle i intrygujące miasto. Bardzo rozległe i wielokulturowe. Przechodząc z jednej dzielnicy do drugiej trafia się do zupełnie innego świata. Jest to bardzo widoczne i bardzo fascynujące. Także architektura nowojorska i układ miasta. Mieszkaliśmy w artystycznej dzielnicy, Greenwich Village, tuż nad brzegiem rzeki Hudson. To było miłe, bezpieczne miejsce, gdzie mieszkało mnóstwo takich jak ja, artystów. Ale ja poznawałem przede wszystkim zwykłych nowojorczyków, którzy żyją i pracują w swoim mieście, tak jak my w Katowicach. Allana Ginsberga poznałem np. dopiero po jego przyjeździe do Polski, kiedy byłem gospodarzem spotkania, na które przybył.

— W pańskiej biografii, prócz Warszawy, Katowic i Nowego Jorku jest jeszcze jedno miasto. Urodził się pan w Wilnie. Co zostało w panu z tego miasta?

— Jest Wilno dla mnie miastem ważnym, ale na zawsze utraconym. Od roku 1945 nie byłem tam. Chciałbym odwiedzić miasto mojego dzieciństwa, wyjeżdżając stamtąd miałem przecież zaledwie kilka lat. W mojej pamięci pozostała wizja Wilna, którą mam nadzieję odnaleźć w czasie planowanej w niedalekiej przyszłości podróży. Chociaż nie ukrywam, że się nieco obawiam tej konfrontacji rzeczywistości ze wspomnieniami dziecka. Zabraną stamtąd przeze mnie obraz miasta bliski jest wedom Ludomira Ślędzińskiego. Jest też inny ślad — moja matka była absolwentką Wydziału Sztuk Pięknych wileńskiego Uniwersytetu im. Stefana Batorego. Ale nie wyobrażam sobie powrotu do tego miasta — za daleko odszedłem, a poza tym — jest tam zimno, a ja wolę cieplejszy i łagodniejszy klimat.

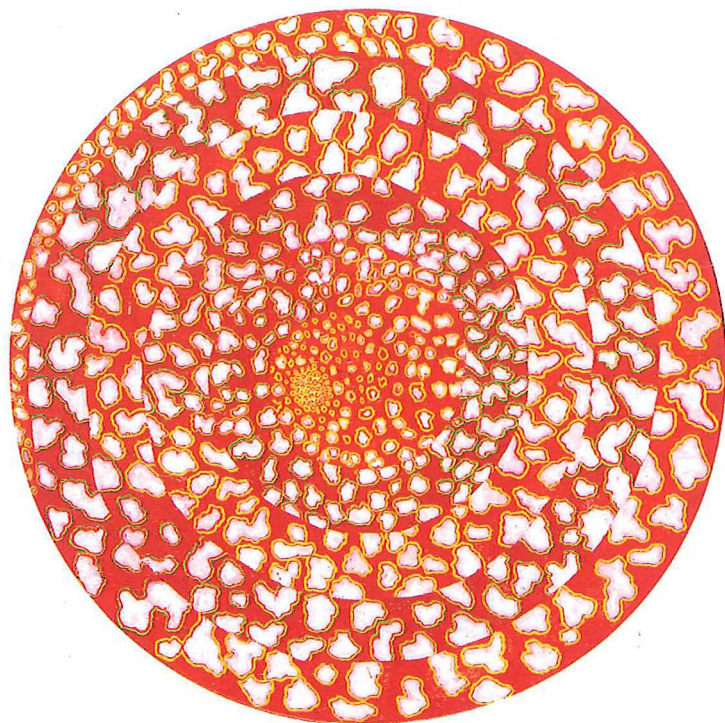
Rozmawiała:  
KAROLINA DRWAŁ





Oko w odblaskach kroczących - technika mieszana 96 x 136 cm, 1999 rok

Andrzej **URBANOWICZ**  
**SPLENDOR SOLIS 1999/2000**



SERPEMANITA - polichromia na drewnie ø 100 cm, 1996 rok



Konstelacja smoka monoprint - 30 x 40 cm, 1997 rok



AAAAHH - olej na płycie 80 x 140 cm, 1969 rok





Św. Grzegorz Oświeciciel, mal. nieznan, Lwów XVII w. (Lwowska Galeria Obrazów)



Foto: Atelier Krzanowski 1878, terakota 40 x 25 cm

## Sztuka Ormian w Polsce



Pas kontuszowy lity XVIII w. z manufaktury w Lipkowie



Teodor Axentowicz, Portret Izaaka Mikołaja Sakowicza, arcybiskupa ormiańskiego



Tadeusz Barącz, Portret brata księdza (Lwowska Galeria Obrazów)

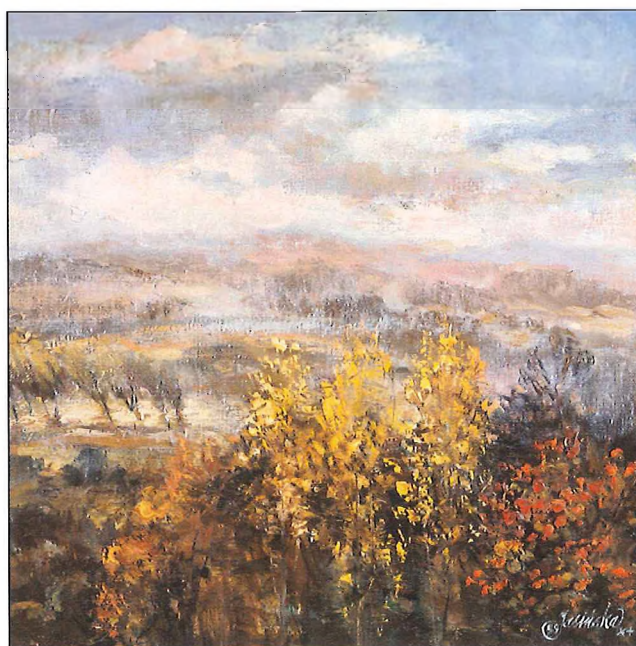


Ormianka pozuje Ormianinowi, mal., Seweryn Obst - Wiedeń 1876

## Krystyna Jasińska



Chaty w Beskidach, 50 x 50 cm



Wzgórza Lanckorońskie, 40 x 40 cm



Do końca stycznia 2000 roku potrwa w Gmachu Głównym Muzeum Narodowego w Krakowie oryginalna wystawa „Ormianie polscy. Odębność i asymilacja”. Autorki, Beata Biedrońska-Słota i Maria Kokoszyńska, dzięki bezcennym eksponatom z muzeów polskich i zagranicznych oraz ze zbiorów prywatnych, przybliżając zarys dziejów Armenii — od góry Ararat, poprzez świętego Grzegorza Oświeciciela, tetraewangeliarze, stauroteki, aż po portrety arcybiskupów ormiańskich z katedry we Lwowie i wyroby rzemiosła artystycznego — rozświetliły jeden z akcentów Polski jako kraju asymilacji i pokazały barwny obraz Ormian na tle...

Staropolska kuchnia słynęła z aromatycznych przypraw. Na stołach magnackich i szlacheckich już w XVI w. poza bakaliami obowiązkowo pojawiały się goździki, szafran o wykwintnym posmaku, imbir, ostry, wspomagający trawienie. Te przyprawy, w Polsce to zaśluga Ormian.

Zyjący od wieków w diasporze, z dala od ojczystej Armenii, przedstawiciele najstarszego na świecie państwa chrześcijańskiego, Ormianie — już zdziesiątkowani, w obawie przed kolejnymi prześladowaniami tureckimi — osiedlili się na Krymie i południowej Rusi. Zamieszkiwali także tereny dawnej Polski: Lwów, Łuck, Włodzimierz, Kamieniec Podolski — miasta na szlakach handlowych na Wschód.

Tu, zanim uzyskali przywileje, dali się poznać jako niezrównani kupcy. Pośredniczyli w handlu ze Wschodem. Stąd korzenie; stąd również tkaniny i kobierce. Ormianie, poligłoci, przywozili je z Persji i Turcji. Tam były tkane...

# Ormianie polscy

właśnie przede wszystkim przez Ormian.

Na ziemiach Rzeczypospolitej sami ubierali się niebawem tak bogato i strojnie, że dochodziło nawet do spraw sądowych z niektórymi polskimi szlachcicami na tle zazdrości. Spory łagodzone. Ormianie płacili bardzo wysokie podatki, wzbogacając skarb państwa. Władcom zależało, żeby tutaj osiedli.

W ślad za przywilejami królewskimi przybywali Ormianie nad Wisłę, Pełtew, San, Stryj, Prut, Czeremosz. Wiek XVI w kulturze polskiej to początek „orientalizacji smaku”. Za pośrednictwem Ormian szlachcice i mieszczanie czerpali z Turcji i Persji wzory, a wręcz i elementy stroju, uzbrojenia... Lwowscy rzemieślnicy, Ormianie, wyspecjalizowali się w wytwarzaniu broni i oporządzenia jeździeckiego. Zdobniczo nawiązywało formą do sztuki islamu, coraz częściej jednak istotne szczegóły przypominały coś znajomego... z własnej zagrody.

Rzemieślnicy Ormianie zrobili buławę hetmana Michała Wiśniowieckiego. Dziełem tkaczy ormiańskich były tkaniny na suknie polskich szlachcianek. Króla Zygmunta III Wazę malował artysta Ormianin, Jan Boguszewicz; władcy o chłodnej urodzie przydał cokolwiek rysów orientalnych... Na zamówienie

Zygmunta III Wazy wykonano w Persji kobierce z herbem polskiego króla. Przywiózł je kupiec ormiański Sefer Muratowicz.

A pasy? Słynne na przykład słuckie? Manufaktury w Słucku prowadzili Ormianie — najpierw Leon, potem Jan, Madzarscy. Z aprobatą i pomocą Radziwiłłów. Manufaktury w Lipkowie — gdzie pasy były sygnowane wizerunkiem Baranka Paschalnego — prowadził Paschalis Jakubowicz, Ormianin.

Wprawdzie już w końcu lat 20. XX w. Encyklopedia Gutenberga informowała, że w granicach Polski „mieszka zaledwie kilka tysięcy Ormian” i że większość z nich ma domieszki krwi nieormiańskiej, lecz przecież jeszcze wtedy działał w Krakowie znakomity malarz, portrecista pięknych kobiet, Teodor Axentowicz, ze znakomitego ormiańskiego rodu. Spośród słynnych zaś braci Barączów kolekcjoner i dyrektor żup wielickich, Erazm Barącz, wielokrotnie portretowany przez artystów młodopolskich (miał piękną „malarzką” głowę, świetnie osadzoną na karku) przygotowywał zbiory, by je darować Muzeum Narodowemu w Krakowie.

W pamięci był Grzegorz Piramowicz, jezuita, sekretarz Komisji Edukacji Narodowej. Patriotów i uczonych wydawał ród Bołoz-Antoniewiczów. A nowe pokolenia, mniej lub bardziej ormiańskie, do dziś wzrastają wśród oryginalnych kredensów oraz parawanów haftowanych niemi złoconymi, perełkami, paciorkami szklanymi i przedzą jedwabną przez zręczne praprababki o ognistym spojrzeniu mądrych oczu.

MAREK SOŁTYSIK

To August Renoir, sam zresztą o tym nie wiedząc, przekonał mnie, że obraz powinien być ładny. Bowiern w chwili szczerości i dobrego humoru wypowiedział i sformułował najprostszą, najtrafniejszą i najbardziej przekonującą teorię sztuki. Jednak ów „ładny obraz” w ujęciu i rozumieniu Renoira nie miał nic wspólnego z banalną i nieciekawą „śliznością jak malowanie”. Bo „ładny” powinno oznaczać — subtelny, łagodny, miły. Barwny i radosny. Cieszący oczy i kojący zmysły. Rozweselający myśli i serce. Odwołujący się do tego, co w ludziach — co w człowieku — dobre, szlachetne i pogodne. I jeszcze w dodatku mądre. Tylko tyle. I aż tyle. Owa renoirowska teoria sztuki przychodzi na myśl, gdy oglądamy wystawę malarstwa Krystyny Jasińskiej w katowickiej Galerii „ArtNova 2”.

Krystyna Jasińska jest absolwentką katowickiego Wydziału Grafiki krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych — studia ukończyła w 1965 roku. Jest uczennicą dwóch znakomych profesorów — Rafała Pomorskiego (malarstwo) i Aleksandra Raka (grafika). Jest malarką znaną i uznaną — nota biograficzna w katalogu wy-

## Dojrzałe letnie popołudnie

mienia ponad dwadzieścia wystaw indywidualnych, udział w około trzydziestu wystawach zbiorowych oraz kilkudziesięciu plenerach malarskich i wystawach poplenerowych.

Nie bez powodu wspominamy tu plenery, bo przecież Jasińska maluje pejzaże. A raczej — przyrodę i architekturę. Maluje dwory, dworki i pałacyki. Także zwykle chałupinki — a obok nich zachwycającą i zadziwiającą urokiem i lekkością budowle ogrodowe i parkowe. Maluje dachy, strzechy i kalenice. Strychy, ganki, alkierze i bokówki (kto dziś jeszcze wie, co to takiego?). Facjatkę i mansardy. Okna, lufciki i dymniki. Wrota, furty, furtki, ogrodzenia i bramy. Wieże bramne i widokowe, a na nich dumne hełmy — baniaste, cebulaste, gruszkowe. Tutaj nawet „gotyk przemysłowy” śląskiego kościoła wygląda szlachetnie,

a kopia chorzowskiego Planetarium kojarzyć się może z klasycyzmem Klaudiusza Mikołaja Ledoux.

Jasińska maluje drzewa, drzewka i krzewy. Parki i zarośla. Murawę, trawę, trawki i szuwały. Nenufary. Jeziora, jeziorzeczka, sadzawki, ale i zwykłe mokradła. Górskie strumyki i rozlewiska wśród łąk. Liście złote, żółte i brązowe. Cynobrowe. Zielonkawe. Czerwieniące i purpurowiejące. Malwy, róże i rezedę. Czy ja wiem zresztą, co jeszcze? Chyba cały świat we wszystkich kolorach tęczy.

Jest to malarstwo radosne, spokojne i barwne. Ciepłe i życzliwe. Poważne, dyskretne i zalotne. Uśmiechnięte. Pełne intrygujących drgnień, półtonów, niuansów i subtelnych kolorystycznych napomknięć. Świadome swych walorów i uroków. Pewne siebie, roztaczające czar i zniewalające wdziękiem. Jak słoneczne niedzielne sierpniowe popołudnie. Albo jak kobieta, której do twarzy w każdym kolorze i każdym stroju, a pierwsza zmarszczka dodaje jej tylko uroku.

K.M.

Krystyna Jasińska: Malarstwo. Galeria „ArtNova 2 ZPAP” w Katowicach. Grudzień 1999 - styczeń 2000.



W numerze styczniowym „Śląska” przedstawiliśmy na 24 stronach możliwie pełne kalendarium najważniejszych wydarzeń na Śląsku i ziemi śląskiej w XX wieku. Mijające stulecie domaga się podsumowań, ale także rodzi potrzebę nowego spojrzenia na zagadnienia, nad którymi częstokroć przechodzimy do porządku dziennego. Jedną z takich spraw jest *edukacja regionalna*, obszar wiedzy wciąż nie doceniany, jakkolwiek od wielu lat będący przedmiotem troski wszystkich, którym bliskie są wartości kultury duchowej narodu. Od zrozumienia spraw „małej ojczyzny” zależy przecież stosunek do „ojczyzny większej”, jaką jest Polska. Dlatego z najwyższą uwagą należy podejść do programu edukacyjnego, który nakłada na szkołę obowiązek przybliżenia młodzieży problematyki regionalnej w szerokim aspekcie społecznym, kulturowym i aksjologicznym.

Miesięcznik „Śląsk” od samego początku swojego istnienia tej problematyce poświęca wiele uwagi. W każdym numerze Czytelnik pisma może znaleźć wiele materiałów, które opisują kwestie regionalne w szerokim kontekście kulturowo-społecznym. Wychodząc jednak naprzeciw programowi Ministerstwa Edukacji Narodowej, od tego roku rozpoczynamy cykl publikacji specjalnie adresowanych do środowiska szkolnego. W dziale *Edukacja kulturalna* przedstawiać będziemy teksty, które — zgodnie z metodycznymi wskazówkami programu — powinny przysiąc z pomocą zarówno nauczycielom, jak i uczniom. Poczynając od tego numeru w obrębie tego bloku tekstów uruchamiamy stałe rubryki: *Leksykon wiedzy o regionie* oraz *Z publikacji* — zwięzłe omówienia książek pomocnych w zrozumieniu specyfiki wielokulturowego województwa śląskiego; od następnego numeru w rubryce *Prezentacje* będziemy informować o imprezach i treściach przydatnych w edukacji regionalnej w programach instytucji kulturalnych regionu. Nad merytoryczną stroną tego działu opiekę sprawują pracownicy naukowcy Uniwersytetu Śląskiego oraz doświadczeni metodycy. Chcemy, aby publikowane w naszym piśmie materiały złożyły się w przyszłości na pomocniczy podręcznik do nauczania tego trudnego przedmiotu, jakim jest niewątpliwie *edukacja regionalna*.

Będziemy pisać o wielokulturowości ziemi śląskiej i o pojęciu małej ojczyzny, o najważniejszych zjawiskach kulturowych regionu i jego najbardziej reprezentatywnych miejscach; poświęcimy uwagę zróżnicowaniu językowemu Śląska, Zagłębia i ziemi częstochowskiej oraz tradycji lokalnej; kultura, sztuka, religia, kwestie społeczne i obyczajowe regionu staną się przedmiotem rozważań wybitnych znawców problemu. Dlatego zachęcamy do systematycznej lektury otwieranych właśnie w „Śląsku” kolumn.

Edukacja regionalna służy wzajemnemu poznaniu, zrozumieniu własnej odrębności, uczny szacunek do „innych” i pogłębia szacunek do „swoich”. Tylko poprzez świadomość własnej odrębności możliwe jest bezkonfliktowe istnienie z kulturą, która — wypływając z rozmaitych źródeł — spotyka się w jednym morzu o nazwie: Polska.

M.K.



## Leksykon wiedzy o regionie

**KSIEGA HENRYKOWSKA** (*Liber fundationis claustris S. Mariae Virginis in Heinrichow*), powstały w Henrykowie nad Olawą w latach 1269-1273 i po 1310 r., napisany przez opata Piotra i anonimowego zakonnika, składający się z dwóch części, utworów prozatorski o charakterze historiograficzno-prawnym, w którym znalazło się najstarsze świeckie zdanie polskie: „Day ut ia pobrusa, a ti poziwai”. Miał je wypowiedzieć ok. 1200 r. osadnik czeski Boguchwał do swojej żony, pracującej przy żarnach. Utwór ten, zaliczany do pereł średniowiecznej prozy łacińskiej na Śląsku, opowiada o życiu codziennym różnych warstw społecznych (książąt, rycerzy, księży, kmieci), a także przynosi wiedzę o ówczesnym prawie na Śląsku. (mk)

**SZKOŁA ŚLĄSKA**, nazwa dwóch odmiennych grup poetyckich w Niemczech w XVII w. Pierwsza z nich, związana z nazwiskiem M. Opitza, historyografa Władysława IV i reformatora wersyfikacji niemieckiej, propagowała wzorce klasycystyczne i utwory o charakterze dydaktyczno-refleksyjnym. Druga, do której należeli m.in. H. von Hoffmannswaldau i C. von Lehenstein, koncentrowała się w koncepcyjnie G. Mariniego. (mk)

**ZESPÓŁ LITERACKI „KUŹNICA”**, katowicka grupa literacka (1937—1938), związana z dwutygodnikiem (wcześniej miesięcznikiem) „Kuźnica”, propagująca „tworzenie jednolitej, wolnej od obcych pierwiastków kultury narodowej w oparciu o 'nowy nacjonalizm polski', zbliżenie do narodów słowiańskich, stworzenie organizacji wszystkich 'narodowo myślących' literatów, pracę nad tworzeniem trwałych wartości kulturalnych w regionach” (Z. Hierowski). Skład grupy nie został ogłoszony, związani z nią byli m.in. P. Musioł (główny jej teoretyk), J. Baranowicz, W. Szewczyk. W 1938 r. grupa wydała dwa zbiory wierszy swojej biblioteki literackiej: *Hanys Szewczyka* oraz *Pieśni o jaworowym krzaku* Baranowicza. (mk)

**ŻYWIOT ŚWIĘTEJ JADWIGI** (*Vita sancte H<e>dvigi*), zachowany w dwóch redakcjach (*Vita maior* oraz *Vita minor*), oparty na relacjach brata Engelberta, cystersa z Lubiąża, jeden z najpopularniejszych średniowiecznych tekstów hagiograficznych, opisujących niezwykle postać i pobożne życie Jadwigi, spolonizowanej księżniczki bawarskiej, żony Henryka Brodatego, kanonizowanej w 1267 r. Jedną z kopii *Żywota*, opatrzona barwnymi ilustracjami Mikołaja Pruzi z Lubienia, stała się podstawą „legandy brazowej o bezcennej wartości poznawczej i artystycznej, popularnym przez stulecia wizerunkiem kultury i bytowania na ówczesnym Śląsku” (J. Woronczak). (mk)

**Alicja Galecka-Paduchowa: Kapliczki, figury i krzyże przydrożne ziemi raciborskiej.** Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska, Katowice 1997.

Książka zawiera zdjęcia blisko stu kapliczek i krzyży przydrożnych z terenu Raciborza i okolicznych gmin. Zdjęcia autorstwa Aleksandra Mrochona i Aliny Owczarek-Kowalczyk prezentują obiekty pełne uroku i bardzo różnorodne w swej formie i treści. Obok kolumn maryjnych i krzyży pokutnych, kapliczek z kompletnymi ołtarzami czy też figurami świętych, najczęściej patrona tonących — św. Jana Nepomucena. Praca uzupełniona jest indeksem kapliczek, krzyży i figur zlokalizowanych na ziemi raciborskiej, zawierającym blisko 350 obiektów. Wydawnictwo uderza wielością takich, doskonale utrzymanych, obiektów w rejonie Raciborza. (tog)

**Eugeniusz Paduch: Droga Górnego Śląska do niepodległej Polski.** Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska, Katowice 1997.

Wydany w 75 rocznicę połączenia części Górnego Śląska z Rzeczpospolitą zbiór kilkudziesięciu zdjęć z czasów Plebiscytu i Powstań Śląskich. Całość opatrzona tekstem prezentującym w zarysie dzieje Śląska poza państwem polskim. Książeczka została wydana w trzech wersjach językowych — polskiej, angielskiej i francuskiej. (tog)

**Henryk Christoph: John Baildon. Zarys biografii.** Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska, Katowice 1996.

Książka prezentuje sylwetkę szkockiego inżyniera i przedsiębiorcy Johna Baidona, osoby o nieocenionych zasługach dla rozwoju Górnego Śląska, człowieka, dzięki któremu rozwinął się na Śląsku nowoczesny przemysł wydobywczy i hutniczy, i którego imię przetrwało do dziś głównie w nazwie założonej przez niego huty w Katowicach-Dębium. W książce przedstawione zostały w zarysie życie Baidona — edukacja w rodzinnej Szkocji, przyjęcie w młodości w wieku zaproszenia hrabiego Fryderyka von Redena i przybycie do „nieznanej krainy porośniętej gęstymi lasami”, niezwykle efektywna praca na obszarze całego Górnego Śląska — w Tarnowskich Górach, Gliwicach, Ostrawie, na terenie dzisiejszych Katowic i w wielu innych miejscach. (tog)

**Badania archeologiczne na Górnym Śląsku i ziemiach pogranicznych w 1993 (1994, 1995) roku.** Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska, Katowice 1997, 1998.

Trzy niezwykle rzetelnie przygotowane, bardzo obszerne (ponad 450 stron każda) książki dokumentujące prowadzone w latach 1993—95 na Górnym Śląsku i okolicznych terenach prace archeologiczne. Poszczególne stanowiska archeologiczne są szczegółowo opisane, przedstawione jest ich usytuowanie, zrelacjonowane są przebieg badań i dokonane odkrycia. Całość stanowi cenną i przystępną dokumentację prac naukowych, daje również wyobrażenie o tym, jak wiele wartościowych archeologicznie obiektów kryje ziemia na terenie Górnego Śląska. (tog)

**Wojciech Gorgolewski, Eugeniusz Tomczak: Grodziska Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego z lotu ptaka.** Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska, Katowice 1996.

Album zawierający zdjęcia fotografika Wojciecha Gorgolewskiego, wykonane przy współudziale archeologa Eugeniusza Tomczaka prezentuje wykonane z pokładu śmigłowca zdjęcia górnoląskich i zagłębiowskich grodzisk. W tym ładnie wykonanym zbiorze zdjęć znaleźć można efektowne ujęcia pozostałości grodzisk od osad z okresu ponad półtora tysiąca lat przed narodzeniem Chrystusa (grodzisko w Jędrzychowicach pod Raciborzem), poprzez osady obronne z wczesnego słowiaństwa, grody stanowiące załaski u początków państwowości polskiej i czeskiej, do małych grodków — siedzib rycerskich z XIII wieku. Wydawnictwo doskonale nadające się do atrakcyjnego zaprezentowania dawnej historii Górnego Śląska. Ukazujące jak bogatą przeszłość posiadają, często zarośnięte trawami, położone pośród pól, niepozorne na pierwszy rzut oka wzniesienia. (tog)

## ◆ Szwy w głowie

Pierwszego stycznia 1999 mieszkańcy katowickiego, części ziemi częstochowskiej i bielskiego obudzili się w województwie śląskim. Pedantyczny miłośnik statystyki przypomni, iż w skład nowego regionu weszło 86 proc. obszaru byłego województwa katowickiego, 70 proc. częstochowskiego i wreszcie 60 proc. bielskiego. Od samego początku wiadomo było, że do najważniejszych, a zarazem najtrudniejszych zadań, należeć będzie eliminacja szwów po reformie administracyjnej z 1975 roku i integracja społeczności regionalnej w granicach województwa śląskiego. Przekonanie o wadze tych procesów opieram - zachowując wszelkie proporcje - na opisanym już w socjologii trwałości historycznych szwów porobiorowych w przestrzeni Polski. Mimo upływu osiemdziesięciu lat granice dawnych rozbiorów pozostały nie tylko w społecznej świadomości, ale uwidaczniają się w zróżnicowanych zachowaniach i opcjach politycznych, aktywnościach kulturalnych i gospodarczych, aspiracjach edukacyjnych a nawet liczbie wydawanych gazet, prowadzonych akcjach promocyjnych i marketingowych, skali mobilizacji społecznej i uczestnictwie ludzi w strukturach władzy. Do dzisiaj najlepsza sytuacja *koninkulturalno-mobilizacyjna* cechuje gminy Ziemi Zachodnich i Północnych oraz Wielkopolski, stanowiących niegdyś części Prus i Niemiec. Ich dobra koninkultura oraz znaczna aktywność samorządów pozwala przewidywać korzystne rezultaty zabiegów rozwojowych i - *per saldo* - transformacyjnych. W znacznie gorszej sytuacji znajdują się gminy wiejskie Galicji i Kongresówki, położone poza oddziaływaniem aglomeracji, zwłaszcza jeśli pozbawione są wyraźnych walorów turystycznych.

Uruchamiając procesy integracji społecznej warto przypomnieć, że świeżo utworzone województwo śląskie obejmuje częściowo swym zasięgiem również historyczne tereny Nowego Śląska (*Neu-Schlesien*). Został on włączony w wyniku postanowienia trzeciego traktatu zaborczego do pruskiej prowincji śląskiej i pozostawał w niej do pokoju w Tyłży (1807). Południowa granica tej efemerycznej jednostki administracyjnej - utworzonej na terytorium dawnego księstwa siewierskiego - zaczynała się przy ujściu Przemszy do Wisły, biegła dalej wzdłuż Przemszy i Białej Przemszy aż do ujścia Centawy, przechodziła między Starą Hutą a Podzamczem oraz Ryczowem i dalej aż do Koniecpola. Na północy zaś przebiegała w odległości jednej mili od Częstochowy. Nowy Śląsk jako obszar należący do historycznie ukształtowanego Górnego Śląska zaledwie przez kilkanaście lat, określane bywa w języku niektórych działaczy regionalnych jako *ziemia w łączności z Górnym Śląskiem*.

## ◆ W cieniu wielkiej wieży

Patrząc na mapę województwa śląskiego trudno nie zauważyć bogactwa układów kulturowych. Mówiąc metaforycznie obejmują one zarówno historyczny region gómośląski o wielkich tradycjach przemysłowych, Zagłębie Dąbrowskie, stanowiące przez lata część Kongresówki, ale też i piękną pejzażowo region turystyczny Żywca, z własną kulturą góralską, dalej - Śląsk Cieszyński oraz świat wielkiej - jasnogórskiej - wieży. Każdy z nich tworzy mikrokosmos niepowtarzalny, stanowiący o bogactwie nowo powstałego regionu. Budowie nowoczesnego regionalizmu, opartego o idee społeczeństwa obywatelskiego, towarzyszyć musi respekt i szacunek dla mniejszości narodowych czy etnicznych, tworzących barwny kulturowo i cywilizacyjnie kontrpunkt dla większości polskiej. Pamiętajmy, że definitywnie upadł lansowany uprzywilejowany mit jedności narodowej, a mniejszość niemiecka, na trwałe wpisała się w życie transformacyjnego Śląska. W przestrzeni województwa wkomponowane są również świątynie wielu wyznań i religii, od powszechnie znanych do efemerycznych i ezoterycznych. Jeśli działacze i wierni tych ostatnich nie naruszają porządku prawnego i społecznego, to ich obecność wzbogacać tylko może regionalny układ kultury. Oczywiście całkowicie odrębnego potraktowania wymaga obecność - w granicach województwa - wspomnianego już sanktuarium jasnogórskiego. Nie podkreślić, że w 1998 roku częstochowski klasztor odwiedziło 4 miliony pątników ze wszystkich zakątków Polski i świata, nosicieli wielu kultur i wartości.

Z całą pewnością niezwykle interesujące wydają się studia nad Śląskiem Cieszyńskim, stanowiącym część Górnego Śląska o odrębnych wszakże losach historycznych, z tradycjami autonomii. Śląsk Cieszyński i sam Cieszyn miał zawsze wielu bardzo oddanych działaczy - fascynatów i pasjonatów - dbających o zachowanie mikroregionalnej tożsamości, mozaiki religijnej z silnie eksponowanym kościołem protestanckim, piękną architekturą i niepowtarzalnym *genius loci* cieszyńskiej Wenecji.



EDUKACJA  
REGIONALNA

# Kulturowe Wielopole

## ◆ Być krojczkiem, być pamponiem...

Szczególnie jednak bogaty i interesujący był układ społeczny województwa katowickiego w przededniu reformy administracyjnej. Na tradycyjne podziały zawodowe, warstwowe czy klasowe nakładały się tutaj bowiem zróżnicowania kulturowe, związane z pochodzeniem regionalnym mieszkających tutaj ludzi. Warto pamiętać, iż województwo katowickie to region pogranicza kulturowego, tygiel kulturowy, miejsce kontaktu czy nawet konfliktu wielu kultur, licznych społeczności i zbiorowości. O kilku z tych grup warto nieco szerzej wspomnieć. Pierwszą z nich tworzyli ludzie przybywający na Góry Śląsk w poszukiwaniu swojego miejsca na ziemi i nowej ojczyzny prywatnej (*gorole*), drugą - zamieszkująca tutaj od pokoleń ludność śląska (*hanysy*).

Trzecią zaś - rodzimą społeczność Zagłębia Dąbrowskiego (*Zagłębiacy*) i część Małopolski włączonej w wyniku zmian administracyjnych w granice województwa. Przybywsze w nieznanym tylko stopniu interesowali się zastanym światem, kulturą i społecznościami. Poszukiwali raczej lepszych warunków mieszkaniowych i życiowych, a nowe budownictwo miejskie stanowiło dla nich wielki symbol awansu cywilizacyjnego. Większość z nich określała bowiem swoją sytuację lokalową - przed zasiedleniem śląskich czy zagłębiowskich mieszkań - jako krytyczną. Dopiero po latach części niedgysiejszych *goroli* utrwaliła głębokie związki emocjonalne z regionem i *mniejszym niebem*, nową czy komplementarną ojczyzną prywatną.

Świat społeczny województwa nie był jednak dwudzielny i ubogi; dawniejsze badania socjologiczne jasno pokazywały, że oprócz *goroli* i *hanysów* spotkać w regionie można również było *krojczków*. Najpierw zaliczano do nich dzieci z małżeństw mieszańców (*hanysko-gorolskich*), później wszakże termin ten nabrał szerszego znaczenia i obecnie określa się nim również przybyszów *przycięzonych* ze Ślązakiem lub Ślączką, a nawet dzieci *goroli* urodzone jednak na Śląsku. O lokalnym kolorycie Bytomia, Gliwic, osiedla *Celina* w Tyłżach stanowią z kolei *kresowiaci*, trafiający do tych miast w wyniku powojennych rewizji granic państwowych, zostawiający za Bugiem ojczyznę prywatną. Jeszcze inne podziały - uwzględniające stopień zasiedlenia - odkryć można w różnych częściach regionu, takich choćby jak Bytom, Ruda Śląska, Katowice (*pnioiki-krzoki-ptoki*).

Zróżnicowane wewnętrznie są także dwie kluczowe kategorie społeczne i kulturowe: *hanysy* i *gorole*. Pierwsi z nich dzielą się na przykład na *hanysów z bloków* (*myszka na blokach ale nie gorol*), *familokorzy* (lokatorzy starych osiedli robotniczych) czy *pamponiów* (bogaci gospodarze i ich potomkowie). Ważną oś podziałów wyznacza także poczucie przynależności narodowej, mamy zatem Ślązaków polskiej lub niemieckiej opcji narodowej, albo Ślązaków narodowo indyferentnych. Także *gorole* z racji pochodzenia regionalnego, ulokowane w przestrzeni miejskiej mają swoje kategorie szczególnie (np. *werbusy*, *hoteloki*). W niektórych częściach województwa żywa jest jeszcze etykieta *cysoroków*, czyli potomków dawnych poddańców cesarza Franciszka Józefa.

## ◆ Nowe identyfikacje

Czy dzisiaj podziały te zachowały jeszcze aktualność? Zapewne tak, choć nie wywołują one już ani wielkich emocji, ani konfliktów, ale niewykluczone, że w bliższej przyszłości napięcia mogą ożyć ponownie. Obecnie mieszkańcy województwa dzielą się przede wszystkim na zamożnych i ubogich, posiadających pracę i pozostających bez źródeł utrzymania, wykształconych dobrze lub marnie. Konfliktogenne podziały regionalne schodzą na plan dalszy. Działania integracyjne są jednak nieodzowne, a sprzyjąc im mogą: wspólnota zamieszkania, wspólnota pracy czy wspólnota modlitwy, utrwalone więzy towarzyskie, słowem wspólnota życia codziennego i codziennego obcowania i wreszcie - edukacja regionalna.

## ◆ Między Żywcem a Kłobuckiem

Respekt dla tradycji identyfikowanej w zbiorowości regionalnej nie może jednak w żadnej mierze oznaczać bezkrytycznego jej idealizowania. Wiadomo bowiem, iż pewnych elementów najszerzej rozumianej tradycji nie można pogodzić z projektowanym procesem restrukturyzacji. Na stare układy kulturowe nakładać należy nowe, wynikające z przebudowy regionu, uwzględniające jego rozpiętość między Żywiecczyną na południu, a powiatem kłobuckim na północy, między ziemią raciborską na zachodzie, a powiatem zawierciańskim na wschodzie. Tego rzeczowistego zróżnicowania lekceważyć nie można, warto natomiast ograniczać uprzedzenia: i te realne, i te urojone, historyczne oraz kulturowo ukształtowane resentymenty.

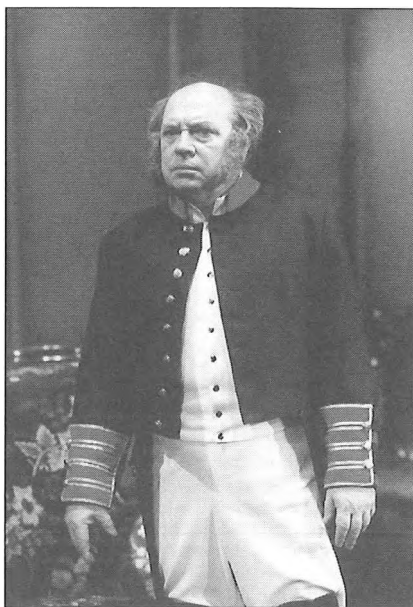
MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Sztuka, która w każdym miejscu i czasie była i jest aktualna: „Rewizor” Mikołaja Gogola. Już półtora wieku, licząc od petersburskiej premiery ta arcykomedia śmieszy i urzeka, ale też poraża przenikliwością satyrycznej obserwacji i głębią przekazanych prawd o człowieku i jego naturze. Co postać to typ charakterologiczny o wyrazistych cechach zjadliwej karykatury. Całe to sceniczne środowisko zatęchłej, rosyjskiej prowincji sprowadzone do groteskowego panopticum jest wyjątkowym portretem zbiorowym, skoro ani jedna postać nie wylamuje się z obrazu wszechwładnej tępoty, służalczości, obłudy i deprawacji: przeważają cechy negatywne doprowadzone do absurdu i grotesku spiętrzenia. O to zresztą Gogolowi chodziło - o zjadliwą demaskację postaw, zachowań i obłudy prowincjonalnej społeczności gdzieś tam w głębokiej Rosji, ale i mechanizmów, które rządzą zhierarchizowanymi strukturami skorumpowanego państwa... co stopień wzwyż, aż po stolicę, bo przecież im wyżej, tym większa skala bezkarności, korupcji i nadużyć władzy. Lecz czy inaczej jest dziś chociażby w Polsce?

To w sztuce Gogola nie zostało wyrażone wprost, ale i do takiego uogólnienia prowadzą westchnienia bezkarnego dotąd Horodniczego, któremu marzą się salony Petersburga: *...być generałem!*... Co prawda ostatnia kwestia sztuki, gdy żandarm przekazuje zebrany w salonie Horodniczego prowincjonalnym notabloom wiadomość, iż właśnie *Przybył z najwyższego rozkazu rewizor z Petersburga* sugeruje, że jest to reprezentant surowego prawa i nieprzekupnej władzy. Czy jednak przeczyście? A może był to zręczny chwyt autora nękanego przez cenzurę. Może właśnie prawdziwy rewizor zechce wziąć okup godny ceny miejscowych nadużyć za obietnicę zatajenia prawdy. Bo i kim jest wobec niego petersburski wydrwigrosz, gryziopiórek Chlestakow?

Sztuka Gogola oparta na ponoć prawdziwej historii przekazanej przez Puszkina, o rzekomym rewizorze, za którego został wzięty przejezdny oszust, ma nośny, przewrotny pomysł, który uruchamia i demaskuje cały układ lokalnej władzy reprezentowanej przez małomiasteczkowych notabli. A co postać - to kreatura, bezkarny zdzierca i oszust z Horodniczym na czele. Lecz jeśli ta sztuka wywołuje wciąż tak żywy rezonans, to nie tylko dlatego, że składa się - co scena - z brawurowych, arcyzabawnych sytuacji, lecz dotyka żywej materii realnego życia. Przecież również u nas, gdzie w Polsce (czyli wszędzie) dzieją się rzeczy, które przedstawia sztuka Gogola, gdy zagrożony zostaje jakiś skorumpowany układ - a cel zawsze uświadcza środki. Można by tedy zagrać „Rewizora” i w kostiumach współczesnych, w realnej scenerii lokalnego środowiska - tylko po co: sztuka Gogola jest wciąż na tyle nośna i aktualna, niż nie wymaga inscenizacyjnej dosłowności. Inna rzecz, czy tylko do zebranej na scenie małomiasteczkowej menażerii odnosi się słowa skompromitowanego Horodniczego: *Z czego się śmiejecie... Z samych siebie się śmiejecie...* Bo jeśli, jak chciał sam Gogol, jedynym pozytywnym bohaterem tej sztuki jest śmiech, to przecież nie śmiech z niczego: z sytuacji, wypowiedzi i reakcji abstrakcyjnych. No właśnie - co tak rozśmieszało, co celna kwestia, publiczność na premierowym spektaklu „Rewizora” w Teatrze Zagłębia?

Sosnowiecki spektakl niesie - ma świetne tempo i błyskotliwe sceny grane drapieżnie a z polem. Realizatorzy



## „Rewizor”, czyli śmiech

zawierzyli Gogolowi i sztuce z roku 1836 nie dążąc do natrętnej aktualizacji. Udało im się przy tym nawet z ograniczeń technicznych sosnowieckiej sceny stworzyć walor spektaklu dzięki świetnie pomyślanej scenografii Jadwigi Mydlarskiej-Kowal i Michała Jędrzejewskiego. Obrotowy wielobok pozwalała - po rozwarciu - zaaranżować kolejną scenę w nowym wnętrzu, toteż ta 5. aktowa sztuka toczy się warkotem, bez przestojów. Wszystko rozgrywa się na naszych oczach a błyskawiczne zmiany dekoracji wypełniają pantomimiczne intermedia (ruch sceniczny - Henryk Konwiński). Także kostiumy są z epoki Gogola. W miarę wyrazista, choć nieprzerysowana charakteryzacja pozwala natomiast wyostriżyć kontury i karykaturalne cechy postaci ze świata realnego przeniesionego w ramy szyderczej groteski.

Zasadnicza uwaga reżysera Jacka Buscha skupia na interpretacji ról oraz wyrazistości reakcji i relacji jakie zachodzą pomiędzy postaciami sztuki. A to ważne i dlatego, że całe to panopticum małomiasteczkowego świata władzy i stanowisk jest z sobą powiązane wspólnotą interesów, ale i podstępna zawiścią. Toteż co postać - każda ma realistyczny format, ale i ostre, groteskowe przerysowania nie wolne od szarzy na granicy farsy - to inna postać, choć z tego samego albumu karykatury, względnie gabinetu krzywych luster, coraz bardziej deformowanych w miarę rozwoju akcji, która zmierza do zbiorowego szoku w końcowej scenie demaskacji.

Trzeba przyznać, że sosnowiecki „Rewizor” wyróżnia się rzetelnym poziomem aktorstwa. I w tym jego siła. W tym spektaklu nie ma miernych ról i nikajkich postaci. Z brawurą, choć nie zawsze zgodnie z koncepcją tej popisowej roli gra Chlestakowa Wojciech Leśniak. Kontrastują z sobą jako dopełniające się charakterystyczne typy małomiasteczkowych notabli: kurator

instytucji dobroczynnych Zygmunt Biernat, naczelnik poczty Jerzy Gniewkowski, wizytator szkół Andrzej Słaziak oraz sędzia Zbigniew Learczyk. Barwny duet tworzą obie damy: pretensjonalna małżonka Horodniczego w typie prowincjonalnego koczkodana - Ryszarda Celińska i jej egzaltowana córka Joanna Litwin. Każda postać w tej obsadzie ma swoją dobrze skrojoną miarę, czy nawet wyraziste wejście i nie marnuje scenicznej okazji.

Dominującą rolę w spektaklu jest niewątpliwie Horodniczy, którego gra Adam Kopciuszewski. Zewnętrznie wyróżnia go urzędniczy mundur reprezentanta carskiej władzy. Pomijając tę funkcję, lokalnego satrapę a prywatnym Antonem Antonowiczem Skawoznik-Dmuchańskim, zapobiegliwym mężem i ojcem, któremu nie wystarcza już prowincjonalne zaszczyty i nagrabione pieniądze, rozpięta jest ta świetna rola o trafnie wydobytej, pogłębionej psychologicznej motywacji. Horodniczy Adama Kopciuszewskiego jest władczy, nadęty, bezwzględny, przebiegły i próżny lecz także uniżony, służalczy, przewrotny, czolobitny i lizusowski, gdy czuje zagrożenie i musi zabiegać o względy rzekomego rewizora. On jeden rozumie do końca mechanizm panujących zależności w tym świecie hierarchii i pozorów. Nie wystarcza mu to co dotąd osiągnął; ma teraz znacznie większe ambicje: wyrwać się stąd, znaleźć się w centrum, w mitycznym Petersburgu. To tam sięgają jego aspiracje: *Być generałem!* Adam Kopciuszewski stworzył w tej roli postać wielowymiarową; jest lokalnym satrapą, ale i człowiekiem ludzkim, gdy doznaje ośmieszenia i upokorzony cierpi. Tylko on rozumie co się stało a dotyczy wszystkich obecnych na scenie, gdy ta szydercza, zjadliwa komedia staje się nagle dramatem.

Rolę Horodniczego Adam Kopciuszewski może zapisać do swoich największych osiągnięć aktorskich, a ma ich w swoim bogatym dorobku немало: aktor rzetelny, który kreował role obejmujące niemal ich pełną paletę: z sukcesami i uznaniem (są wśród nich i nagrodzone Złotymi Maskami). Właśnie jako Horodniczy świętował na sosnowieckiej scenie jubileusz 30-lecia pracy artystycznej. Nie licząc wczesnych sezonów w Gdyni cała jego rozległa działalność artystyczna związana jest z teatrami naszego regionu. Rodowity katowiczanie, syn znanego śpiewaka, po wojnie solisty Opery Śląskiej, był aktorem Teatru Polskiego w Bielsku-Białej i Teatru Zagłębia. Przez wiele lat występował na katowickiej scenie i był także dyrektorem Teatru Nowego w Zabrze. Teraz już 3 sezon kieruje sosnowiecką sceną z uznanymi sukcesami, które spotkały się z ogólnopolskim rezonansem. Jako aktor szczególnie w latach ostatnich notuje wiele sukcesów, a takie role, jak Wielkiego Księcia Konstantego w „Kordianie”, Króla w „Iwonie księżniczce Burgunda” i ostatnio Horodniczy, zaliczają się do najważniejszych w jego dorobku.

Jubileusz Adama Kopciuszewskiego miał owacyjny finał, bo i aktor to znakomity i zaradny dyrektor teatru, który notuje sukcesy co premiera. Trzeba przyznać, iż jego decyzje repertuarowe są nie tylko trafne: kolejne pozycje z rejestru wielkiej klasyki współbrzmiały z czasem dni naszych. Tak jest niewątpliwie i z „Rewizorem”, któremu wróżyć można długi sceniczny żywot i trwałe powodzenie.

TADEUSZ KIJONKA

Te sztukę napisała trójka młodych Amerykanów, wymyślając dla niej także specjalny sposób istnienia scenicznego. Studencka trupa jeździła najpierw po Stanach, by wreszcie odnieść spektakularny sukces na Wyspach Brytyjskich i podbić tamtejszą publiczność, przyzwyczajoną dotąd raczej do czytania Szekspira „na kolanach” niż „na wesoło”. Wedle podobnej receptury powstały kolejne przedstawienia i kolejne zespoły (np. „Biblia w nieco skróconej formie”).

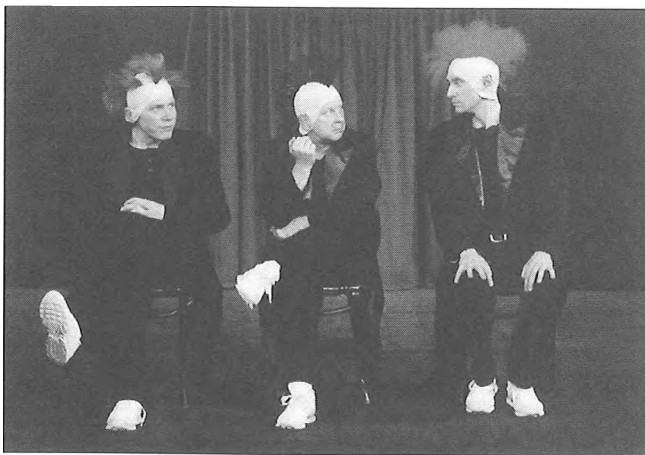
Niedawno „Dzieła wszystkie w nieco skróconej formie” za sprawą tłumacza Włodzimierza Kaczkowskiego trafiły do Polski, do Warszawy, gdzie także wystawiono je jako „produkcję własną”, pozainstytucjonalną. Cieszą się sporym powodzeniem. Chorzowskiemu przedstawieniu też wróżę długi żywot, bo to rzecz zagrana z wigorem, z dużym poczuciem humoru oraz z użyciem skromnych środków inscenizacyjnych i scenograficznych. Łatwo więc będzie można spektakl ten z miejsca na miejsce przenosić, jakby jeszcze bardziej uzasadniając humorystyczną nazwę grupki artystów, którzy powołali go do życia: Chorzowska Kompania Szekspirowska.

Na scenie postawiono niewielkich rozmiarów zastawki, które mogą być na przykład drzwiami, ale także balkonem, po którym, opędzając się od amatorów natarczywego nieco Romea, będzie płaść Julia. To miejsce ciągłych przebieranek i zaskakujących wejść aktorskich, często komentowanych przez widzów gwałtownymi wybuchami śmiechu. Bo też trójka aktorów gra również role kobiece, co jednak jest dość daleką aluzją do epoki elżbietańskiej; tutaj chodzi raczej o karykaturalne skrzywienie, czemu dobrze służą przerysowane kostiumy i naprędce dorabiane charakterystyczne czy peruki.

Tych gwałtownych przeobrażeń, przejść z roli do roli, ze sztuki do sztuki jest tu nieskończenie wiele. Podziwiać więc trzeba kondycję chorzowskich aktorów, którzy ani na chwilę nie zwalnają tempa, budując spektakl łączący elementy scenicznego show z kabaretem, tudzież zgrywą i zabawą „pod publiczność”, dobrze nam znaną choćby z niektórych programów rozrywkowych realizowanych na ogół w krakowskim ośrodku telewizyjnym. Mam tu na myśli wciąganie widzów (i to dosłownie!) w sam środek spektaklu, dyrgowanie ich emocjami i nawet reakcjami.

Te metody mogą się wydać nieco toporne i jakby nie przystające do sztuki teatru, ale - i to jest ważne - publicz-

# Szekspir bez cokołu



Od lewej: Robert Talarczyk, Jacenty Jędrusik, Mirosław Książek

ność bawi się dobrze, a też ten inscenizacyjny „ekstremizm” ma uzasadnienie w spektaklu, w którym nadawano kilka warstw i planów. Jak choćby w „Hamlecie”. Chorzowska Kompania przedstawiając słynną scenę, która ma przed światem obnażyć ohydłą grę pary królewskiej, posłużyła się pacynkami. Mamy więc „teatr w teatrze”, a w nim jeszcze jeden „teatr”. To zonglowanie postaciami i wybranymi scenami z komedii i tragedii Szekspira nabiera dodatkowego smaku w tych momentach, gdy chorzowscy aktorzy świadomie „wypadają z ról”, niejako naigrawiając się sami z siebie i z konwencjonalności jako zasady każdego widowiska teatralnego. W pewnych chwilach są więc „prywatni”, innym razem - grają tych, którzy właśnie za chwilę mają zacząć grać (czytaj: „udawać”). Przechodzenie z jednej rzeczywistości do drugiej dokonuje się płynnie i naturalnie, stając się jednocześnie głębokim źródłem komizmu tej sztuki (i tego spektaklu). Ba, chorzowianie dodali to tego coś jeszcze: lokalny koloryt, abyśmy przypadkiem nie zapomnieli, gdzie jesteśmy i kto do nas mówi. „Śląski rap”, zatańczony i zaśpiewany brawurowo - okazuje się, bo wcześniej aktorzy deklarują swą bezradność wobec tematu — jedyną możliwą receptą na „skróconą” opowieść o Otellu. Boć przecież Otello czarny, a i... górnik czarny, gdy do domu z zychty wraca. To jeden z najlepszych pomysłów w tym żywiołowym spektaklu.

Ala nie wszystkie gagi są równie udane i nie zawsze aktorom udaje się utrzymać w danej konwencji. Mam tu na myśli choćby aluzje do telewizyjnych programów Kuronia-juniora, gdy serwuje się nam dania z ludzkich głów, niby dobrze korespondującymi z „królewskimi” dramatami Szekspira.

TEATR

Tu właśnie przekroczono pewien próg, już nawet nie powiem, że dobrego smaku, co raczej właśnie teatru. Za dużo zgrywy, za dużo niewyszukanych dowcipów, gestów i min.

Za długa jest też ekspozycja tematu. Pierwsze sceny, gdy aktorzy dopiero układają się z publicznością i zapowiadają, że spróbują zagrać „całego Szekspira”, za bardzo pachną estradową bylejakością. I wtedy też widać, że „zespolowa reżyseria” może oznaczać brak reżysera. Za długi jest też końcowy „Hamlet”, właśnie „z użyciem” widzów, choć finałowa sekwencja, zagrana w „przyspieszonej wersji”, a także w wersji „z tyłu do przodu”, jakbyśmy tą samą filmową przewijali do początku, jest teatralnym majstersztykiem. Wtedy je-

steśmy już pewni, że to prawie dwugodzinnie show nie jest tylko błazenadą. Ono ujawnia pustkę współczesnej kultury masowej, którą jakże chętnie i bezmyślnie żywimy się na co dzień, na dobrą sprawę - nie wiedząc już co „jemy” i po co. Wbrew pozorom więc nie chodzi tu o siłowe zepchnięcie Szekspira z pomników, a o żartobliwą diagnozę naszego stanu ducha i umysłów.

Z trójki aktorów - to pewnie - pierwsze skrzypce gra Jacenty Jędrusik. To on trzyma całe przedstawienie w ryzach i żywioł zabawy przynosi we właściwy wymiar. Robert Talarczyk zaś, choć też dobrze się czuje w takiej formie scenicznego żartu, momentami niepotrzebnie dopowiada już raz wygrane puenty i dowcipy. Nierówny jest Mirosław Książek, którego - przynajmniej na premierze - jakby zżerała trema albo raczej lęk przed tym, by czasem nie przeszarżować. Mam jednak wrażenie, że ten spektakl będzie rozwijał się, przynosząc radość nie tylko widzom, ale także aktorom. Czy jednak uda się ograniczyć ilość tanich chwytów aktorskich, które w pewnym momencie niebezpiecznie układają się w serię estradowych popisów? Tak czy inaczej - „Dzieła wszystkie Szekspira w nieco skróconej formie” na afiszu utrzymają się długo. Bo to była dobra decyzja repertuarowa, dobrze mieszcząca się w profilu tego teatru.

KRZYSZTOF KARWAT

Adam Long, Daniel Singer, Jess Winfield: „Dzieła wszystkie Szekspira w nieco skróconej formie”. Przekład: Włodzimierz Kaczkowski. Reżyseria zespołowa. Scenografia: Anna Pomorska. Muzyka: Grzegorz Czaja. Układ rapa: Sławomir Kmieć. Premiera 18 listopada 1999 roku w Teatrze Rozrywki w Chorzowie.

Foto: Tomasz Zakrzewski



- *Nie możecie oczekiwać jakichś cudów od tego spektaklu. Nie zmieni on świata. Jest po prostu wynikiem 6-dniowej pracy ludzi, którzy się przedtem w ogóle nie znali. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Zrobimy, co się da.*

Zanim udało nam się nagrać tę wypowiedź Petera Schumanna, spędziliśmy w starej, nieczynnej fabryce na Komorowickiej w Bielsku-Białej kilka godzin. Schumann pracował z uczestnikami warsztatów nad kolejną sceną. Ekipie telewizyjnej rzucił krótkie „Hi” i od razu zaznaczył miejsce, gdzie może stać kamera. Z tyłu i daleko. Żeby cokolwiek nagrać, musieliśmy się niepostrzeżenie przybliżyć, okrążyć, aż dostrzegł nas Schumann, przerywał próbę i wskazywał nasze miejsce. Nie wyglądało na to, żeby miał udzielić nam jakiegokolwiek wywiadu.

— *Rozmawianie z dziennikarzami tozysta strata czasu. Wszyscy od 30 lat pytacie o to samo, to znaczy o The Bread and Puppet Theatre. To już śmiertelnie mnie nudzi. O czym chętnie rozmawiam?*

O The Bread and Puppet Theatre, oczywiście, mówię stanowczo, a Schumann uśmiecha się.

Urodził się w Lubaniu, na Dolnym Śląsku, w 1934 roku, w niemieckiej, protestanckiej rodzinie. Jego ojciec był nauczycielem. Wyszedłono ich w 1945 roku, do Hanoweru. Z dzieciństwa Schumann pamięta, jak rodzice namawiali go do odgrywania scenek teatralnych i całych przedstawień.

— *Trwała wojna, a myśmy na każde urodziny, święta Bożego Narodzenia czy nawet w niedzielę, rzeźbili małe drewniane laleczki, potem rozstawialiśmy kurtynę, czyli starokoc między dwa krzesła i zaczynały się*

# Ciągle w opozycji

TEATR

*spektakle. Wojna, mój pierwszy teatr, potem wyjazd z Dolnego Śląska. To tkwi we mnie przez cały ten czas, we wszystkim co w teatrze robie.*

Zanim Peter Schumann założył w Nowym Jorku w 1963 roku The Bread and Puppet Theatre, będzie się włóczył po całej Europie, zdążył porzucić kilka szkół, nauczył się gry na skrzypcach, podstaw rzeźby, malarstwa i tańca nowoczesnego.

— *Co jest naprawdę ważne dla sztuki, to żaden rodzaj edukacji teatralnej. To, co ważne mieści się poza jej obszarem. To życie społeczne, polityczne, sytuacja ekonomiczna. Nasz teatr jest po prostu odpowiedzią na warunki, w jakich żyjemy. Wszystkie nasze sztuki były o polityce albo o kulturze, którą należało skrytykować. Od 30 lat jesteśmy zawsze do czegoś w opozycji.*

W Nowym Jorku Schumann pozna środowisko happenerów — Cage'a Kaprowa, Oldenbura. Uczy lalkarstwa. Otwiera pracownię dostępną dla dzieci z całej dzielnicy. Zespół Schumanna to rodzina i przyjaciele. Kreacja zbiorowa, improwizacje, pełna integracja sztuki i życia. Zespół angażuje się w politykę, marsze, demonstracje antywojenne, protesty.

— *Robiliśmy wtedy rewolucję kulturalną, która tak naprawdę nigdy się nie skończyła. Popatrz co dzieje się w amerykań-*

*skich mediach, jak manipulują prawdą, jak ją interpretują pod komercyjne dyktando. Wy też zdobyciście wolność, która tak naprawdę nie jest żadną wolnością. O tym należy robić teatr, o bezdużnych urzędniczkach i manipulacji, o tym, co złego dzieje się w waszej dzielnicy, mieście.*

Choć Schumann był w Bielsku tylko tydzień, zdążył dowiedzieć się i przejąć lossem bezdomnych w Polsce, ludzi bez dachu nad głową. Włączył ten temat do spektaklu „Zielona msza. Nowa wersja Bożego Narodzenia”, który w wykonaniu aktorów Ośrodka Teatralnego „Banialuka” zakończył sześciodniowe warsztaty. Spektakl ma bardzo prostą fabułę, jak większość przedstawień The Bread and Puppet, operuje skromnymi środkami, symbolami i archetypami zrozumiałymi wszędzie.

Ostatnia scena „Zielonej myszy”. Będą dzielić się z widzami chlebem własnego wypieku, powtarzać rytuał wspólnoty, bo przecież The Bread and Puppet to teatr Chleba i Lalki.

— *Pieczę tak jak ten, budowaliśmy wszędzie, w Berlinie, centrum Nowego Jorku i Sarajewa. Robimy to bardzo szybko, w czterdzieści minut. Ludzie już zapamiętali, jak taki chleb smakuje. Zapomnieli nawet sensu życia. Kiedy tworzyliśmy The Bread and Puppet Theatre, chcieliśmy przypomnieć, że chleb i teatr to artykuły pierwszej potrzeby. Nic się nie zmieniło.*

Ludzie podchodzą do Schumanna, aktorów, dziękują za przedstawienie. Ognisko dogasa, wzięliśmy sprzęt, żegnamy się ze wszystkimi.

GRAŻYNA OGRODOWSKA  
(Televizja Katowice)

Przyjęta aplauzem I Symfonia 40-letniego w momencie ukończenia partytury Andrzeja Działka, przedstawiciela śląskiej szkoły kompozycji w pokoleniu (jeśli wolno tak powiedzieć) stanu wojennego, potwierdziła i tym razem wysoką przydatność koncertową, jak się wydaje, nie tylko w roli efektywnej intrydy do repertuaru, który obejmował ponadto owego pamiętnego wieczora honorującego listopadowe Święto Niepodległości także dwa koncerty instrumentalne: skrzypcowy A-dur op. 8 Mieczysława Karłowicza (1902) i orkiestrowy (1954) Witolda Lutosławskiego. Dyrygował — pobudzająco, prężnie, gestykulacją sugestywną a nieprzesadną, trochę jak niegdyś jego profesor, Karol Strjya, z ostrzejszą wszakże wyrazistością — Mirosław Jacek Błaszczyk; solistów było wielu, na czele z koncertmistrzem filharmoników śląskich, bo o nich dziś piszemy, Adamem Wagnerem w Karłowiczu; w Działku natomiast i Lutosławskim w gry koncertujące włączali się i wyodrębniali z zespołu instrumentalności ze wszystkich grup konsekwentnie zwykłej orkiestry, której obecna forma pozwala wróżyć rychły powrót do rangi, jaką nadał ongiś zespołowi Strjya w najlepszych czasach wypraw „warszawsko-jesiennych”.

Wyraźnie zadowolony z wykonania Działek wskazał przy okazji ukłonów i „wydobył” wielu z nich, w tym trębaczy mających w Symfonii zadania specjalne, z orkiestrowego, potężnie rozbudowanego tła, prosząc o indywidualne przedstawienie się słuchaczom. Podobnie postąpił szef filharmonicznych muzyków po arcydziele Lutosławskiego; stopniowo — pojedynczo i grupami — wstała cała zasiedająca na estradzie przy Sokolskiej, owacyjnie kwitowana formacja. Ucieleśniona partytura Działka kazała myśleć o będącej właśnie na pulpicie kompozytorskim artyście, inspirowanej przez Filharmonię Śląską i jej maestra, „Drugiej”, cieszyć się na nią i już teraz fascynować sposobem, w jaki wypowiada twórca (słowa te dyktuje nam spojrzenie przez kompozytorskie ramie do nutowego brulionu) swoje muzyczne, symfoniczne, estetyczne credo

# Polska muzyka XX w.

MUZKA

na koniec wieku. Wiemy, iż będzie ono oparte na wersach i „pra-motywie” Te Deum.

Symfonię pierwszą dedykował autor Antoniemu Witowi, który też dał prawykonywanie całości (ogniwo wyjściowe słyszała już wcześniej jako „Impresję” publiczność „warszawsko-jesienna”, Katowice zaś podczas VII Śląskich Dni Muzyki Współczesnej) na festiwalu „Musica Polonica Nova” we Wrocławiu w lutym 1998, a więc w rok po sfinalizowaniu dzieła, jednego z najważniejszych w tece dokonań twórczych Działka. Bardzo nośna jest konstrukcja ułożona z dwóch głównych części wolnych (Larghetto — Adagio) spuentowanych szybko, nastawiona na czynnik rytmiczny kodą Vivo, co jest indywidualnym podejściem do polskiej tradycji symfonicznej wyznaczanej przez takie znakomitości jak Szymanowski, Lutosławski, Bolesławowie: Szabelski i Woytowicz, Bacewiczówna, Baird, Szalonek... W owym nurcie i kontekście muzyka Działka jawi się jako istotny punkt „nowego romantyzmu” i specyficznej gry z tradycjami symfoniki klasycysto-romantycznej. Przekątne formy i ekspresji to z jednej strony „komunikatywność” utworu, z drugiej jednak również „coś — dla — wytrawnego — ucha”. Skuteczność takiej postawy mogliśmy sprawdzić po sposobie dookólnej percepcji tego odświeżonego pomysłu i oddziałującego programu, nie tylko zresztą po reakcjach profesjonalistów, którzy stanowili mniejszość pośród wielopokoleniowej, bardzo licznej jak na koncert z muzyką nową, publiczności. To, iż *Symfonia* od razu i po

prostu od serca wnikała w słuchaczy, stanowiło funkcję wyboru dokonanego przez artystę, w procesie twórczym angażującego się usilnie w sprawy warsztatu i strukturalnej precyzji, z pozostawieniem na boku autorskich samowzruszeń i duchowych narcystycznych lewitacji. Wynik odpowiada intencjom twórcy: czujemy natychmiast wewnętrzne związki składniowe i ewolucję nie tyle już tematyki, w konserwatywnym znaczeniu nieobecnej w dziele, co subtelnych korelacji mikroustrojowych; dramaturgia z łatwością porusza w nas struny bardzo czułe, czyniąc to przekonująco i nieodparcie.

Inaczej, niż za czasów Mozarta lub Beethovena, każdorazowe wykonanie utworu współczesnego, zwłaszcza najnowszego na forum symfonicznym to niestety, poza festiwalami, omalże rodzaj incydentu! Tym większa radość i lauda, iż przełamuje Błaszczyk śmiało stereotyp w podchodzeniu do sztuki nowej i nie lęka się — nie pierwszy raz! — zderzenia tego typu partytur z publicznością szerszą, która reaguje nadspodziewanie korzystnie, za co i jej — chwała. Stoimy już chyba przy końcu stulecia daleko od punktu, w którym hasło o terrorze awangardy, budząc dreszcz „zatutymi” jakoby i zakazywanymi owocami, dzieliło twórcę i słuchacza zgoła berlińskim murem niezrozumienia: drugi wreszcie, chcemy ufać!, dojrzał a pierwszy, także Andrzej Działek, wyszedł melomanowi naprzeciw. Również stąd sukces *I Symfonii* Działka.

Owacją przyjęto — zasłużenie! — także *Koncert na orkiestrę* Lutosławskiego, wirtuozowską swobodę, jakości dźwięku, wyczuć stylizacji folklorystycznej u solistów co raz to wyłaniających się z grona orkiestrowców. Doprawdy kojarzyła się ta kreacja — poważny komplement! — z pamiętnym *Koncertem orkiestrowym* Beli Bartoka, inauguracyjnym tak owocną kadencję katowicką Mirosława J. Błaszczyka.

BOŻENA GIEBUROWSKA,  
RYSZARD GABRYŚ

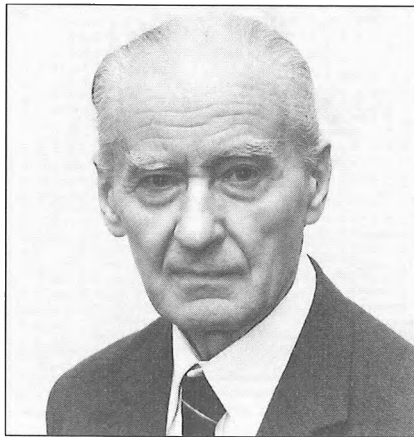
Okrągłe rocznice sypią się w śląskim środowisku muzycznym jedna za drugą: dopiero co świętowano stulecie urodzin Bolesława Szabelskiego, a już przyćmiła tamtą uroczystość setna rocznica przyjścia na świat Bolesława Woytowicza (1899-1980). Równoczesność rocznic wielkich Bolesławów nie jest kwestią przypadku - przypomina o specyficznych dziejach śląskiej kultury muzycznej XX wieku, która od dwudziestolecia międzywojennego zaczęła toczyć się trybem wyjątkowym, w następstwie określonych decyzji politycznych.

Do takich decyzji należało utworzenie polskiego konserwatorium w Katowicach i obsadzenie go w stu procentach kadraj profesorską rekrutującą się spoza Śląska. Witold Friemann (pierwszy dyrektor Śląskiego Konserwatorium), Bolesław Szabelski, Władysława Markiewiczówna - to były filary nowo budowanego gmachu polskiej kultury muzycznej na Górnym Śląsku, symbolizujące, jak na zawołanie, trzy główne ośrodki, z jakimi należało zidentyfikować „material genetyczny” dokonanego przeszczepu: Lwów, Warszawa i Kraków. Przeszczep się przyjął (zapewne nie bez trudności, żeby jednak o nich mówić, należałoby odblokować nieformalny nakaz cenzuralny wciąż skutecznie znieważający do podjęcia „interetnicznej” refleksji nad nowszą historią śląskiej kultury muzycznej), czego dowodem była kontynuacja działalności konserwatorium po 1945 roku w niemal niezmiennym składzie. Zasiłiła go wówczas kolejna silna grupa rówieśnicza rekrutująca się z Warszawy i Lwowa, którą poza innymi znakomościami, jak Adam Mitscha czy Wanda Chmielewska reprezentował Bolesław Woytowicz - przed wojną profesor fortepianu w Konserwatorium Warszawskim, postać znana, wywodząca się, jak Szabelski, z bliskiego otoczenia Karola Szymanowskiego.

Bolesław Woytowicz, urodzony w Duńajowcach na Podolu, był absolwentem warszawskiego konserwatorium w klasie fortepianu wybitnego chopinisty Aleksandra Michałowskiego. Jak inni muzycy jego pokolenia: Szeligowski, Wiechowicz i trochę młodszy od nich: Mycielski, Bacewiczówna, Kondracki, wyjechał (prawdopodobnie - jak oni - za namową Szymanowskiego) do Paryża i tam uczył się klasycznych technik kompozytorskich u słynnej (dziś niesłusznie postponowanej na zasadzie „nie lubimy niczego, co kojarzy się ze słowem «klasycyzm»”) Nadii Boulanger. Pobyt w Paryżu wpłynął decydująco na kształtowanie się osobowości artystycznej Woytowicza. Stał się artystą jednym z najwytrwalszych propagatorów „proromańskiej” wizji rozwoju muzyki polskiej, mało popularnej w porównaniu z opcją „germańską” - uzasadnioną historycznymi korzeniami rodzimej kultury (dodajmy, że patronem nowej wizji był sam Szymanowski; z jego to inspiracji zrodziło się w Polsce zainteresowanie francuskim neoklasycyzmem).

Okazję do szczerzenia nowej orientacji dała Woytowiczowi praca pedagogiczna. Jako profesor fortepianu starał się o uzupełnienie programu studiów konserwatoryjnych o nowe dzieła francuskie, szczególnie impresjonistów. Już po wojnie opracował artysta dla PWM-u najważniejsze pozycje dorobku Claude'a Debussy'ego, w tym tomy *Preludiów* i *Etiud*.

# Woytowicz in memoriam



Bolesław Woytowicz Foto: Józef Wróbel

Z przedwojennego dorobku kompozytorskiego Woytowicza zachowało się niewiele, wystarczająco jednak dużo, by móc powołać się na tę twórczość jako objaw zainteresowania propozycjami francuskiego neoklasycyzmu, tego spod znaku Populencja i Ravela - raczej sentymentalnego, niż ironicznego, uciekającego do idyllicznego świata małych form i archaizujących technik.

W twórczości podjętej po 1945 roku - już w Katowicach (w czasie wojny Woytowicz nie komponował; skutecznie wówczas działalność, jak się dziś mówi, gospodarczą: prowadził kawiarnię „Salon Mody i Sztuki”, która była konspiracyjnym ogniskiem muzyki polskiej. W kawiarni tej znajdował m.in. zatrudnienie sławny duet fortepianowy Lutosławski - Panufnik).

W latach 40. Woytowicz nieoczekiwanie zmienił swój kompozytorski image: stał się kompozytorem monumentalnych dzieł symfonicznych i kantatowych. Spłacił dług swojej epoce pisząc *Kantatę na pochwałę pracy* (1948) i *Prorok* (1950) - nieufnie przyjęte przez cenzurę, która usiłowała nawet wpłynąć na wymianę Puszkiniowskiego tekstu kantaty *Prorok* na tekst Iwaszkiewicza, wyraziłszy ideologicznie. Z określeniem orientacji estetycznej powojennej twórczości symfonicznej Woytowicza jest niemały kłopot - dzieła te od dawna bowiem zniknęły z estrad koncertowych; na „Warszawskiej Jesieni” wykonano po raz ostatni utwór Woytowicza (nomen omen *Poème funébre*) w 1979 roku. Z całego dorobku artysty zachowały się autentycznie jedynie dwa cykle fortepianowych *Etiud* (z 1948 i 1960 roku), nawiązujące do bogatej tradycji romantycznych cyklów etiud traktowanych jako compendia nie tylko chwytów technicznych, ale i pianistycznych faktur oraz związanych z nimi technik kształtowania materiału (Chopin, Liszt, Skriabin i Debussy narzucają się jako „chrześni ojcowie” cyklów Woytowicza).

Historycy nie są zdecydowani, jak zakwalifikować stylistycznie dojrzałe dzieła

MUZYKA

Woytowicza: Bogusław Schaeffer widzi w nich wpływy neoromantyczne, Krzysztof Baculewski przeciwnie - wzorcowe egzemplifikacje neoklasycyzmu. Obydwaj pomijają chyba to, co najważniejsze, co dotyczy koneksji z impresjonizmem oraz związków z tradycją muzyki fortepianowej.

O słuszności takiej kwalifikacji świadczy najlepiej droga, jaką poszli uczniowie Bolesława Woytowicza: Wojciech Kilar (pupil numer jeden, który przemieszkował nawet jakiś czas u mistrza), Romuald Twardowski, Andrzej Hundziak, Witold Szalonek. Wszyscy, choć z jakże innymi rezultatami, kontynuują spojrzenie na muzykę jako fenomen brzmienia, uciekają od nadmiaru intelektualizmu, przedkładają atrakcyjność bezpośredniego obcowania z żywiołem dźwięku nad techniczne eksperymenty. Obaj są świadomi, jakiego rodzaju dziedzictwo przejęli po Woytowiczu; odkrywa tę świadomość Witold Szalonek w poświęconej pamięci Woytowicza *Toccacie* organowej, znakomitym studium wspólnoty genezy dawnych mistrzów muzyki klawiszowej, Chopina i... Szalodka.

Przyznaje się do niej Kilar i inni uczniowie Woytowicza, których utworów można było posłuchać na rocznicowym koncercie poświęconym pamięci kompozytora, który urządził katowicki oddział Związku Kompozytorów Polskich wspólnie ze Szkołą Muzyczną im. M. Karłowicza. Koncert odbył się 13 grudnia ubiegłego roku, a jego wykonawczynią była znakomita pianistka Monika Sikorska-Wojtacha. W jej wykonaniu, jak zawsze perfekcyjnym, błyskotliwym, iskrzącym się temperamentem słuchaliśmy najpierw kilku utworów Fryderyka Chopina. Następnie zaprezentowała pianistka wybór etiud Woytowicza, charakteryzujących się świetnym wyciuciem faktury fortepianowej, jak też prawdziwym zmysłem stylizacji - takim, który wytwarza specyficzne napięcie między przywołanym kontekstem historycznym a bazą współczesnych środków i w tym sensie jest przeciwieństwem eklektyzmu. Z odmianami estetyki „gier” intertekstualnych zapoznali słuchaczy także utwory Andrzeja Hundziaka - *Sonata* z 1997 roku, utwór żywy, brawurowy, pozwalający z optymizmem myśleć o przyszłości wirtuozowskiego nurtu muzyki fortepianowej oraz Romualda Twardowskiego - skomponowana w 1980 roku *Muzyka koncertująca*, w której po raz kolejny objawił twórca naturalną inwencję melodyczną i ogromną pomysłowość w dziedzinie faktury i brzmienia.

Dedykowane Bożenie Gieburowskiej *Preludium* Witolda Szalodka fascynowało ogromem ekspresji ujarzmionej zdyscyplinowanym polifonicznym językiem. Na koniec zabrzmiały *Trzy preludia* Wojciecha Kilara, jeden z pierwszych utworów znakomitego kompozytora, napisany jeszcze w czasie studiów (1951). Był on trafnym podsumowaniem rocznicowego recitalu, w którym „szkoła Woytowicza” zaprezentowała się spójnie i wyraziście, podpisując się pod coraz głośniejszym powtarzaniem dziś hasłem: „kompozytorzy chcą, w którym „szkoła Woytowicza” zaprezentowała się spójnie i wyraziście, podpisując się zbiorem pod coraz głośniejszym powtarzaniem dziś hasłem powrotu do twórczości (tak!) i muzykowania.

MAGDALENA DZIADEK

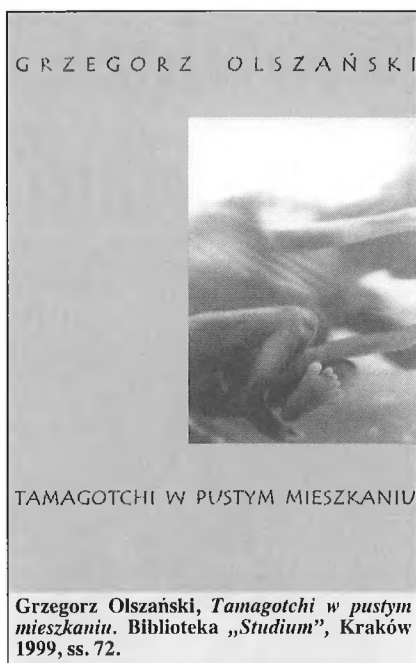
1. Nie ukrywam, że po lekturze *Recytacji z pamięci* na debiut książkowy Olszańskiego czekałem z niecierpliwością, a wydane w bibliotece Studium *Tamagotchi w pustym mieszkaniu* nie zawiodło moich oczekiwań. Korpus czterdziestu utworów, programów rzeczywistości, podzielonych na cztery równorzędne levele, budują świat spójny. Nie ma się ich zarzut nudności.

Zacznijmy od tytułu. *Tamagotchi* jest nawiązaniem do *Kota w pustym mieszkaniu* W. Szymborskiej i nie jest to nieświadczy zbieg tytułów. Tematem wiersza Szymborskiej jest śmierć w oczach zwierzęcia oswojonego, domowego, niejako „uczłowieczonego”. Według Edgara Morina bardziej rozwinięte zwierzęta odczuwają śmierć w postaci bolesnych i gwałtownych wzruszeń. Tytułowy kot czeka w pustym mieszkaniu, jest zaniepokojony i zły, domaga się partnerstwa. Z powodu zaburzenia porządku świata, będącego konsekwencją śmierci, zagłada pod dywan, za szafę, niecierpliwi się. Kot Szymborskiej staje się liryczną maską, spoza której poetka patrzy na śmierć, dystansując się od niej.

Kot Olszańskiego przeszedł pokoleńową mutację. Z istoty żywej przeobraził się w zespół układów scalonych imitujących głód, pragnienie i potrzebę wyjścia na spacer. W przeciwieństwie do oswojonego (uczłowieczonego) kota Szymborskiej, tamagotchi jest elektronicznym projektem stworzonym przez człowieka w celach zabawowych. Elektroniczne zwierzę nie doznaje wzruszeń. W jego „oczach” śmierć — zaburzenie porządku — nie ma żadnego znaczenia. Na cyferblacie sygnalizuje elektroniczny głód, pragnienie, elektroniczną potrzebę opieki. Może oznajmić zaprogramowaną śmierć i gotowość ponowienia zabawy. Tamagotchi jako gra może być formą nauki odpowiedzialności bez ryzyka spowodowania prawdziwej śmierci. W nawiązaniu do kota Szymborskiej, tamagotchi Olszańskiego jest maską liryczną, spoza której poeta przygląda się zaburzeniom, jakie dotknęły jego podmiot liryczny, maską, której zadaniem jest maksymalna redukcja czynników emocyjnych.

2. Pochyłam się nad wierszami Olszańskiego jak kasjerka przyjmująca wpłaty za gaz i mieszkanie nad każdym niewyraźnie napisanym przecinkiem. Sprawdzam jak maszyna do pisania zszywa słowa, gesty, ruchy w jedno, w wiersz, będący nadpłatą serwowaną życiu i muszę powiedzieć, że robi to znakomicie. Zdanie jakoby taki typ poezji należał do kategorii *light*, mogłoby mieć swoje uzasadnienie w tym, że czyta się ją z autentyczną przyjemnością, ale posądzanie jej o płycizny intelektualne byłoby błędem.

Tanataosowi i Erosowi towarzyszą w książce wątki społeczne i metatekstualne. W gruncie rzeczy Olszański pisze biografię, jakby chciał ocalić od zapomnienia kilka charakterystycznych rysów rzeczywistości w jakiej przyszło mu żyć. Słyszę w jego poezji miedzianą „*non omnis moriar*”. Kiedy zaczynamy już być „podobni dawno nie odkurzonym sprzętom”, wyraża dezaprobatę na taką postać rzeczy,



TAMAGOTCHI W PUSTYM MIESZKANIU

Grzegorz Olszański, *Tamagotchi w pustym mieszkaniu*. Biblioteka „Studium”, Kraków 1999, ss. 72.

## Wrażliwość

wierzy, że „zostaną po nas zamki i fragmenty przerywanych zdań”. Materiałem na wiersz staje się tutaj potencjalnie wszystko w zasięgu pola widzenia i pola słyszenia poety. To, co można zaobserwować i usłyszeć staje się godne utrwalenia, bo tylko to, zarejestrowane obiektywem poezji, pozostanie w pamięci. Oko i ucho u autora *Recytacji...*, podobnie jak pamięć, mają dominujące znaczenie. Biografia ta pisana jest z połotem językowego odkrywcy dalekiego od dosłowności. Wielokroć dochodzi do sytuacji, w których prawdziwym bohaterem wiersza staje się jego język.

W utworze *Sny, słowa... Pojedyncze zdania, złożone problemy* oko autora niczym kamera rejestruje zastane realia, poddane następnie artystycznym zabiegom kosmetycznym.

*Na podwórku ktoś porozbijał butelki i BMW na białych tablicach*

*ostrożnie kołuje w stronę bramy*

To, co rzuca się w oczy, to szereg kontrastów. Brzydkiemu podwórku przeciwstawiony jest symbol luksusu (*BMW na białych tablicach*), z jego nudą (podwórka) kontrastuje świat filmu (*nocami brakuje tlenu, gwiazd, fabuły z Bondem. Jeśli pojawia się agent to tylko ubezpieczeniowy*) i literatury (*Brakuje dramatów opisywanych w tragediach, tragedii odgrywanych w dramatach, wydarzeń na pierwszych stronach wierszy*). Światem rządzą prawa reklamy. Podniesiony do sfery sacrum sklep *co chwilę przyjmuje i wyrzuca całe rzesze wiernych telewizyjnym reklamom*. Bohaterami swoich wierszy czyni Olszański obserwowanych i podsłuchiwanym ludzi ulicy, postacię *naślą-*

*dujące bohaterów współczesnej poezji*. Jedyne co spośród nich wyróżnia ją liryczne, jest fakt świadomego rejestrowania spostrzeżeń.

*sąsiadka (...)*

*wychyla się przez okno i robi to samo co ja.*

*tylko pewnie tego nie zapisuje.*

3. Teraz „siedzę i patrzę” ze *Snów, słów...* w *Rozmowach kontrolowanych* funkcjonuje jako „stoje i słucham”. Przedmiotem opisu staje się tutaj wypadek na kopalni, powódź albo samobójstwo młodego człowieka na wsi. Poeta udziela głosu naocznyemu świadkom tragedii, pozwalając sobie jedynie na skromny komentarz odautorski. Indywidualizuje język postaci. Stąd szeroki wachlarz kolokwializmów i wulgaryzmów. Wiersz żyje, jest w swej wymowie autentyczny i naprawdę „trafia w dziesiątkę”. Czytając, czuje się, że opisywana sytuacja mogła mieć miejsce.

Zwróćmy uwagę na poetykę całego zbioru. Wiersze Olszańskiego rozwijają się w kształcie właściwym opowiadaniu, nad metaforyczną kondensacją obrazu dominuje „epicki” opis. Teksty poddane są żywiołowi reportażowemu. Z tym związany jest inny — żywioł potoczności i gra frazeologiczna. Jak już wspomniałem: w wielu wypadkach język z jego metaforyką codzienności staje się bohaterem utworu. Optycznym wyznacznikiem poetyckości jest wersyfikacyjny układ tekstu, który pozwala także uwydatnić grę słów i budować zaskakującą metaforę, jak choćby w cytowanym już fragmencie

*sklep otwarty jak tabernakulum podczas podniesienia co chwilę wyrzuca i przyjmuje całe rzesze wiernych telewizyjnym reklamom*

Zwraca uwagę postawa egocentryczna, często ironiczny dystans, wobec przedmiotu. To poezja obserwacji i obiektywistycznego zapisu przepuszczonego przez filtr indywidualności poetyckiej Olszańskiego.

4. Lekko sentymentalne oblicze z podtekstem odkrywa autor *Tamagotchi...* w erotykach. W *Odzie do ud* wyznaje

*chciałbym być taką gruszką albo jabłkiem, którym smarujesz swoje uda*

a 364 prezent *nieurodzinowy*, graniczący z finezyjnym gadulstwem, jest w istocie zakłębieniem miłosnym, hipnozą ofiary, grą wstępną.

Polecam tę książkę, bo chociaż tamagotchi nie jest nawet istotą żywą, to jego autor nie utracił niczego z żywej, ludzkiej wrażliwości. Śmierć, erotyka, pierwiastki społeczne, wyrażone językiem wyważonym, odartym z patosu, nie wyczerpują lektury tekstu. Uciekając od rzeczywistości autor *Snów, słów...* odnalazł w niej swoje autonomiczne miejsce, przestrzeń prywatności. Ciekawie przedstawia nam sposób jej zagospodarowania.

PAWEŁ LEKSZYCKI

**K**atarakta jest debiutanckim tomikiem poetyckim W. Mogielnickiego — poety znanego czytelnikom takich czasopism literackich, jak: *Studium*, czy *NaGłos*. Jest to zbiór starannie przygotowany, skomponowany, po przeczytaniu którego odnosi się wrażenie, że żadne słowo nie zostało uronione niepotrzebnie.

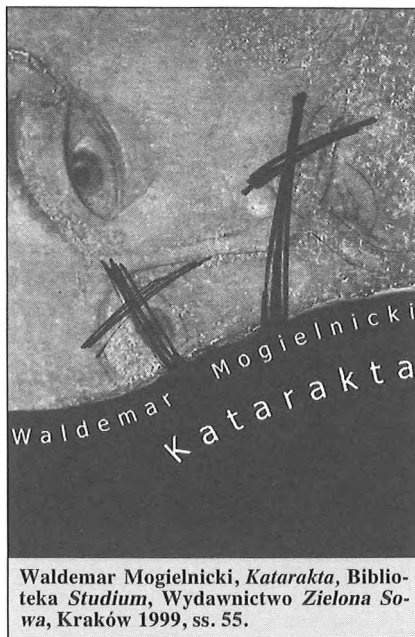
Tytuł *Katarakta* jest swoistym wężem problemów, tematów zbioru. Pierwszy z nich to problem poznania, reprezentowany przez OKO (słowo-kłucz tej poezji). Oko pośredniczy w poznaniu, dzięki niemu możliwe jest przenikanie się dwóch światów, zewnętrznego wobec człowieka i tego, co wewnątrz. Oko w poezji Mogielnickiego to oko ZACMIONE, zasnuwane, o ograniczonym widzeniu, obrazy, jakie do niego docierają — rozmyte, niewyraźne. To coś mniej niż oko — CIEN OKA doskonałego, boskiego, które wisi nad bohaterem lirycznym jak znak jego ograniczenia; jednocześnie znaczący przestrzeń, rozszerzając ją o perspektywę wertykalną. Pytanie — *Ile zdołasz ukryć / krótki cieniu oka?* (*Katarakta*) otwiera problematykę egzystencjonalną. Człowiek uwikłany w czas, swoją materialność, cielesność (*piach przesypany się w piach, bagno krwi*), przedstawiony jest jako zachłanny kolekcjoner, który w pośpiechu gromadzi obrazy świata, nim układ planet zmieni się, a CIEN (cień, piasek, lupina; leksyka marności jest tu bardzo bogata) zniknie.

Tytułowa KATARAKTA pojawia się w wierszach Mogielnickiego w jeszcze jednym kontekście, jako *katarakta głosu (nie zakorzenie się w kontekście światła...)*. Głos — znak poetyckiej ekspresji, zniekształcony, stłumiony, aż do całkowitego zgaszenia, staje się znakiem twórczej niemocy, pogłębionej poczuciem osobności:

*Z ust padają zwoje  
płaskie zwoje  
liter których nikt  
już nie chce czytać (Kir)*

Wątek autotematyczny bardzo silnie zaznacza się w wierszach Mogielnickiego, wystarczy przywołać niektóre tytuły utworów: *Pióro, Onomatopeja, Fletnia, Inicjał, Wrzeczono*. W konstrukcji zbioru, zbudowanego z dwóch części, opatrzonych tytułami zaczerpniętymi z terminologii muzycznej (*Intrada, Koda*) wyraża się poetyckie dążenie do stanu słowa, w którym znaczenie wraz z przylegającym dźwiękiem, jedynym właściwym, stanowi pełnię wyrazu. Zbiór czytany jako całość, zawiera w sobie znamiona dramatu, z charakterystycznymi dla niego momentami. *Intrada* — pierwsza część tomiku, swoista ekspozycja, prezentacja bohatera lirycznego:

*Jasny cieniu nie odwracaj głowy  
Idź prosto przed siebie*



# Katarakta

*Nie tylko miłość jest z nami  
W naszej krwi płynie  
ciemne imię świata*

*Idź prosto ku wschodzącym brzaskom  
do źródła melicznego gaju*

*Naśladowaj stworzenie słowa  
(Onomatopeja)*

Poeta — *jasny cień*, zwrócony ku Słońcu (POZNANIE, SACRUM — jest ono stałym punktem odniesienia bohatera lirycznego zbioru), twórca, naśladowca Wielkiego Kreatora. Poezja staje się opatrunkiem chorego oka, zablizniana ranę „niedowidzenia” (*Pióro*). Oko, które widzi więcej, inaczej (?), staje się jednak przyczyną lęku, pojawiają się w tej poezji tony niepokoju niemal katastroficzne. Metaforą ludzkiej egzystencji jest obraz nocnego nieba, które mimo jasności księżyca (światło zimne, nieprawdziwe), gwiazd (znak ślepego losu, przemijania) pozostaje ciemne. Słońce — jedyne prawdziwe światło, znajdujące się poza ludzkim doświadczeniem, będąc zawsze „gdzieś po drugiej stronie”. W poezji Mogielnickiego jest dużo mroku, chorych drzew, ciemnych krzewów, także bardzo wyraźna tęsknota za Jasnym Krzakiem, który przemówi boskim głosem:

*Człowiek przeżywający swą śmierć  
o oczach wypłukanych przez wiatr (...)  
Idzie czołem w źrenicę księżyca  
szuka gwiazdy w oku śniętej ryby  
egzorcysty nauczyciela i lekarza  
w jednej osobie drzazgi trójpalczastej  
czastej belki (Drzazga)*

Wyczuwa się w tych wersach echo różewiczowskich poszukiwań Mi-

strza, który nauczy, uleczy... W *Kodzie* (kulminacja, sytuacja dojścia, rozwiązania) dochodzi do Spotkania. Obraz Boga nie jest jednoznaczny, jego natura ma dwoisty charakter. Z jednej strony to Bóg niedosięgly, starotestamentowy Jahwe, widzący świat na opak, z oddali. I jest Bóg, który pozwala się odnaleźć, którego można oswoić, sprowadzić do ludzkiego, Bóg *szarej izdebki (Religia)*. Momentem zwrotnym w biografii bohatera lirycznego jest „przejrzanie” ludzkiej natury Boga, odkrycie *w oku czarnym / i trójkątnym / wypukłym / i wklęsłym / Oku jedynym (Oko) oka pragnącego oka (Miłosierdzie)*; zarazem rozpoznanie pierwiastka boskiego w człowieku — jego boskiej natury. Objawienie to porządkuje świat, nadaje sens ludzkiej egzystencji, tłumaczy cierpienie; wyłania się z niego wizja Boga, którego Krzyż mierzy się miarą ludzkiego ciała (*drzazga trójpalczastej belki*) i człowieka — przebóstwionego, w którym Bóg, jak znak krzyża *od ręki do ręki*:

*Rośnie we mnie Bóg  
Czarny tuman krwi — Bóg  
Od ręki do ręki — Bóg  
Od nogi do nogi — Bóg  
Od krzyża do krzyża — Bóg  
Uschnięty dendryt — Bóg  
Pusty akson — Bóg (Bóg (1))*

Ostatecznie, główne problemy tomiku — wątek metapoetycki, religijny, problem poznania splatają się, prowadzą do Jednego, który jest Źródłem wszystkiego (Boski Logos, *chmura głosu, Słowo*).

Drugą część zbioru (*Koda*) scalają wątki religijne — biblijne (*Kain, Św. Paweł*), sakralne (*Wino, Podniesienie*). Mogielnicki mówi znakami kultury chrześcijańskiej, z której wyraść, którą przyswoił, i której język w sposób naturalny stał się jego językiem. Symbole, znaki wiary przywołuje w sposób dyskretny, przysłonięły metaforą, zresztą dość wyrafinowaną. Nie jest to poezja łatwa, wymaga od czytelnika konsekwentnego odczytywania metafor (konstrukcji metafor), porządkowania ich narastających sensów, by ostatecznie dotrzeć do głębi wypowiedzi poetyckiej. Utworzy te, niezwykle nasycone, esencjonalne, cechuje forma niemal ascetyczna (*Św. Paweł, Morze, Pień*), nadając im kształt poetyckiej definicji.

To poezja poszukiwań, ich obszar stanowi także literatura. Mogielnicki często poprzedza swe teksty mottem, zaczerpniętym z utworów współczesnych polskich poetów, jak: Z. Herbert, T. Różewicz, Cz. Miłosz. Podpisuje się pod ich słowami, bądź polemizuje, czasami już samym tytułem wiersza (*Piosenka o końcu świata*) wskazuje na kontekst literacki, który jest mu bliski, poprzez który można czytać jego poezję.

EWA ŚWIĄC



Radosław Kobierski (bądź Radosław J. Kobierski), rocznik 1971, poeta i krytyk literacki, ostatnio ponoć także bibliotekarz. Autor wydanego w coraz prężniej rozwijającej się działalności bibliotece „Studium” debiutanckiego tomu wierszy *Niedogony* doczekał się drugiej książki. I cokolwiek by o niej nie napisać, będzie to moim zdaniem i tak zbyt mało. Tytułem wstępu wypada być może nadmienić jeszcze, że chorzowski poeta i krytyk udziela się regularnie na lamach kilku mocno oddalonych od siebie pod względem siedziby redakcji pism literackich (m.in. w „Toposie”, „Studium”), publikując z równym powodzeniem zarówno wiersze jak i recenzje. Nie mamy więc do czynienia z debiutantem, raczej z kimś, kto swoją wysoką pozycję w (młodo)literackim rankingu stara się potwierdzić.

Grzegorz Olszański w recenzji w następujący sposób napisał o wierszach Kobierskiego: „Najlepiej dawkować w małych ilościach: nie więcej niż dwa, trzy wiersze dziennie. W przypadku przedawkowania *farmakon* (...) przestaje działać jako lekarstwo, a zaczyna jako trucizna. Efektem jest miejscowa amnezja. Jednym słowem czytelnik przestaje cokolwiek z przeczytanych tekstów pamiętać, bowiem wszystko zlewa mu się w jedną całość”. Rzeczywiście, trudno nie zgodzić się z przytoczoną powyżej opinią. Sam na własnej skórze (a raczej na własnym umyśle) doświadczyłem początkowo owego „przedawkowania”, starałem się przeczytać *Rzeź...* od deski do deski i niestety granice między poszczególnymi wierszami zaczęły się coraz bardziej zacierać, wzrok stawał się mętny a to, co spożywane w mniejszej ilości mogłoby smakować, zaciekawić, zaczęło po prostu męczyć. Od samego początku należy powiedzieć sobie jedno: poezja Kobierskiego, zwłaszcza zaś wiersze z *Rzezi winiątek*, to poezja trudna, wymagająca od czytelnika bezustannej aktywności i skupienia, to poezja licznych metafor, porównań i nawiązań. Zaręczam jednak, że wytrzymałym smakoszom trud będzie wynagrodzony. Po pierwszym wzrokowym oswojeniu książki z wierszy zaczęły wylaniać się coraz bardziej interesujące kształty, coraz bardziej wciągające umysły świąty, od których po kilkakrotnym przeczytaniu trudno będzie się już uwolnić.

Zatrzymajmy się teraz przez chwilę przy nawiązaniach. W *Rzezi...* widoczne są wpływy zarówno poetyckiej prozy jednego z najbardziej ulubionych przez poetów prozaika — Brunona Schulza, jak i języka surrealistów. W ostatnim wersie utworu *Drohobycz, Śliwice* Kobierski wręcz wprost przytacza fragment zacerpnięty z opowiadania prozaika z Drohobycza: „potem przyszła matka i wczesna ta, jasna idylla skończyła się”. Podobieństw poezji Kobierskiego do prozy Schulza znalazłoby się jeszcze więcej, zwłaszcza w samej treści i jej tematyce. U obu twórców widać obsesyjne wręcz zainteresowanie zagładą. W wierszu bez tytułu (*ostatnie chwile przed kataklizmem*) Kobierski opisuje ów stan napięcia, zawieszenia, oczekiwania na zagładę, do której jednak w efekcie nie dochodzi, bowiem „trwoga ustępuje zmieszaniu”. Śmierć i jej różne odmiany stanowią najważniejszy motyw książki. W poetyckim *Liście do Tomka Różyckiego* (który



# Miłość do śmierci

swoją debiutancki tomik *Vaterland* wydał przed dwoma laty również w Stowarzyszeniu im. Baczyńskiego) Radosław Kobierski pisze m.in.:

„(...) potrafię sobie wyobrazić ostatnie kilka zapalek pod dwoma metrami ubitej ziemi (...)  
póki co jesteśmy żywi. trzeba to wykorzystać zanim wpuszczą nam obce języki pod skórę, zanim zaczną bełkotać kijem w ciepłych trzewiach jak w mrowisku”.

Nawet z pozoru tak optymistyczne wydarzenie jak ślub nosi w poezji Kobierskiego znamiona kłęski, przeczcucie śmierci jest wszechobecne i wszechogarniające. W jednym z moich ulubionych wierszy z *Rzezi...* pt. *Mendelssohn funebre* autor niezwykle trafnie i przekonująco, dzięki wykorzystaniu w odpowiednim miejscu gry słów kładzie w usta nowożeńców średniowieczne *memento mori*: „przyrzekają miłość do śmierci, śmierć przyrzeka miłość do nich”.

Przykłady motywów przemijania, śmierci można by tu mnożyć, że wspomnę jeszcze tylko o kilku (wiersz *Zgroza*, *zgroza* z okrutnym, naturalistycznym obrazem „szesnastoletnich dziewczynzek z obciętymi piersiami”, „Umarłych grzebać” z metaforycznym skojarzeniem pokoju mieszkania i trumny: „(...) na zamknięte wieko sufitu spadają zmarznięte grudki kroków”, czy *Szopka noworoczna* — opis samotnej pary w domu starców).

Poezja Kobierskiego to jak zdążyłem zauważyć już wcześniej, poezja dosyć trudna w odbiorze zwłaszcza na skutek

licznych aluzji, cytatów, ogólnie rzecz ujmując — intertekstualności. Jednak dzięki temu poezja ta również bardzo wiele zyskuje, prowokuje czytelnika do intelektualnego wysiłku, do poszukiwań wielu interpretacji.

Wśród autorów, z którymi podmiot liryczny wchodzi w dyskurs oprócz Schulza wymienić należy m.in. Artura Rimbaud (wiersz +++ nie jest się poważym w dwudziestej szóstej wiosnie”) Antoniego Czechowa, Lowry’ego czy Roberta Hassa.

I jeszcze jedno wydaje mi się u chorzowskiego poety niezwykle cenne, a mianowicie sposób budowania napięcia w wierszu. Mistrzowskim popisem tych umiejętności jest utwór *Lelów. Środek tygodnia*. Kobierski wychodzi tu, jak zwykle, od pełnego metafor opisu, następnie wiersz jak gdyby nabiera tempa. Obraz mężczyzny wykonujących prozaiczną czynność rozlepiania plakatów na ogłoszeniowym słupie urasta tu niemalże do rangi niebezpiecznego rytuału, poczucie niepokoju a nawet grozy rośnie z wersu na wers osiągając apogeuem w końcówce:

„bezrobotni wciągają bandery obłędu,  
wkładają ręce do kieszeni, przez myśl  
presuwa im się coś ostrego zanim  
ugrężnie  
po rękojeść. jeden, najmłodszy splota,  
wyciąga papier  
zwinęty w rulon, rozlepia na słupach.  
z daleka litery  
gęstnieją jak grysik. z bliska układają  
się w czytelny  
kształt: kraina łagodności zaprasza,  
wejdźcie, czekamy... (...)”

Dość znamieny jest stosunek autora *Niedogonów* i *Rzezi...* do języka. W otwierających książkę *Dzieciach słońca* czytamy: „należy się szacunek słowom, że się nami zajęły”.

Słowo, zwłaszcza zaś słowo poetyckie, to coś niezwykle ważnego, żyjącego prawie własnym życiem. Według podmiotu lirycznego to nie my zajmujemy się słowami, tylko słowa zajmują się nami. Z drugiej strony jednak stanowisko wobec języka poetyckiego jest dosyć ostrożne, by nie powiedzieć pesymistyczne. W wierszu *Zbitki ciał, zbitki słów* natrafiamy na „rzeźnię znaczeń” i „puste czcionki”. Tu z kolei język jest wpisany w śmierć („mówię tylko co zmarli”), a może raczej odwrotnie — śmierć wpisana jest także w mowę.

Cóż jeszcze można napisać o *Rzezi winiątek*? Przecież niemal każdy z tych trzydziestu dwóch wierszy zasługuje na oddzielne omówienie, na „zajęcie się nim” z osobna. Ponieważ jednak miejsce mam ograniczone, musiałem skupić się tylko na moim zdaniem najważniejszych wyznacznikach tej poezji, musiałem poprzestać na nieśmiałych próbach sklasyfikowania czegoś, co jednocześnie wymyka się wszelkim szufladom. Radosław Kobierski tworzy poezję oryginalną, zmysłową, ale przez cały czas mając w pamięci swoich wielkich, nie tylko poetyckich, poprzedników. Kobierski nie tylko ich nie neguje, ale również wdaje się z nimi w dyskurs, wykorzystując swoje czytelnicze doświadczenia i fascynacje. Czegóż jeszcze chcieć więcej?

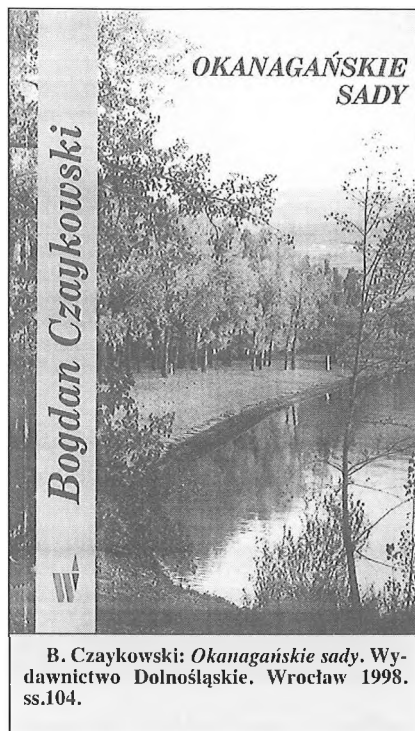
WOJCIECH BRZOSKA

Obsesyjne obrazy przeszłości i marzenia o przyszłości, klasyczna forma i romantyczne „czucie”, rozsądna zgoda i dramatyczny bunt, stabilizacja postojów i dynamizm wędrówki, gorycz zwątpienia i siła nadziei, stagnacja rezygnacji i wiara w sens poszukiwań, spokój medytacji i gorączka poznania, codzienna rzeczywistość i oniryczne wizje, realizm powszedniości i baśniowość mitu, chłód opanowania i pasja namiętności, smutek rozstania i radość chwili — przeciwieństwa można by mnożyć... I nie powinno to dziwić, bowiem właśnie antytezy, zaskakujące zmiany ról, paradoksy rządzą światem poezji Bogdana Czaykowskiego. Najnowszy (już siódmy, choć dopiero drugi wydany w Polsce) tomik tego autora, związanego przed laty z londyńską grupą „Kontynenty”, został zatytułowany *Okanagańskie sady*.

Bogdan Czaykowski poeta (zbiorki *Trzciny czcionek*, *Reductio ad absurdum*, *Sura*, *Spór z granicami*, *Point-no-Point*, *Wiatr z innej strony*), eseista, tłumacz (np. redagowana wspólnie z Andrzejem Buszą i Adamem Czerniawskim antologia *Modern Poetry in Translation*) i literaturoznawca o „powieściowym życiorysie”, jak poviadała Maria Danilewicz Zielińska, urodził się w Równem, dzieciństwo spędził na Wołyniu i w Brześciu nad Bugiem, w 1940 roku został wywieziony do Związku Sowieckiego, później przebywał kolejno w obozie w okolicach Wologdy, w kolchozie koło Samarkandy, w Kermie, w Aszchabadzie, w sierocińcu w Persji, Indiach, Jamnagar, w obozie w Valivade, w Anglii. Dziś mieszka i pracuje jako wykładowca British Columbia University w Vancouver.

Najnowszy tomik Bogdana Czaykowskiego to próba podsumowania poszukiwań, odnalezienia własnego miejsca (*Okanagańskie sady*), wyciszenia (*Nawet cień*) i zadumy nad transcendencją, przemijaniem (*Testament*, *Elegia*), to refleksja nad urokiem przyrody (inc. *Jaki jasny miesiąc...*, *Pogoda*) ogromem i niepoznawalnością wszechświata (*Medytacja*), to poetycka wędrówka do wysnionego wnętrza (*Prawa fabuły*, *Mroczna iluminacja*, *Śnione*), to zbiór pytań o istotę człowieczeństwa i parabolicznych odpowiedzi, kreujących nowy mit początku (*Przypowieść*, *Bajka*), to zaskakujące, migotliwe objawienia nieodgadnionej i ulotnej prawdy (*Bo w końcu byłam*), to też apoteoza miłości... (*Epi-thalamion*, *Jest bowiem pięknie*).

Motyw podróży, tułaczki po wieku egzotycznych nawet miejscach, niemożność odnalezienia swego miejsca w świecie, dramat określenia własnej tożsamości, wykorzenienie, alienacja, to istotne motywy dotychczas-



## Paradoksy i wyobrażenia

wej twórczości Czaykowskiego. „Urodzony wiele razy, urodziłem się raz jeszcze. / Przywiązałem do miejsca” deklaruje podmiot tytułowego wiersza tomiku. Krajobraz Kanady ukoił więc rozedrgane nerwy, natura uwiodła urokiem, najlepszym miejscem okazała się być cała ziemia. W poezji Bogdana Czaykowskiego nic nie jest jednak ostateczne i stałe, wszystko podlega zmianom. Stąd też bywają chwile zwątpienia werbalizowane w następujący sposób „Nie wygnany, i nie emigrant, ale wywieziony. (...) Wydziedziczony? Z czego? Od dawna / bezsilny” (*O czym pamiętał we śnie sen*).

Wyobrażenia, zdaje się mówić podmiot poezji Czaykowskiego, ma moc kreacyjną (*Bajka*), pozwala odkrywać nieznane, przeczuwać przyszłe upojenie miłością (*Była Halinka*), kosztować tajemnice istnienia, podróżować „w krainę wątków naporczytych / w splątane genety / w czas i nieczas czasu” (*Wyobrażenie*). To imaginacja delikatnie spowija fantazją rzeczywistość, zapala kolory wśród szarego krajobrazu, niestety ceną za jej doświadczenie jest śmierć (*Na wewnętrznej stronie „Ziemi Urlo*”). W świecie tej poezji „prawa fabuły” były kiedyś rzeczywistością, sen to przestrzeń zezwalająca na po-

znanie zakamarków bytu („Tej szczeliny w granicie nikt nie spenetrował / przecięnięty przez głązy idej ciemną żyłą / wewnętrznej skazy prowadzącej w górę”) i istnienie nieistniejącego (*Śnione*), a siła marzeń polega po prostu na tym, że „wracają”. Stworzenie świata to efekt rywalizacji Boga z Diablem (*Przypowieść*) lub erupcja boskiej wyobraźni (*Bajka*). Ale poezja Czaykowskiego to kraina gwałtownych zwrotów, dlatego też wyobraźnia człowieka może być przyczyną boskiego gniewu (*Mroczna iluminacja*).

Tajemnicze paradoksy („Myślałem porzucić siebie, zanim się porzucę”, „A w ogóle to nie pozwałam / ani zostawić ciała tam, gdzie mu się zmarło, / ani przenieść gdzie indziej.”), ale i proste sentencje („wiedz, że nie będziesz piękny wewnątrz / bez doświadczenia zewnętrznego piękna”, „Ludzie nie powinni być samotni”) tak charakterystyczne dla przestrzeni tekstów Czaykowskiego, opisują również bohatera tej poezji, człowieka pełnego „zgodnych przeciwieństw”, mistyka i agnostyka, medytującego filozofa i namiętnego kochanka, realistę i marzyciela.

Podmiot wierszy Czaykowskiego stawia fundamentalne metafizyczne pytania o sens życia i istotę śmierci („Wszyscy po mnie umrą. No, którzy z was nie umrą?”), próbuje rozwiązać manichejską zagadkę współistnienia dobra i zła, zdefiniować pojęcie prawdy „czyli nie co na pewno jest, / lecz co być może, być może”, wyjaśnia, że jednego życia „Za mało mi było. Jest mi za mało. / Za dużo mi było. Jest mi za dużo”.

*Epi-thalamion*, utwór weselny, stanowiący osobną całość, przedstawia ślub jako mistyczny rytuał łączący dwoje ludzi, a dzień wesela, który „wprawia w krążenie bieguny”, jako magiczny punkt czasu. Miłość jest tu orężem życia w walce ze śmiercią („W pobraniu się jest spisek, w koniunkcji — konspiracja. / Urodzi się z niej życie, więc jest to zamach na śmierć”), wybór ukochanej osoby zasnuwa tajemnicą przeznaczenia, a kiedy kochankowie „zbliżają się do siebie / ozywa mit z Biesiady Platona”. Zaś bohater *Ballady* nawiązującej do słynnej *Świtezianki* Adama Mickiewicza pozostaje wierny ukochanej sła-wiac „słodcy ocalenia”... „wodnicy”.

Wśród sześciu wierszy poetów kanadyjskich zamykających *Okanagańskie sady* znajduje się krótki tekst Roberta Bringhursta, w którym czytamy: „Przypatrz się mu, wpatrz się / w kryształ, a on ci wyjawi / nie przyszłość, nie, / lecz jakość / kryształu, / rdzeń jasności”. Poezja Bogdana Czaykowskiego tak jak kryształ wymaga skupienia, zadumy i wnikliwości...

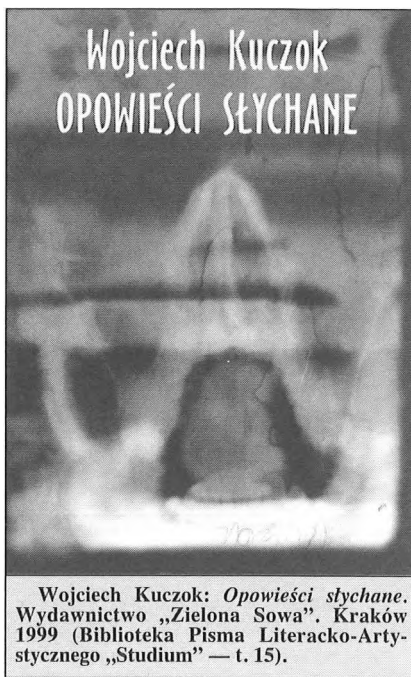
Jezeli wolno sądzić z nagłówków obu jego książek, Wojciech Kuczok lubi derywację wsteczna. W tytułach tomu wierszy z 1996 roku, jak i wydanego niedawno zbioru opowiadań znajdujemy neologizmy utworzone przez usunięcie przedrostka „nie-” z wyrazów zaprzeczonych. Były *Opowieści samowite* (to tytuł wspomnianego tomiku poetyckiego), teraz otrzymaliśmy *Opowieści słychane* (tytuł zajmującego nas tutaj tomu prozy)...

Jest chyba jakiś zamysł w tym chwycie. Można podejrzewać, że Kuczok informuje nas o materii swojego pisarstwa. A byłaby nią codzienność, sprawy zwykle i pospolite. Jednocześnie owa codzienność i pospolitość, ujęta w literacką formę opowieści, doczekały się nobilitacji. Bo tytuły książek Kuczoka, owszem, każą myśleć o rewersie tego, co niesamowite i niesłuchane (a więc — literackie!), przydając zarazem temu rewersowi cechę niezwykłości. Autor więc nie wyrzeka się estetyzmu. Przeciwnie, przenosi jego normy poza sferę dla estetyzmu zastrzeżoną (poza sferę niesamowitego i niesłuchanego). Sugeruje, że choć będzie mówił o tym, co zwykle i pospolite, to będzie to czynił w kunsztownym języku literatury, w takim języku, w którym nie ma miejsca dla zwykłego i pospolitego. Pod jego dotknięciem bowiem to, co zwykle i pospolite, w cudowny sposób przemienia się w samowite i słychane. Jakież to artystowskie! Jakież to smakowite!

Nadal krążymy wokół tytułu. Gdyby doszukiwać się w nim wyrazu autorskiego programu, to takiego, który wyrazić inaczej można by w takich oto słowach: chodzi o przekucie pospolitej codzienności w literaturę. Co w tym niezwykłego? Zgola nic. To jedynie niewczesna obietnica małego realizmu — chciałoby się powiedzieć, wzruszając przy tym ramionami. A jednak! Ta obietnica ma pewien walor, ta obietnica mimo wszystko brzmi intrygująco. Jej walor polega na tym, że jest obietnicą nieziszczalną. Co więcej, sama swą nieziszczalność deklaruje, choć czyni to bardzo dyskretnie. Codziennosci i literackości są dla Kuczoka sferami nieprzyległymi, które muszą się mijać ze sobą. Codziennosci (tj. tego, co poza literaturą) nie sposób wyrazić w języku literatury. Pochwycona w sieć tego języka, codzienność bowiem przestaje być sobą. Zatraca wówczas wszystko, co stanowi o jej specyfice. Powtórzmy, literatura przeobraża „zwykle” w coś niezwykłego — w samowite lub słychane. Jakież to nowoczesne!

A jeśli nowoczesne, to (w dobie ponowoczesności) staroświeckie. Nie wydaje mi się, by Kuczok (czy to jako poeta, czy to jako prozaik) poważnie traktował dylematy nowocześniejszej estetyki, gdzie pytanie o stosunek sztuki do rzeczywistości zajmowało centralne miejsce. Jeśli powraca do tych problemów, to w taki mniej więcej sposób, w jaki sięgamy po stroje naszych dziadków i babek. Bal maskowy, wielka przebieranka. Zabawa w literaturę (nowoczesną) — ot, co!

Proza Wojciecha Kuczoka ma co najmniej dwie zalety, na które warto zwrócić uwagę. W szczupłym objętościowo tomiku autor, po pierwsze, dowodzi swoich umiejętności stylizacyjnych. Wcale zręcznie imituje rozmaite odmiany mówionej polszczyzny: mowę Ślązaków (*Diabol, Pieron ognisty*), ludzi niewykształconych (*Mrózg*), slang młodzieżowy (*Pieron ognisty, Tładzik*). Nic dziwnego, że formą podawczą większości opowiadań jest monolog wypowiedziany. Mamy tu również do czynienia z naśladowaniem literackich wzorów: gorączkowa, wielokrotnie złożona, nieco archaizowana (szyk przestawny) składnia opowiadacza przywodzi na myśl styl Gombrowicza, co dotyczy nie tylko zamykającego tom opowiadania *Winni-*



## Opowieści Kuczoka

czek, które już bez żadnych niedomówień jest ćwiczeniem z pisania w stylu ferdydurkicznym.

Po drugie zaś, Kuczok ujawnia nie tak znów częsty u debiutantów ostatnich lat zmysł kompozycyjny. Jego ideałem jest opowiadanie „dobrze zrobione”, przejrzyste i precyzyjnie skomponowane. Żadnych dygresji, wątków pobocznych, „struktur otwartych” czy „brulionowych”... Kompozycyjna precyzja i rygor nade wszystko!

Jeśli elementy stylizacyjne w tej prozie ciążyą ku biegunowi świata pozaliterackiego, to z kolei wyraźna troska o ład konstrukcyjny jest tutaj znamieniem literackości. Wszelako, rzecz to niezwykle ciekawa, że złożenia jednego z drugim nic szczególnego nie wynika! Rozpatrywane z osobna, obie wymienione właściwości prozy Kuczoka zdają się jej niekwestionowanymi zaletami. Funkcjonując obok siebie, dają jednak rezultat mało interesujący. Jak to możliwe?

Jest bowiem tak, że z tych dwu biegunów jeden zdecydowanie dominuje. Tak naprawdę, rzeczywistość (codziennosc, świat pozaliteracki) zaznacza się tu wyłącznie w mowie niektórych postaci. To, co ostatecznie zwycięża i decyduje o wymowie opowiadań Kuczoka, przychodzi zaś wyłącznie z krainy literatury. By w tej prozie mógł naprawdę się rozegrać spór między rzeczywistością a literaturą, te dwie jakości musiałyby występować z równorzędnych pozycji. Słowem, rzeczywistość (codziennosc) musiałaby włączyć w język i gramatykę trybu narracyjnego. Jako coś obcego, różnego od literatury, musiałaby rozsądzać, a przynajmniej kwestionować sposób opowiadania, konstrukcję tych utworów. Tak nie jest. Utwory Kuczoka są w istocie nazbyt spójne, nazbyt wierne zasadom dobrej konstrukcji literackiej, by być wiarygodne. I nie chodzi tu o same wyłącznie pointy, na których jednoznaczność uty-

skuje większość recenzentów *Opowieści słychanych*. Kuczok najwyraźniej bagatelizuje rzeczywistość, biorąc z niej wyłącznie językowe bibeloty (tj. sposób mówienia tego czy innego bohatera).

„Nie piszą się wiersze ładne” — pisał ongi Kuczok w wierszu *Niepoemat czwartej nocy*, jednym z najlepszych, jakie znalazły w tomiku *Opowieści samowite*. Wina opowiadań ze zbioru *Opowieści słychane* jest jednak to, że te utwory chcą, nazbyt chcą, być ładnie napisane i skomponowane. Ich styl i kompozycja (w rezultacie — sens) wywodzą się i, koniec końców, powracają jedynie do literatury. Literatury rozumianej tu jako rezeruar inwencji, zbiór konceptów, pomysłów na opowiadanie. Jakkolwiek by interpretować utwory Kuczoka (walka płci, walka kultury z biologią, agresja i autoagresja jako rezultat wyobcowania), czytelnik wie, że źródłem tych porządkujących matryc jest wykorzystany przez autora sposób pisania lub konstrukcji, pomysł na opowiadanie na temat... A to, co pojawi się po wielokropku, zależy już wyłącznie od inwencji twórcy.

Mizoginizm? Dlaczego nie! Konflikt popydów i norm kultury? Też dobrze. Alienacja? Może być... Rzecz w tym, że wszystko być może. Można zbierać w problematyce niczym w towarach wystawionych na sklepowych półkach. Trzeba tylko mieć dobry pomysł. Pomysły Kuczoka miewa całkiem udane, lecz są one na tyle lekkie, wręcz nieźnośnie lekkie, iż nie sposób uwierzyć ani w mizoginizm, ani w spór natury z kulturą, ani w wyalienowanie jego bohaterów. Zaufanie budzi jedna tylko z wiar deklarowanych przez Wojciecha Kuczoka. Autor *Opowieści słychanych* wierzy literaturze. I podziwia Gombrowicza. Tutaj, jak sądzę, jest szczerą — aż do bólu.

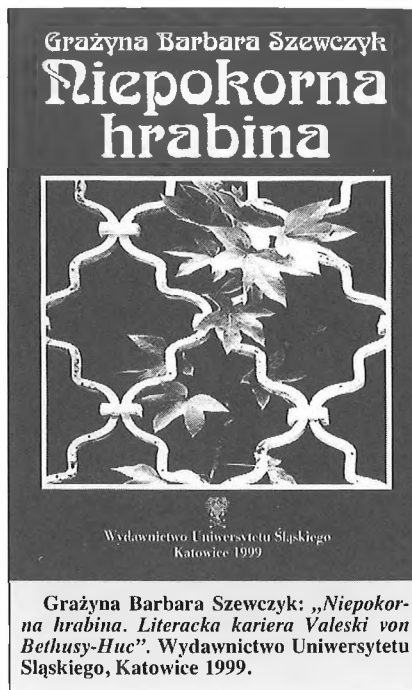
W tym miejscu mógłbym zamknąć omówienie *Opowieści słychanych*, gdyby nie fakt, że w tej książce znalazł się jeden tekst, nad którym nie można przejść obojętnie. Otwierający książkę *Diabol* to opowiadanie również krótkie, co pozostałe, skonstruowane i napisane bardzo podobnie. Tyle, że jest prawdziwą ozdobą tomu. Dla tego jednego utworu warto sięgnąć po ten zbiór. W ośmiu epizodach, na kilku stroniczkach, Kuczok szkicuje „banalną” historię kogoś, kogo niemożność wyrwania się z narzucających się, powtarzalnych i banalnych układów międzyludzkiej pychy do samobójstwa. Mniejsza o ten finał, który może się wydawać nazbyt wyrazistą pointą (Kuczok oczywiście wyszukuje pewien stereotyp — przed oczyma konającego przebiega całe jego życie). W tym akurat wypadku to materia i problematyka utworu decyduje o jego kształcie stylistycznym i kompozycyjnym, a nie — odwrotnie. Pospieszny, rozgorączkowany tok opowiadania, swoisty strumień narracyjny (powiedzieć najwięcej w jak najkrótszym czasie) tłumaczy się tutaj znakomicie. Każdy epizod zamyka to samo słowo „wraca”, jedynie w ostatniej części w analogicznym miejscu spotykamy słowa „bez powrotu”. Chodzi zatem o dramat komunikacyjny, niemożność porozumienia się między najbliższymi, wyjścia poza stereotypowe role. Ich pożądane, lecz niemożliwe przełamanie, oznaczałoby wykroczenie poza odnawiający się w nieskończoność układ „ojciec — syn, syn — ojciec” (lub jakkolwiek inny). Układ, w którym zmieniają się aktorzy, ale on sam pozostaje niezmienny i całkowicie zdepersonalizowany. Widzi też siebie pośród nich, bo w istocie nie do zniesienia okazuje się niezwykłość, nieziszczalność i nieśmiertelność ojca, która nas samych czyni kolejną kopia tego, kto przerażał i budził strach. Ten utwór wróży Kuczokowi-autorowi prozy jak najlepiej.

KRZYSZTOF UNIŁOWSKI

Dotykając przeszłych spraw śląskich poruszamy się zazwyczaj w sferze znaczeń i odniesień polskiego kręgu kulturowego. Od historycznego już artykułu zlożonego przez Emila Szramka „Śląsk jako problem socjologiczny”, drukowanego w „Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku” w roku 1934, analizującego m.in. niektóre aspekty złożonej wielokulturowości Śląska, przez kilkadziesiąt lat nie pojawił się tekst równy mu znaczeniem. Mam na myśli zwłaszcza inspirowane naukowo zakreślenie obszarów koegzystencji Polaków i Niemców, jakie powinny być przedmiotem głębszych studiów. Dopiero czas ostatni przynosi coraz bardziej wartościowe opracowania obiektywnie przypominające rzeczywisty bieg procesów cywilizacyjnych w krainie pogranicza i indywidualny wkład przedstawicieli niemieckiego kręgu kulturowego.

Ważną książką w tej grupie stanie się na pewno najnowsze studium Grażyny Barbary SZEWCZYK: „Niepokorna hrabina. Literacka kariera Valeski von Bethusy-Huc”, opublikowane niedawno przez Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jest to praca pierwszą monografią twórczości autorki popularnych na przełomie wieków powieści i nowel należących do kanonu niemieckiej literatury popularnej. Jest ona jednocześnie nieocenionym źródłem informacji o autorce, pochodzącej z zakorzenionej na Śląsku od pokoleń rodziny ziemiańskiej, o jej związkach (bardzo silnych) z tą ziemią i o udokumentowanym w twórczości tych związków przeżyciu.

Przyszła pisarka urodziła się 15 czerwca 1849 roku w Kielbasinie, majątku jej ojca Bertholda von Reischwitz. Dorastała w pałacu w sąsiedniej Wędryni, głównej siedzibie rodu. Położona 8 kilometrów na zachód od Olesna, Wędrynia znajdowała się na północnych krańcach Górnego Śląska — w pobliżu granicy ówczesnych Niemiec z Polską. Szczęśliwe lata dziecięce mocno zapadły w pamięci hrabiny. Interesujące jest to, że przywołując je po ponad półwieczu we „Wspomnieniach” drukowanych w wydawanym w Katowicach czasopiśmie „Oberschlesien”, inkrustowała je akcentami polskimi. Okoliczna ludność mówiła tylko po polsku. Pierwszymi słowami, jakich w ogóle się nauczyła, było powiedzenie niani: cóż to tam? Pisze więc Valeska, że nazywano ją — jak pisze fonetycznie po niemiecku — Zustotam. Wspominając kontakty z dalszymi sąsiadami - hrabiami Walewskimi-Colonna z Polnisch Würbitz (Wierzbowa Góra, kilkaset kilometrów na zachód o Wołczyna; tam zresztą urodziła się jej matka, nazywająca się de domo von Reichenbach), pisze o zabawnym kaleczeniu niemieczyzny. W innym miejscu memuarów wspomina, że przyrodnią siostrą babki (Reischwitz) wyszła za polskiego szlachcica Papatzkiego. Fakty te, oczywiście po artystycznych modyfikacjach, posłużyły jej potem jako tworwo utworów.



## Hrabina Valeska

W roku 1869 Valeska wyszła za mąż za kuzyna, hrabiego Eugena von Bethusy-Huc, z rodu, który miał gniazdo w Langwedocji, a którego przedstawiciele poprzez Niemcy dotarli aż na Śląsk, gdzie zapuścili korzenie. Po ślubie zamieszkała w zakupionej specjalnie dla młodej pary posiadłości w Zdzieszowicach, które kiedyś należały do Gaszynów. W domu, z którego miała widok na dolinę Odry, a z drugiej strony na Górę św. Anny, miała mieszkać aż do marca 1906 roku.

W Zdzieszowicach Valeska spełniła się jako żona, matka, gospodyni i pisarka. Od debiutu w roku 1873 opublikowała — jak ustaliła skrupulatnie Grażyna Szewczyk — 26 powieści (najczęściej okazałych objętościowo) i 20 wydanych w postaci książkowej nowel, zbiorów opowiadań i szkiców. Najczęściej podpisywała je męskim pseudonimem Mortiz von Reichenbach.

Autorka omawianej książki przeprowadza wnikliwą analizę historycznoliteracką wybranych wątków twórczości hrabiny, koncentrując się na jej literackiej wizji Górnego Śląska oraz na odmalowanym przez nią obrazie Polaki i Polaków. Te partie wydają się najbardziej interesujące, jeśli pamiętać, że teksty Valeski Bethusy-Huc musiały współkształtować stereotyp Polaka stworzony przez autorów literatury popularnej, kierowanej do klasy średniej.

Pisze Grażyna Szewczyk, że pani Bethusy-Huc wprowadziła temat górnośląskiej prowincji do literatury niemieckiej. W tekstach naszej autorki

zauważa się dbałość o realia. W utworach, których akcja toczy się na wsi pełno jest polsko brzmiących nazw geograficznych, nazwisk i imion. W dialogach pojawiają się, użyte dla wzmocnienia autentyzmu, polskie słowa i charakterystyczna składnia. Bohaterowie z warstw niższych opisywani są przeważnie z życzliwą sympatią. Polski język i obyczaj opisywanych postaci jest dla autorki czymś naturalnym — to cecha immanentna tej prowincji. Reprezentatywnymi utworami z tej grupy są opowiadania i obrazki z tomów „Oberschlesische Dorfgeschichten” (Lipsk 1901) i „Oberschlesische Geschichten” (Berlin 1904).

Pod wpływem sąsiada i przyjaciela domu von Elsnera, który zasugerował jej zajęcie się poważniejszymi, niż romanse osób ze sfer ziemiańskich, tematami, hrabina odbyła w latach osiemdziesiątych XIX wieku podróż do okręgu przemysłowego. Zwiedziła między innymi hutę „Bismarck” (dziś „Batory”). Negatywne skutki wczesnego okresu uprzemysłowienia przedstawiła w powieści „Die Laziskys” z roku 1888. Po dwudziestu latach jednak, gdy na zamówienie pisma „Die Woche” przygotowywała teksty do specjalnego numeru, zaskoczona była pozytywnymi zmianami, z którymi zapoznała się z autopsji. Pisała o szybkim rozwoju miast przemysłowych, o urządzeniach socjalnych przygotowanych przez właścicieli zakładów dla robotników i o wzorcowym osiedlu w Giszowcu. Teksty te znalazły się także w jej książce „Mein Oberschlesien”, wydanej w Katowicach w roku 1912. W czasie tego pobytu zjechała w podziemia kopalni „Ferdinand” w Katowicach.

Na koniec musi paść pytanie wykraczające poza obszar, jaki wytyczyła sobie autorka cennej i wielce przydatnej książki o piszącej hrabinie ze Zdzieszowic i jej utworach literackich: które z jej dzieł wytrzymały próbę czasu i zachowały wartość do dzisiaj. Takimi, jak się zdaje, są eseje i szkice, a zwłaszcza rzecz, która wyniknęła z przypadku. We wspomnieniach Valeska von Bethusy-Huc napisała, że podczas pobytu u swego młodszego brata Rudolfa w Polnisch Würbitz (czyli w Wierzbicy Górnej) miała okazję zapoznać się z rękopiśmienną kroniką Wołczyna. Wpadła na pomysł „aby postarać się i o inne kroniki, mniejszych miast, i wybrać z nich rzeczy najbardziej interesujące. Burmistrzowie, do których w tej sprawie napisałam, odnieśli się do mnie bardzo życzliwie i tak powstały moje *Chronikem schlesischer Städte* (dziękuję za przekład panu Robertowi Borowemu — W. J.). Szkice te — drukowane najpierw na łamach „Schlesische Zeitung” — ukazały się w książce wydanej w Katowicach w oficynie braci Böhm w roku 1911. Dotyczą one 15 miejscowości, w tym ośmiu górnośląskich (Wołczyn, Bytom, Olesno, Opole, Strzelce, Byczyna, Koźle).

WOJCIECH JANOTA



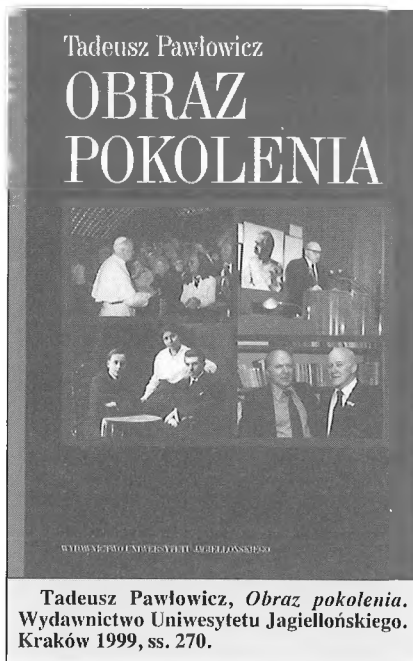
Nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego ukazała się ostatnio pozycja godna szczególnej uwagi — pamiętniki Tadeusza Pawłowicza pt. *Obraz pokolenia*. Książka z pewnością zainteresuje tych wszystkich, dla których losy powojennej emigracji polskiej są z wielu względów bliskie i nie obojętne. To rzeczywisty obraz pokolenia rzuconego na obczyznę wbrew swej woli w szczytowym momencie swojej aktywności życiowej. Pokolenia ukształtowanego w okresie międzywojennym w duchu żarliwego patriotyzmu, które po zakończeniu II wojny światowej stało się na emigracji naturalnym kontynuatorem — moralnym i politycznym — niepodległościowych tradycji II Rzeczypospolitej.

Do tego pokolenia należał autor pamiętników, Tadeusz Pawłowicz. Znany był jako wieloletni pracownik Komitetu Wolnej Europy i współtwórca Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. W opinii wielu, uosabiał postawę całego wychodźstwa polskiego, dla którego — jak napisał we wstępie do swych pamiętników — mimo upływu lat „sprawy ogólnopolskie wciąż zajmowały czołowe miejsce”.

*Obraz pokolenia* ukazuje nam człowieka mocno wpisanego w dramaty dziejowy swej Ojczyzny. Na kartach pamiętników możemy obserwować epizody najmłodszych lat życia spędzonych w Odrodzonej Polsce i smutny los emigranta pełnego tęsknoty za ojczystym krajem.

Już na pierwszych stronach przeczytamy niezwykle interesujący fragment nieopublikowanych wspomnień ojca autora — Witolda Pawłowicza, dotyczący decyzji o zajęciu Wilna w 1920 r. — tzw. niesubordynacji Żeligowskiego”. Warto przytoczyć ten obszerne fragment. W rozmowie z gen. Lucjanem Żeligowskim Józef Piłsudski miał powiedzieć: „Gdybym ja był na Pana miejscu, Generale, pochodził z Wileńszczyzny, to bym się zbuntował i zajął Wilno. Tego sam nie mogę uczynić, bo jakby to wyglądało wobec zagranicy i z uwagi na moje stanowisko. Czy rozumiano? (...) Tak jest — odpowiedział Żeligowski”. Z pamiętników dowiadujemy się, że general jednak się wahał. „Ja jestem stary żołnierz i muszę mieć rozkaz na piśmie” — odpowiadał po wyjściu Naczelnika Żeligowski. Spotykając się z kosterną podwładnych, wstał i wyszedł do swego pokoju. Dalej oddajmy głos pamiętnikarzowi: „Po godzinie został wezwany przez niego ordynans i kiedy wracając przechodził przez salę, zapytali obecni: „Dokąd?” „Po ćwiartkę wódki” — odpowiedział. Po pewnym czasie wyszedł Żeligowski i zwracając się do Szefa Sztabu — płka Bobińskiego — powiedział: „Zatrąbić pobudkę, za 10 minut ruszamy na Wilno”.

Kolejne fragmenty pamiętnika przekonują nas, z jak wielką nostalgią Pawłowicz odnosi się do czasów międzywojnia. Lata szkolne, pierwsze podróże po Europie i w różne strony kraju: na Kresy, Pomorze, Śląsk Cieszyński. W pokoleniu przesiąkniętym duchem patriotyzmu, te lata musiały pozostać niezatarte wspomnienia. Tym bardziej kontrastuje tu opis czasu wojny i chwili, gdy wydarzenia w Europie nie pozosta-



## Obraz pokolenia

wiały wątpliwości, gdzie temu pokoleniu przyjdzie spędzić dalszą część swojego życia. „Wreszcie nadszedł dzień — pisał Pawłowicz — w którym Niemcy skapitulowały, wojna w Europie dobiegła końca. Czekaliśmy na rozgromienie Niemiec przez pięć lat, ale gdy ten dzień nastąpił, nam Polakom trudno było się cieszyć. Wiedzieliśmy, że dla nas, którzy nie chcemy się podporządkować władzom komunistycznym, powrót do kraju jest zamknięty. Trudno zaprzeczyć, że słowa te oddają tragizm sytuacji całego polskiego uchodźstwa politycznego tego czasu.

Po zakończeniu wojny Tadeusz Pawłowicz znalazł się w Stanach Zjednoczonych. U progu lat pięćdziesiątych zasiadał już w dyrekcji Radia Wolnej Europy, aktywnie kreując jego kształt programowy i obsadę personalną. Jego rolę dobitnie nakreślił wieloletni korespondent RWE Jan Nowak-Jeziorański pisząc w przedmowie: On to „od roku 1949 lansował uparcie i skutecznie moją kandydaturę na dyrektora przyszłej rozgłośni RWE. A gdy już objąłem to stanowisko w Monachium, stał się moim nieocenionym sprzymierzeńcem i źródłem informacji o tym co działo się w odległej nowojorskiej centrali. Dzięki niemu nie poruszałem się po omacku i nie padłem ofiarą intryg, które miały miejsce pomiędzy Amerykanami po obu stronach Atlantyku”.

Poważną rolę odegrał Pawłowicz także w tworzeniu Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. W znacznej mierze dzięki niemu Instytut stał się wkrótce rzeczywistym ośrodkiem wolnej myśli

i miejscem gromadzenia zbiorów, które w komunistycznej Polsce nie mogłyby umknąć cenzurze.

Obserwując powojenne losy Tadeusza Pawłowicza, można dostrzec ich zbieżność z losami wielu polskich uchodźców politycznych, którzy nie zapominając o Polsce, z biegiem czasu zmuszeni byli na obczyźnie podjąć także pracę zarobkową. Skutkiem stał się odczuwany brak bliższego kontaktu z sprawami polskimi, który pokolenie emigrantów starało się przezwyciężyć przez kontakty z ludźmi przyjeżdżającymi z Polski. Pamiętniki Pawłowicza pozwalają na wychwycenie coraz większych różnic pojawiających się między wychodźcami, a mentalnością Polaków ukształtowanych w systemie totalitarnej Polski. „W rozmowach z niektórymi osobami przyjeżdżającymi w tych latach (sześćdziesiątych) z Polski — czytamy w pamiętnikach — po raz pierwszy dawano się zauważyć ich pogodzenie się z rzeczywistością panującą w Polsce i deklarowanie swojej lojalności wobec władz komunistycznych. Szczęśliwie ludzi tego typu nie było wielu, ale stanowili dowód na to, że system rządzący w Polsce zdołał już sobie zjednać pewien odłam społeczeństwa. Odłam społeczeństwa, który z biegiem lat zaczęto nazywać nomenklaturą. Stało się oczywiste, że niezdemokratyzowana część społeczeństwa, a wraz z nią cała emigracja winny się wyraźnie odciąć od wszystkiego, co ułatwiło dalszy rozwój tego niebezpiecznego procesu”.

Trzeba podkreślić, że autor *Obrazu pokolenia* zalicza się do grona emigrantów, którym po blisko pięćdziesięciu latach dane było dożyć upadku systemu komunistycznego w Polsce. Pozwala mu to podzielić się spostrzeżeniami na temat Polski współczesnej. Uwagi te zdradzają wrażliwość patrioty i gorączkę emigranta, któremu po wielu obserwacjach wypada zapisać: „komunizm panował w Polsce prawie przez pół wieku i jak widzimy jest on w wielu wypadkach chorobą nieuleczalną. Te pozostałości po minionym okresie winno się przelamywać, ale pozostawmy to już młodszemu pokoleniom”.

Pamiętniki Tadeusza Pawłowicza mogą być uznane za najbardziej bezpośredni i autentyczny obraz ludzi i epoki, w której przyszło żyć autorowi. Dzięki niewątpliwemu talentowi pisarskiemu, którego przejawem jest barwna narracja, Pawłowicz wciąga z miejsca czytelnika i nie pozwala oderwać się od tej lektury. W ten sposób *Obraz pokolenia* staje się nie tylko zapisem kronikarskim, lecz także literaturą, prawdziwą, żywą i trwałą.

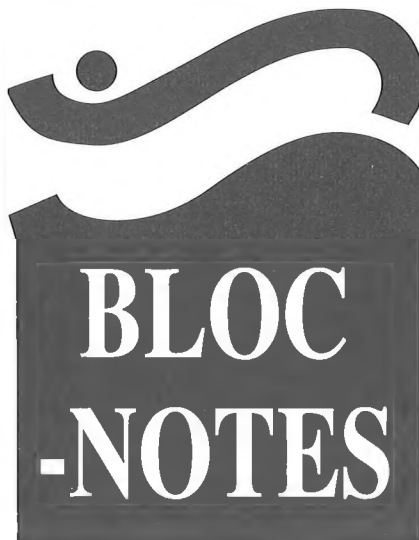
Dzieje powojennego wychodźstwa polskiego są dziś z wielu przyczyn jednym z najsłabiej znanych epizodów najnowszej historii Polski. Odbywa się to z oczywistą szkodą dla młodych pokoleń, dla których postawy i wartości przyświecające działalności polskiej emigracji politycznej nie powinny być „czymś abstrakcyjnym”, ale rzeczywistym drogowskazem w codziennym postępowaniu. W tym sensie pamiętniki Tadeusza Pawłowicza pt. *Obraz pokolenia* mają szansę spełnić również ważną rolę wychowawczą.

KRZYSZTOF TRACKI

1. B. wyjechał do efu późno, w osiemdziesiątym szóstym, albo nawet w osiemdziesiątym siódmym roku. „Jadę“, powiedział, spotkany przypadkiem na ulicy. Rzadko się widywaliśmy, sporo minęło od czasów, kiedy jego szerokie plecy chroniły mnie w licealnej ławce przed wzrokiem matematyczki. Właściwie chłopak ze wsi, nie był orłem. Kpiliśmy z jego kulturowego bzdura, który - byliśmy pewni - uprawiać mu było łatwiej od ćwiczeń umysłowych. Więc gdy powiedział mi wtedy: „Jadę, z żoną i obiema dziewczynkami“, nie zdziwiło mnie to i nie spodziewałem się niczego więcej prócz zwykłych w takich razach tłumaczeń: że tu syf i beznadzieja, i że dzieci zasługują, żeby mieć lepiej. Ale B. koniecznie chciał się zobaczyć raz jeszcze, specjalnie, ostatni raz przed wyjazdem. Zaskoczony, bo nigdy nie byliśmy w zażyłości, zgodziłem się na spotkanie. Jezus, co to będzie? Nasłucham się o komunie tego, co i tak każde dziecko wie, albo jeszcze gorzej - do wiem się, jak to w dorosłym wieku odezwał się u niego zew krwi niemieckiej?! A on, wielki jak szafa B., którego nigdy nie podejrzewałem o subtelność, popatrzył na mnie wilgotnym spojrzeniem: „Ja tam nikogo nie mam, nikogo nie znam. Ale żona bardzo naciska. To ja mam papiery pozwalające na wyjazd, ona nie. Dla niej to robię, i dla dzieci. Pójdę do obozu, na kurs języka, a potem do pracy, między Niemców. Ale przeżyję. Bo przez cały dzień będę myślał o tym, że wieczorem wrócę do domu i będę znowu mógł rozmawiać po polsku“. Po polsku oznaczało dla niego w sposób oczywisty: po śląsku.

2. Profesor z Kanady, który co roku przyjeżdża na gościnne wykłady, po południu spogląda na zegarek. Między szesnastą a siedemnastą na uniwersytet schodzą się sprzątaczkę. Profesor, urodzony przed wojną na Górnym Śląsku, ma nareszcie okazję porozmawiać ukochaną gwara. A kiedy wypuszcza się pod Opole i dalej, aż ku Krapkowicom, gdzie do dziś siedzą jego krewni, zawsze stosuje ten sam test: kiedy pyta starszych ludzi o drogę albo o jakieś nazwisko, odzywa się najpierw standardową polszczyzną, po czym przechodzi na najczystsza, jaką ją zapamiętał, gwara śląską. Wtedy ludzie, opowiada profesor, stają się w jednej chwili bardziej życzliwi, bardziej uśmiechnięci i bardziej przyjaźni.

3. W szkole podstawowej od początku istniały obok siebie dwa języki. Jeden oficjalny, książkowy i lekcyjny. I ten drugi, którym mówiliśmy między sobą na przerwie i na podwórku. Oba nie miały prawa się z sobą spotkać - tak przynajmniej twierdziła pan R., nasza polonistka i wychowawczyni. Jej nazwisko



# BLOC -NOTES

brzmiało swojsko i wręcz z niemiecka, co nie przeszkadzało, że od pierwszej klasy tępiła surowo gwara jako język dużej paazy i ulicy. Nawet co bardziej podejrzane głoski trzeba było wymawiać z namaszczonej dykcją, szeroko rozchylając wargi w „o“ i zwijając je w trąbkę w „u“. Zasada była, iż komu się coś wyrwało, tego mieliśmy obowiązek wyśmiać na forum całej klasy. Pamiętam, jak w czwartej klasie Ewelina R. czytała wypracowanie o tym, jak pomaga matce w praniu. „Bieliznę... pierzemy, eee..., na rompli“... Klasa ryknęła obowiązkowym śmiechem. „Na tarce! Na tarce!“, huczała pani R. prosto w twarz czerwonej ze wstydu Ewelinie. Kiedyś poszliśmy ze szkolną wycieczką na pocztę. Pan kierownik objaśniał nam działanie telefonicznych łącz: panie telefonistki przyjmują rozmowę, łączą się z żądanym numerem, wkładają kabelek do właściwej dziurki i... może pokażemy to na przykładzie, co, dzieci? Kto ma telefon, łapka w górę! Krystian G. ma, przecież jego tata jest taksówkarzem, numer boczny „jeden“. Połączono Krystiana: „Mama? Dzwonia z poczty, my tu som na wycieczce... No, to powiódz, co bydzie na łobiod?“... Pani R. ze złością wyrwała Krystianowi słuchawkę. „Jak ty brzydko mówisz! Ile razy mam powtarzać, żebyście mówili po polsku, nie po śląsku!“ Krystian, po raz pierwszy z jakąś hardością: „Ale po śląsku to też jest po polsku, nie...?“

4. W branżowym miesięczniku poświęconym mediom, ukazała się rozmowa z Kamilem Durczokiem. Wywiad z mistrzem wywiadu zobowiązuje, więc dziennikarz pyta podchwytliwie: Terminował pan w katowickim radiu, pod opieką Krystyny Bochenek, więc pewnie stąd ten brak śląskiego akcentu?... Durczok spokojnie: Pytanie jest stereotypowe, charakterystyczne dla „warszawki“, a akcentu nigdy nie miałem, choć to wcale nie oznacza, że nie umiem mówić gwara.

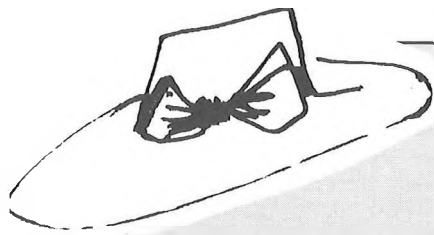
Przypomina mi się anegdota innego katowickiego radiowca, który rozpoczął staż w ogólnopolskim radiu razem z dzisiejszą gwiazdą telewizji. „Aaa, kolega z Katowic - zagadnął stażysta, obecnie telewizyjny Wampir. - Powiedz, to prawda, że wy tam na ulicy mówicie po niemiecku?“

5. Kiedy L. wyjechał na studia do Wrocławia, zaczęliśmy do siebie pisać. Gdzieś tak na drugim roku zaczęły przychodzić dziwne listy. L., student etnologii Uniwersytetu Wrocławskiego, odkrył na nowo swoją śląskość i postanowił obnosić ją bez kompromisów, w mowie i w piśmie. Tłumaczyłem mu, że tego się nie da czytać, po co tworzyć coś, co w języku literackim nie istnieje! Odpowiedział cytatami z literatury i kazał czytać Morcinka. A kiedy kpitem, że jak w piastowskim grodzie Wrocławiu będzie mówił gwara śląską, wezmą go za egzotyczne zwierzę mówiące germańskim volapukiem, odpisał mi: „Kiedy ktoś, słysząc mnie, ma na końcu języka germańskie fobie, poddaje go testowi. Pytam na przykład, co jego matka zakłada w kuchni. Fartuch, odpowiada. A, widzisz - mówię - to jest słowo pochodzenia niemieckiego, bo my na Śląsku mówimy, jak w staropolszczyźnie: zapaska. Takich słów mam setki i to zawsze działa“.

6. Świeżo poznany znajomy nie urodził się na Śląsku. Ale kilka ostatnich lat przemieszkał w Tychach, w osiedlu zamieszkałym głównie przez górników okolicznych kopalń. Nie ma ucha do gwary, nieczuły jest na regionalizmy. Równie dobrze mógłby mieszkać w Gdańsku, Zaganiu albo w Białymstoku i niczego się o tych miejscach nie dowiedzieć. Ale w drugiej godzinie rozmowy przyznaje mi się do jednej obserwacji, która jest dlań autentycznym zdziwieniem. Jak to jest, że ci wszyscy ludzie z jego bloku, którzy przyjechali z Kieleckiego, z Rzeszowa, ze wsi tarnobrzeskiej i lubelskiej, jak to jest, pyta, że ci wszyscy ludzie tak prędko nasiąkają śląskim obyczajem i gwara, i już po roku, po pół roku życia tutaj „godają“ na równi z kolegami z pracy, rodzonymi Ślązakami? Odpowiadam pytaniem: albo przywieźli ze sobą tak mało, że nie są w stanie Śląskowi wiele zaproponować, albo też ta śląska gwara, chropawa i wyśmiewana, jest wciąż silna, żywa i atrakcyjna.

7. Katowicki filmowiec Adam Sikora nakręcił film o Janie „Kyksie“ Skrzeku. Dokument, ubrany w poetyczne obrazy Śląska, mówiony jest gwara. Ma go pokazać wkrótce ogólnopolska telewizja, w programie drugim. Ale jeśli pokaże, mówi reżyser, film będzie opatrzony napisami.

MAREK BASTER



## Listy spod kapelusza

*Droga Moja Przyjaciółko,*

*nie uwierzysz, na co się zdobyłam w ostatnich dniach 1999 roku... Jak wiesz, moja Maga jest w Londynie. Już święta były bez niej, więc jakoś całkiem inaczej, choć niby tak samo. Z nieba mi nagle spadli moi znajomi, którzy wybierali się samochodem w podróż do Calois. Pomyślałam, że to znak, więc zabrałam się z nimi. Stamtąd przypłynęłam promem do Dover, a w Dover już czekali Magi przyjaciele, więc odetchnęłam z ulgą i po tej długiej podróży szybko przyjechaliśmy ich samochodem do Londynu. Dopiero tam zrozumiałam, że moja podróż graniczyła z szaleństwem, którego bynajmniej już się po sobie nie spodziewałam, choć w przeszłości zawsze marzyłam o tego typu spotkaniach z bliskimi, o tym, aby się umawiać pod pomnikiem Piotrusia Pana albo na moście w Avignon, albo w Tate Gallery.*

*W sylwestrowy wieczór umówiliśmy się z Magi przyjaciółmi na Trafalgar Square, a stamtąd poszliśmy pieszo nad Tamizę, gdzie miały być główne atrakcje. Nad Tamizą było mrowie ludzi, więc czułam się jak sardynka w puszcze, która nie może machnąć ani nóżką, ani rączką, bo dotyka innej sardynki, najczęściej już solidnie odurzonej alkoholem. Oko Londynu (London Eye), czyli wielkie diabelskie koło nad Tamizą, jedna z głównych atrakcji Millennium Night, nie działało. Zawiodły próby bezpieczeństwa. Miała być o północy tzw. rzeka ognia, czyli River of Fire - ogień płynący po całej długości rzeki, ale to też nie wyszło. Palily się tylko małe ogniki. Udały się jedynie fajerwerki, które ponoć najlepiej było widzieć z Alexandra Palace, bo to najwyższy punkt w Londynie. Ten plac jednak znajduje się w Wood Green, tam, gdzie Maga mieszka, ale my byliśmy nad Tamizą, więc znów nas w dużej części ominęła kolejna atrakcja. Zorganizowana zabawa w Londynie kosztowała minimum 1000 funtów, nawet w największej dziurze. Puby przeciągały się wprawdzie w pomysłach, ale nawet na ich najtańszy pomysł nie było nas stać. Nie było mi jednak źle ani trochę. Była radosna Maga, była z nami grupa sympatycznych i niczym nie zrażonych ludzi, a poza tym było tak ciepło, że wystarczył T-shirt i polarowa kurka. Wróciliśmy w końcu do domu (transport w tę noc był za darmo, zarówno autobusami, jak i metrem), cokolwiek umęczona i wyciorana, włączyliśmy telewizor, by się dowiedzieć, że wiele gwiazd rocka i słynnych osobistości spędziło tę noc w domu. Taka antysnobistyczna moda lansowana była w Londynie już na długo przed sylwestrową nocą. BBC transmitowało przebieg tej nocy w całej Anglii, Szkocji i na świecie. Pokazano nawet Warszawę. Zobaczyłam kawałek tej transmisji i zasnąłam sobie mordkę w Magę, rozmyślając przedtem o Agacie, która szalała na pewno w katowickim Spodku. Pospacerowałam po Londynie przez 3 dni i wróciłam do tego, co nasze. O tym, co zobaczyłam, będę Ci jeszcze wspominać w następnych listach.*

*Przed tą zwirowaną podróżą zdążyłam jeszcze w Katowicach zobaczyć wystawę Andrzeja Urbanowicza „Splendor Solis” BWA. Urbanowicz pisze w katalogu: „Bez światła nie ma piękna ani radości. Bez światła w naszym kosmosie nie byłoby niczego. Najdosłowniej jesteśmy dziećmi światła, choć nie zawsze o tym pamiętamy. [...] Zachwyt słońcem, które jest źródłem naszych wyobrażeń o świetle, towarzyszy mi, odkąd pamiętam. [...] Pragnę, aby moc światła rosła tak w rzeczywistości, jak i w tysiącach światów przez nas wyobrażonych”.*

*Dodam tylko tyle, droga moja: ja również pragnę i tego.*

*Obrazy Urbanowicza nie mają nic wspólnego z mimetyczną rolą sztuki. Oniryczna wizyjność tego malarstwa, przesyconego erotyzmem, jest propozycją życia duchowego. I to właśnie ni się podobna. A także to, że Urbanowicza „chaosu świętość niewyczerpana” kojarzona jest z wyobraźnią i fantazją. Widowisko-performance pt. „Krotochwila?”, zespołowa realizacja teatru „Oneiron 3”, poprzedziło wernisaż wystawy i wprowadziło w jej atmosferę, w dużym stopniu wyczarowaną także podkładem muzycznym, w którym szum oceanu przepłatał się z biciem serca i tybetańskimi śpiewami.*

*Wróciłam do domu z tymi dźwiękami w uszach i przepojona całą świetlistością obrazów Urbanowicza. Dobrze się zakończył rok, droga moja, i dobrze rozpoczął. Pozostaję z nadzieją, że podobnie jest u Ciebie. Ściskam Cię noworocznie i oby Słońce było zawsze z nami.*

*Tvoja MARTA FOX*

*w styczniu 2000 roku, w Piotrowicach,  
gdzie za oknem -5 stopni Celsjusza*

Zacząć można na przykład tak: symbol jest wieloznaczny. Dlatego nie może spełniać roli wyrazu w słowniku, ale powinien być traktowany jak metafora w poemacie. A metafora — wiadomo — ginie od wyjaśnień. Albo tak: trzeba postradać wszelkie poczucie ścisłości, by starać się opisać tę wystawę. Bo inaczej zamiast kamienia filozoficznego w rękę zostanie kartka z podręcznika mechaniki — w dodatku zmięta, naddarta i nadpalona.

Ala ja jednak spróbuję. Spróbuję powiedzieć, co zobaczyłam na wystawie malarstwa Henryka Wańka w siemianowickiej Galerii „Po Schodach”.

Najpierw rzeczy najprostsze — kielichy, puchary, dzbany. Ale bliższe rytuałom, inicjacjom, wtajemniczeniom niżli radościom biesiadowania. Dalej naczynia o bardziej skomplikowanym pochodzeniu i znaczeniu — kolby, retorty, alembiki, pełna nieodgadnionego oroku pracownia alchemika. Potem wieloznaczna, choć pozornie prościutka geometria — koła, kule i obręcze. Aureole? — może. I jeszcze prostokąty z górskiego kryształu. W dodatku nie ma tu człowieka, jeśli nie liczyć paru śmiesznych figurek („Dal Primo amore mio”), ale jestem pewna, że ktoś tu był, tylko zniknął („Wstań i pójdz”). Jednak nie wiem, w jaki sposób, bo wszystkie schody prowadzą donikąd, a okna otwierają się na

## Ciemnego pokoju nie trzeba się bać...

nieskończoność. Krajobrazy są jak duchy albo wampiry — mamią, wabią i wciągają w otchłań, w niezmierzone głębie, w przestwór bez końca („Claire de lune”, „Stół dla osiemnastu rycerzy”, „Odwieczne wczoraj”). Jakże mogłoby być inaczej, skoro woda i niebo wymieniają się miejscami, gdy tylko mają na to ochotę („Harmonia Mundi”)? A gdy w sam środek takiego niebnego (nie mylić, broń Boże, z podniebnym) oceanu wpadnie gwiazda, kręgi rozchodzą się coraz dalej i dalej niczym po jeziorze albo sadzawce („Bez tytułu”). Chmury bywają różne. Czasem się kłębią, zbijają w gromady, jakby pośpiesznie naradzały się nad czymś, gorączkowo coś szepotały („Kapela w(na)z Łysej Góry”). Albo też z ich cudownej, niebiesko-biało-szafirowej gładkości (czy nie taką barwę mają oczy aniołów?) wyrastać może prosty, łagodny, jarmarczny kwiatek — śliczny jak marzenie o szczęściu („Lekcja języka według Michała-Dawida”). Bo niebo pozwala się oswoić, zdaje się przybliżać. Wtedy można na nim — bo nie w nim — coś położyć: szklaną kulkę, rubin o regularnych kształtach, szlachetny w swej prostocie klejnocik.

Ala wolno też zachować się inaczej — coś po prostu zdjąć z chmur i położyć na samym środku parkowej alejki. Jeżeli to będzie forma najprostsza, najdoskonalsza i najpiękniejsza — czyli kula — wtedy nad drzewami pojawi się czarny, opalizujący, jakby wypukły krąg, a kulista doskonałość zabieli się wśród trawy („Zmierch”). W ogóle dużo tu chmur, księżyców i tęcz. Słońca niewiele, a jeśli już jest, to pokazuje się gdzieś nisko i głęboko, wschodzi z samego dna górskiej doliny. Ala może to złudzenie, a w dolinie po prostu zachodzi księżyc. Bo po cóż słońce, jeśli niebo do barwy pomarańczowo-cynobrowo-ugrowo-promienisto-płomiennej rozżarzyć może Feniks („Miejsce Feniksa”, „Godzina Feniksa”)? Ten świat jest jak pełen zagadek wiersz, odczytywany w chwiejnym i migotliwym świetle świecy. Albo jak dźwięki pianina, gdy nie wiadomo, kto gra, a w pokojach nie zapalono jeszcze światła. Ala przecież „ciemnego pokoju nie trzeba się bać, bo w ciemnym pokoju czar może się stać”...

KATARZYNA MŁYNARCZYK

Henryk Wańek: „Obrazy, obrazki”. Wystawa malarstwa. Galeria „Po Schodach”, Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich. Listopad 1999 — grudzień 1999 r.

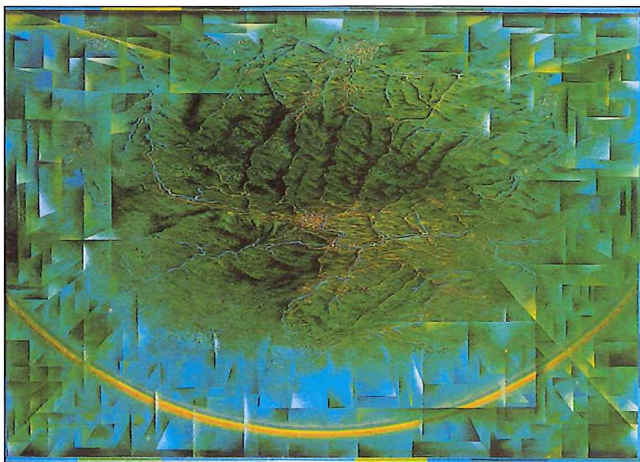




*Godzina Feniksa 1992, olej/plótno, 66 x 54 cm*

# Henryk Waniek

*Ziemia Święta 1989, olej/plótno, 88 x 62 cm*



*Krajobraz do śpiewania IX 1998, olej/plótno, 33 x 48 cm*







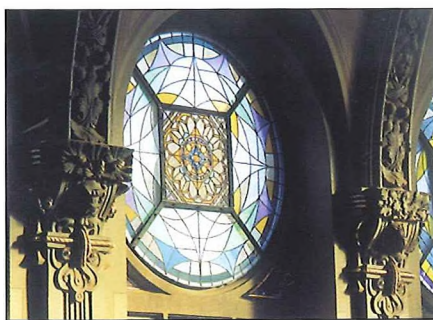
Odsłonięto wiele pięknych polichromii będących apoteozą sztuki



Widok ogólny auli



Pochwała nauki i techniki



Aulę rozświetlają wielobarwne zabytkowe witraże



Sztukateria i wizerunki sławnych Polaków zdobią wnętrze auli

Katowice mogą poszczycić się kolejną, odrestaurowaną reprezentacyjną salą. Jest nią **zabytkowa aula w III Liceum Ogólnokształcącym im. A. Mickiewicza**. Prace konserwatorskie ukończono 22 grudnia 1999 r. Kierował nimi arch. Adrian Poloczek, który wcześniej (o czym pisaliśmy na łamach „Śląska”) nadzorował prace m.in. w Szpitalu Elżbietanek, Starostwie Powiatowym przy ul. Warszawskiej i Liceum Ogólnokształcącym im. M. Konopnickiej.

Prace trwały prawie dwa lata. Przy okazji remontu budynku Liceum odkryto stare polichromie z przełomu wieków oraz młodsze

z 1922 roku. Do najcenniejszych fragmentów należą polichromie znajdujące się na suficie - jest to apoteoza sztuki, nauki i techniki autorstwa C. Dennera.

Po 1922 r. w wystrojach sal reprezentacyjnych kładziono szczególny nacisk na elementy patriotyczne. Nie brakuje ich i w tej sali. Stąd też, w wyniku przeróbek w nadportalu, gdzie niegdyś znajdowały się sztukaterie ulokowano portrety Mickiewicza iłowackiego, a scena centralna została częściowo przemalowana.

Nie zachowały się żadne materiały archiwalne, dlatego też nadzorujący prace konserwatorskie Adrian Poloczek skorzystał z foto-

grafii sali koncertowej w Stuttgarcie, która charakteryzuje się podobnym wystrojem i architekturą. Wystrój wnętrza uzupełniony został specjalnie wykonanymi przez pracownię konserwatorską żyrandolami, utrzymanymi w stylu epoki.

Sala ma styl eklektyczny z elementami niemieckiego manieryzmu - obok wrocławskiego Leopoldinum - należy do najpiękniejszych sal w kraju.

Gmach liceum powstał na przełomie lat 1898-1900. Został zaprojektowany przez architekta Józefa Pertzika - autora kompleksu obiektów przy ulicy Mickiewicza: obok liceum znajdowała się synagoga i nieco dalej łaźnia miejska.

Prace konserwatorskie zostały sfinansowane (koszt inwestycji wyniósł około 400 tys. złotych) z budżetu miasta Katowic.

(wk)



## O wizerunek epoki

Wzrastający w ostatnim czasie pytać na opracowania dotyczące dwudziestolecia międzywojennego jest prawdopodobnie oznaką, że nastąpiła zmiana pokoleń czytelników, a to młodsze poszukuje ujęć syntetyzujących. To nie przypadek, że najpierw, i to dość dawno temu, ukazały się świadectwa o randze źródeł historycznych — stworzone przez większych i mniejszych aktorów tamtoczesnej sceny politycznej. Później przyszedł czas na memuary powstałe w aurze nostalgii i dotyczące zjawisk w mniejszej skali — zapisy zdarzeń w małych oczyszczalniach, przeważnie bezpowrotnie utraconych (jak Kresy) i wspomnienia rodzinne. Już już wydawać się mogło, że wizerunek tej epoki ukształtują ci malujący ją piórem kierowanym pamięcią wybaczącą — a tu niespodzianka: antologia Czesława Miłosza „Wyprawa w Dwudziestolecie” (Kraków 1999). Rzecz bardzo oryginalna na tle innych ujęć. Zbiór tekstów, które mogłyby być ozdobą najpoważniejszych wyborów źródeł historycznych. Tekstów dokumentujących najważniejsze zjawiska polityczne i obnażających główne słabości — w sferze społecznej zwłaszcza, ale i gospodarczej. Oto dwudziestolecie powikłane, pełne sprzeczności i kłopotów, ale tak odczuwał je — wrażliwie, dolegliwie — dojrzewający wówczas autor tego zbioru. Można nawet odnieść wrażenie, że zasadą konstrukcyjną przy tworzeniu tej książki była prezentacja zjawisk negatywnych. A może w pamięci autora utkwiły bardziej sprawy trudne, bolesne, a wyeliminowane zostały inne — te które choćby tematycznie czy w sferze językowej mogłyby się kojarzyć z frazeologią publikacji Instytutu Propagandy Państwowo Twórczej czy prasy wspierającej sanacyjne ekipy rządowe. Autor ma jednak prawo do subiektywnej selekcji treści i decyduje się na taki zabieg, choć — jak sam pisze we wstępie — wystawia się na zarzut czarnowidztwa.

Uszanujmy jego propozycję, wspartą przecież odczuciem i przeżyciem świadka tamtych czasów. Zauważmy jednak, że byli i w dwudziestolecu niewątpliwe osiągnięcia — szczególnie w obszarze gospodarki. Jednym z pierwszych była spektakularna sprawa Chorzowa, która na samym progu tego okresu przykuła uwagę opinii publicznej.

## Profesor

Wśród przejętych przez Polskę w roku 1922 górnośląskich zakładów przemysłowych znajdowała się wielka nowoczesna fabryka nawozów azotowych w Chorzowie o nazwie Reichs-Stickstoff-Werk. Ówczesni ministrowie rządu polskiego: przemysłu i handlu — Stefan Ossowski i robót publicznych — Gabriel Narutowicz uznali, że jednym człowiekiem, który



## Glossy górnos Śląskie

będzie w stanie ją poprowadzić będzie Ignacy Mościcki.

Mościcki, urodzony w roku 1867, studiował fizykę w Rydze. Tam zaczął działać w kółkach samokształceniowych inspirowanych przez Narodową Demokrację. Poszukując bardziej aktywnych form walki z caratem, związał się z ruchem socjalistycznym. W obawie przed aresztowaniem za udział w przygotowaniu zamachu bombowego wyjechał w roku 1892 do Londynu. Tam zetknął się z Piłsudskim, swym równolatkim, był członkiem Komitetu Centralnego Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich i przede wszystkim cierpiał niedostatek materialny. Po kilku latach zdecydował o wyborze drogi naukowej. We Fryburgu w Szwajcarii dokończył studia, był asystentem na tamtejszym uniwersytecie, rozpoczął doświadczenia nad utlenianiem azotu atmosferycznego za pomocą iskry elektrycznej. Był autorem wynalazków związanych z urządzeniami do wysokich napięć. Zbudował fabrykę kwasu azotowego. W roku 1912 Politechnika Lwowska zaproponowała mu objęcie specjalnie utworzonej katedry elektrochemii technicznej. Na tej uczelni zorganizował Instytut Elektrotechniczny, zaprojektował też fabrykę w Borach pod Jaworzniem produkującą nawozy azotowe.

## W Chorzowie

Niemiecki dyrektor chorzowskiej fabryki, do której Ignacy Mościcki przybył na początku lipca 1922 roku, nie docenił jednak polskiego uczonego. Współpracownik Mościckiego — Eugeniusz Kwiatkowski — wspominał później:

„Stu dziewięćdziesięciu sześciu Niemców: inżynierów, techników, chemików, konstruktorów, wermistrzów, majstrów, urzędników handlo-

wych i organizacyjnych opuściło fabrykę (...). Zdawało się wszystkim — nie wyłączając nas, współpracowników profesora Mościckiego — że wszystko sprzysięgło się przeciwko honorowi Polski w tej fabryce. Rynek zbytu zostały nam odcięte. Personel fachowy i kierowniczy opuścił urządzenia i przedsiębiorstwo nagle i masowo. Plany i instrukcje zostały spalone. Fabryka została ogolona z ludzi, surowców i niektórych urządzeń. Wprawdzie załoga robotnicza była polska, wybitnie patriotyczna i czujna, ale znalazły się jednostki, które próbowały akcji sabotażowej. Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że otaczała nas szczególnie powszechna niewiara w wartość polskich sił. Obcy, nawet przyjaciele Polski, załamywali ręce i nie kryli się z przekonaniem, że polski zarząd zniszczył ten obiekt wysokiej kultury technicznej. Znoszono nam informacje, ukazujące się w prasie zagranicznej, że przybyli inżynierowie Polacy «rozkradli urządzenia fabryki chorzowskiej» i z niej uciekli. W aktach dyrekcyjnych — pozostawionych nam umyślnie — znaleźliśmy list dyrektora-Niemca do zarządu w Berlinie, że Polacy nie są w stanie objąć Chorzowa i po dwu trzech tygodniach zwrócić się do zarządu niemieckiego z prośbą o ponowne objęcie przez nich tego przedsiębiorstwa. Niewiara poczęła się wciskać wreszcie w nasze szereg. Nie wierzył Rząd w możliwość technicznego, a jeszcze bardziej ekonomicznego powodzenia Chorzowa; nie wierzyli nasi koledzy, technicy i inżynierowie polscy i przepowiadali nam rychły upadek fabryki; nie wierzyli rolnicy w możliwość rozwoju konsumpcji azotniaku w Polsce; nie wierzyły nam banki polskie, że zwrócimy pieniądze pożyczone na ruch fabryki; nieufni wreszcie byli rolnicy-Ślązacy, czy nowe, przybyłe z Polski kierownictwo może opanować wciąż wyłaniające się trudności.” (z artykułu w tomie zbiorowym: „Profesor dr Ignacy Mościcki. Życie i działalność na polu nauki i techniki”. Warszawa 1934).

A jednak się udało! Produkcja została wznowiona i utrzymana. Niebawem Mościcki wprowadził innowacje, które pozwoliły na znaczne zwiększenie produkcji, poszerzenie jej asortymentu, a także doprowadził do budowy większego i jeszcze nowocześniejszego zakładu pod Tarnowem — w miejscu, które nazwano Mościcami. Chorzów i Mościce stały się symbolem wysokiej klasy polskiej myśli technicznej. Samo hasło „Chorzów” zaczęło żyć bytem samodzielnym. Opisywali chorzowskie Azoty reporterzy gazetowi, ale i pisarze. Kilkanaście stron poświęciła tej fabryce Zofia Kossak w „Nieznanym kraju”. A styl opisu mógłby być przedmiotem odrębnego studium — zwłaszcza gdyby go porównywać z tekstami Morcinka, Goetla i innych jeszcze autorów piszących o tej samej sprawie.

WOJCIECH JANOTA



## Aktorzy z Poniatowskiego

Ulica Poniatowskiego stała się jedną z najśłynniejszych ulic Katowic. A to za sprawą znakomitych, wywodzących się ze Śląska aktorów: Bogumiła Kobieli i Aleksandry Śląskiej. W zasadzie wiadano o tym od dawna, ale dopiero biografia Kobieli napisana przez Macieja Szczawińskiego oraz zainteresowanie Jana F. Lewandowskiego śląskimi tropami tych znakomitych artystów sprawiło, że stali się bardziej swojscy, bardziej stąd. Wielka Aleksandra Śląska - odwrotności wspaniałych ról w „Pa-sażerke” Munka czy „Czarnej sukni” Majewskiego, a także wielu znakomitych ról teatralnych i w słynnym serialu telewizyjnym o Bonie Sforzy-kiedy wyruszyła w wielki artystyczny świat, swoją karierę rozpoczynała w Katowicach, na deskach Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego.

Tym dwóm wielkim artystom poświęcona była, zorganizowana przez Instytucję Filmową Silesia-Film i GuGa'rt! Sp. z o.o., sesja zatytułowana „Aktorzy z Poniatowskiego”, która odbyła się w dniach 20-21 grudnia ub. roku w Małym Kinie Zorza w Katowicach. Patronat nad imprezą sprawował prezydent Katowic Piotr Uszok.

Podczas sesji pokazano zarówno filmy dokumentalne („Bobek. Wspomnienie o Bogumile Kobieli” zrealizowany przez Martę Tesarczyk w 1997 r.) jak i materiały Polskiej Kroniki Filmowej (o Aleksandrze Śląskiej).

Bogumiła Kobiela i Aleksandrę Śląską wspominali członkowie ich rodzin, często po dziś dzień związani z Katowicami.

Uczestnikami sesji byli również Janusz Majewski, Marta Tesarczyk, Elżbieta Baniewicz - krytyk teatralny i Jan F. Lewandowski, który przybliżył uczestnikom sesji katowickie lata Aleksandry Śląskiej.

Spotkanie prowadził Maciej M. Szczawiński.

WIEŚŁAWA  
KONOPELSKA

# KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

## Noworoczne spotkanie poetów



Foto: Bogdan Prejs

Otwarta jesienią w centrum Katowic nowa siedziba Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, gdzie mieści się także redakcja „Śląska”, wyraźnie przyczyniła się do ożywienia życia środowiska, o czym świadczy seria kilkunastu już imprez.

Po dłuższej przerwie odżyła także tradycja noworocznych spotkań poetów organizowanych w nieistniejącym już Domu Literatury przy ulicy Misjonarzy Oblatów. Imienne zaproszenia prezesa GTL-u Tadeusza Kijonki spotkały się z szerokim odzewem i na spotkanie zorganizowane 13 stycznia w Sali Portretowej przybyło kilkudziesięciu poetów. Nie wszyscy zaproszeni mogli stawić się na miejscu, jednak i tak zjawilo się bodaj 47 poetów, w tym niemal cała czołówka młodych i najmłodszych.

Na tym zamkniętym spotkaniu, które miało głównie charakter towarzyski, poeci czytali swoje wiersze, toczyły się rozmowy, nie brakowało sytuacji dowcipnych i przekornych komentarzy. Toast noworoczny za poezję otworzył to miłe spotkanie. Zakończyło je łamanie się opłatkiem i składanie życzeń. Było upojnie i słodko, jako że pieczęć nad tą poetycką biesiadą objęły kawiarnie „Europa” i „Cukiernia - Ćmiel” z Katowic. Jak zawsze wielkie wzięcie miało Tyskie „Gronie” - właśnie Browary Książęce sprawują „patronat piwny” nad coraz popularniejszą Salą Portretową GTL-u.

## Jednym zdaniem

■ W sali „benedyktynka” Biblioteki Śląskiej odbyło się spotkanie promujące książkę Christiana Skrzyposzka „Wolna Trybuna”.

■ W Galerii „Na Żywo” Polskiego Radia w Katowicach prezentowane jest malarstwo Ewy Ludwig.

■ „Mieć 15 lat w Europie” to tytuł wystawy fotograficznej, jaka odbyła się w Centrum Sztuki Bytomskiego Centrum Kultury.

■ W styczniu, w Górnośląskiej Wyższej Szkole Handlowej odbywała się trzydniowa Międzynarodowa Konferencja pt. „Hunting form Man” (jej współorganizatorem było Kolo Naukowe Integracji Europejskiej Uniwersytetu Śląskiego) poświęcona możliwości wpływu mediów na człowieka, w kulturowo jednoczącym się świecie. Której gośćmi byli specjaliści z zakresu public relations i politycznego marketingu: Marek Baster, Dariusz Bartecki, Zbigniew Pelczyński, Marek Mazur i dr Jerzy Kolodziej.

■ 28 stycznia w galerii Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rybniku odbył się wernisaż wystawy malarstwa Jana Karwota zatytułowanej „Moje kwiaty”.

■ Karol Bondarenko, Ewa Jędrzyk - Czarnota, Andrzej Czarnota, Tadeusz Dorota, Stefan Dobroń Roman Korus,

## Pocztówka z Katowic



W Muzeum Historii Katowic, w styczniu br., otwarta została wystawa zatytułowana „Pocztówka z Katowic”. Prezentowane eksponaty pochodzą z kolekcji Joachima Bielskiego, Muzeum Poczty i Telekomunikacji oraz zbiorów własnych Muzeum Historii Katowic. Joachim Bielski jest posiadaczem imponujących zbiorów filatelistycznych - znaczków, kart pocztowych i widokówek. Autorzy wystawy postanowili wzbogacić ją o litografie ukazujące pracę poczty w XIX i na początku XX wieku, mundury służbowe pocztowców wraz z licznymi akcesoriami, niemieckie i polskie ozdobne szлды pocztowe, telefony, telegrafy, skrzynki pocztowe, mapy połączeń pocztowych i maszynę frankującą.

Do najcenniejszych eksponatów na katowickiej wystawie zaliczyć trzeba związane bezpośrednio z dziejami poczty katowickiej znaczki z połowy XIX wieku stemplowane w Katowicach, karty pocztowe i listy opatrzone pieczęciami przez pracowników Królewskiej Poczty Pruskiej, a później Poczty Niemieckiej. Bardzo interesujący jest dokument z listopada 1846 roku, na którym widnieje własnoręczny podpis F.W. Grundmanna (jednego z założycieli Katowic), z bardzo dobrze zachowanym odciskiem pieczęci pierwszej katowickiej ekspedycji pocztowej. Na wystawie zobaczyć można również znaczki z okresu plebiscytu, papierowe pieniądze zastępcze, emitowane w 1921 r. przez magistrat miasta Katowic, kopert z pieczęciami poczty lotniczej oraz znaczki z widokami Katowic.

Komisarzem wystawy w Muzeum Historii Katowic jest Jacek Siebel.

Ryszard Twardoch - to tylko kilku artystów - uczestników pleneru plastycznego „Sosnowiec '99”, którzy swój poplenerowy dorobek prezentują na otwartej w styczniu wystawie w Muzeum w Sosnowcu.

■ Galeria „Na Pograniczu” Mysłowickiego Centrum Kultury zaprezentowała interesującą wystawę znanych artystów nieprofesjonalnych: Franciszka Kurzei i Jana Nowaka.

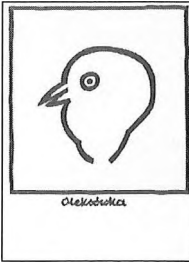
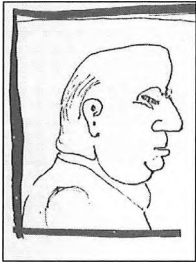
■ Również w Muzeum w Sosnowcu odbyło się spotkanie noworoczne przyjaciół i sympatyków Muzeum, podczas którego goście - prócz degustacji „Tortu Noworocznego 2000” - mogli wysłuchać koncertu w wykonaniu artystów Teatru Muzycznego w Gliwicach, którzy zaprezentowali najpiękniejsze melodie operetkowe Straussa, Kalmana, Lehara, Bernsteina i Loewe'go.

■ W Siemianowicach Śląskich, w Galerii „Po Scho-dach” Muzeum Miejskiego otwarta została wystawa autorstwa Józefa Kramarza pt. „Powidoki tatrzańskie”.

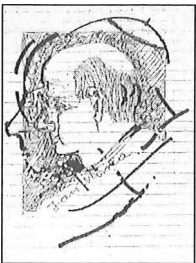
■ Wernisaż wystawy Marcela Hagera zatytułowanej „Bez tytułu” odbył się w Galerii „Sektor 1” Górnośląskiego Centrum Kultury.

## Profile Wuttkego

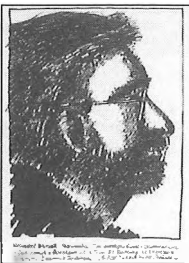
Rys. Jerzy Wuttke



Oleksi i... „Oleksówka”



Jan Maria Rokita.



„Nieparlamentaryzista”  
Krzysztof Karwat.

W Muzeum Miejskim w Zabrze w dniach 14 grudnia - 6 lutego można było oglądać „profile parlamentarne” Jerzego Wuttke. To kilkadziesiąt karykatur (choć czasem to tylko zatrzymane chwile) znanych parlamentarzystów i postaci sceny politycznej III RP.

Pierwsze rysunki - karykatury powstały 12 stycznia 1994 roku w trakcie posiedzenia Sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu. O ludziach i sytuacjach Jerzy Wuttke powiedział: „Sejm, wreszcie, w odczuciu indywidualnym, osobowym - to istna galeria Goliatów i Dawidów, herosów i panikarzy, graczy i prostodusznych naiwniaków, szpanerów z dobrze poinformowanych salonów, nie tylko warszawskich, i skromnych prowincjuszy. Dla wyczulonego obserwatora, Sejm to koncentrat różnorodnych zachowań, upodobań, przyzwyczajęń, postaw. To również różnorodna panorama grubych, chudych, łysych, krzaczastych, ruchliwych, stabilnych, niskich, wysokich, obłych i kanciastych kształtów przemierzających się w sejmowym akwarium...”

## Inteligencja śląska w latach 1939-1945

Muzeum Górnośląskie w Bytomiu było organizatorem niezwykle interesującej sesji, poruszającej problem losów inteligencji śląskiej w latach 1939-1945. Uczestnikami sesji a zarazem prelegentami byli m.in. prof. dr hab. Maria Wanatowicz (UŚ), która przedstawiła środowisko inteligencji województwa śląskiego w latach 1939-1945, prof. dr hab. Maria Kujawska (UAM w Poznaniu) referująca hitlerowską politykę w stosunku do inteligencji narodowości polskiej na Górnym Śląsku, dr Wojciech Jaworski (UŚ) mówiący o martyrologii inteligencji narodowości żydowskiej. O inteligencji niemieckiej na Górnym Śląsku wypowiadał się dr Ryszard Kaczmarek (UŚ), a o duchowieństwie Kościoła rzymskokatolickiego ks. prof. Jerzy Myszor (Uniwersytet kard. St. Wyszyńskiego w Warszawie). Temat losów na obczyźnie podjęli dr Zbigniew Kapuła (Muzeum Górnośląskie w Bytomiu) i dr Krzysztof Nowak (UŚ).

## Kraina łagodnych marzeń

Barbara Szoka jest tarnogórzanką. Jest też absolwentką Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Studiowała także w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Łodzi a także uczestniczyła w zajęciach letniej pracowni Centrum Projektowania Przemysłowego na Uniwersytecie w Enschede w Holandii. W 1976 roku przeniosła się do Danii, następnie do Kanady. W latach późniejszych studiowała także w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Kopenhadze.

Od 1994 roku swoje prace wystawia zarówno w Europie jak i w Kanadzie. Zajmuje się projektowaniem grafiki użytkowej a także działalnością pedagogiczną.

Kilka miesięcy temu Barbara Szoka gościła w Tarnowskich Górach - była gościem słynnych „Wieczorów pod renesansowym stropem”. Od czasu jej wyjazdu za granicę była to jej pierwsza wystawa w Polsce. Pokazała wystawę zatytułowaną „Wędrowanie po krainach łagodnych marzeń”. W słowie wprowadzającym do wystawy Maria Berwid-Gawlicz napisała: „Artystka wprowadza widza w baśniowy świat uczulonych



Basia Szoka, „Okna Paryża - Spotkanie w parku”.

ptaków i architektury z marzeń sennych. Spotkania, spacerzy, rozmowy pełne są liryzmu i ciepła.”

Prace B. Szoki są niezwykle barwne, odcieniami wziętymi wprost z dziecięcych książek, zachwycające w swej „dziecięcości”, a zarazem dojrzałości artystycznej. Wiele w nich treści symbolicznych urozmaicających daną wprost „fabułę” obrazu.

## Wystawy w Śląskiej

Rok 1999 był obfity w rocznice śmierci i urodzin wybitnych przedstawicieli muzyki i literatury. Obchodzona była 150 rocznica śmierci Fryderyka Chopina, również 150 rocznica śmierci Juliusza Słowackiego oraz 250 rocznica urodzin Johanna Wolfganga Goethego.

Tym trzem wybitnym postaciom i ich twórczości została poświęcona najnowsza wystawa w Bibliotece Śląskiej.

## Sprostowanie

W artykule pt. „Kształt przeoczony” („Śląsk” nr 1/51/2000) omawiającym wystawę Janusza Kapusty w BWA w Katowicach oraz przedstawienie „Planeta K-dron” jego autorstwa, pojawił się w notce błąd, przypisujący reżyserię spektaklu Lechowi Majewskiemu. Oczywiście autorem spektaklu, a także scenografem i reżyserem był Janusz Kapusta. Autora, a także pana Lecha Majewskiego oraz wszystkich zainteresowanych i Czytelników przepraszamy. (wk)

■ Wystawą „World Press Photo” w Górnośląskim Centrum Kultury, uczyła „Gazeta Wyborcza. Gazeta w Katowicach” swoje dziesiąte urodziny.

■ W nowo otwartej w Sosnowcu galerii „Atelier” zaprezentowana została wystawa fotografii Anny Geddes pt. „Witaj”

■ Promocja książki pt. „Krzysztof Rau” wydanej w serii „Lalkarze” z okazji 40-lecia pracy artystycznej Krzysztofa Raua odbyła się 7 stycznia w Teatrze „Baniak” - Ośrodku Teatralnym w Bielsku Białej.

■ Malarstwo Georgija Safronowa można oglądać na wystawie w katowickiej galerii „EMPI”.

■ 29 i 30 grudnia w Filharmonii Śląskiej odbywały się koncerty sylwestrowe z udziałem znakomych artystów - Małgorzaty Długosz, Ryszarda Wróblewskiego i Grzegorza Bayera i Bogusławem Kaczymkim w roli prowadzącego koncert.

■ W Galerii Gminnego Ośrodka Kultury w Pawłowicach Jastrzębski Klub Fotograficzny „Niezależni” zorganizował wystawę fotografii „Natura i człowiek” autorstwa Antoniego Podęzwy (Niemcy).

■ Pracę Roku '98 pokazano w tyskiej Galerii „Obok”.

■ W Muzeum Miejskim w Świętochłowicach odbył się koncert noworoczny zatytułowany „Karnawał w Wenecji” z udziałem takich artystów jak Maciej Komandera, Dominik Poloński i Zbigniew Raubo.

■ Wieczór poetycko-muzyczny pt. „Nasze małe Belleje”, podczas którego recytowano wiersze Barbary Dziekańskiej i Andrzeja Skupnińskiego oraz słuchano koled i pastorałek śląskich w wykonaniu uczniów PSM w Chorzowie, odbył się w chorzowskim Muzeum.

■ Pod patronatem prezydenta Gliwic Zygmunta Frankiewicza w Salonie Muzycznym Klubu „Perelka” odbył się recital chopinowski znakomitej pianistki Lidii Kozubek, połączony z promocją najnowszej płyty artystki wydanej przez Radio Katowice.

■ Koncert inauguracyjny działalności Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy pod dyrekcją Marka Mosia, odbył się 13 grudnia w sali koncertowej Zespołu Szkół Muzycznych.

■ Galeria „Na Piętrze” Radia Katowice pokazała wystawę prac fotograficznych Andrzeja Kotuleckiego pt. „Lwów - miasto, które pokochałem”.

■ Muzeum w Gliwicach było organizatorem wystawy poświęconej prezentacji „Obrazów nowych” Włodzimierza Syguly.

■ Prelekcja prof. Juliana Gembalskiego na temat „Fisharmonia w kulturze Górnośląska” połączona z koncertem w wykonaniu Profesora odbyła się w Muzeum Miejskim w Rudzie Śląskiej.

■ Jastrzębska galeria „Ciasna” pokazała wystawę fotografii Marka Karcha pt. „Rodeo - Calgary Stampede”.

■ 20 grudnia orkiestra symfoniczna Filharmonii Śląskiej pod kierownictwem Mirosława Jacka Błaszczyka wyjechała na 10-dniowe tournée po Irlandii Północnej, podczas którego wraz z zespołem Narodowego teatru Balszaj z Sankt Petersburga wykonała „Jeziro Łabędzie” w wersji koncertowo-estradowej.

■ Społeczny Komitet Budowy Domu Kultury w Katowicach-Piotrowicach był organizatorem wystawy „Piotrowice - nasze miejsce na Śląsku”, która odbyła się w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Piotrowicach.

■ W Muzeum Śląskim można było oglądać malarstwo znanej artystki Haliny Lerman.

## Krzywdą z urzędu

Znana powszechnie bielska dziennikarka Wanda Then napisała ostatnio bardzo pochlebną recenzję książki o bielskich kościołach, nie podając w tekście ani nazwiska, ani tytułu recenzowanego dzieła. Mniemam więc, że i mnie wolno będzie napisać parę słów o książce, którą wydano w Bielsku-Białej, bez podawania nazwiska jej autorki.

Powody, dla których z premedytacją zatają nazwisko, nie będą jednak wiązać się z rozstrzygnięciem artystki pióra - jak działo się to prawdopodobnie w przypadku Wandy Then - lecz z chęcią oszczędzenia wstydu autorce książeczki. Do stateczną krzywdę zrobiono jej bowiem już w chwili podpisania do druku tomu wierszy pt. „Wiersze”.

Charakter geniuszu autorki liryków świetnie odda jeden z najkrótszych wierszyków tomu zatytułowany „52. Małe ca-cuszko”:

Głos jakiś szepce mi na uszko  
To już dziś już dziś

Przyjdzie listonosz z małą paczuszką

Lecz zegar tyka godziny

wybija

Jedna druga i następna mija

Pewnie listonosz zbłądził

Pojechał hen w dąbrowy

A może prezent jeszcze

nie gotowy?

Trzeba Szanownemu Czytelnikowi wyjaśnić, iż liryczna artystka w żadnym z utworów nie wspina się powyżej poziomu ujawnionego w cytowanym dziele. Pora więc odpowiedzieć na pytanie, któż przygotował tak wspaniały prezent autorce „Wierszy” i ...za czyje pieniądze? Wydawcą - jak wynika ze stopki redakcyjnej - jest Wydział Kultury Urzędu (sic!) Miejskiego w Bielsku-Białej. Wydanie epokowych dzieł sfinansowali czytelnicy - podatnicy. Może więc pora, aby kierownik Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego JERZY PIESZKA został w końcu bohaterem lirycznym i zbłądził tam, gdzie listonosz z wiersza „52. Małe ca-cuszko” - „hen w dąbrowy”?

JAN PICHETA

# BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

## Ikary dla Hańderka i Golców

Podczas noworocznego koncertu w Domu Muzyki 28 grudnia ub. r. prezydent Bogdan Traczyk wręczył nominacje do Ikara '99 - nagrody prezydenta Bielska-Białej w dziedzinie kultury. Za napisanie bardzo ładnej monografii o dwóch bielskich świątyniach pt. „Katedra św. Mikołaja, kościół św. Stanisława biskupa” nominację otrzymała Helena Dobranowicz, o której dziele obszerniej pisałem w poprzednim numerze „Śląska”. Podobne wyróżnienie spotkało miniaturzystę Lecha Helwiga, o którego sukcesach artystycznych za Atlantykiem donosiliśmy w grudniowym numerze naszego pisma. Nominacją uhonorowano innego znanego bielszczanina, prof. Michała Klisia z katowickiej filii ASP w Krakowie, popularnego animatora kultury i szczególnie zgrzybliwego felietonistę - Andrzeja Jakubiczkę oraz artystę Teatru Polskiego - Cezariusza Chrapkiewicza, który obchodził właśnie jubileusz 40-lecia pracy scenicznej. Nominacje otrzymali także związani z Bielskiem-Białą poeci Stanisław Goła i Juliusz Wątroba, których wiersze publikowaliśmy w grudniowym numerze „Śląska”. Podobną nagrodą uhonorowano ponadto chór „Zew” działający przy Cechu Rzemiosł Różnych i Małej Przedsiębiorczości.

„Ikary '99” - główne nagrody prezydenckie za szczególne osiągnięcia w minionym roku przypadły jednak mieszkańcom odległej Bielska-Białej o ponad 40 km Milówki, 25-letnim bliźniakom - Łukasziowi i Pawłowi Golcom, którzy często ćwiczą i koncertują w bielskich galeriach i pubach: Piwnicy Zamkowej, Bazyliżku i Wzgórzu. Trębacz Łukasz i puzonista Paweł Golcowie wydali w ub.r. dwie płyty - jazzowo-folkową z Golec z Orkiestrą i jazzową z Alchemikiem. Obecnie wspólnie z Grzegorzem Turnaem kończą nagranie piosenek olimpijskiej z okazji igrzysk w Sydney. Notabene również krakowski pieśniarz ma w Milówce domek.

Za wybitną dotychczasową działalność „Ikarem '99” uhonorowany został rzeźbiarz Mieczysław Hańderka - autor m.in. uroczącej fontanny na pl. Bolesława Chrobrego i siasiącego chłopca we wnęce zamkowego muru w Bielsku-Białej. Dobrodziejem kultury '99 został Rejonowy Urząd Poczty w Bielsku-Białej, a strategicznym sponsorem wydarzeń kulturalnych dyrektor firmy Union Vis Bolesław Gaj.

## Polacy w Berlinie

28 stycznia w Berlinie na „Wystawie transgranicznej” zaprezentuje się grupa artystów polskich mieszkających w kraju - głównie w Beskidach - lub

### Jednym zdaniem

■ W Serii Literackiej GTL ukazało się (w wersji dwujęzycznej, polsko-angielskiej) „Dwadzieścia pięć wierszy - twenty-five poems” Stanisława Goli.

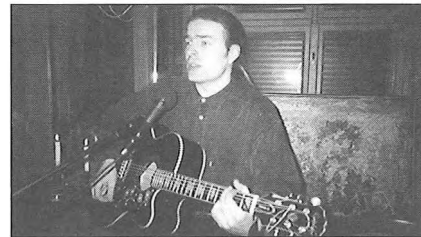
■ „Między wierszami” to tytuł najnowszego tomu lirycznych wierszy Juliusza Wątroby z Rudzicy koło Bielska-Białej, który ukazał się w Serii Literackiej GTL.

■ 8 stycznia w Galerii Bielskiej BWA odbyły się wernisaże retrospektywnej wystawy rzeźb, fotografii i dokumentacji performance'ów Marii Pinińskiej-Beręs oraz ekspozycji zastaw stołowych z ceramiki, szkła, drewna i metalu autorstwa tuzina polskich projektantów.

■ Ponad cztery godziny trwały premierowe spektakle „Kochanych pieniędzy” Raya Conneya w reżyserii Stefana Szacilowskiego i „Musical” wedle pomysłu i w reżyserii Tomasza Dutkiewicza, które 8 stycznia wystawili aktorzy Teatru Polskiego w Bielsku-Białej.

poza jego granicami. Swoje dzieła pokażą twórcy tej miary co Tadeusz Błoński, Anneliese Dorck, Beata Maria i Mariusz Godkowiec, Marzena i Jacek Gutowscy, Antoni Liszka, Hans Jurgen Schmidt i Jerzy Wójcik. Ekspozycję zorganizowały berlińska galeria „Bell'arte”, Fundacja Polonia i Biuro Współpracy Kulturalnej i Artystycznej z Polonią Świata „Adsum - Polska” z Bielska-Białej.

## Bluesowa galeria



Cezary Zybala-Strzelecki w Bazyliżku.

8 stycznia 2000 roku gitarzysta grupy Dżem Jerzy Styczyński - na zaproszenie znanego w Beskidach wokalisty Cezarego Zybala-Strzeleckiego - koncertował w bielskiej galerii - pubie Bazyliżek. Cezary Zybala-Strzelecki (na zdjęciu) zaprosił do współpracy również muzyków z grupy Brydż Klub. W jej skład wchodzi paru artystów z bielskiego zespołu Lizard, który wydał w ubiegłym roku kompakt przychylnie oceniony przez krytyków muzycznych. Okazało się, iż - aby roziskrzyć publiczność - wcale nie trzeba sztucznych ogni. Muzycy tak zachwycili sympatyków bluesowych improwizacji, że liczna widownia Bazyliżka wypuściła ich dopiero po czterech godzinach grania, grubo po północy.

## 40 lat minęło

Dyrektor Teatru Białulka - Ośrodka Teatralnego w Bielsku-Białej Krzysztof Rau obchodził uroczyste jubileusz 40-lecia swej pracy twórczej. Znany reżyser był głównie związany z Białymostkiem, gdzie stworzył uczelnianą artystyczną. Światowy rozgłos przyniosły mu autorskie spektakle Teatru 3/4 - Zuzno, który jest obecnie jednym z zespołów bielskiej Białulki.

Z okazji jubileuszu 7 stycznia odbyła się promocja książki Lucyny Kozień pt. „Krzysztof Rau”, a aktorzy Teatru 3/4 - Zuzno wystawili wyreżyserowane przez jubilata „Metamorfozy”. W tym roku Krzysztofowi Rauowi kończy się kontrakt z Urzędem Miasta w Bielsku-Białej na kierowanie Białulką.

## Zmarł Ireneusz Jęzak

3 grudnia zmarł Ireneusz Jęzak. Przeżył 92 lata. Z zawodu był leśnikiem. W okresie międzywojennym opiekował się miejskim parkiem u podnóża Szyndzielni. Insprował powstanie obiektów sportowych i kulturalnych, szczególnie w Lesie Cygańskim. Opublikował wiele szkiców historycznych o ludziach oraz zabytkach architektury i przyrody Bielska-Białej. Opiekował się zapomnianymi „miejskami pamięci” - grobami, przyrodzonymi kamieniami, tablicami poświęconymi zasłużonemu swego czasu postaciom Bielska-Białej. Był przesiąknięty duchem ekumenii.

■ W drugiej dekadzie stycznia Zespół Teatralny Parafii św. Elżbiety wystawiał w Teatrze im. A. Mickiewicza w Cieszynie cieszące się dużym zainteresowaniem publiczności „Jasneka tradycyjna”.

■ W styczniowych jasełkowych występach członków Stowarzyszenia Sztuka - Teatr w Piwnicy Zamkowej w Bielsku-Białej wzięły udział rzesze artystów, biznesmenów, dziennikarzy oraz senator Janusz Okrzesik.

■ Władze Śródmiejskiej Spółdzielni Mieszkaniczej w Bielsku-Białej wystawiły na przetarg salę kina Rialto, gdzie do niedawna działali wybitni animatorzy z DKF „Kogucik” z Andrzejem Dutką na czele.

■ Od 27 do 30 stycznia w Żywcu i okolicy będziemy świadkami Żywieckich Godów.

■ Od 28 do 30 stycznia w Oświęcimiu odbędzie się IX Ogólnopolski i III Międzynarodowy Festiwal Filmów Nieprofesjonalnych „Kochać człowieka”.



## Chłapanie piosenką

Są piosenki wysoko ułożone na wszystkich możliwych listach przebojów, nagrywane w znakomitych studiach, utrwalane na pięknych, kolorowych „wideoklipach”, śpiewane przez wielkie gwiazdy. Żadna nie jest bliższa życia od piosenki turystycznej. Żadna nie przemierzyła tylu szlaków i nie przepłynęła tylu jezior...

Lubliniec był gospodarzem IX Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Turystycznej „Chłapa”. Na scenie Miejskiego Domu Kultury swe umiejętności wokalne prezentowało 30 wykonawców - solistów i zespołów. Jury (w którego gronie znaleźli się m.in. Wojciech Czemplik i Roman Ziobro ze „Starego Dobrego Małżeństwa”) przyznało I nagrodę - czyli Złoty... Kalosz - częstochowiance Agacie Ślęzyk. Na „podium” znalazł się także Piotr Kędziora (zdobywca III nagrody). Najwyżej ocenionym zespołem okazał się natomiast „Niebieski tramwaj na ziemi”, który otrzymał II nagrodę. Z wyróżnieniami wyjechały z Lublińca zespoły „Wolałbym nie mówić”, „Tawerna” i „Audio Piosenki z Dobrodzienia” (najmłodszy artyści na festiwalu). Wyróżniono ponadto czworo solistów. Nagrodą specjalną postanowiono uhonorować Katarzynę Matejczyk.

Przegląd zdominowała rzecz jasna piosenka turystyczna. Nie zabrakło jednak i ballady, i piosenki autorskiej. W konkursowych zmaganiach oceniano dobór repertuaru, ale i umiejętności „warsztatowe” - muzykalność czy dykcję. I choć nagrody czy wyróżnienia są ważne, najbardziej liczyło się to, że wszystkim było ze sobą dobrze. Zrozumieli to także organizatorzy. Dlatego najbliższa edycja „Chłapy” - jubileuszowa, dziesiąta - będzie trwała dwa dni i odbędzie się już w lipcu. Zamiana zimy na lato na pewno pozwoli lepiej wykorzystać atrakcje lublinieckich lasów.

Na koniec „Chłapy” wystąpiło „Stare Dobre Małżeństwo”, śpiewając oczywiście przy wtórze publiczności, która żywiołowo odebrała „arcy turystyczną” wiązaną piosenek. W przerwie koncertu nachłapało trochę poezji, gdyż podczas miniwieczoru autorskiego zaprezentował się Adam Ziemiński, znany krakowski poeta i twórca wielu tekstów piosenek „Małżeństwa”.

RYSZARD JASNORZEWSKI

## CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

### Fotografie Prażmowskiego

Częstochowianin Wojciech Prażmowski wystawił w swym rodzinnym mieście „100 fotografii”. W salach Ratusza można było oglądać zarówno „klasyczne” zdjęcia, jak i prace bliższe obiektom plastycznym oraz grafikom. Żywiołem tej twórczości jest czas i przemijanie, kronika rzeczywistości, często oparta o wątki osobiste, rodzinne, ale i kronika kultury. Sam autor nazwał ekspozycję „wesołą wystawą o przemijaniu”. To podwójne przemijanie. Rzeczywiste - ukazane np. poprzez uszkodzoną, „pękniętą” płytę fotograficzną kliszy, ale i symboliczne. Rozpada się nasza pamięć, nie wiemy, czyje listy przechowujemy, z jakich miejsc je wysłano i po co. W małych „pakietkach” powiązane sznureczkami, oczekują - wyjęte z lamusa pamięci - czyjeś wyznania, pisane skądś po zdrowieniu. Dopełnia je wielosłowna narracja fotografii - portrety ludzi i przedmiotów, które pochłonął czas.

### Z Turyń pod Jasną Górę

W kościele św. Józefa wystawiono kopię Całunu Turyńskiego. Kopia - dar Towarzystwa Świętego Pawła dla Kościoła w Polsce - odwiedziła także Radomsko i diecezję drohiczyńską. Mają ją zobaczyć wierni również innych regionów naszego kraju. Po zakończeniu peregrynacji kopia całunu zostanie umieszczona na stałe w kaplicy Domu Prowincji o.o. Paulinów w Polsce. Oryginał Całunu Turyńskiego uznaje Kościół Rzymskokatolicki za płótno, w które zawinięto złożone do grobu ciało Chrystusa. Od po-

nad czterech wieków znajduje się ono w Katedrze w Turyń i niezwykle rzadko wystawiane jest na widok publiczny. Dlatego też wykonano kilka jego kopii. Opiekunem ofiarowanej Polsce jest ks. Zbigniew Dudek, który towarzyszy relikwii podczas jej peregrynacji po Polsce.

### Dawne pocztówki

„Częstochowa na dawnej pocztówce” to tytuł albumu, który przygotował antykwariusz Zbigniew Biernacki. W książce znalazły się „portrety” ponad 200 widoków miejskich. Wśród zatrzymanych obiektów znalazły się m.in. zburzone synagogi i nieistniejący dworzec kolei warszawsko - wiedeńskiej. Ten nostalgiczny przewodnik po starej Częstochowie wydała opolska oficyna „Kolekcjoner”. Wszystkie pocztówki pochodzą ze zbiorów Biernackiego, który kolekcjonuje je od początku lat 60. W albumie wykorzystano ledwie 5 proc. zgromadzonych przez siebie kart. To jednak dopiero początek edytorskich planów. Wkrótce powinny zostać wydane albumy prezentujące na starych pocztówkach Jasną Górę oraz okolice Częstochowy.

### Strażacka pamięć

Jedną z atrakcji Kłobucka jest Izba Pamięci przy Komendzie Powiatowej Straży Pożarnej. Najstarszym eksponatem jest pompa do ssania wody z XVIII wieku, wykonana w całości z drewna. Obok tego zgromadzono duży zbiór hełmów, trąbek sygnałowych, dzwonków alarmowych oraz wszelakich węży strażackich i sikawek. Są oczywiście zdjęcia, kroniki, dyplomy i historyczne dokumenty. Wiele z archiwaliów i eksponatów ofiarowały osoby prywatne. Część przekazały jednostki OSP. Niektóre wreszcie pochodzą z magazynów czy archiwów samej komendy. To otwarte dla zwiedzających małe muzeum pożarnictwa nie korzysta z żadnej dotacji.

Jednym zdaniem

■ Komedie „Harry i ja” z Teatru Powszechnego z Warszawy prezentowano na scenie Teatru im. Mickiewicza.

■ 50-lecie Towarzystwa Fotograficznego w Częstochowie upamiętniła wystawa w Ratuszu.

■ Sesję poświęconą postaci „Doktora Biegańskiego - Częstochowianina Stulecia” przygotowała Miejska Biblioteka Publiczna.

■ Rada Miasta w Częstochowie postanowiła przejąć obiekty kulturalne Huty Częstochowa.

■ Swoją nową album „Ziemia Zbawiciela” promował w Ośrodku „Gaude Mater” pochodzący z Częstochowy Stanisław Markowski.

■ Stefania Toczyńska i Leszek Świdziński uświetnili „Koncert noworoczny” w Filharmonii Częstochowskiej.

## Stan pozawatowy

Rok temu, gdy reforma rozparcelowała placówki muzealne między różne szczeble samorządów, dyrektor Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu Paweł Kozerski trafił na kardiologię. Dziś ma się znacznie lepiej, ale opolskie muzea znajdują się wciąż w czymś, co lekarze zwykli nazywać fazą podostłą. Mówiąc po ludzku - uraz przeżyły i uczyć się chodzić, ale wciąż jeszcze nie mogą dojść do siebie. I nie bardzo wiadomo, czy w ogóle dojdą, bo status placówek zajmujących się upowszechnianiem kultury wciąż pozostaje mocno niejasny.

Oczywiście chodzi o pieniądze. Ubiegły rok, który miał być rokiem przejściowych trudności, muzealnicy przeżyli tylko dzięki temu, że nauczyli się głośno krzyczeć i wytrwale chodzić po prośbie. Nie było innego wyjścia - lokalne budżety były zdecydowanie za skromne, trzeba było dobijać się o pieniądze w Warszawie. Obiecywano, że w tym roku będzie inaczej, normalniej, ale na razie wygląda na to, że muzea czeka kolejny sezon finansowej prowizorki.

Pieniądzy brakuje wszystkim samorządowcom, ale najgorzej jest w powiatach, które ustawodawca uparł się prowadzić za rączkę i zafundował im, by użyć określenia samych zainteresowanych, sztywne budżety. Pieniądze przekazywane są na konkretne cele i nie ma mowy o ich przełożeniu do innej szkladki. Śmiało można sobie poczynać tylko z tak zwaną subwencją drogową i to z niej powiaty próbują utrzymywać kulturę. Śmieszne to, ale prawdziwe.

Co więcej, prawodawcy wysmażyli przepisy, w myśl których placówki kultury wypada traktować jak zakłady budżetowe, co znaczy, że należy im dać tylko połowę potrzebnych pieniędzy. I tak oto Kozerski, który na samo utrzymanie muzeum (nie wliczając kosztów organizacji wystaw i koncertów, z których Brzeg słynie) potrzebuje ponad 1.200 tysięcy złotych, dostał od swojego powiatu niecałe 620 tysięcy. W nieco lepszej sytuacji jest muzeum w Nysie, także powiatowe, które tak głośno protestowało przeciwko redukcji dotacji, że wymusiło pewne ustępstwa - zamiast zapowiadanych 500 tysięcy dostało 729. Nie znaczy to rzecz jasna, że pieniędzy wystarczy - muzeum potrzebuje co najmniej 1.100 tysięcy. Nic więc dziwnego, że tematem zainteresował się ostatnio senat Uniwersytetu Opolskiego i uchwalił dramatyczny apel w obronie powiatowych muzeów, którym grozi „dramat unicestwienia”.

Aż tak źle pewnie nie będzie, muzea i tym razem przetrwają. Zwłaszcza, że ponoć idzie ku lepszemu - już niedługo wejść ma w życie tak zwana „ustawa czyszcząca”, która anuluje różne absurdalne przepisy (choćby ten traktujący muzea jak zakłady budżetowe). Inna rzecz, że i ona nie da placówkom muzealnym żadnych gwarancji normalnego funkcjonowania. Mówi się, że nowe przepisy pozwalają starostwom pokryć muzealne budżety w dowolnym zakresie. To, czy panowie radni dadzą 100 czy 10 procent niezbędnych środków, zależeć będzie tylko od nich samych. Muzealnikiem pozostaje więc nadzieja, że lokalni politycy okażą się być ludźmi kulturalnymi. I jak tu zachować optymizm?

MAREK ŚWIERCZ

# OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

## Teleeksperyment

Opolanie mają od stycznia „pionierski w skali kraju telewizyjny program regionalny”. Nowatorstwo polega na tym, że program będzie tylko w połowie finansowany z budżetu telewizji publicznej. Brakujące pieniądze zgromadzić ma Stowarzyszenie Telewizji Regionalnej Śląska Opolskiego, kwestując wśród sponsorów i członków wspierających, czyli samorządów różnych szczebli. Inicjatorzy operacji nie kryją, że wpływy z reklam nie wystarczą i gros środków przekażą opolskie gminy. Opole da tyśiąc złotych, biedne Kolonowskie 250 złotych, przeciętnie ma jedną gminę wypadnie po 500 złotych miesięcznie.

Andrzej Janicki, dyrektor Ośrodka TVP w Katowicach, który podpisał ze Stowarzyszeniem umowę w sprawie uruchomienia nowego programu, nie kryje, że w grę wchodzi trudny eksperyment. Po pierwsze - nikt nie wie, ile taki program będzie kosztował naprawdę i czy planowane 60 tysięcy miesięcznie pokryje wszystkie koszty. Po drugie - nie sposób przewidzieć, czy dziennikarze będą w stanie obronić się przed naciskami samorządowców, pragnących zareklamować się w telewizyjnym okienku. Członkowie opolskiej ekipy telewizyjnej zapewniają, że presji się nie boją, bo gminni notabie podpisują zobowiązanie, że pieniądze dadzą, ale w program ingerować nie będą.

Jest to optymizm budujący ale wypada uznać go za przykład typowego myślenia życzeniowego. Liczne apele o odpolitycznienie telewizji publicznej nic nie dały i z góry można założyć, że lokalni politycy z Opolszczyzny nie będą wcale lepsi od kolegów z Warszawy, którzy walczą o dostęp do telewizji jak o niepodległość.

Nowy program regionalny ma się ukazywać do końca roku - wtedy będzie można ocenić, czy eksperyment się powiodł.

## Czechow bez samowara

Źle ulokowane uczucia to praprzyczyna wszystkich nieszczęść - taką pesymistyczną wizję świata prezentuje „Czajka” Czechowa wyreżyserowana przez Iwonę Kempę na deskach Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu.

## Jednym zdaniem

■ Nakładem Centralnego Muzeum Jeńców w Łambinowicach ukazała się książka zawierająca wziętne rysunki Georgija I. Danilowa, byłego więźnia stalgau Lamsdorf.

■ Blisko 60 ze 180 nadesłanych prac pokazano na wystawie rysunku satyrycznego Satirical Drawing Exhibition Opole 99.

■ Radni opolskiego Sejmiku Wojewódzkiego uchwaliли, że herbem Opolszczyzny będzie stylizowany orzeł księża Jana II Dobrego, co zostało oprotostowane przez kilku artystów, uważających, że stylizacja zniekształca oryginalnego orła.

■ W Kamieniu Śląskim odbyła się dwudniowa międzynarodowa konferencja pod hasłem „Instytucje literacko-wydawnicze w kontaktach polsko-niemieckich, stan i perspektywy badawcze”.

■ Zespół „Dialog” z Dylaków, prowadzony przez Barbarę Baron, uczestniczył w dniach 15-19 grudnia ub.r. w Międzynarodowym Festiwalu „Prezentacje kultur pogranicza” zorganizowa-

„Czajka” Kempy to Czechow bez samowara, historia rozgrywająca się w świecie pozbawionym historycznej tożsamości. Dzięki oszczędnej scenografii Tomasza Polasika opowieść z rosyjskiej prowincji nabiera cech uniwersalnych.

Dramat Czechowa został odczytany przez Kempę jako głęboko przygnębiająca opowieść o niszczącym działaniu naiwnych marzeń. Wybiera je Nina Zarięczna w przekonującej interpretacji Ariety Plaszewskiej-Los, placąc rozczarowaniem, goryczą i poczuciem przegranej. Podobnie jest z Kostią, młodym buntownikiem, zagrany nieco zbyt mechanicznie przez debiutanta Macieja Namysła. Poczucie niespełnienia zżera też tych, którzy sukces odnieśli. Arkadina w adekwatnie manierycznej interpretacji Elżbiety Piwek za wszelką cenę próbuje zatrzymać uciekającą młodość. Andrzej Czernik jako Trigorin to człowiek, którego powodzenie rozkaprysiło i pozbawiło siły woli.

„Czajka” sugeruje, że jedynym źródłem szczęścia mogłaby się stać dobrze ulokowana miłość. Jak bardzo destrukcyjny jest jej brak, najlepiej pokazuje przykład Maszy w przejmującej interpretacji Grażyny Misorowskiej.

## Broch według Fiedora

„Niewinni” według Hermanna Brocha, wyreżyserowani w Opolu przez Marka Fiedora, to jeden z najlepszych, a może w ogóle najlepszy spektakl pokazany przez opolski teatr dramatyczny w minionych kilku sezonach. To historia upadku mieszczańskiego ładu, podmytego przez żywioły instynktów, wyglądająca tak jakby role rozdał w niej wyjątkowo pesymistyczny tego dnia Freud.

Głównym atutem tej pierwszej na świecie próby scenicznej adaptacji nowatorskiej powieści Brocha, jest gra aktorów. To spektakl zdominowany przez kobiety. Blyskotliwą kreację tworzy w nim zdecydowanie zbyt rzadko pokazująca się na scenie Zofia Bielewicz w drapieżnej roli Zerliny. Równie przekonujące są Ewa Wyszymirska jako spragniona uczuć Baronowa, Judyta Paradzińska w roli toksycznie perwersyjnej Hildegardy i Grażyna Rogowska jako Melitta, uosobienie prostej niewinności. Dojrzałością interpretacji zaskakuje też adeptka Ola Cwen jako pijana prostytutka Filipina. Z kobiecymi kreacjami nie jest w stanie rywalizować Janusz Stolarski, ulubiony aktor Fiedora, który wciela się w rolę Andrzeja.

„Niewinni” to jedna z nielicznych opolskich inscenizacji, precyzyjnie wykorzystujących całą bogatą maszynę Dużej Sceny. Autor scenografii Jan Kozikowski za dbał o wykreowanie przestrzeni, w której mieszczańskie salony sąsiadują z brudnym dworcem - świat sztywnych zasad rozpada się pod naciskiem rzeczywistości niemal na naszych oczach.

nym przez Przemyskie Centrum Inicjatyw Kulturowych „Mytusa”. Na przemyskie „Prezentacje” zjechało 300 wykonawców, również ze Lwowa. Zespół „Dialog” zaprezentował folklor czeski, polski i niemiecki. Festiwalowi towarzyszyło sympozjum pod wspólnym hasłem „Na pograniczu kultur”.

■ Rosyjski religioznawca prof. Władysław Arzanuchin wygłosił w Opolu wykład pod tytułem „Rosyjska cerkiew prawosławna - ujęcie politologiczne”.

■ „Nacjonalizm a religia” - to tytuł wykładu wygłoszonego na Uniwersytecie Opolskim przez prof. Jerzego Szackiego.

■ Dzięki staraniom dziennikarzy opolskich mediów udało się odnowić grób literata i dziennikarza Stanisława Wasylewskiego, pochowanego w roku 1953 na cmentarzu w Opolu-Półwsi.

■ W Galerii Sztuki Współczesnej odbył się wernisaż wystawy fotografii opolanina Witolda Jacykowa.

## Jeśli bal, to na ludowo

Ponad 400 balowiczów i miłośników folkloru z całego Zaolzia, ale także spoza naszego regionu, m.in. ze Słowacji, Polski, ba, nawet... Austrii, większość w strojach ludowych - czy już góralskich, czy też „dolańskich” - zjechało w ub. sobotę do Mostów k. Jablonkowa, by w tamtejszym Domu PZKO zwanym „Domem Kasowym” zabawić się na 22. już Balu Gorolskim, organizowanym tradycyjnie w pierwszą po Nowym Roku sobotę przez miejscowych pezetkaowców oraz Zespół Regionalny „Górole”.

Tradycyjnie już zwał się też do Mostów ten jeden z najatrakcyjniejszych zaolziańskich bali licznych gości „oficjalnych”. W strojach góralskich paradowali np. dyrektorzy generalni Huty Trzynieckiej i firmy Walmark Jerzy Cienciała i Mariusz Walach oraz członek zarządu chóru „Górol” i znany gawędziarz Tadeusz Filipczyk, w strojach jablonkowskich „jacaków” burmistrz Jablonkowa Petr Sagitarus i folklorysta Antoni Szpyrc... W „cywilu” zaś przyszli się zabawić m.in. przedstawiciele Konsulatu Generalnego w Ostrawie - konsul Marian Ozimek i wicekonsul ds. Polonii Małgorzata Filipiek, prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa czy zastępca mosteckiego starosty Jiří Rucki...

Poprzedził bal jak zawsze Międzynarodowy Przegląd Kapel Ludowych i Zespołów Folklorystycznych, w którym przedstawiono się balowej publiczności aż 12 zespołów. Zaolzie reprezentowali - oprócz gospodarzy - także „Olza” z czeskimi polkami (przygrywała jej ostrawska kapela cymbalowa „Sajtar”) oraz kapela „Kamraci”, która przywiozła też do Mostów reaktywowane niedawno po 10-letniej przerwie „Błędowice”. W połowie zaolziańska była też kapela „Walasi” z Istebniej, gdzie grają również mosteczanie Andrzej i Bolesław Niedobowie (po długim czasie pojawiły się na zaolziańskiej scenie gajdy)... Region morawski natomiast reprezentowały - oprócz ww. „Sajtara” - także ostrawska „Smykła” oraz „Valašský vojvoda” z Kozłowic (zagrał m.in. ostanio w Watykanie), z Zakopanem przyjechał zespół „Giewont”, ze Słowacji zaś kapela Pawła Capka ze Skalitego oraz rewelacyjna „Detva”. Zakończył zaś mini-festiwal występ austriackiego przyjaciela „Góroli” Rudiego Lughofera. Oferta była więc rzeczywiście międzynarodowa i niezwykle atrakcyjna...

Później już - po tradycyjnym „chodzonym” - rozpoczął się bal. A bal, jak to bal - bawiono się świetnie aż do białego rana we wszystkich lokalach „Kasowego”, ale za to w rytm muzyki ludowej, śpiewano, raczono się wspaniałymi daniami kuchni góralskiej oraz mocną „warzonką”, „miodulą” czy śliwownicą...

Dodam, że tegoroczny Bal Gorolski rozpoczął właściwie rok dla „Góroli” jubileuszowy - obchodzą bowiem w tym roku swoje 20-lecie. Nic więc dziwnego, że w niedzielę spotkali się na pobalowych „poprowkach” w stojącym na zboczach Skatki ośrodka „Zuzanna” członkowie komitetu organizacyjnego obchodów. Jak poinformował mnie kierownik zespołu Alojzy Martynec, członkowie komitetu ustalili, że koncert urodzinowy „Góroli” odbędzie się w pierwszej połowie maja w Domu Kultury „Trisia” w Trzyniecu.

JACEK SIKORA

## ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

### Srebrne Spinki rozdane

Kierowniczka Oddziału Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie, Helena Legowicz, oraz malarz Oskar Pawlas odebrali 5 stycznia w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie nagrody przyznawane corocznie przez konsula generalnego członkom polskiego środowiska twórczego za znaczące osiągnięcia na niwie artystycznej - Srebrne Spinki.

Oskar Pawlas, przewodniczący Stowarzyszenia Artystów Plastyków przy ZG PZKO, artysta o przebogatym dorobku twórczym, maluje głównie pejzaże. Ma na swoim koncie ponad 50 wystaw indywidualnych i kilkadziesiąt prezentacji zbiorowych. Bywa częstym gościem i organizatorem plenerów malarskich na Zaolziu i w Polsce. Helena Legowicz nagrodę Srebrnych Spinek otrzymała za ręk konsula generalnego Marka Masulanisa za znaczący wkład w rozwój życia kulturalnego i promowanie zaolziańskiej sztuki. Oddział Literatury Polskiej pod jej kierownictwem spełnia bowiem rolę ośrodka, w którym rodzi się wiele interesujących artystyczno-społecznych inicjatyw.

Uroczystość wręczenia Srebrnych Spinek z udziałem przedstawicieli zaolziańskich środowisk twórczych i animatorów życia kulturalnego odbyła się w siedzibie konsulatu już po raz siódmy. Laureatami nagrody przyznawanej od 1993 r. byli w poprzednich latach Władysław Sikora, Wilhelm Przeczek, Renata Putzlacher, Wiesław Adam Berger, Bronisław Liberda, Tadeusz Wrątny i Zbigniew Kubezka.

### W adwent po kołędzie...

Nie tylko najpiękniejsze polskie i zaolziańskie kołedy, ale i najlepsze tańce i pieśni ze swojego bogatego repertuaru zaprezentowały w niedzielę 19 grudnia miłośnikom folkloru w trzynieckim Domu Kultury „Trisia” na trzecim już z kolei koncercie świątecznym zaolziańskie zespoły folklorystyczne. Autorkami scenariusza i głównymi realizatorkami wspaniałej przedświątecznej imprezy folklorystycznej były jak zawsze członkinie kierownictwa Zespołu Pieśni i Tańca ZG PZKO „Olza” Urszula Niedoba i Michaela Topór-Orawiec, a nosił tym razem koncert nazwę „Św. Szczepan po kolyndzie rod chodź!”.

Rozpoczęli „szczepańskie” kołędowanie mosteccy „Górole” kantyczką XIX-wiecznego

Jednym zdaniem

70-lecie swojego polskiego przedszkola uczęszczał 11 grudnia ub. roku mieszkańcy Nawisia. W programie z szopką bożonarodzeniową wystąpiły przedszkolaki, kołedy zaś zaśpiewał chór „Melodia” i „Melodyjka”. W uroczystości wziął udział m.in. wikariusz generalny Diecezji Ostrawsko-Opawskiej, ks. Franciszek Kufa.

Do połowy stycznia można było w hawirzowskiej sali wystaw „Musalon” zwiedzać wystawę pn. „Boże Narodzenie w świecie kukielek”. Wystawę przygotowało Muzeum Łalkarskie w Chrudzimi.

Przed świętami pojawiła się nowa płyta z jednego z przednich zaolziańskich chórów - „Collegium Cantorum”. Płyta nosi nazwę - jakże inaczej w czas przedświąteczny - „Z narodzenia Pana”.

Biskup Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W. Władysław Volnż wziął w dniach 15-18 grudnia udział w międzynarodowym sympozjum poświęconym sylwetce Jana Husa, zorganizowanym w Papieskim Uniwersytecie Laterańskim przez Česká Konferencję Biskupów oraz Česká Akademię Nauk.

Agata Waclawik, Andrzej Glac, Ewa Mrowiec i Katarzyna Krzyżanek zostali laureatami konkursu literackiego dla młodzieży „Talent '99” ogłoszonego przez Grupę Literacką 63.

jablonkowskiego tkacza i jednego z pierwszych na Śląsku Cieszyńskim poetów Adama Sikory... Później zaś zjawiały się na scenie najlepsze zaolziańskie zespoły - „Olza”, „Bystrzyca”, „Suszanie”, „Skotnica”, ponownie „Górole” (szkoda, że zabrakło świetnej, obchodzącej w tym roku jubileusz 15-lecia jablonkowskiej „Nowiny”) - była typowa zabawa „szczepańska”, były kołedy, wspaniałe śpiewy...

Zakończyła zaś wieczór śpiewana przez całą salę kołeda „Cicha noc...”, lamano się opłatkiem... I cóż tu dodać? - może tylko tyle, że stał się już adwentowo-świąteczny koncert jedną ze stałych pozycji w zaolziańskim kalendarium kulturalnym. Miejmy więc nadzieję, że również za rok Misia i Urszula nie zawiodą swoich sympatyków. Bo przecież te koncerty są okazją nie tylko do zatrzymania się na chwilę w przedświątecznym zgiełku, ale i obejrzenia tego najlepszego, co nasze zespoły mają do zaoferowania...

### Debiut „Pod Pegazem”

W iście świątecznym nastroju spędzili ostatni w 1999 r. wieczór w jablonkowskiej Kawiarence „Pod Pegazem” zaolziańscy miłośnicy poezji. A była tym razem bohaterką poetyckiego spotkania debutantka - poetka Beata Andrzejak-Rylko, warszawianka rodem, mieszkająca w Jablonkowie od r. 1984, nauczycielka dolnośląskiego przedszkola. Jej gościem zaś był poeta Kazimierz Kaszper, notabene jeden z obecnych gospodarzy jablonkowskiej literackiej kawiarenki.

„Otrzymałem teksty Beaty właściwie na dwa tygodnie przed spotkaniem. Powiedziałem jej tylko jedno - niepotrzebnie trzymałaś te wiersze tak długo pod kocem. Bo trzeba wiedzieć, że zaskoczyła mnie ta poezja dojrzałością przekazu i świadomości poznawania świata, a w dodatku forma tych wierszy jest rzeczywiście kunsztowna. Myślę, że zrodziła nam się na Zaolziu kolejna poetka, która znajdzie swoje stałe miejsce w naszym świecie poetyckim” - powiedział m.in. K. Kaszper.

Czytający tradycyjnie wiersze Karol Suszka zaprezentował nie tylko wiersze B. Rylko, ale także wiersze K. Kaszpera z jednego z ostatnich tomików poety pt. „Raczkowanie, czyli wierszyki z kojca”, o którym jego autor powiedział, że „choć nie należy do poetów 'spontanicznych’, do których zaliczyć można np. Beatę Rylko, „Raczkowanie” to właśnie spontanicznie powstałe wiersze, napisane przez szczęśliwego ojca”.

Towarzyszyła też spotkaniu w jablonkowskiej kawiarence literackiej ciekawa dyskusja - tym razem o roli poezji w obecnym przetechnizowanym i skomputeryzowanym „wirtualnym” świecie. Jak się ponownie okazało, poezja nadal jest potrzebna, gdyż „odpowiada ona na podstawowe pytania dotyczące człowieka, istnienia, życia. I tak się dzieje już od czasów Homera” - powiedział K. Kaszper.

Osiem nowoczesnych szkolnych ławek i stołków o regulowanej wysokości ufundował dla bogumińskiej filii polskiej szkoły w Lutyni Dolnej Konsulat Generalny RP w Ostrawie.

W św. Szczepana odbył się tradycyjny „Bal Akademicki”, organizowany przez studencką Sekcję Akademicką „Jedność”. Tym razem jednak musiał się „Akademik” przenieść z hotelu „Piast” do Domu Kultury w Kocobędzu.

W szkocko-cieszyńskim wydawnictwie „Snoza” Kazimierza Gajdzicy pokazał się czeskojęzyczny wybór wierszy Bogusława Żurakowskiego pn. „Pieśni źródeł karłowarskich”. Wiersze przetłumaczyli Lucyna Przeczek-Waszkowa oraz Libor Martinek, autorem ilustracji jest czeski plastyk Jozef Fojtik.

Rada Polaków zaakceptowała projekt utworzenia w Cz. Cieszynie - przy ul. Capka - Klubu Książki i Prasy Polskiej. Autorem projektu jest dyrektor Wydawnictwa „Olza” Janusz Ciesielski.

Zaolziańskim akcentem zakończył rok 1999 Teatr Lalek „Bajka”, wystawiając w reż. aktora Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego Pawła Niedobę sztukę autorstwa Władysława Młynka „Ziarnko paproci”. Spektakl ten był też spektaklem dyplomowym absolwentki Wydziału Łalkarskiego wrocławskiej PWST, Barbary Kubiény.





## Prezentacja

# Katowickiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego „BUDUS” S.A.

Katowickie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego „BUDUS” Spółka Akcyjna jest firmą budowlaną działającą na rynku od blisko 50 lat.

We wrześniu 1995 roku akcje spółki zostały wniesione do II Narodowego Funduszu Inwestycyjnego.

Współpraca z II NFI zaowocowała zmianami w strukturze wewnętrznej spółki, mającymi na celu dostosować ją do coraz to ostrzejszych wymogów rynku.

Tradycja firmy wpisana została na trwałe w region Górnego Śląska poprzez obiekty, które do dziś stanowią jej wizytówkę.

Popularny „Spodek”, katowicki dworzec PKP, Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie, Stadion Śląski, Fiat Auto-Poland w Tychach, Wojewódzka Komenda Policji w Katowicach, osiedla mieszkaniowe w Katowicach, Mikołowie i Rudzie Śląskiej, stacje uzdatniania wody w Dzieńkowicach i Goczałkowicach, wiele śląskich hut oraz inne realizacje są dziełem „katowickiej przemysłówki”, jak przyjęto potocznie nazywać firmę BUDUS.

Do ostatnio zrealizowanych inwestycji należą między innymi: Rejon Energetyczny w Gliwicach, obiekty handlowe: TTW Dom i Ogród, Castorama, Carrefour w Katowicach, TIP w Mikołowie.

Jako, że w budownictwie liczy się wysoki poziom oraz uniwersalność oferowanych usług, szybkość realizacji inwestycji oraz ich terminowość BUDUS S.A. dodaje jeszcze jedną cechę - mianowicie ściśle dostosowanie jakości do wymogów klienta.

W kwietniu 1999 roku, w związku z konsekwentną i systematyczną polityką jakości, firma uzyskała certyfikat ISO 9002.

W 1999 roku firma rozpoczęła działalność deweloperską, realizując osiedle domów jednorodzinnych w Gliwicach. Obecnie trwają prace związane z budową nowego osiedla w Mikołowie Mokrem.

BUDUS jest firmą uniwersalną, co pozwala jej zajmować się kompleksową realizacją nawet najbardziej skomplikowanych obiektów dla różnych dziedzin gospodarki.



## BUDUS S.A. oferuje usługi w zakresie

- kompleksowej realizacji obiektów przemysłowych i budownictwa ogólnego
- kompleksowej restrukturyzacji istniejących obiektów (także w czynnych zakładach)
- realizacji inwestycji proekologicznych takich jak: oczyszczalnie ścieków, kolektory sanitarne, składowiska odpadów, kanalizacja
- realizacja obiektów produkcyjnych i handlowych w lekkich konstrukcjach stalowych i lekkiej obudowie
- robót remontowych z pełną gamą prac wykończeniowych w najnowszych technologiach
- robót inżynierskich
- wzmacniania gruntu sprzętem najnowszej generacji
- posadzek przemysłowych
- usług deweloperskich



Katowickie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego

## „BUDUS” S.A.

Prezentuje aktualnie realizowaną inwestycję mieszkaniową:

### Ekologiczne Osiedle Mieszkaniowe „Leśna Bryza” w Nikołowie Mokrem



Oferujemy Naszym Klientom:

- 38 domków jednorodzinnych w zabudowie bliźniaczej i wolno stojącej o powierzchni od 145 do 250 m<sup>2</sup>.
- Wybór z czterech projektów architektonicznych.
- Działki o powierzchniach od 650 do ok. 1500 m<sup>2</sup>.
- Stan wykończeniowy tj. bez białego montażu i podłóg.
- Termin wykonania - koniec tego roku.
- Budynki w technologii tradycyjnej z materiałów pochodzenia naturalnego.
- Położenie w sąsiedztwie projektowanego Górnośląskiego Ogrodu Botanicznego na terenie pozbawionym kontaktu akustycznego i wizualnego z Aglomeracją Śląską.
- Obsługę prawną i kredytową.
- Terminy płatności dostosowane do potrzeb Klientów.

Kontakt: „BUDUS” S.A. Katowice ul. Barbary 21  
Biuro Obrotu Nieruchomościami. tel. 2512-031 do 5 wew. 318 lub 224  
tel. kom. 0601 484-530



351674

907020094342  
3421065432161427  
8049700653412014  
55431281307405172  
5301687424059363  
12430146732147893  
432100876210951340  
40061032700408932  
23514031890570146  
1420574317463210  
2741050432134501

## Bank **WIELKICH** liczb

Zwiększamy możliwość operowania kapitałem, nieustannie poszerzamy ofertę kredytową. Niezależnie od tego, czy naszymi klientami są małe, czy duże firmy, czy też samorządy terytorialne, stale jesteśmy gotowi spełniać rosnące oczekiwania naszych klientów. Jesteśmy właściwym bankiem. Nie boimy się wielkich liczb.



**PKO BP** *Blisko Ciebie*

*Obsługa finansowa firm*

POWSZECHNA KASA OSZCZĘDNOŚCI BANK PAŃSTWOWY

Internet: [www.pkobp.pl](http://www.pkobp.pl)

Linia bezpłatna: 0-800 120 139